128
l RARA P

Nie pożycza się
do domu.

V
B J
C
128 BARA
Poezya 259.



A. MICKIEWICZ.

Podług Medalionu wykonanego w Weymarze 18[illegible]
przez P. Dawida Członka Instytutu Francyi.

Stefanowi Witwickiemu,
poświęca ziomek, towarzysz i przyjaciel
Antoni Oleszczyński.

18[illegible]

PAN TADEUSZ

CZYLI

OSTATNI ZAJAZD NA LITWIE.

Historja szlachecka

z r. 1811 i 1812,

WE DWUNASTU KSIĘGACH, WIERSZEM,

przez

ADAMA MICKIEWICZA.

TOM PIERWSZY.

Wydanie Alexandra Jełowickiego,

S POPIERSIEM AUTORA.

PARYŻ.

1834.

128 I.

KSIĘGA PIÉRWSZA.

BIBLIOTH. UNIV. JAGELLONICAE

GOSPODARSTWO.

TREŚĆ.

Powrót panicza — Spotkanie się pierwsze w pokoiku, drugie u stołu — Ważna Sędziego nauka o grzeczności — Podkomorzego uwagi polityczne nad modami — Początek sporu o Kusego i Sokoła — Żale Wojskiego — Ostatni Woźny Trybunału — Rzut oka na ówczesny stan polityczny Litwy i Europy.

Litwo! Ojczyzno moja! ty jesteś jak zdrowie;
Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie
Kto cię stracił. Dziś piękność twą w całéj ozdobie
Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie.

Panno święta, co jasnéj bronisz Częstochowy
I w Ostréj świecisz Bramie! Ty, co gród zamkowy

Nowogródzki ochraniasz z jego wiernym ludem!
Jak mnie dziecko do zdrowia powróciłaś cudem,
(Gdy od płaczącéj matki, pod Twoję opiekę
Ofiarowany, martwą podniosłem powiekę;
I zaraz mogłem pieszo, do Twych świątyń progu
Iść za wrócone życie podziękować Bogu;)
Tak nas powrócisz cudem na Ojczyzny łono.
Tymczasem przenoś moję duszę utęsknioną
Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych,
Szeroko nad błękitnym Niemnem rosciągnionych;
Do tych pól malowanych zbożem rozmaitém,
Wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem;
Gdzie bursztynowy świerzop, gryka jak śnieg biała,
Gdzie panieńskim rumieńcem dzięcielina pała,
A wszystko przepasane jakby wstęgą, miedzą
Zieloną, na niéj zrzadka ciche grusze siedzą.

Sród takich pól przed laty, nad brzegiem ruczaju,
Na pagórku niewielkim, we brzozowym gaju,
Stał dwór szlachecki, z drzewa, lecz podmurowany;
Świeciły się zdaleka pobielane ściany,
Tém bielsze że odbite od ciemnéj zieleni

Topoli, co go bronią od wiatrów jesieni.
Dóm mieszkalny niewielki lecz zewsząd chędogi,
I stodołę miał wielką i przy niéj trzy stogi
Użątku, co pod strzechą zmieścić się niemoże;
Widać że okolica obfita we zboże,
I widać z liczby kopic, co wzdłuż i wszerz smugów
Świecą gęsto jak gwiazdy; widać z liczby pługów
Orzących wcześnie łany ogromne ugoru
Czarnoziemne, zapewne należne do dworu,
Uprawne dobrze nakształt ogrodowych grządek:
Że w tym domu dostatek mieszka i porządek.
Brama na wciąż otwarta przechodniom ogłasza,
Że gościnna, i wszystkich w gościnę zaprasza.

Właśnie dwókonną bryką wjechał młody panek
I obiegłszy dziedziniec zawrócił przed ganek,
Wysiadł s powozu; konie porzucone same,
Szczypać trawę ciągnęły powoli pod bramę.
We dworze pusto: bo drzwi od ganku zamknięto
Zaszczepkami, i kołkiem zaszczepki przetknięto.
Podróżny do folwarku nie biegł sług zapytać,
Odemknął, wbiegł do domu, pragnął go powitać,

Dawno domu niewidział; bo w dalekiém mieście
Kończył nauki, końca doczekał nareszcie.
Wbiega i okiem chciwie ściany starodawne
Ogląda czule, jako swe znajome dawne.
Też same widzi sprzęty, też same obicia,
S któremi się zabawiać lubił od powicia;
Lecz mniéj wielkie, mniéj piękne niż się dawniéj zdały.
I też same portrety na ścianach wisiały.
Tu Kościuszko w czamarce krakowskiéj, z oczyma
Podniesionemi w niebo, miecz oburącz trzyma;
Takim był gdy przysięgał na stopniach ołtarzów,
Że tym mieczem wypędzi s Polski trzech mocarzów,
Albo sam na nim padnie. Daléj w polskiéj szacie
Siedzi Rejtan żałośny po wolności stracie,
W ręku trzyma nóż ostrzem zwrócony do łona,
A przed nim leży Fedon i żywot Katona.
Daléj Jasiński młodzian piękny i posępny;
Obok Korsak towarzysz jego nieodstępny
Stoją na szańcach Pragi, na stosach moskali
Siekąc wrogów a Praga już się w koło pali.
Nawet stary stojący zegar kurantowy
W drewnianéj szafie poznał, u wniścia alkowy;

I z dziecinną radością pociągnął za sznurek,
By stary Dąbrowskiego usłyszyć mazurek.

Biegał po całym domu i szukał komnaty
Gdzie mieszkał dzieckiem będąc, przed dziesięciu laty.
Wchodzi, cofnął się, toczył zdumione źrenice
Po ścianach; w téj komnacie mieszkanie kobiéce?
Któżby tu mieszkał? stary stryj niebył żonaty;
A ciotka w Petersburgu mieszkała przed laty.
To niebył ochmistrzyni pokoj? Fortepiano?
Na niém noty, i książki; wszystko porzucano
Niedbale i bezładnie; nieporządek miły!
Niestare były rączki co je tak rzuciły.
Tuż i sukienka biała, świeżo s kołka zdjęta
Do ubrania, na krzesła poręczu rospięta.
A na oknach donice s pachnącemi ziołki,
Gieranium, lewkonia, astry i fijołki.
Podróżny stanął w jednéni z okien — nowe dziwo:
W sadzie, na brzegu niegdyś zarosłym pokrzywą
Był maleńki ogródek ścieszkami porznięty,
Pełen bukietów trawy angielskiéj i mięty.
Drewniany drobny w cyfrę powiązany płotek

Połyskał się wstążkami jaskrawych stokrotek.
Grządki widać że były świeżo polewane;
Tuż stało wody pełne naczynie blaszane,
Ale nigdzie niewidać było ogrodniczki;
Tylko co wyszła; jeszcze kołyszą się drzwiczki
Swieżo trącone, blisko drzwi ślad widać nóżki
Na piasku, bez trzewika była i pończoszki,
Na piasku drobnym, suchym, białym nakształt śniegu;
Ślad wyraźny lecz lekki, odgadniesz że w biegu
Chybkim był zostawiony nożkami drobnemi
Od kogoś, co zaledwie dotykał się ziemi.

Podróżny długo w oknie stał patrząc, dumając,
Wonnemi powiewami kwiatów oddychając,
Oblicze aż na krzaki fijołkowe skłonił,
Oczyma ciekawemi po drożynach gonił,
I znowu je na drobnych śladach zatrzymywał,
Myślał o nich i czyje były odgadywał.
Przypadkiem oczy podniosł, i tuż na parkanie
Stała młoda dziewczyna — białe jej ubranie
Wysmukłą postać tylko aż do piersi kryje,
Odsłaniając ramiona i łabędzią szyję.

W takiém Litwinka tylko chodzić zwykła z rana,
W takiém nigdy niebywa od męszczyzn widziana;
Więc choć świadka niemiała, założyła ręce
Na piersiach, przydawając zasłony sukience.
Włos w pukle nierozwity, lecz w węzełki małe
Pokręcony, schowany w drobne strączki białe,
Dziwnie ozdabiał głowę, bo od słońca blasku
Świecił się, jak korona na świętych obrasku.
Twarzy niebyło widać, zwrócona na pole
Szukała kogoś okiem, daleko, na dole;
Ujrzała, zaśmiała się i klasnęła w dłonie,
Jak biały ptak zleciała s parkanu na błonie,
I wionęła ogrodem, przez płotki, przez kwiaty,
I po desce opartéj o ścianę komnaty,
Nim spostrzegł się, wleciała przez okno, świecąca,
Nagła, cicha i lekka, jak światłość miesiąca.
Nócąc chwyciła suknie, biegła do zwierciadła;
W tém ujrzała młodzieńca i z rąk jéj wypadła
Suknia, a twarz od strachu i dziwu pobladła.
Twarz podróżnego barwą spłonęła rumianą,
Jak obłok gdy z jutrzenką napotka się ranną;
Skromny młodzieniec oczy zmrużył i przysłonił,

Chciał coś mówić, przepraszać, tylko się ukłonił
I cofnął się; dziewica krzyknęła boleśnie,
Niewyraźnie, jak dziecko przestraszone we śnie;
Podróżny zląkł się, spójrzał, lecz już jéj niebyło,
Wyszedł zmieszany i czuł że serce mu biło
Głośno, i sam niewiedział czy go miało śmieszyć
To dziwaczne spotkanie, czy wstydzić, czy cieszyć.

Tymczasem na folwarku nieuszło baczności,
Że przed ganek zajechał któryś z nowych gości.
Już konie w stajnię wzięto, już im hojnie dano
Jako w porządnym domu i obrok i siano:
Bo Sędzia nigdy niechciał, według nowéj mody,
Odsyłać konie gości żydom do gospody.
Słudzy niewyszli witać, ale niemyśl wcale
Aby w domu Sędziego służono niedbale;
Słudzy czekają nim się Pan Wojski ubierze,
Który teraz za domem urządzał wieczerzę.
On Pana zastępuje i on w niebytności
Pana, zwykł sam przyjmować i zabawiać gości;
(Dalcki krewny pański i przyjaciel domu).
Widząc gościa na folwark dążył pokryjomu;

(Bo niemógł wyjść spotykać w tkackim pudermanie,)
Wdział więc jak mógł najprędzej niedzielne ubranie
Nagotowane z rana, bo od rana wiedział,
Że u wieczerzy będzie z mnóstwem gości siedział.

Pan Wojski poznał zdala, ręce roskrzyżował
I s krzykiem podróżnego sciskał i całował;
Zaczęła się ta prętka, zmieszana rozmowa,
W której lat kilku dzieje chciano zamknąć w słowa
Krótkie i poplątane, w ciąg powieści, pytań,
Wykrzykników i westchnień i nowych powitań.
Gdy się Pan Wojski dosyć napytał, nabadał,
Na samym końcu dzieje tego dnia powiadał.

« Dobrze mój Tadeuszu, » (bo tak nazywano
Młodzieńca, który nosił Kościuszkowskie miano
Na pamiątkę, że w czasie wojny się urodził,)
« Dobrze mój Tadeuszu, żeś się dziś nagodził
Do domu, właśnie kiedy mamy panien wiele.
Stryjaszek myśli wkrótce sprawić ci wesele;
Jest s czego wybrać; u nas towarzystwo liczne
Od dni kilku zbiera się na sądy graniczne,

Dla skończenia dawnego s Panem Hrabią sporu,
I Pan Hrabia ma jutro sam zjechać do dworu;
Podkomorzy już zjechał z żoną i s córkami.
Młodzież poszła do lasu bawić się strzelbami,
A starzy i kobiety żniwo oglądają
Pod lasem, i tam pewnie na młodzież czekają.
Pójdziemy jeśli zechcesz, i wkrótce spotkamy
Stryjaszka, Podkomorstwo i szanowne damy.»

Pan Wojski s Tadeuszem idą pod las drogą
I jeszcze się dowoli nagadać niemogą.
Słońce ostatnich kresów nieba dochodziło,
Mniéj silnie ale szerzéj niż we dnie świeciło,
Całe zaczerwienione, jak zdrowe oblicze
Gospodarza, gdy prace skończywszy rolnicze
Na spoczynek powraca: już krąg promienisty
Spuszcza się na wierzch boru, i już pomrok mglisty
Napełniając wierzchołki i gałęzie drzewa,
Cały las wiąże w jedno i jakoby zlewa;
I bór czernił się nakształt ogromnego gmachu,
Słońce nad niém czerwone jak pożar na dachu;
Wtém zapadło do głębi; jeszcze przez konary

Błysnęło, jako świeca przez okienic szpary,
I zgasło. I wnet sierpy gromadnie dzwoniące
We zbożach, i grabliska suwane po łące,
Ucichły i stanęły : tak Pan Sędzia każe,
U niego ze dniem kończą pracę gospodarze.
« Pan świata wié jak długo pracować potrzeba;
« Słońce Jego robotnik kiedy znidzie z nieba,
« Czas i ziemianinowi ustępować s pola. »
Tak zwykł mawiać Pan Sędzia; a Sędziego wola
Była Ekonomowi poczciwemu świętą,
Bo nawet wozy, w które już składać zaczęto
Kopę żyta, niepełne jadą do stodoły;
Cieszą się z niezwyczajnéj ich lekkości woły.

Właśnie z lasu wracało towarzystwo całe,
Wesoło lecz w porządku; naprzód dzieci małe
Z dozorcą, potem Sędzia szedł s Podkomorzyną,
Obok pan Podkomorzy otoczon rodziną;
Panny tuż za starszemi, a młodzież na boku;
Panny szły przed młodzieżą o jakie pół kroku,
(Tak każe przyzwoitość) nikt tam nie rosprawiał
O porządku, nikt męszczyzn i dam nie ustawiał,

A każdy mimowolnie porządku pilnował.
Bo Sędzia w domu dawne obyczaje chował,
I nigdy nie dozwalał, by chybiano względu
Dla wieku, urodzenia, rozumu, urzędu ;
Tym ładem, mawiał, domy i narody słyną,
Z jego upadkiem domy i narody giną.
Więc do porządku wykli domowi i słudzy ;
I przyjezdny gość, krewny albo człowiek cudzy
Gdy Sędziego nawiedził, skoro pobył mało,
Przejmował zwyczaj, którym wszystko oddychało.

Krótkie były Sędziego s synowcem witania,
Dał mu poważnie rękę do pocałowania
I w skroń ucałowawszy uprzejmie pozdrowił;
A choć przez wzgląd na gości niewiele z nim mówił,
Widać było z łez, które wylotem kontusza
Otarł prędko, jak kochał Pana Tadeusza.

W ślad gospodarza wszystko ze żniwa i z boru
I z łąk i s pastwisk razem wracało do dworu.
Tu owiec trzoda becząc w ulice się tłoczy
I wznosi chmurę pyłu ; dalej zwolna kroczy

Stado cielic tyrolskich z mosiężnemi dzwonki.
Tam konie rżące lecą ze skoszonéj łąki;
Wszystko bieży ku studni, któréj ramie z drzewa
Raz wraz skrzypi i napój w koryta rozlewa.

Sędzia choć utrudzony, chociaż w gronie gości,
Nie chybił gospodarskiéj, ważnéj powinności,
Udał się sam ku studni; najlepiéj z wieczora
Gospodarz widzi w jakim stanie jest obora,
Dozoru tego nigdy sługom nie poruczy,
Bo Sędzia wié że oko pańskie konia tuczy.

Wojski z Woźnym Protazym ze świecami w sieni
Stali i rozprawiali nieco poróżnieni,
Bo w niebytność Wojskiego Woźny pokryjomu
Kazał stoły z wieczerzą powynosić z domu,
I ustawić co prędzéj w pośrodku zamczyska,
Którego widne były pod lasem zwaliska.
Po cóż te przenosiny? Pan Wojski się krzywił
I przepraszał Sędziego; Sędzia się zadziwił,
Lecz stało się; już późno i trudno zaradzić,
Wolał gości przeprosić i w pustki prowadzić.

Po drodze Woźny ciągle Sędziemu tłumaczył,
Dla czego urządzenie pańskie przeinaczył;
We dworze żadna izba nie ma obszerności
Dostatecznéj dla tylu, tak szanownych gości,
W zamku sień wielka jeszcze dobrze zachowana,
Sklepienie całe — wprawdzie pękła jedna ściana,
Okna bez szyb, lecz latem nic to nie zawadzi;
Bliskość piwnic wygodna służącéj czeladzi.
Tak mówiąc, na Sędziego mrugał; widać z miny,
Że miał i taił inne ważniejsze przyczyny.

O dwa tysiące kroków zamek stał za domem,
Okazały budową, poważny ogromem,
Dziedzictwo starożytnéj rodziny Horeszków;
Dziedzic zginął był w czasie krajowych zamieszków.
Dobra całe zniszczone sekwestrami rządu,
Bezładnością opieki, wyrokami sądu,
W cząstce spadły dalekim krewnym po kądzieli,
A resztę rozdzielono między wierzycieli.
Zamku żaden wziąść nie chciał, bo w szlacheckim stanie
Trudno było wyłożyć koszt na utrzymanie;
Lecz Hrabia sąsiad bliski, gdy wyszedł z opieki,

Panicz bogaty, krewny Horeszków daleki,
Przyjechawszy z wojażu upodobał mury
Tłumacząc, że gotyckiéj są architektury;
Choć Sędzia z dokumentów przekonywał o tém,
Że Architekt był majstrem z Wilna nie zaś Gotem.
Dość że Hrabia chciał zamku, właśnie i Sędziemu
Przyszła nagle taż chętka, nie wiadomo czemu.
Zaczęli proces w ziemstwie, potém w głównym sądzie,
W senacie, znowu w ziemstwie i w guberskim rządzie;
Wreszcie po wielu kosztach, i ukazach licznych,
Sprawa wróciła znowu do sądów granicznych.

Słusznie Woźny powiadał że w zamkowéj sieni
Zmieści się i palestra i goście proszeni.
Sień wielka jak refektarz, z wypukłém sklepieniem
Na filarach, podłoga wysłana kamieniem,
Ściany bez żadnych ozdób, ale mur chędogi;
Sterczały wkoło sarnie i jelenie rogi
Z napisami: gdzie, kiedy te łupy zdobyte;
Tuż myśliwców herbowne klejnoty wyryte,
I stoi wypisany każdy po imieniu;
Herb Horeszków Półkozic jaśniał na sklepieniu.

Goście weszli w porządku i stanęli kołem;
Podkomorzy najwyższe brał miejsce za stołem;
Z wieku mu i z urzędu ten zaszczyt należy,
Idąc kłaniał się damom, starcom i młodzieży.
Przy nim stał kwestarz, Sędzia tuż przy Bernardynie.
Bernardyn zmówił krótki pacierz po łacinie,
Męszczyznom dano wódkę; wtenczas wszyscy siedli,
I chołodziec litewski milcząc żwawo jedli.

Pan Tadeusz choć młodzik, ale prawem gościa,
Wysoko siadł przy damach obok Jegomościa;
Między nim i stryjaszkiem jedno pozostało
Puste miejsce, jak gdyby na kogoś czekało.
Stryj nie raz na to miejsce i na drzwi poglądał,
Jakby czyjegoś przyjścia był pewny i żądał.
I Tadeusz wzrok stryja ku drzwiom odprowadzał,
I z nim na miejscu pustém oczy swe osadzał.
Dziwna rzecz! miejsca w koło są siedzeniem dziewic,
Na które mógłby spojrzeć bez wstydu królewic,
Wszystkie zacnie zrodzone, każda młoda, ładna;
Tadeusz tam pogląda, gdzie nie siedzi żadna.
To miejsce jest zagadką, młodź lubi zagadki;

Rostargniony, do swojéj nadobnéj sąsiadki
Ledwo słów kilka wyrzekł do Podkomorzanki,
Nie zmienia jéj talerzów, nie nalewa szklanki,
I panien nie zabawia przez rozmowy grzeczne,
S którychby wychowanie poznano stołeczne;
To jedno puste miejsce nęci go i mami,
Już niepuste, bo on je napełnił myślami.
Po tém miejscu biegało domysłów tysiące,
Jako po deszczu żabki po samotnéj łące;
Śród nich jedna królóje postać, jak w pogodę
Lilia jezior skroń białą wznosząca nad wodę.

Dano trzecią potrawę. W tém pan Podkomorzy,
Wlawszy kropelkę wina w szklankę panny Róży,
A młodszéj przysunąwszy s talerzem ogórki,
Rzekł: « Muszę ja wam służyć, moje panny córki,
Choć stary i niezgrabny. » Zatém się rzuciło
Kilku młodych od stołu i pannom służyło.
Sędzia z boku rzuciwszy wzrok na Tadeusza
I poprawiwszy nieco wylotów kontusza,
Nalał węgrzyna i rzekł: « Dziś nowym zwyczajem,
My na naukę młodzież do stolicy dajem,

I nic przeczym, że nasi synowie i wnuki
Mają od starych więcej książkowéj nauki,
Ale co dzień postrzegam jak młodź cierpi na tém,
Że nie ma szkół uczących żyć z ludźmi i światem;
Dawniej na dwory pańskie jachał szlachcic młody,
Ja sam lat dziesięć byłem dworskim Wojewody
Ojca Podkomorzego, Mościwego Pana,
(Mówiąc Podkomorzemu ścisnął za kolana);
On mnie radą do usług publicznych sposobił,
Z opieki nie wypuścił aż człowiekiem zrobił.
W mym domu wiecznie będzie jego pamięć droga,
Co dzień za duszę jego proszę Pana Boga.
Jeżlim tyle na jego nie korzystał dworze
Jak drudzy, i wróciwszy w domu ziemię orzę,
Gdy inni więcéj godni Wojewody względów
Doszli potém najwyższych krajowych urzędów,
Przynajmniéj tom skorzystał, że mi w moim domu
Nikt nigdy nie zarzuci, bym uchybił komu,
W uczciwości, w grzeczności; a ja powiem śmiało,
Grzeczność nie jest nauką łatwą ani małą.
Niełatwą, bo nie na tém kończy się, jak nogą
Zręcznie wierzgnąć, z uśmiechem witać lada kogo;

Bo taka grzeczność modna, zda mi się kupiecka
Ale nie staropolska, ani też szlachecka.
Grzeczność wszystkim należy, lecz każdemu inna;
Bo nie jest bez grzeczności i miłość dziecinna,
I względ męża dla żony przy ludziach, i Pana
Dla sług swoich, a w każdéj jest pewna odmiana.
Trzeba się długo uczyć, ażeby nie zbłądzić
I każdemu powinną uczciwość wyrządzić.
I starzy się uczyli; u Panów rozmowa,
Była to historja żyjąca krajowa,
A między szlachtą dzieje domowe powiatu:
Dawano przez to poznać szlachcicowi bratu,
Że wszyscy o nim wiedzą, lekce go nie ważą;
Więc szlachcic obyczaje swe trzymał pod strażą.
Dziś człowieka nie pytaj: co zacz? kto go rodzi?
S kim on żył, co porabiał? każdy gdzie chce wchodzi,
Byle nie szpieg rządowy, i byle nie w nędzy.
Jak ów Wespazjanus nie wąchał pieniędzy,
I nie chciał wiedzieć skąd są, z jakich rąk i krajów;
Tak nie chcą znać człowieka rodu, obyczajów!
Dość że ważny i że się stępel na nim widzi,
Więc szanują przyjaciół jak pieniądze żydzi. »

To mówiąc, Sędzia gości obejrzał porządkiem ;
Bo choć zawsze i płynnie mówił i z rozsądkiem,
Wiedział, że niecierpliwa młodzież teraźniejsza,
Że ją nudzi rzecz długa choć najwymowniejsza.
Ale wszyscy słuchali w milczeniu głębokiém ;
Sędzia Podkomorzego zdał się radzić okiem,
Podkomorzy pochwałą rzeczy nie przerywał,
Ale częstém skinieniem głowy potakiwał.
Sędzia milczał, on jeszcze skinieniem przyzwalał ;
Więc Sędzia jego puhar i swój kielich nalał,
I dalej mówił : « Grzeczność nie jest rzeczą małą :
Kiedy się człowiek uczy ważyć, jak przystało,
Drugich wiek, urodzenie, cnoty, obyczaje,
Wtenczas i swoją ważność zarazem poznaje :
Jak na szalach żebyśmy nasz ciężar poznali,
Musim kogoś posadzić na przeciwnej szali.
Zaś godna jest Waszmościów uwagi osobnéj
Grzeczność, ktorą powinna młodź dla płci nadobnej ;
Zwłaszcza gdy zacność domu, fortuny szczodroty,
Objaśniają wrodzone wdzięki i przymioty.
Stąd droga do affektów i stąd się kojarzy
Wspaniały domów sojusz — tak myślili starzy.

A zatém » — Tu Pan Sędzia nagłym zwrotem głowy
Skinął na Tadeusza, rzucił wzrok surowy,
Znać było że przychodził już do wniosków mowy.

W tém brząknął w tabakierę złotą Podkomorzy,
I rzekł : » Mój Sędzio, dawniéj było jeszcze gorzéj!
Teraz niewiém czy moda i nas starych zmienia,
Czy młodzież lepsza, ale widzę mniéj zgorszenia.
Ach ja pamiętam czasy, kiedy do Ojczyzny
Pierwszy raz zawitała moda francuszczyzny!
Gdy raptem paniczyki młode s cudzych krajów
Wtargnęli do nas hordą gorszą od Nogajów,
Prześladując w Ojczyźnie Boga, przodków wiarę,
Prawa i obyczaje, nawet suknie stare.
Żałośnie było widzieć wyżółkłych młokosów,
Gadających przez nosy, a często bez nosów,
Opatrzonych w broszurki i w różne gazety,
Głoszących nowe wiary, prawa, toalety.
Miała nad umysłami wielką moc ta tłuszcza;
Bo Pan Bóg kiedy karę na naród przepuszcza,
Odbiéra naprzód rozum od Obywateli.
I tak, mędrsi firсykom oprzéć się nie śmieli,

I zląkł ich się jak dżumy jakiéj cały naród,
Bo już sam wewnątrz siebie czuł choroby zaród;
Krzyczano na modnisiów, a brano z nich wzory;
Zmieniano wiarę, mowę, prawa i ubiory.
Była to maszkarada, zapustna swawola,
Po któréj miał przyjść wkrótce wielki post—niewola!

« Pamiętam, chociaż byłem wtenczas małe dziécię,
Kiedy do ojca mego w Oszmiańskim powiecie,
Przyjechał Pan Podczaszyc na francuskim wózku,
Pierwszy człowiek, co w Litwie chodził po francusku.
Biegali wszyscy za nim jakby za rarogiem,
Zazdroszczono domowi, przed którego progiem
Stanęła Podczaszyca dwókolna dryndulka,
Która się po francusku zwała karjulka.
Zamiast lokajów w kielni siedziały dwa pieski,
A na kozłach niemczysko chude nakształt deski;
Nogi miał długie, cienkie, jak od chmielu tyki,
W pończochach, ze srebrnemi klamrami trzewiki,
Peruka z harbajtelem zawiązanym w miechu.
Starzy na on ekwipaż parskali ze śmiechu,
A chłopi żegnali się, mowiąc: że po świecie

Jeździ wenecki djabeł w niemieckiéj karecie
Sam Podczaszyc jaki był opisywać długo,
Dosyć że się nam zdawał małpą lub papugą
W wielkiéj peruce, którą do złotego runa
On lubił porównywać, a my do kołtuna.
Jeśli kto i czuł wtenczas, że polskie ubranie
Piękniejsze jest niż obcéj mody małpowanie,
Milczał; bo by krzyczała młodzież, że przeszkadza
Kulturze, że tamuje progressy, że zdradza!
Taka była przesądów owoczesnych władza!

« Podczaszyc zapowiedział że nas reformować,
Cywilizować będzie i konstytuować;
Ogłosił nam, że jacyś francuzi wymowni
Zrobili wynalazek: iż ludzie są rowni.
Choć o tém dawno w Pańskim pisano zakonie,
I każdy ksiądz toż samo gada na ambonie.
Nauka dawną była, szło o jéj pełnienie!
Lecz wtenczas panowało takie oślepienie,
Że nie wierzono rzeczom najdawniejszym w świecie,
Jeśli ich nie czytano w francuskiéj gazecie.
Podczaszyc mimo równość wziął tytuł Markiza;

Wiadomo że tytuły przychodzą s Paryża,
A natenczas tam w modzie był tytuł Markiża.
Jakoż kiedy się moda odmieniła z laty,
Tenże sam Markiż przybrał tytuł Demokraty;
Wreszcie z odmienną modą, pod Napoleonem,
Demokrata przyjechał s Paryża Baronem;
Gdyby żył dłużéj, może nową alternatą,
Z Barona przechrzciłby się kiedyś Demokratą.
Bo Paryż częstą mody odmianą się chlubi,
A co Francuz wymyśli, to Polak polubi.

« Chwała Bogu, że teraz jeśli nasza młodzież
Wyjeżdża za granicę, to już nie po odzież,
Nie szukać prawodastwa w drukarskich kramarniach,
Lub wymowy uczyć się w paryskich kawiarniach.
Bo teraz Napoleon, człek mądry a prędki,
Nie daje czasu szukać mody i gawędki.
Teraz grzmi oręż, a nam starym serca rosną,
Że znowu o Polakach tak na świecie głośno;
Jest sława, a więc będzie i Rzeczpospolita!
Zawdy z wawrzynów drzewo wolności wykwita.
Tylko smutno, że nam ach! tak się lata wleką

W nieczynności! a oni tak zawsze daleko!
Tak długo czekać! nawet tak rzadka nowina —
Ojcze Robaku (ciszéj rzekł do Bernardyna)
Słyszałem, żeś z za Niemna odebrał wiadomość;
Może téż co o naszém wojsku wié Jegomość? »
— « Nic a nic » odpowiedział Robak obojętnie,
(Widać było że słuchał rozmowy niechętnie)
Mnie polityka nudzi; jeżeli z Warszawy
Mam list, to rzecz zakonna, to są nasze sprawy
Bernardyńskie, cóż o tém gadać u wieczerzy;
Są tu świeccy do których nic to nie należy. »

Tak mowiąc, spojrzał zyzem, gdzie śród biesiadników
Siedział gość Moskal; był to pan kapitan Ryków,
Stary żołnierz, stał w bliskiéj wiosce na kwaterze,
Pan Sędzia go przez grzeczność prosił na wieczerzę.
Rykow jadł smaczno, mało wdawał się w rozmowę,
Lecz na wzmiankę Warszawy, rzekł podniosłszy głowę:
« Pan Podkomorzy! Oj Wy! Pan zawsze ciekawy
O Bonaparta, zawsze Wam tam do Warszawy!
He! Ojczyzna! Ja nie szpieg, a popolsku umiem, —
Ojczyzna! ja to czuję wszystko, ja rozumiem!

Wy Polaki, ja Ruski, teraz się nie bijem,
Jest armistycjum, to my razem jemy, pijem,
Często na awanpostach nasz s francuzem gada,
Pije wódkę ; jak krzykną ura ! — kanonada.
Ruskie przysłowie : s kim się biję, tego lubię ;
Gładź drużkę jak po duszy, a bij jak po szubie,
Ja mówię, będzie wojna u nas. Do Majora
Płuta Adjutant Sztabu przyjechał zawczora:
Gotować się do marszu ! Pójdziem, czy pod Turka,
Czy na Francuza ; oj ten Bonapart figurka !
Bez Suwarowa to on może nas wytuza.
U nas w pułku gadano, jak szli na francuza,
Że Bonapart czarował, no, tak i Suwarów
Czarował ; tak i były czary przeciw czarów.
Raz w bitwie, gdzie podział się? szukać Bonaparta, —
A on zmienił się w lisa, tak Suwarów w charta,
Tak Bonaparte znowu w kota się przerzuca,
Dalej drzéć pazurami, a Suwarów w kuca.
Obaczcież co się stało w końcu z Bonapartą » —
Tu Ryków przerwał i jadł ; wtém s potrawą czwartą
Wszedł służący, i raptem boczne drzwi otwarto.

Weszła nowa osoba przystojna i młoda;
Jéj zjawienie się nagłe, jéj wzrost i uroda,
Jéj ubior, zwrócił oczy, wszyscy ją witali,
Prócz Tadeusza widać że ją wszyscy znali.
Kibić miała wysmukłą, kształtną, pierś powabną,
Suknię materjalną różową jedwabną,
Gors wycięty, kołnierzyk s korónek; rękawki
Krótkie, w ręku kręciła wachlarz dla zabawki
(Bo nie było gorąca), wachlarz pozłocisty
Powiewając rozlewał deszcz iskier rzęsisty.
Głowa do włosów, włosy pozwijane w kręgi,
W pukle, i przeplatane różowemi wstęgi,
Pośród nich brylant, niby zakryty od oczu,
Świecił się jako gwiazda w komety warkoczu,
Słowem ubior galowy; szeptali nie jedni,
Że zbyt wykwintny na wieś i na dzień powszedni.
Nóżek, choć suknia krótka, oko nie zobaczy,
Bo biegła bardzo szybko, suwała się raczéy
Jako osobki, które na trzykrólskie święta
Przesuwają w jasełkach ukryte chłopięta.
Biegła i wszystkich lekkim witając ukłonem,
Chciała usieść na miejscu sobie zostawioném.

Trudno było; bo krzeseł dla gości nie stało,
Na czterech ławach cztery ich rzędy siedziało,
Trzeba było rząd ruszyć lub ławę przeskoczyć;
Zręcznie między dwie ławy umiała się wtłoczyć,
A potém między rzędem siedzących i stołem,
Jak bilardowa kula toczyła się kołem,
W biegu dotknęła blisko naszego młodziana;
Uczepiwszy falbaną o czyjeś kolana
Pośliznęła się nieco, i wtém roztargnieniu
Na pana Tadeusza wsparła się ramieniu.
Przeprosiwszy go grzecznie, na miejscu swém siadła
Pomiędzy nim i stryjem, ale nic nie jadła;
Tylko się wachlowała, to wachlarza trzonek
Kręciła, to kołnierzyk z brabanckich koronek
Poprawiała, to lekkiém dotknieniem się ręki
Muskała włosów pukle i wstąg jasnych pęki.

Ta przerwa rozmów trwała już minut ze cztery.
Tymczasem, w końcu stoła naprzód ciche szmery,
A potém się zaczęły wpółgłośne rozmowy;
Męszczyźni rozsądzali swe dzisiejsze łowy.
Assesora z Rejentem wzmogła się uparta,

Coraz głośniejsza kłótnia o kusego charta,
Którego posiadaniem pan Rejent się szczycił
I utrzymywał, że on zająca pochwycił;
Assesor zaś dowodził na złość Rejentowi,
Że ta chwała należy chartu Sokołowi.
Pytano zdania innych; więc wszyscy dokoła
Brali stronę Kusego albo też Sokoła,
Ci jak znawcy, ci znowu jak naoczne świadki.
Sędzia na drugim końcu do nowéj sąsiadki
Rzekł półgłosem: przepraszam, musieliśmy siadać,
Niepodobna wieczerzy na późniéj odkładać,
Goście głodni, chodz [illegible] ieko na pole,
Myślałem że dziś [illegible] ędziesz przy stole.
To rzekłszy, s [illegible] przy pełnym kielichu
O politycznych [illegible] nawiał po cichu.

Gdy tak były [illegible] rony obie,
Tadeusz przy [illegible] nieznanéj osobie;
Przypomniał z [illegible] pierwszem na miejsce wejrzeniem
Odgadnął zaraz, czyjém miało być siedzeniem.
Rumienił się, serce mu biło nadzwyczajnie;
Więc rozwiązane widział swych domysłów tajnie!

Więc było przeznaczono, by przy jego boku
Usiadła owa piękność widziana w pomroku;
Wprawdzie zdała się teraz wzrostem dorodniejsza,
Bo ubrana, a ubior powiększa i zmniejsza.
I włos u tamtéj widział krótki, jasnozłoty,
A u téj krucze długie zwijały się sploty?
Kolor musiał pochodzić od słońca promieni
Któremi przy zachodzie wszystko się czerwieni.
Twarzy w ów czas niedostrzegł, nazbyt rychło znikła,
Ale myśl twarz nadobną odgadywać zwykła;
Myślił że pewnie miała czarniutkie oczęta,
Białą twarz, usta kraśne jak [illegible]ie bliźnięta;
U téj znalazł podobne oczy [illegible] lica;
W wieku możeby była najw[illegible] różnica:
Ogrodniczka dziewczynką z[illegible] się małą,
A Pani ta niewiastą już w lat [illegible]jrzałą;
Lecz młodzież o piękności m[illegible] niepyta,
Bo młodzieńcowi młodą jest każ[illegible] kobieta,
Chłopcowi każda piękność zda się rowiennicą,
A niewinnemu każda kochanka dziewicą.

Tadeusz chociaż liczył lat blisko dwadzieście,

I od dzieciństwa mieszkał w Wilnie, wielkiém mieście;
Miał za dozorcę księdza który go pilnował
I w dawnéj surowości prawidłach wychował.
Tadeusz zatém przywiózł w strony swe rodzinne
Duszę czystą, myśl żywą i serce niewinne;
Ale razem nie małą chętkę do swywoli.
Z góry już robił projekt, że sobie pozwoli
Używać na wsi, długo wzbronionéj swobody;
Wiedział, że był przystojny, czuł się rześki, młody;
A w spadku po rodzicach wziął czerstwość i zdrowie.
Nazywał się Soplica; wszyscy Soplicowie
Są jak wiadomo krzepc[illegible]yli i silni,
Do żołnierki jedyni, [illegible]ach mniéj pilni.

Tadeusz się od przodk[illegible]oich nieodrodził,
Dobrze na koniu jeździł, [illegible]ieszo dzielnie chodził,
Tępy niebył, lecz mało w naukach postąpił,
Choć stryj na wychowanie niczego nieskąpił.
On wolał z flinty strzelać, albo szablą robić;
Wiedział że go myślano do wojska sposobić,
Że Ojciec w testamencie wyrzekł taką wolę;
Ustawicznie do bębna tęsknił siedząc w szkole.

Ale stryj nagle pierwsze zamiary odmienił,
Kazał aby przyjechał i aby się żenił,
I objął gospodarstwo ; przyrzekł na początek
Dać małą wieś, a potém, cały swój majątek.

Te wszystkie Tadeusza cnoty i zalety
Sciągnęły wzrok sąsiadki, uważnéj kobiety.
Zmierzyła jego postać kształtną i wysoką,
Jego ramiona silne, jego piers szeroką,
I w twarz spójrzała, s któréj wytryskał rumieniec,
Ilekroć z jéj oczyma spotkał się młodzieniec :
Bo s pierwszéj lękliwości całkiem już ochłonął,
I patrzył wzrokiem śmiałym w którym ogień płonął,
Również patrzyła ona, i cztery źrenice
Gorzały przeciw sobie jak roratne świéce.

Pierwsza z nim po francusku zaczęła rozmowę ;
Wracał z miasta, ze szkoły ; więc o książki nowe,
O autorów pytała Tadeusza zdania,
I ze zdań wyciągała na nowo pytania ;
Cóż gdy potém zaczęła mówić o malarstwie,
O muzyce, o tańcach, nawet o rzeźbiarstwie !

Dowiodła że zna równie pędzel, noty, druki;
Aż osłupiał Tadeusz na tyle nauki,
Lękał się, by niezostał pośmiewiska celem,
I jąkał się jak żaczek przed nauczycielem.
Szczęściem, że nauczyciel ładny i niesrogi :
Odgadnęła sąsiadka powod jego trwogi,
Wszczęła rzecz o mniej trudnych i mądrych przedmiotach,
O wiejskiego pożycia nudach i kłopotach,
I jak bawić się trzeba, i jak czas podzielić,
By życie uprzyjemnić i wieś rozweselić.
Tadeusz odpowiadał śmielej, szła rzecz dalej,
W półgodziny iuż byli s sobą poufali ;
Zaczęli nawet małe żarciki i sprzeczki.
W końcu, stawiła przed nim trzy s chleba gałeczki,
Trzy osoby na wybor ; wziął najbliższą sobie;
Podkomorzanki na to zmarszczyły się obie,
Sąsiadka zaśmiała się, lecz niepowiedziała
Kogo owa szczęśliwsza gałka oznaczała.

Inaczej bawiono się w drugim końcu stoła,
Bo tam wzmogłszy się nagle stronnicy Sokoła,
Na partyę Kusego bez litości wsiedli :

Spór był wielki, już potraw ostatnich niejedli.
Stojąc i pijąc obie kłóciły się strony,
A najstraszniej Pan Rejent był zacietrzewiony,
Jak raz zaczął, bez przerwy rzecz swoję tokował
I gestami ją bardzo dobitnie malował.
(Był dawniej adwokatem Pan Rejent Bolesta,
Zwano go kaznodzieją, że zbyt lubił gesta.)
Teraz ręce przy boku miał, w tył wygiął łokcie,
S pod ramion wytknął palce i długie paznokcie,
Przedstawiając dwa smycze chartów tym obrazem,
Właśnie rzecz kończył. « Wyczha, puściliśmy razem
Ja i Assessor, razem, jakoby dwa kórki
Jednym palcem spuszczone u jednej dwórórki;
Wyczha, poszli, a zając jak strona, smyk w pole,
Psy tuż, (to mówiąc ręce ciągnął wzdłuż po stole
I palcami ruch chartów przedziwnie udawał)
Psy tuż, i hec od lasu odsadzili kawał;
Sokoł smyk naprzód, rączy pies, lecz zagorzalec,
Wysadził się przed Kusym, o tyle, o palec,
Wiedziałem że spudłuje; szarak gracz nielada,
Czchał niby prosto w pole, za nim psów gromada;
Gracz szarak! skoro poczuł wszystkie charty w kupie,

Pstręk na prawo, koziołka, z nim w prawo psy głupie,
A on znowu fajt w lewo, jak wytnie dwa susy,
Psy za nim fajt na lewo, on w las, a mój Kusy
Cap!!» Tak krzycząc Pan Rejent na stół pochylony,
S palcami swemi zabiegł aż do drugiej strony,
I « Cap! » Tadeuszowi wrzasnął tuż nad uchem;
Tadeusz i sąsiadka tym głosu wybuchem
Znienacka przestraszeni właśnie w pół rozmowy,
Odstrychnęli od siebie mimowolnie głowy:
Jako wierzchołki drzewa powiązane społem
Gdy je wicher rozerwie; i ręce pod stołem
Blisko siebie leżące wstecz nagle uciekły,
I dwie twarze w jeden się rumieniec oblekły.

Tadeusz by niezdradzić swego rostargnienia,
Prawda rzekł mój Rejencie, prawda, bez wątpienia
Kusy piękny chart s kształtu, jeśli równie chwytny...
Chwytny? krzyknął Pan Rejent, mój pies faworytny
Żeby niemiał być chwytny? Więc Tadeusz znowu
Cieszył się, że tak piękny pies niema narowu,
Żałował że go tylko widział idąc z lasu,
I że przymiotów jego poznać niemiał czasu.

Na to zadrżał Assessor, puścił z rąk kieliszek,
Utopił w Tadeusza wzrok jak bazyliszek.
Assessor mniéj krzykliwy i mniéj był ruchawy
Od Rejenta, szczuplejszy i mały s postawy,
Lecz straszny na reducie, balu i sejmiku,
Bo powiadano o nim, ma żądło w języku.
Tak dowcipne żarciki umiał komponować,
Iżby je w kalendarzu można wydrukować:
Wszystkie złośliwe, ostre. Dawniéj człek dostatni,
Schedę ojca swojego i majątek bratni,
Wszystko strwonił na wielkim figurując świecie;
Teraz wszedł w służbę rządu by znaczyć w powiecie.
Lubił bardzo myślistwo, już to dla zabawy,
Już to że odgłos trąbki i widok obławy,
Przypominał mu jego lata młodociane,
Kiedy miał strzelców licznych i psy zawołane;
Teraz mu s całéj psiarni dwa charty zostały,
I jeszcze s tych jednemu chciano przeczyć chwały.
Więc zbliżył się i zwolna gładząc faworyty,
Rzekł z uśmiechem, a był to uśmiech jadowity:
« Chart bez ogona jest jak szlachcic bez urzędu,
Ogon też znacznie chartom pomaga do pędu,

A Pan kusość uważasz za dowód dobroci?
Z resztą zdać się możemy na sąd Pańskiéj cioci.
Choć Pani Telimena mieszkała w stolicy
I bawi się niedawno w naszéj okolicy,
Lepiéj zna się na łowach niż myśliwi młodzi:
Tak to nauka sama z latami przychodzi. »

Tadeusz na którego niespodzianie spadał
Grom taki, wstał zmieszany, chwilę nic niegadał,
Lecz patrzył na rywala coraz straszniéj, srożéj...
W tém wielkiém szczęściem dwakroć kichnął Podkomorzy,
« Wiwat » krzyknęli wszyscy; on się wszystkim skłonił,
I zwolna w tabakierę palcami zadzwonił:
Tabakiera ze złota, z brylantów oprawa,
A wśrodku jéj był portret króla Stanisława.
Ojcu Podkomorzego sam król ją darował,
Po ojcu Podkomorzy godnie ją piastował,
Gdy w nię dzwonił, znak dawał, że miał głos zabierać;
Umilkli wszyscy i ust nieśmieli otwierać.
On rzekł: » Wielmożni Szlachta Bracia Dobrodzieje,
Forum myśliwskiém tylko są łąki i knieje,
Więc ja w domu podobnych spraw nie decyduję,

I posiedzenie nasze na jutro solwuję.
I dalszych replik stronom dzisiaj nie dozwolę;
Woźny! odwołaj sprawę, na jutro na pole,
Jutro i Hrabia s całém myśliwstwem tu zjedzie,
I Waszeć z nami ruszysz Sędzio mój sąsiedzie,
I Pani Telimena i Panny i Panie,
Słowem zrobim na urząd wielkie polowanie;
I Wojski towarzystwa nam też nie odmówi. »
To mówiąc tabakierę podawał starcowi.

Wojski na ostrym końcu śród myśliwych siedział,
Słuchał zmrużywszy oczy, słowa nie powiedział,
Choć młodzież nieraz jego zasięgała zdania,
Bo nikt lepiej nad niego nie znał polowania.
On milczał, szczyptę wziętą s tabakiery ważył
W palcach, i długo dumał nim ją w końcu zażył,
Kichnął aż cała izba rozległa się echem,
I potrząsając głową rzekł z gorzkim uśmiechem:
« O jak mnie to starego i smuci i dziwi!
Cóżbyto o tém starzy mówili myśliwi?
Widząc że w tylu szlachty, w tylu panów gronie,
Mają sądzić się spory o charcim ogonie;

Cóżby rzekł na to stary Rejtan gdyby ożył?
Wróciłby do Lachowicz i w grób się położył!
Coby rzekł wojewoda Niesiołowski stary,
Który ma dotąd pierwsze na świecie ogary,
I dwiestu strzelców trzyma obyczajem pańskim,
I ma sto wozów sieci w zamku Worończańskim,
A od tylu lat siedzi jak mnich na swym dworze,
Nikt go na polowanie uprosić nie może,
Białopiotrowiczowi samemu odmówił!
Bo cóżby on na waszych polowaniach łowił?
Piękna byłaby sława! ażeby pan taki
Wedle dzisiejszéj mody jeździł na szaraki.
Za moich panie czasów, w języku strzeleckim,
Dzik, niedźwiedź, łoś, wilk, zwany był zwierzem szlacheckim,
A zwierze niemające kłów, rogów, pazurów,
Zostawiano dla płatnych sług i dworskich ciurów;
Żaden pan nigdy przyjąć nie chciałby do ręki
Strzelby, którą zhańbiono sypiąc w nią śrót cienki!
Trzymano wprawdzie chartów, bo z łowów wracając,
Trafia się że spod konia mknie się biedak zając,
Puszczano wtenczas za nim dla zabawki smycze,
I na konikach małe goniły panicze

Przed oczyma rodziców, którzy te pogonie
Ledwie raczyli widzieć, cóż kłócić się o nie!
Więc niech Jaśnie Wielmożny Podkomorzy raczy
Odwołać swe roskazy, i niech mi wybaczy
Że nie mogę na takie jechać polowanie,
I nigdy na niém noga moja nie postanie!
Nazywam się Hreczecha, a od króla Lecha,
Żaden za zającami nie jeździł Hreczecha. »

Tu śmiech młodzieży mowę Wojskiego zagłuszył,
Wstano od stołu; pierwszy Podkomorzy ruszył,
Z wieku mu i z urzędu ten zaszczyt należy,
Idąc kłaniał się damom, starcom i młodzieży;
Za nim szedł kwestarz, Sędzia tuż przy Bernardynie,
Sędzia u progu rękę dał Podkomorzynie,
Tadeusz Telimenie, Assessor Krajczance,
A pan Rejent na końcu Wojskiéj Hreczeszance.

Tadeusz s kilku gośćmi poszedł do stodoły,
A czuł się pomięszany, zły i niewesoły,
Rozbierał myślą wszystkie dzisiejsze wypadki,
Spotkanie się, wieczerzę przy boku sąsiadki,

A szczególniej mu słowo « Ciocia », koło ucha
Brzęczało ciągle jako naprzykrzona mucha,
Pragnąłby u Woźnego lepiej się wypytać
O Pani Telimenie, lecz go niemógł schwytać;
Wojskiego też niewidział, bo zaraz z wieczerzy
Wszyscy poszli za gośćmi jak sługom należy,
Urządzając we dworze izby do spoczynku.
Starsi i damy spały we dworskim budynku,
Młodzież Tadeuszowi prowadzić kazano
W zastępstwie gospodarza, w stodołę na siano.

W półgodziny tak było głucho w całym dworze
Jako po zadzwonieniu na pacierz w klasztorze;
Ciszę przerywał tylko głos nocnego stróża.
Usnęli wszyscy. Sędzia sam oczu niezmruża,
Jako wódz gospodarstwa, obmyśla wyprawę
W pole, i w domu przyszłą urządza zabawę.
Dał roskaz ekonomom, wójtom i gumiennym,
Pisarzom, ochmistrzyni, strzelcom i stajennym,
I musiał wszystkie dzienne rachunki przezierać,
Nareszcie rzekł Woźnemu, że się chce rozbierać.
Woźny pas mu odwiązał, pas Słucki, pas lity,

Przy którym świecą gęste kutasy jak kity,
Z jednej strony złotogłów w purpurowe kwiaty,
Na wywrót jedwab czarny posrebrzany w kraty;
Pas taki można równie kłaść na strony obie,
Złotą na dzień galowy, a czarną w żałobie.
Sam Woźny umiał pas ten odwiązywać, składać;
Właśnie tém się zatrudniał i kończył tak gadać:

« Cóż złego że przeniosłem stoły do zamczyska,
Nikt na tém nie niestracił, a Pan może zyska,
Bo przecież o ten zamek dziś toczy się sprawa.
My od dzisiaj do zamku nabyliśmy prawa,
I mimo całą strony przeciwnéj zajadłość,
Dowiodę że zamczysko wzięliśmy w posiadłość.
Wszakże kto gości prosi w zamek na wieczerzę,
Dowodzi że posiadłość tam ma albo bierze,
Nawet strony przeciwne weźmiemy na świadki:
Pamiętam za mych czasów podobne wypadki. »

Już Sędzia spał. Więc Woźny cicho wszedł do sieni,
Siadł przy świecy i dobył książeczkę s kieszeni,
Która mu jak Ołtarzyk Złoty zawsze służy,

Któréj nigdy nie rzuca w domu i w podróży.
Była to trybunalska wokanda: tam rzędem
Stały spisane sprawy, które przed urzędem
Woźny sam głosem swoim przed laty wywołał,
Albo o których poźniéj dowiedzieć się zdołał.
Prostym ludziom wokanda zda się imion spisem,
Woźnemu jest obrazów wspaniałych zarysem.
Czytał więc i rozmyślał: Ogiński z Wizgirdem,
Dominikanie z Rymszą, Rymsza z Wysogierdem,
Radziwił z Wereszczaką, Giedrojć z Rodułtowskim,
Obuchowicz s kahałem, Juraha s Piotrowskim,
Maleski z Mickiewiczem, a nakoniec Hrabia
S Soplicą: i czytając, s tych imion wywabia
Pamięć spraw wielkich, wszystkie processu wypadki,
I stają mu przed oczy sąd, strony i świadki;
I ogląda sam siebie, jak w żupanie białym
W granatowym kontuszu stał przed trybunałem,
Jedna ręka na szabli, a drugą do stoła
Przywoławszy dwie strony, «Uciszcie się!» woła.
Marząc i kończąc pacierz wieczorny, pomału
Usnął ostatni w Litwie Woźny trybunału.

Takie były zabawy, spory w one lata
Śród cichéj wsi litewskiéj; kiedy reszta świata
We łzach i krwi tonęła, gdy ów mąż, bóg wojny
Otoczon chmurą pułków, tysiącem dział zbrojny,
Wprzągłszy w swój rydwan orły złote obok srebnych,
Od puszcz Libijskich latał do Alpów podniebnych,
Ciskając grom po gromie, w Piramidy, w Tabor,
W Marengo, w Ulm, w Austerlitz. Zwycięstwo i Zabor
Biegły przed nim i za nim. Sława czynów tylu,
Brzemienna imionami rycerzy, od Nilu
Szła hucząc ku północy, aż u Niemna brzegów
Odbiła się, jak od skał, od Moskwy szeregów,
Które broniły Litwę murami żelaza
Przed wieścią dla Rossyj straszną jak zaraza.

Przecież nieraz nowina, niby kamień z nieba
Spadała w Litwę; nieraz dziad żebrzący chleba,
Bez ręki lub nogi, przyjąwszy jałmużnę,
Stanął i oczy w koło obracał ostróżne.
Gdy niewidział we dworze rossyjskich żołnierzy,
Ani jarmułek, ani czerwonych kołnierzy,
Wtenczas kim był, wyznawał; był legionistą,

Przynosił kości stare na ziemię ojczystą,
Której już bronić niemógł — jak go wtenczas cała
Rodzina pańska, jak go czeladka ściskała
Zanosząc się od płaczu! on za stołem siadał,
I dziwniejsze od baśni historye gadał.
On opowiadał jako Jenerał Dąbrowski
Z ziemi Włoskiéj stara się przyciągnąć do Polski,
Jak on rodaków zbiera na Lombardskiém polu;
Jak Kniaziewicz roskazy daje s Kapitolu,
I zwycięsca, wydartych potomkom Cezarów
Rzucił w oczy Francuzów sto krwawych sztandarów;
Jak Jabłonowski zabiegł aż kędy pieprz rośnie,
Gdzie się cukier wytapia, i gdzie w wiecznéj wiośnie
Pachnące kwitną lasy; z legią Dunaju
Tam wódz murzyny gromi, a wzdycha do kraju.

Mowy starca krążyły we wsi pokryjomu;
Chłopiec co je posłyszał, znikał nagle z domu,
Lasami i bagnami skradał się tajemnie,
Scigany od Moskali, skakał kryć się w Niemnie
I nurkiem płynął na brzeg księstwa Warszawskiego,
Gdzie usłyszał głos miły « Witaj nam kollego! »

Lecz nim odszedł, wyskoczył na wzgórek s kamienia
I Moskalom przez Niemen rzekł : « do zobaczenia ».
Tak przekradł się Gorecki, Pac i Obuchowicz,
Piotrowki, Obolewki, Rożycki, Janowicz,
Mirzejewscy, Brochocki i Bernatowicze,
Kupść, Gedymin i inni których nie policzę ;
Opuszczali rodziców i ziemię kochaną,
I dobra, które na skarb Carski zabierano.

Czasem do Litwy kwestarz z obcego klasztoru
Przyszedł, i kiedy bliżej poznał Panów dworu,
Gazetę im pokazał wyprutą s szkaplerza ;
Tam stała wypisana i liczba żołnierza,
I nazwisko każdego wodza legionu,
I każdego z nich opis zwycięstwa, lub zgonu.
Po wielu latach, pierwszy raz miała rodzina
Wieść o życiu, o chwale i o śmierci syna ;
Brał dom żałobę, ale powiedzieć nie śmiano
Po kim była żałoba, tylko zgadywano
W okolicy; i tylko cichy smutek Panów,
Lub cicha radość, była gazetą ziemianów.

Takim kwesta[illegible] tajnym był Robak podobno:
Często on s Panem Sędzią rozmawiał osobno,
Po tych rozmowach zawsze jakowaś nowina
Rozeszła się w sąsiedztwie. Postać bernardyna
Wydawała, że mnich ten nie zawsze w kapturze
Chodził, i nie w klasztornym zestarzał się murze.
Miał on nad prawém uchem, nieco wyżéj skroni,
Bliznę, wyciętéj skóry na szerokość dłoni,
I w brodzie ślad niedawny lancy lub postrzału;
Ran tych niedostał pewnie przy czytaniu mszału.
Ale nie tylko groźne wejrzenie i blizny,
Lecz sam ruch i głos jego miał coś żołnierszczyzny.

Przy mszy, gdy z wzniesionemi zwracał się rękami
Od ołtarza do ludu, by mówić: «Pan z wami»,
To nie raz tak się zręcznie skręcił jednym razem,
Jakby prawo w[illegible]bił za wodza roskazem,
I słowa liturgj[illegible]n wyrzekł tonem
Do ludu, jak officer stojąc przed szwadronem:
Postrzegli to chłopcy służący mu do mszy.
Spraw także politycznych był Robak świadomszy,
Niźli żywotów świętych, a jeżdżąc po kweście,

Często zastanawiał się w powiatowym mieście;
Miał pełno interessów : to listy odbierał
Których nigdy przy obcych ludziach nie otwierał,
To wysyłał posłańców, ale gdzie i po co
Nie powiadał; częstokroć wymykał się nocą
Do dworów Pańskich, s szlachtą ustawicznie szeptał,
I okoliczne wioski do koła wydeptał,
I w karczmach z wieśniakami rosprawiał nie mało,
A zawsze o tém, co się w cudzych krajach działo.
Teraz Sędziego który już spał od godziny
Przychodzi budzić; pewnie ma jakieś nowiny.

ZAMEK.

TREŚĆ.

Polowanie s chartami na upatrzonego — Gość w Zamku — Ostatni z dworzan opowiada historją ostatniego z Horeszków — Rzut oka w sad — Dziewczyna w ogórkach — Śniadanie — Pani Telimeny Anegdota petersburska — Nowy wybuch sporów o Kusego i Sokoła — Interwencja Robaka — Rzecz Wojkiego — Zakład — Dalej w grzyby.

Kto z nas tych lat niepomni, gdy młode pacholę,
Ze strzelbą na ramieniu świszcząc szedł na pole;
Gdzie żaden wał, płot żaden nogi nieutrudza,
Gdzie przestępując miedzę, niepoznasz że cudza!
Bo na Litwie myśliwiec jak okręt na morzu,
Gdzie chcesz, jaką chcesz drogą, buja po przestworzu!
Czyli jak prorok patrzy w niebo, gdzie w obłoku

Wiele jest znaków widnych strzeleckiemu oku,
Czy jak czarownik gada z ziemią, która głucha
Dla mieszczan, mnóstwém głosów szepce mu do ucha.

Tam derkacz wrzasnął z łąki, szukać go daremnie,
Bo on szybuje w trawie, jako szczupak w Niemnie;
Tam ozwał się nad głową ranny wiosny dzwonek,
Również głęboko w niebie schowany skowronek;
Owdzie orzeł szerokiém skrzydłem przez obszary
Zaszumiał, strasząc wróble, jak kometa cary;
Zaś jastrząb pod jasnemi wiszący błękity,
Trzepie skrzydłem jak motyl na szpilce przybity,
Aż ujrzawszy wśród łąki ptaka lub zająca,
Runie nań z góry jako gwiazda spadająca.

Kiedyż nam Pan Bóg wrócić z wędrówki dozwoli,
I znowu dom zamieszkać na ojczystéj roli,
I służyć w jeździe która wojuje szaraki,
Albo w piechocie, która nosi broń na ptaki;
Nie znać innych prócz kosy i sierpa rynsztunków
I innych gazet oprócz domowych rachunków!

Nad Soplicowem słońce weszło, i już padło
Na strzechy i przez szpary w stodołę się wkradło;
I po ciemnozieloném świeżém wonném sianie,
S którego młodzież sobie zrobiła posłanie,
Rospływały się złote, migające pręgi
Z otworu czarnéj strzechy, jak z warkocza wstęgi;
I słońce usta sennych promykiem poranka
Drażni, jak dziewcze kłosem budzące kochanka.
Już wróble skacząc świerkać zaczęły pod strzechą,
Już trzykroć gęgnął gęsior, a za nim iak echo,
Odezwały się chorem kaczki i indyki,
I słychać bydła w pole idącego ryki.

Wstała młodzież, Tadeusz jeszcze senny leży,
Bo też najpoźniej zasnął; s wczorajszéj wieczerzy
Wrócił tak niespokojny, że o kurów pianiu
Jeszcze oczu niezmrużył, a na swém posłaniu
Tak kręcił się, że w siano jak w wodę utonął,
I spał twardo, aż zimny wiatr w oczy mu wionął,
Gdy skrzypiące stodoły drzwi otwarto s trzaskiem,
I bernardyn ksiądz Robak wszedł z węzlastym paskiem
« Surge puer » wołając i ponad barkami

Rubasznie wywijając pasek z ogórkami.

Już na dziedzińcu słychać myśliwskie okrzyki,
Wyprowadzają konie, zajeżdżają bryki,
Ledwie dziedzińce taką gromadę ogarnie,
Odezwały się trąby, otworzono psiarnie;
Zgraja chartów wypadłszy wesoło skowycze;
Widząc rumaki szczwaczów, dojeżdżaczów smycze,
Psy jak szalone cwałem śmigają po dworze,
Potém biegą i kładą szyje na obroże:
Wszystko to bardzo dobre polowanie wróży;
Nareszcie Podkomorzy dał roskaz podróży.

Ruszyli szczwacze zwolna, jeden tuż za drugim,
Ale za bramą rzędem rozbiegli się długim;
W środku jechali obok Assessor z Rejentem,
A choć na siebie czasem patrzyli ze wstrętem,
Rozmawiali przyjaźnie jak ludzie honoru
Idąc na rostrzygnienie śmiertelnego sporu;
Nikt ze słów zawziętości ich poznać niezdoła;
Pan Rejent wiódł Kusego, Assessor Sokoła.
S tyłu damy w pojazdach, młodzieńcy stronami

Czwałując tuż przy kołach gadali z damami.

Ksiądz Robak po dziedzińcu wolnym chodził krokiem
Kończąc ranne pacierze; ale rzucał okiem
Na Pana Tadeusza, marszczył się, uśmiechał,
Wreście kiwnął nań palcem, Tadeusz podjechał;
Robak palcem po nosie dawał mu znak groźby:
Lecz mimo Tadeusza pytania i prośby
Ażeby mu wyraźnie co chce wytłumaczył,
Bernardyn odpowiedzieć, ni spójrzeć nieraczył,
Kaptur tylko nasunął i pacierz swój kończył;
Więc Tadeusz odjechał i z gośćmi się złączył.

Właśnie w ten czas myśliwi smycze zatrzymali
I wszyscy nieruchomi w miejscach swoich stali;
Jeden drugiemu ręką dawał znak milczenia,
A wszyscy obrócili oczy do kamienia
Nad którym stał Pan Sędzia, on zwierza obaczył
I rąk skinieniem swoje roskazy tłumaczył.
Pojęli wszyscy, stoją, a środkiem po roli
Assessor i Pan Rejent kłusują powoli;
Tadeusz będąc bliższy obudwu wyprzedził,

Stanął obok Sędziego i oczyma śledził.
Dawno już nie był w polu; na szaréj przestrzeni
Trudno dojrzeć szaraka, zwłaszcza wśród kamieni.
Pokazał mu Pan Sędzia; siedział biedny zając
Płaszcząc się pod kamieniem, uszy nadstawiając,
Okiem czerwoném spotkał myśliwców wejrzenie,
I jakby urzeczony, czując przeznaczenie
Ze strachu od ich oczu niemógł zwrócić oka,
I pod opoką siedział martwy jak opoka.
Tym czasem kurz na roli rośnie coraz bliżéj,
Pędzi na smyczy Kusy, za nim Sokoł chyży,
Tuż Assessor z Rejentem, razem wrzaśli s tyłu:
« Wyczha, wyczha » i s psami znikli w kłębach pyłu.

Kiedy tak za szarakiem goniono, tymczasem
Ukazał się Pan Hrabia pod zamkowym lasem;
Wiedziano w okolicy, że ten Pan niemoże
Nigdy nigdzie stawić się w naznaczonéj porze,
I dziś zaspał poranek, więc na sługi zrzędził,
Widząc myśliwców w polu czwałem do nich pędził;
Surdut swój angielskiego kroju, biały, długi,
Połami na wiatr puścił; s tyłu konno sługi

W kapeluszach jak grzybki, czarnych, lśnących, małych,
W kurtkach, w butach stryflastych, w pantalonach białych:
Sługi które Pan Hrabia tym kształtem odzieje,
Nazywają się w jego pałacu, dżokeje.

Cwałująca czereda zleciała na błonia,
Gdy Hrabia ujrzał zamek i zatrzymał konia.
Pierwszy raz widział zamek z rana, i niewierzył
Że to były też same mury, tak odświeżył
I upięknił poranek zarysy budowy;
Zadziwił się Pan Hrabia na widok tak nowy.
Wieża zdała się dwakroć wyższa, bo stercząca
Nad mgłą ranną; dach z blachy złocił się od słońca,
Pod nim błyszczała w kratach reszta szyb wybitych,
Łamiąc promienie wschodu w tęczach rozmaitych;
Niższe piętra oblała tumanu powłoka,
Rospadliny i szczerby zakryła od oka.
Krzyk dalekich myśliwców wiatrami przygnany
Odbijał się kilkakroć o zamkowe ściany:
Przysiągłbyś że krzyk z zamku, że pod mgły zasłoną
Mury odbudowano i znów zaludniono.

Hrabia lubił widoki niezwykłe i nowe,
Zwał je romansowemi; mawiał że ma głowę
Romansową, w istocie był wielkim dziwakiem.
Nieraz pędząc za lisem albo za szarakiem,
Nagle stawał i w niebo poglądał żałośnie,
Jak kot gdy ujrzy wróble na wysokiéj sośnie;
Często bez psa, bez strzelby błąkał się po gaju,
Jak rekrut zbiegły; często siadał przy ruczaju
Nieruchomy, schyliwszy głowę nad potokiem,
Jak czapla wszystkie ryby chcąca pożrzeć okiem.
Takie były Hrabiego dziwne obyczaje,
Wszyscy mówili że mu czegoś nie dostaje.
Szanowano go przecież, bo pan s prapradziadów,
Bogacz, dobry dla chłopów, ludzki dla sąsiadów;
Nawet dla żydów.

Hrabski koń zwrócony z drogi,
Prosto kłusował polem aż pod zamku progi.
Hrabia samotny wzdychał, poglądał na mury,
Wyjął papier, ołówek i kreślił figury.
W tém spójrzawszy w bok ujrzał o dwadzieścia kroków
Człowieka, który równie miłośnik widoków,

Z głową zadartą, ręce włożywszy w kieszenie,
Zdawało się że liczył oczyma kamienie.
Poznał go zaraz, ale musiał kilka razy
Krzyknąć, nim głos Hrabiego usłyszał Gerwazy.
Szlachcic to był służący dawnych zamku panów,
Pozostały ostatni z Horeszki dworzanów;
Starzec wysoki, siwy, twarz miał czerstwą, zdrową,
Marszczkami pooraną, posępną, surową.
Dawniej pomiędzy szlachtą z wesołości słynął;
Ale od bitwy w której dziedzic zamku zginął,
Gerwazy się odmienił, i już od lat wielu
Ani był na kiermaszu, ani na weselu;
Odtąd jego dowcipnych żartów niesłyszano,
I uśmiechu na jego twarzy niewidziano.
Zawsze nosił Horeszków liberją dawną,
Kurtę s połami żółtą, galonem oprawną,
Który dziś żółty dawniej zapewne był złoty.
W koło szyte jedwabiem herbowne klejnoty
Półkozice, i stąd też cała okolica
Półkozicem przezwała starego szlachcica.
Czasem też od przysłowia, które bez ustanku
Powtarzał, nazywano go także Mopanku,

Czasem Szczerbcem, że całą łysinę miał wszczerbach;
Lecz on zwał się Rębajło a o jego herbach
Niewiadomo. Klucznikiem siebie tytułował,
Iż ten urząd na zamku przed laty piastował.
I dotąd nosił wielki pęk kluczów za pasem,
Uwiązany na taśmie ze srebrnym kutasem.
Choć nie miał co otwierać; bo zamku podwoje
Stały otworem; przecież wynalazł drzwi dwoje,
Sam je własnym nakładem naprawił i wstawił,
I drzwi tych odmykaniem codziennie się bawił.
W jednej z izb pustych obrał mieszkanie dla siebie;
Mogąc żyć u Hrabiego na łaskawym chlebie,
Nie chciał, bo wszędzie tęsknił i czuł się niezdrowym,
Jeżeli nie oddychał powietrzem zamkowém.

Skoro ujrzał Hrabiego, czapkę z głowy schwycił,
I krewnego swych panów ukłonem zaszczycił
Chyląc łysinę wielką, świecącą zdaleka,
I naciętą od licznych kordów jak nasieka;
Gładził ją ręką, podszedł, i jeszcze raz nisko
Skłoniwszy się, rzekł smutnie: Mopanku, panisko,
Daruj mnie że tak mówię Jaśnie Grafie Panie,

To jest mój zwyczaj, nie zaś nieuszanowanie:
« Mopanku » powiadali wszyscy Horeszkowie,
Ostatni Stolnik pan mój miał takie przysłowie;
Czyż to prawda Mopanku że pan grosza skąpisz
Na proces, i ten zamek Soplicom ustąpisz;
Nie wierzyłem, lecz w całym powiecie tak słychać.
Tu poglądając w zamek nie przestawał wzdychać.

Cóż dziwnego, rzekł Hrabia, koszt wielki a nuda
Jeszcze większa; chcę skończyć, lecz szlachcic maruda
Upiera się; przewidział że mię znudzić może:
Dłużej też nie wytrzymam i dzisiaj broń złożę,
Przyjmę warunki zgody jakie mi sąd poda.
Zgody? krzyknął Gerwazy, s Soplicami zgoda,
S Soplicami Mopanku? to mówiąc wykrzywił
Usta, jakby nad własną mową się zadziwił.
Zgoda i Soplicowie! Mopanku Panisko
Pan żartuje, co? Zamek Horeszków siedlisko
Ma pójść w ręce Sopliców? niech pan tylko raczy
Ssiąść s konia, pódźmy w zamek, niech no pan obaczy,
Pan sam nie wie co robi, niech się pan nie wzbrania,
Ssiadaj Pan — i przytrzymał strzemię do ssiadania.

Weszli w zamek; Gerwazy stanął w progu sieni:
Tu, rzekł, dawni panowie dworem otoczeni,
Często siadali w krzesłach w poobiedniéj porze.
Pan godził spory włościan; lub w dobrym humorze
Gościom różne ciekawe historye prawił,
Albo ich powieściami i żarty się bawił.
A młodzież na dziedzińcu biła się w palcaty,
Lub ujeżdżała pańskie tureckie bachmaty.

Weszli w sień. — Rzekł Gerwazy, w téj ogromnéj sieni
Brukowanéj, nie znajdziesz Pan tyle kamieni,
Ile tu pękło beczek wina w dobrych czasach;
Szlachta ciągnęła kufy s piwnicy na pasach,
Sproszona na sejm albo sejmik powiatowy,
Albo na imieniny Pańskie, lub na łowy.
Podczas uczty na chorze tym kapela stała
I w organ i w rozliczne instrumenty grała;
A gdy wnoszono zdrowie, trąby jak w dniu sądnym
Grzmiały s choru; wiwaty szły ciągiem porządnym —
Pierwszy wiwat za zdrowie króla Jegomości,
Potém Prymasa, potém królowéj Jéjmości,
Potém Szlachty i całéj Rzeczypospolitéj;

A nakoniec po piątej szklanicy wypitej,
Wnoszono Kochajmy się, wiwat bez przestanku,
Który dniem okrzykniony, brzmiał aż do poranku;
A już gotowe stały cugi i podwody,
Aby każdego odwieść do jego gospody.

Przeszli już kilka komnat; Gerwazy w milczeniu
Tu wzrok na ścianie wstrzymał, ówdzie na sklepieniu,
Przywołując pamiątkę tu smutną, tam miłą;
Czasem jakby chciał mówić « wszystko się skończyło »
Kiwnął żałośnie głową; czasem machnął ręką.
Widać że mu wspomnienie samo było męką,
I że je chciał odpędzić; aż się zatrzymali
Na górze, w wielkiéj, niegdyś zwierciadlanéj sali;
Dziś wydartych zwierciadeł stały puste ramy,
Okna bez szyb, s krużgankiem wprost naprzeciw bramy.
Tu wszedłszy starzec głowę zadumaną skłonił
I twarz zakrył rękami, a gdy ją odsłonił,
Miała wyraz żałości wielkiéj i rospaczy.
Hrabia chociaż niewiedział co to wszystko znaczy,
Poglądając w twarz starca czuł jakieś wzruszenie,
Rękę mu scisnął; chwilę trwało to milczenie,

Przerwał je starzec trzęsąc wzniesioną prawicą:
« Niemasz zgody Mopanku pomiędzy Soplicą
I krwią Horeszków; w Panu krew Horeszków płynie,
Jesteś krewnym Stolnika, po matce Łowczynie,
Która się rodzi z drugiéj córki Kasztelana,
Który był jak wiadomo, wujem mego Pana.
Słuchaj Pan historyi swéj własnéj rodzinnéj,
Która się stała właśnie w téj izbie, nie innéj.

« Nieboszczyk Pan mój Stolnik, pierwszy Pan w powiecie,
Bogacz i familiant, miał jedyne dziecie,
Córkę piękną jak anioł; więc się zalecało
Stolnikównie i szlachty i paniąt niemało.
Między szlachtą był jeden wielki paliwoda,
Kłótnik, Jacek Soplica, zwany Wojewoda
Przez żart; w istocie wiele znaczył w województwie,
Bo rodzinę Sopliców miał jakby w dowództwie,
I trzystu ich kreskami rządził wedle woli,
Choć sam nic nieposiadał prócz kawałka roli,
Szabli, i wielkich wąsów od ucha do ucha.
Owoż Pan Stolnik nieraz wzywał tego zucha
I ugaszczał w pałacu, zwłaszcza w czas sejmików,

Popularny dla jego krewnych i stronników.
Wąsal tak wzbił się w dumę łaskawém przyjęciem,
Że mu się uroiło zostać Pańskim zięciem.
Do zamku nieproszony coraz częściej jeździł,
W końcu u nas jak w swoim domu się zagnieździł
I już miał się oświadczać, lecz pomiarkowano,
I czarną mu polewkę do stołu podano.
Podobno Stolnikownie wpadł Soplica w oko,
Ale przed rodzicami taiła głęboko.

«Było to za Kościuszki czasów; Pan popierał
Prawo trzeciego maja, i już szlachtę zbierał,
Aby Konfederatom ciągnąć ku pomocy,
Gdy nagle Moskwa zamek opasała w nocy:
Ledwie był czas z moździerza na trwogę wypalić,
Podwoje dolne zamknąć i ryglem zawalić.
W zamku całym był tylko Pan Stolnik, ja, Pani,
Kuchmistrz i dwóch kuchcików, wszyscy trzej pijani,
Proboszcz, lokaj, hajducy czterej, ludzie śmiali;
Więc za strzelby, do okien; aż tu tłum Moskali
Krzycząc ura, od bramy wali po tarasie;
My im ze strzelb dziesięciu palnęli « a zasie »

Nic tam niebyło widać; słudzy bez ustanku
Strzelali z dolnych pięter, a ja i Pan z ganku.
Wszystko szło pięknym ładem, choć w tak wielkiej trwodze
Dwadzieścia strzelb leżało tu na tej podłodze,
Wystrzeliliśmy jedną, podawano drugą,
Ksiądz Proboszcz zatrudniał się czynnie tą usługą,
J Pani i Panienka i nadworne Panny;
Trzech było strzelców a szedł ogień nieustanny;
Grad kul sypały z dołu moskiewkie piechury,
My zrzadka, ale celniej dogrzewali z góry.
Trzy razy aż pode drzwi to chłopstwo się wparło,
Ale za każdym razem trzech nogi zadarło,
Więc uciekli pod lamus; a już był poranek.
Pan Stolnik wesoł wyszedł ze strzelbą na ganek,
I skoro s pod lamusa moskal łeb wychylił,
On dawał zaraz ognia a nigdy nie mylił,
Za każdym razem czarny kaszkiet w trawę padał,
I już się rzadko który z za ściany wykradał.
Stolnik widząc strwożone swe nieprzyjaciele,
Myślił zrobić wycieczkę, porwał karabelę
I z ganku krzycząc sługom wydawał roskazy;
Obróciwszy się do mnie rzekł: za mną Gerwazy!

Wtém strzelono s pod bramy, Stolnik się zająknął,
Zaczerwienił się, zbladnął, chciał mówić, krwią chrząknął;
Postrzegłem wtenczas kulę, wpadła w piersi same,
Pan słaniając się palcem ukazał na bramę.
Poznałem tego łotra Soplicę! poznałem!
Po wzroście i po wąsach! jego to postrzałem
Zginął Stolnik, widziałem! łotr jeszcze do góry
Wzniesioną trzymał strzelbę, jeszcze dym szedł z rury!
Wziąłem go na cel, zbójca stał jak skamieniały!
Dwa razy dałem ognia, i oba wystrzały
Chybiły; czym ze złości czy z żalu źle mierzył
Usłyszałem wrzask kobiet, spójrzałem, — pan nieżył.»

Tu Gerwazy umilknął i łzami się zalał,
Potém rzekł kończąc: « Moskal już wrota wywalał;
Bo po śmierci Stolnika stałem bezprzytomnie,
I nie wiedziałem co się działo w około mnie;
Szczęściem na odsiecz przyszedł nam Parafianowicz
Przywiodłszy Mickiewiczów dwiestu z Horbatowicz,
Którzy są szlachta liczna i dzielna, człek w człeka,
A nienawidzą rodu Sopliców od wieka.

Tak zginął pan potężny, pobożny i prawy,
Który miał w domu krzesła, wstęgi i buławy,
Ojciec włościan, brat szlachty; i nie miał po sobie
Syna, któryby zemstę poprzysiągł na grobie!
Ale miał sługi wierne; ja w krew jego rany
Obmoczyłem mój rapier scyzorykiem zwany,
(Zapewne Pan o moim słyszał scyzoryku,
Sławnym na każdym sejmie, targu i sejmiku)
Przysiągłem wyszczerbić go na Sopliców karkach,
Scigałem ich na sejmach, zajazdach, jarmarkach;
Dwóch zarąbałem w kłótni, dwóch na pojedynku;
Jednego podpaliłem w drewnianym budynku,
Kiedyśmy zajeżdzali z Rymszą Korelicze,
Upiekł się tam jak piskorz; a tych nie policzę
Którym uszy obciąłem. Jeden tylko został,
Który dotąd ode mnie pamiątki nie dostał!
Rodzoniutki braciszek owego wąsala,
Żyje dotąd, i s swoich bogactw się przechwala,
Zamku Horeszków tyka swych kopców krawędzią,
Szanowany w powiecie, ma urząd, jest Sędzią!
I Pan mu zamek oddasz? niecne jego nogi
Mają krew Pana mego zetrzeć s tej podłogi?

O nie! póki Gerwazy ma choć za grosz duszy,
I tyle sił, że jednym małym palcem ruszy
Scyzoryk swój, wiszący dotychczas na ścianie!
Póty Soplica tego zamku nie dostanie!»

« O! krzyknął Hrabia, ręce podnosząc do góry!
Dobre miałem przeczucie, żem lubił te mury!
Choć nie wiedziałem że w nich taki skarb się mieści,
Tyle scen dramatycznych, i tyle powieści!
Skoro zamek mych przodków Soplicom zagrabię,
Ciebie osadzę w murach jak mego Burgrabię:
Twoja powieść Gerwazy zajęła mię mocno.
Szkoda, żeś mię nie przywiódł tu w godzinę nocną;
Udrapowany płaszczem siadłbym na ruinach,
A tybyś mi o krwawych rospowiadał czynach;
Szkoda że masz nie wielki dar opowiadania!
Nie raz takie słyszałem, i czytam podania;
W Anglii i w Szkocyi każdy zamek Lordów,
W Niemczech każdy dwór Grafów, był teatrem mordów!
W każdéj dawnéj, szlachetnéj, potężnéj rodzinie
Jest wieść o jakimś krwawym lub zdradzieckim czynie,
Po którym zemsta spływa na dziedziców w spadku:

W Polsce pierwszy raz słyszę o takim wypadku.
Czuję że we mnie mężnych krew Horeszków płynie!
Wiem co winienem sławie i mojej rodzinie,
Tak! muszę zerwać wszelkie s Soplicą układy,
Choćby do pistoletów przyszło lub do szpady!
Honor każe » Rzekł, ruszył uroczystym krokiem,
A Gerwazy szedł s tyłu w milczeniu głębokiém.
Przed bramą stanął Hrabia, sam do siebie gadał,
Poglądając na zamek prędko na koń wsiadał,
Tak samotną rozmowę kończąc rostargniony:
« Szkoda że ten Soplica stary nie ma żony!
Lub córki pięknej, której ubóstwiałbym wdzięki!
Kochając i niemogąc otrzymać jéj ręki;
Nowabysię w powieści zrobiła zawiłość:
Tu serce, tam powinność! tu zemsta, tam miłość! »

Tak szepcąc spiął ostrogi, koń leciał do dworu,
Gdy zdrugiéj strony strzelcy wyjeżdzali z boru;
Hrabia lubił myśliwstwo, ledwie strzelców zoczył,
Zapomniawszy o wszystkiém prosto ku nim skoczył,
Mijając bramę, ogród, płoty; gdy w zawrocie
Obejrzał się, i konia zatrzymał przy płocie;

Był sad —

Drzewa owocne zasadzone w rzędy
Ocieniały szerokie pole; spodem grzędy.
Tu kapusta sędziwe schylając łysiny,
Siedzi i zda się dumać o losach jarzyny;
Tam plącząc strąki w marchwi zielonej warkoczu,
Wysmukły bob obraca na nią tysiąc oczu;
Owdzie podnosi złotą kitę kukuruza;
Gdzie niegdzie otyłego widać brzuch harbuza,
Który od swej łodygi aż w daleką stronę
Wtoczył się jak gość między buraki czerwone.

Grzędy roscięte miedzą; na każdym przykopie
Stoją jakby na straży, w szeregach konopie,
Cyprysy jarzyn; ciche, proste i zielone,
Ich liście i woń służą grzędom za obronę,
Bo przez ich liście nie śmie przecisnąć się żmija,
A ich woń gąsienice i owad zabija.
Dalej maków białawe górują badyle,
Na nich, myślisz iż rojem usiadły motyle
Trzepiecąc skrzydełkami, na których się mieni

Z rozmaitością tęczy blask drogich kamieni;
Tylą farb żywych, różnych, mak źrzenicę mami.
W środku kwiatów jak pełnia pomiędzy gwiazdami
Krągły słonecznik, licem wielkiém, gorejącém,
Od wschodu do zachodu kręci się za słońcem.

Pod płotem wąskie, długie, wypukłe pagórki,
Bez drzew, krzewów i kwiatów; ogród na ogórki.
Pięknie wyrosły; liściem wielkim, rozłożystym,
Okryły grzędy jakby kobiercem fałdzistym.
Pośrodku, szła dziewczyna, w bieliznę ubrana,
W majowej zieloności tonąc po kolana;
Z grząd zniżając się w brózdy, zdała się nie stąpać,
Ale pływać po liściach, w ich barwie się kąpać.
Słomianym kapeluszem osłoniła głowę,
Od skroni powiewały dwie wstążki różowe
I kilka puklów światłych, rozwitych warkoczy;
Na ręku miała koszyk, w dół spuściła oczy,
Prawą rękę podniosła, niby do chwytania;
Jako dziewcze gdy rybki w kąpieli ugania
Bawiące się z jéj nożką, tak ona co chwila
Z rękami i koszykiem po owoc się schyla

Który stopą nadtrąci, lub dostrzeże okiem.

Pan Hrabia zachwycony tak cudnym widokiem,
Stał cicho. Słysząc tentent towarzyszów w dali,
Ręką dał znak ażeby wstrzymać konie; stali.
On patrzył z wyciągniętą szyją; jak dziobaty
Żuraw, zdala od stada gdy odprawia czaty
Stojąc na jednéj nodze, s czujnemi oczyma,
I by niezasnąć kamień w drugiéj nodze trzyma.

Zbudził Hrabiego szelest na plecach i skroni;
Był to bernardyn kwestarz Robak, a miał w dłoni
Podniesione do góry węzłowate sznurki:
Ogórków chcesz Waść, krzyknął, oto masz ogórki.
Wara Panie od szkody, na tutejszéj grzędzie
Nic dla Waszeci owoc, nic s tego nie będzie —
Potém palcem pogroził, kaptura poprawił,
I odszedł; Hrabia jeszcze chwilę w miejscu bawił,
Śmiejąc się i klnąc razem téj nagłéj przeszkodzie;
Okiem powrócił w ogród; ale już w ogrodzie
Niebyło jéj; mignęła tylko śród okienka
Jéj różowa wstążeczka i biała sukienka.

Widać na grzędach jaką przeleciała drogą,
Bo liść zielony, w biegu potrącony nogą,
Podnosił się, drżał chwilę, aż się uspokoił,
Jak woda którą ptaszek skrzydłami roskroił.
A na miejscu gdzie stała, tylko porzucony
Koszyk mały z rokity, denkiem wywrócony,
Pogubiwszy owoce na liściach zawisał,
I wśród fali zielonej jeszcze się kołysał.

Po chwili wszędzie było samotnie i głucho;
Hrabia oczy w dom utkwił i natężył ucho,
Zawsze dumał, a strzelcy zawsze nieruchomie
Za nim stali. — Aż w cichym i samotnym domie
Wszczął się naprzód szmer, potém gwar i krzyk wesoły,
Jak w ulu pustym kiedy weń wlatają pszczoły:
Był to znak że wracali goście s polowania,
I krzątała się służba około śniadania.

Jakoż po wszystkich izbach panował ruch wielki,
Roznoszono potrawy, sztuczce i butelki;
Męszczyzni tak jak weszli, w swych zielonych strojach,
S talerzami, s szklankami, chodząc po pokojach,

Jedli, pili, lub wsparci na okien uszakach,
Rosprawiali o flintach, chartach i szarakach;
Podkomorstwo i Sędzia przy stole; a w kątku
Panny szeptały s sobą; niebyło porządku,
Jaki się przy obiadach i wieczerzach chowa,
Była to w staropolskim domie moda nowa;
Przy śniadaniach, Pan Sędzia choć nierad pozwalał
Na taki nieporządek, lecz go niepochwalał.

Różne też były dla dam i męszczyzn potrawy:
Tu roznoszono tace s całą służbą kawy,
Tace ogromne, w kwiaty ślicznie malowane,
Na nich kurzące wonnie imbryki blaszane,
I s porcelany saskiéj złote filiżanki,
Przy każdéj garnuszeczek mały do śmietanki.
Takiéj kawy jak w Polszcze niema w żadnym kraju:
W Polszcze, w domu porządnym, z dawnego zwyczaju,
Jest do robiena kawy osobna niewiasta,
Nazywa się Kawiarka; ta sprowadza z miasta,
Lub z wicin bierze ziarna w najlepszym gatunku,
I zna tajne sposoby gotowania trunku,
Który ma czarność węgla, przejrzystość bursztynu,

Zapach moki i gęstość miodowego płynu.
Wiadomo, czém dla kawy jest dobra śmietana,
Na wsi nietrudno o nię: bo kawiarka z rana
Przystawiwszy imbryki, odwiedza mleczarnie,
I sama lekko świeży nabiału kwiat garnie
Do każdéj filiżanki w osobny garnuszek,
Aby każdą z nich ubrać w osobny kożuszek.

Panie starsze już wcześniéj wstawszy piły kawę,
Teraz drugą dla siebie zrobiły potrawę
Z gorącego, śmietaną bielonego piwa,
W którym twarog gruzłami posiekany pływa.

Zaś dla męszczyzn więdliny leżą do wyboru,
Półgęski tłuste, kumpia, skrzydliki ozoru,
Wszystkie wyborne, wszystkie sposobem domowym
Uwędzone w kominie dymem jałowcowym;
W końcu, wniesiono zrazy na ostatnie danie:
Takie bywało w domu Sędziego śniadanie.

We dwóch izbach dwa różne skupiły się grona:
Starszyzna przy stoliku małym zgromadzona

Mówiła o sposobach nowych gospodarskich,
O nowych coraz sroższych ukazach cesarskich,
Podkomorzy krążące o wojnie pogłoski
Oceniał, i wyciągał polityczne wnioski.
Panna Wojska włożywszy okólary sine,
Zabawiała kabałą s kart Podkomorzynę.
W drugiej izbie toczyła młodzież rzecz o łowach,
W spokojniejszych i cichszych niż zwykle rozmowach:
Bo Assessor i Rejent, oba mówcy wielcy,
Pierwsi znawcy myślistwa i najlepsi strzelcy,
Siedzieli przeciw sobie mrukliwi i gniewni;
Oba dobrze puszczali, oba byli pewni
Zwycięstwa swoich chartów, gdy pośrod równiny
Znalazł się zagon chłopskiej, niezżętej jarzyny;
Tam wpadł zając: już Kusy, już go Sokoł imał,
Gdy Sędzia dojeżdżaczy na miedzy zatrzymał;
Musieli być posłuszni, chociaż w wielkim gniewie;
Psy powróciły same: i nikt pewnie niewie,
Czy źwierz uszedł, czy wzięty; nikt zgadnąć niezdoła,
Czy wpadł w paszczę Kusego, czyli też Sokoła,
Czyli obódwu razem: różnie sądzą strony,
I spór na dalsze czasy trwał nierostrzygniony.

Wojski stary od izby do izby przechodził,
Po obu stronach oczy rostargnione wodził,
Niemieszał się w myśliwych, ni w starców rozmowę,
I widać że czém inném zajętą miał głowę;
Nosił skórzaną packę: czasem w miejscu stanie,
Duma długo, i—muchę zabije na ścianie.

Tadeusz s Telimeną pomiędzy izbami
Stojąc we drzwiach na progu, rozmawiali sami;
Niewielki oddzielał ich od słuchaczów przedział,
Więc szeptali; Tadeusz teraz się dowiedział:
Że ciocia Telimena jest bogata Pani,
Że niesą kanonicznie s sobą powiązani
Zbyt bliskiém pokrewieństwem; i nawet niepewno
Czy ciocia Telimena jest synowca krewną,
Choć ją stryj zowie siostrą, bo wspólni rodzice
Tak ich kiedyś nazwali mimo lat rożnicę;
Że potém ona żyjąc w stolicy czas długi
Wyrządziła nieźmierne Sędziemu usługi;
Stąd ją Sędzia szanował bardzo, i przed światem
Lubił może s próżności, nazywać się bratem,
Czego mu Telimena przez przyjaźń niewzbrania.

Użyły Tadeusza sercu te wyznania.
Wiele też innych rzeczy sobie oświadczyli;
A wszystko to się stało w jednéj krótkiéj chwili.

Ale w izbie na prawo, kusząc Assessora
Rzekł Rejent mimojazdem: ja mówiłem wczora,
Że polowanie nasze udać się niemoże:
Jeszcze zbyt wcześnie, jeszcze na pniu stoi zboże,
I mnóstwo sznurów chłopskiéj nieżżętej jarzyny;
Stąd i Hrabia nieprzybył mimo zaprosiny.
Hrabia na polowaniu bardzo dobrze zna się,
Nieraz gadał o łowów i miejscu i czasie;
Hrabia chował się w obcych krajach od dzieciństwa,
I powiada, że to jest znakiem barbarzyństwa
Polować tak jak u nas, bez żadnego względu
Na artykuły ustaw, przepisy urzędu;
Nieszanując niczyich kopców ani miedzy
Jeździć po cudzym gruncie, bez dziedzica wiedzy;
Wiosną równie jak latem zbiegać pola, knieje,
Zabijać nieraz lisa właśnie gdy linieje,
Albo cierpieć iż kotną samicę zajęczą
Charty w runi uszczują, a raczéj zamęczą,

Z wielką szkodą źwierzyny. Ztąd się Hrabia żali,
Że cywilizacya większa u Moskali;
Bo tam o polowaniu są ukazy Cara
I dozor policyi i na winnych kara.

Telimena ku lewéj izbie obrócona,
Wachlując batystową chusteczką ramiona,
« Jak mamę kocham, rzekła, Hrabia się niemyli,
Znam ja dobrze Rossyą. Państwo niewierzyli
Gdy im nieraz mówiłam, jak tam z wielu względów
Godna pochwały czujność i srogość urzędów.
Byłam ja w Petersburgu, nie raz, nie dwa razy!
Miłe wspomnienia! wdzięczne przeszłości obrazy!
Co za miasto! Nikt s Panów niebył w Petersburku?
Chcecie może plan widzieć, mam plan miasta, w biórku.
Latem świat Petersburski zwykł mieszkać na daczy,
To jest w pałacach wiejskich (dacza wioskę znaczy);
Mieszkałam w pałacyku, tuż nad Newą rzeką,
Niezbyt blisko od miasta i niezbyt daleko,
Na niewielkim, umyślnie sypanym pagórku:
Ach co to był za domek! plan mam dotąd w biórku.
Otoż na me nieszczęście, najął dom w sąsiedztwie

Jakiś mały czynownik, siedzący na śledztwie;
Trzymał kilkoro chartów; co to za męczarnie!
Gdy blisko mieszka mały czynownik i psiarnie.
Ilekroć s książką wyszłam sobie do ogrodu,
Użyć księżyca blasku, wieczornego chłodu;
Zaraz i pies przyleciał, i kręcił ogonem,
I strzygł uszami, właśnie jakby był szalonym.
Nieraz się nalękałam. Serce mi wróżyło
S tych psów jakieś nieszczęście: tak się też zdarzyło.
Bo gdym szła do ogrodu pewnego poranka,
Chart u nóg mych zadławił mojego kochanka
Bonończyka! Ach była to roskoszna psina,
Miałam ją w podarunku od księcia Sukina
Na pamiątkę; rozumna, żywa jak wiewiórka,
Mam jéj portrecik, tylko niechcę iść do biórka.
Widząc ją zadławioną, z wielkiéj alteracyi
Dostałam mdłości, spazmów, serca palpitacyi.
Możeby gorzéj jeszcze z mojém zdrowiem było;
Szczęściem nadjechał właśnie z wizytą Kiryło
Gawrylicz Kozodusin, Wielki Łowczy Dworu,
Pyta się o przyczynę tak złego humoru.
Każe wnet urzędnika przyciągnąć za uszy;

Staje pobladły, drżący i prawie bez duszy.
Jak śmiesz, krzyknął Kiryło piorunowym głosem,
Szczuć wiosną łanię kotną tuż pod Carskim nosem?
Osłupiały czynownik, darmo się zaklinał,
Że polowania dotąd jeszcze niezaczynał,
Że z Wielkiego Łowczego wielkiem pozwoleniem,
Zwierz uszczuty zda mu się być psem nie jeleniem.
Jakto? krzyknął Kiryłło, to śmiałbyś hultaju
Znać się lepiej na łowach i źwierząt rodzaju,
Niżli ja Kozodusin, Carski Jegermajster?
Niechajże nas rozsądzi zaraz Policmajster.
Wołają Policmajstra, każą spisać śledztwo:
Ja rzecze Kozodusin wydaję swiadectwo,
Że to łani; on plecie że to pies domowy:
Rozsądź nas kto zna lepiej źwierzynę i łowy.
Policmajster powinność służby swej rozumiał,
Bardzo się nad zuchwalstwem czynownika zdumiał,
I odwiodłszy na stronę po bratersku radził,
By przyznał się do winy i tém grzech swój zgładził.
Łowczy udobruchany, przyrzekł że się wstawi
Do Cesarza, i wyrok nieco ułaskawi;
Skończyło się że charty poszły na powrozy,

A czynownik na cztéry tygodnie do kozy.
Zabawiła nas cały wieczor ta pustota,
Zrobiła się nazajutrz s tego anegdota,
Że w sądy o mym piesku Wielki Łowczy wdał się;
I nawet wiem s pewnością, że sam Cesarz śmiał się.

Śmiech powstał w obu izbach. Sędzia z Bernardynem
Grał w maryasza, i właśnie z wyświeconém winem
Miał coś ważnego zadać; już ksiądz ledwo dyszał,
Kiedy Sędzia początek powieści posłyszał;
I tak nią był zajęty, że z zadartą głową,
I s kartą podniesioną, do bicia gotową,
Siedział cicho i tylko bernardyna trwożył,
Aż gdy skończono powieść, Pamfila położył,
I rzekł śmiejąc się: niech tam sobie kto chce chwali
Niemców cywilizacyą, porządek Moskali;
Niechaj Wielkopolanie uczą się od Szwabów
Prawować się o lisa, i przyzywać drabów
By wziąść w areszt ogara, że wpadł w cudze gaje;
Na Litwie chwała Bogu stare obyczaje:
Mamy dosyć zwierzyny dla nas i sąsiedztwa,
I niebędziemy nigdy o to robić śledztwa;

I zboża mamy dosyć, psy nas nieogłodzą,
Że po jarzynach albo po życie pochodzą;
Na morgach chłopskich bronię robić polowanie.

Ekonom z lewéj izby rzekł: niedziw Mospanie,
Bo też Pan tak drogo płaci za taką zwierzynę.
Chłopy i radzi temu; kiedy w ich jarzynę
Wskoczy chart, niech otrząśnie dziesięć kłosów żyta,
To Pan mu kopę oddasz i jeszcze nie kwita,
Często chłopi talara w przydatku dostali;
Wierz mi Pan że się chłopstwo bardzo rozzuchwali,
Jeśli — Resztę dowodów Pana Ekonoma
Niemógł usłyszyć Sędzia, bo pomiędzy dwoma
Rosprawami, wszczęło się dziesięć rozgoworów,
Anegdot, opowiadań, i nakoniec sporów.

Tadeusz s Telimeną całkiem zapomnieni,
Pamiętali o sobie: — Rada była Pani,
Że jéj dowcip tak bardzo Tadeusza bawił;
Młodzieniec jéj nawzajem komplementy prawił,
Telimena mówiła coraz wolniéj, ciszéj,

I Tadeusz udawał że jej niedosłyszy
W tłumie rozmów: więc szepcąc tak zbliżył się do niéj,
Że uczuł twarzą lubą gorącość jéj skroni,
Wstrzymując oddech, usty chwytał jéj westchnienie
I okiem łowił wszystkie jéj wzroku promienie.

W tém pomiędzy ich usta, mignęła znienacka
Naprzód mucha, a za nią tuż Wojskiego packa.

Na Litwie much dostatek. Jest pomiędzy niemi
Gatunek much osobny, zwanych szlacheckiemi;
Barwą i kształtem całkiem podobne do innych,
Ale pierś mają szerszą, brzuch większy od gminnych,
Latając bardzo huczą i niezności brzęczą,
A tak silne, że tkankę przebiją pajęczą,
Lub jeśli która wpadnie, trzy dni będzie bzykać,
Bo s pająkiem sam na sam może się borykać.
Wszystko to Wojski zbadał, i jeszcze dowodził
Że się s tych much szlacheckich, pomniejszy lud rodził,
Że one tém są muchom, czém dla roju matki,
Że z ich wybiciem zginą owadów ostatki.
Prawda że Ochmistrzyni, ani Pleban wioski,

Nieuwierzyli nigdy w te Wojskiego wnioski
I trzymali inaczéj o muszym rodzaju;
Lecz Wojski nieodstąpił dawnego zwyczaju,
Ledwo dostrzegł takową muchę, wnet ją gonił.
Właśnie mu teraz szlachcic nad uchem zadzwonił,
Podwakroć Wojski machnął, zdziwił się że chybił,
Trzeci raz machnął, tylko co okna niewybił;
Aż mucha odurzona od tyla łoskotu,
Widząc dwóch ludzi w progu broniących odwrotu,
Rzuciła się z rospaczą pomiędzy ich lica;
I tam za nią mignęła Wojskiego prawica:
Raz tak był tęgi, że dwie odskoczyły głowy,
Jak rozdarte piorunem dwie drzewa połowy;
Uderzyły się mocno oboje w uszaki,
Tak że obojgu sine zostały się znaki.

Szczęściem nikt nieuważał, bo dotychczasowa
Żywa, głośna, lecz dosyć porządna rozmowa,
Zakończyła się nagłym wybuchem hałasu: —
Jak strzelcy gdy na lisa zaciągną do lasu,
Słychać gdzieniegdzie trzask drzew, strzały, psiarni granie,
A wtém dojeżdżacz dzika ruszył niespodzianie,

Dał znak, i wrzask powstaje w strzelców i psów tłuszczy,
Jak gdyby się ozwały wszystkie drzewa puszczy;
Tak dzieje się z rozmową: zwolna się pomyka,
Aż natrafi na przedmiot wielki, jak na dzika.
Dzikiem rozmów strzeleckich, był ów spór zażarty
Rejenta z Assessorem o sławne ich charty.
Krótko trwał, lecz zrobili wiele w jedną chwilę;
Bo razem wyrzucili słów i obelg tyle,
Że wyczerpnęli sporu zwyczajne trzy części,
Przycinki, gniew, wyzwanie — i szło już do pięści.

Więc ku nim z drugiej izby wszyscy się porwali,
I tocząc się przeze drzwi nakształt bystréj fali,
Unieśli młodą parę stojącą na progu,
Podobną Janusowi, dwóliceemu bogu.

Tadeusz s Telimeną nim na skroniach włosy
Poprawili, już groźne ucichły odgłosy,
Szmer zmieszany ze śmiechem śród ciżby się szerzył,
Nastąpił rozejm kłótni, kwestarz ją uśmierzył:
Człowiek stary, lecz krępy i bardzo pleczysty.
Właśnie kiedy Assessor podbiegł do Jurysty,

Gdy już sobie gestami grozili szermierze,
On raptem porwał obu s tyłu za kołnierze,
I dwakroć uderzywszy głowy obie mocne
Jedną o drugą jako jaja wielkonocne,
Roskrzyżował ramiona nakształt drogoskazu
I we dwa kąty izby rzucił ich od razu;
Chwilę z rosciągnionemi stał w miejscu rękami,
I Pax, pax, pax vobiscum krzyczał, pokój z wami!

Zdziwiły się, zaśmiały nawet strony obie:
Przez szacunek należny duchownéj osobie,
Nieśmiano łająć mnicha; a po takiéj probie
Nikt też niemiał ochoty zaczynać z nim zwadę,
Zaś kwestarz Robak skoro uciszył gromadę,
Widać było że wcale triumfu nieszukał,
Ani groził kłótnikom więcéj, ani fukał;
Tylko poprawił kaptur, i ręce za pasem
Zatknąwszy, wyszedł cicho s pokoju.

Tym czasem
Podkomorzy i Sędzia między dwiema strony
Plac zajęli. Pan Wojski jakby przebudzony

Z głębokiego dumania, na środek wystąpił,
Obiegał zgromadzenie ognistą źrenicą,
I gdzie szmer jeszcze słyszał, jak ksiądz kropielnicą,
Tam uciszając machał swą placką ze skóry;
Wreszcie podniosłszy trzonek s powagą do góry,
Jak laskę marszałkowską, nakazał milczenie.

Uciszcie się! powtarzał, miejcie też baczenie,
Wy co jesteście pierwsi myśliwi w powiecie,
Z gorszącéj kłótni waszéj co będzie? czy wiecie?
Oto młodzież na któréj Ojczyzny nadzieje,
Która ma wsławiać nasze ostępy i knieje,
Która niestety, i tak zaniedbuje łowy,
Może do ich wzgardzenia weźmie pochop nowy!
Widząc, że ci co innym mają dać przykłady,
Z łowów przynoszą tylko poswarki i zwady.
Miejcie też wzgląd powinny dla mych włosów siwych;
Bo znałem większych dawniéj niżli wy myśliwych,
A sądziłem ich nieraz sądem polubownym.
Któż był w lasach Litewskich Rejtanowi równym?
Czy obławę zaciągnąć, czy spotkać się ze źwierzem,
Kto z Białopiotrowiczem porówna się Jerzym?

Gdzie jest dziś taki strzelec jak szlachcic Żegota,
Co kulą s pistoletu w biegu trafiał kota?
Terajewicza znałem, co idąc na dziki
Niebrał nigdy innego oręża prócz piki!
Budrewicza co chodził z niedźwiedziem w zapasy:
Takich mężow widziały niegdyś nasze lasy!
Jeśli do sporu przyszło, jakże spór godzili?
Oto obrali sędziów, i zakład stawili.
Ogiński sto włók lasu raz przegrał o wilka,
Niesiołowskiemu borsuk kosztował wsi kilka!
I wy Panowie pójdźcie za starych przykładem,
I rostrzygnijcie spór wasz choć mniejszym zakładem.
Słowo wiatr, w sporach słownych nigdy nie masz końca,
Szkoda ust dłużej suszyć kłótnią o zająca;
Więc polubownych sędziów najpierwej obierzcie,
A co wyrzekną, temu sumiennie zawierzcie.
Ja uproszę Sędziego, ażeby niebronił
Dojeżdżaczowi, choćby po pszenicy gonił;
I tuszę że tę łaskę otrzymam od Pana:
To wyrzekłszy, Sędziego ścisnął za kolana.

« Konia, zawołał Rejent, stawię konia z rzędem,

I opiszę się jeszcze przed ziemskim urzędem,
Iż ten pierścień Sędziemu w salarium złożę.»
— « Ja, rzekł Assessor, stawię me złote obroże,
Jaszczurem wykładane s kółkami ze złota,
I smycz tkany jedwabny, którego robota
Równie cudna jak kamień, co się na nim świeci.
Chciałem ten sprzęt zostawić w dziedzictwie dla dzieci,
Jeślibym się ożenił : ten sprzęt mnie darował
Książe Dominik, kiedym z nim razem polował
I z marszałkiem Sanguszką księciem, z jenerałem
Mejenem, i gdy wszystkich na charty wyzwałem.
Tam bezprzykładną w dziejach polowania sztuką,
Uszczułem sześć zajęcy pojedynczą suką.
Polowaliśmy wtenczas na Kupiskiém błoniu ;
Książe Radziwił niemógł dosiedzieć na koniu ;
Ssiadł, i objąwszy sławną mą charcicę kanię,
Trzykroć jéj w samą głowę dał pocałowanie,
A potém trzykroć ręką klasnąwszy po pysku,
Rzekł, mianuję cię odtąd Księżną na Kupisku : —
Tak Napoleon daje wodzom swoim księstwa,
Od miejsc na których wielkie odnieśli zwycięstwa.

Telimena znudzona zbyt długiemi swary,
Chciała wyjść na dziedziniec, lecz szukała pary,
Wzięła koszyczek s kołka : « Panowie jak widzę,
Chcecie zostać w pokoju, ja idę na rydze ;
Kto łaska, proszę za mną » : rzekła — koło głowy
Obwijając czerwony szal kaszemirowy ;
Córeczkę Podkomorstwa wzięła w jedną rękę,
A drugą podchyliła do kostek sukienkę ;
Tadeusz milczkiem za nią na grzyby pośpieszył.

Zamiar przechadzki bardzo Sędziego ucieszył,
Widział sposób rozjęcia krzykliwego sporu,
A więc krzyknął : Panowie, po grzyby do boru !
Kto z najpięknieyszym rydzem do stołu przybędzie,
Ten obok najpiękniejszéj Panienki usiędzie ;
Sam ją sobie wybierze. Jeśli znajdzie dama,
Najpiękniejszego chłopca weźmie sobie sama.

KSIĘGA TRZECIA.

UMIZGI.

TREŚĆ.

Wyprawa Hrabi na sad—Tajemnicza nimfa gęsi pasie—Podobieństwo grzybo-brania do przechadzki cieniów elizeyskich—Gatunki grzybów—Telimena w świątyni dumania—Narady tyczące się postanowienia Tadeusza — Hrabia pejzażysta — Tadeusza uwagi malarskie nad drzewami i obłokami — Hrabiego mysli o sztuce—Dzwon—Bilecik—Niedźwiedź Mospanie!

Hrabia wracał do siebie lecz konia wstrzymywał,
Głową coraz w tył kręcił, w ogród się wpatrywał;
I raz mu się zdawało, że znowu z okienka
Błysnęła tajemnicza, bieluchna sukienka,
I coś lekkiego znowu upadło z wysoka,
I przeleciawszy cały ogród w mgnieniu oka,
Pomiędzy zielonemi świeciło ogórki:

Jako promień słoneczny wykradłszy się s chmurki,
Kiedy śród roli padnie na krzemienia skibę,
Lub śród zielonéj łąki w drobną wody szybę.

Hrabia ssiadł s konia, sługi odprawił do domu,
A sam ku ogrodowi ruszył pokryjomu;
Dobiegł wkrótce parkanu, znalazł w nim otwory,
I wcisnął się pocichu, jak wilk do obory;
Nieszczęściem trącił krzaki suchego agrestu.
Ogrodniczka jak gdyby zlękła się szelestu,
Oglądała się wkoło, lecz nie niespostrzegła;
Przecież ku drugiéj stronie ogrodu pobiegła.
A Hrabia bokiem, między wielkie końskie szczawie,
Między liście łopuchu, na rękach, po trawie,
Skacząc jak żaba, cicho, przyczołgał się blisko,
Wytknął głowę, i ujrzał cudne widowisko.

W téj części sadu, rosły tu i ówdzie wiśnie,
Śród nich zboże, w gatunkach zmieszanych umyślnie:
Pszenica, kukuruza, bob, jęczmień wąsaty,
Proso, groszek, a nawet krzewiny i kwiaty.
Domowemu to ptastwu, taki ochmistrzyni

Wymyśliła ogródek: sławna gospodyni,
Zwała się Kokosznicka, z domu Jendykowi-
czówna; jéj wynalazek epokę stanowi
W domowém gospodarstwie; dziś powszechnie znany,
Lecz w owych czasach jeszcze za nowość podany,
Przyjęty pod sekretem od niewielu osób,
Nim go wydał kalendarz, pod tytułem: *Sposób*
Na jastrzębie i kanie, albo nowy środek
Wychowywania drobiu — był to ów ogrodek.

Jakoż zaledwie kogut co odprawia warty
Stanie, i nieruchomie dzierżąc dziob zadarty,
I głowę grzebieniastą pochyliwszy bokiem,
Aby tém łacniéj w niebo mógł celować okiem,
Dostrzeże wiszącego jastrzębia śród chmury;
Krzyknie: zaraz w ten ogród chowają się kury,
Nawet gęsi i pawie, i w nagłym przestrachu
Gołębie gdy niemogą schronić się na dachu.

Teraz w niebie żadnego niewidziano wroga,
Tylko skwarzyła słońca letniego pożoga,
Od niéj ptaki w zbożowym ukryły się lasku;

Tamte leżą w murawie, te kąpią się w piasku.

Sród ptaszych głów sterczały główki ludzkie małe,
Odkryte; włosy na nich krótkie, jak len białe;
Szyje nagie do ramion, a pomiędzy niemi
Dziewczyna głową wyższa, z włosami dłuższemi;
Tuż za dziećmi paw siedział, i piór swych obręcze
Szeroko rosprzestrzenił w różnofarbną tęczę,
Na której główki białe jak na tle obrasku,
Rzucone w ciemny błękit, nabierały blasku,
Obrysowane w koło kręgiem pawich oczu
Jak wiankiem gwiazd, świeciły w zbożu jak w przezroczu
Pomiędzy kukuruzy złocistemi laski,
I angielską trawicą posrebrzaną w paski,
I szczyrem koralowym, i zielonym ślazem,
Których kształty i barwy mieszały się razem,
Niby krata ze srebra i złota pleciona
A powiewna od wiatru jak lekka zasłona.

Nad gęstwą różnofarbnych kłosów i badylów
Wisiała jak baldakim jasna mgła motylów,
Zwanych babkami, których poczwórne skrzydełka

Lekkie jak pajęczyna, przejrzyste jak szkiełka,
Gdy w powietrzu zawisną zaledwo widome,
I chociaż brzęczą, myślisz że są nieruchome.

Dziewczyna powiewała podniesioną w ręku
Szarą kitką, podobną do piór strusich pęku,
Nią zdała się oganiać główki niemowlęce
Od złotego motylów deszczu — w drugiej ręce
Coś u niéj rogatego, złocistego świeci,
Zdaje się że naczynie do karmienia dzieci:
Bo je zbliżała dzieciom do ust po kolei,
Miało zaś kształt złotego rogu Amaltei.

Tak zatrudniona, przecież obracała głowę
Na pamiętne szelestem krzaki agrestowe,
Niewiedząc, że napastnik już s przeciwnéj strony
Zbliżył się czołgając jak wąż przez zagony;
Aż wyskoczył z łopucha, spóyrzała, — stał blisko,
O cztery grzędy od niéj i kłaniał się nisko.
Już głowę odwróciła i wzniosła ramiona,
I zrywała się lecieć jak kraska spłoszona,
I już lekkie jéj stopy wionęły nad liściem,

Kiedy dzieci przelękłe podróżnego wniściem
I ucieczką dziewczyny, wrzasnęły okropnie;
Posłyszała, uczuła że jest nierostropnie
Dziatwę małą, przelękłą i samą porzucić:
Wracała wstrzymując się, lecz musiała wrócić,
Jak niechętny duch, wróżka przyzwany zaklęciem;
Przybiegła z najkrzykliwszém bawić się dziecięciem,
Siadła przy niém na ziemi, wzięła je na łono,
Drugie głaskała ręką i mową pieszczoną;
Aż się uspokoiły, objąwszy w rączęta
Jéj kolana i tuląc główki jak pisklęta
Pod skrzydło matki. Ona rzekła: czy to pięknie
Tak krzyczeć? czy to grzecznie? ten Pan was się zlęknie,
Ten Pan nieprzyszedł straszyć, to nie dziad szkaradny,
To gość, dobry Pan, patrzcie tylko jaki ładny.

Sama spójrzała: Hrabia uśmiechnął się mile,
I widocznie był wdzięczen jéj za pochwał tyle;
Postrzegła się, umilkła, oczy opuściła,
I jako róży pączek cała się spłoniła.

W istocie był to piękny Pan: słusznéj urody,

Twarz miał pociągła, blade lecz świeże jagody,
Oczy modre, łagodne, włos długi, białawy;
Na włosach, listki ziela i kosmyki trawy,
Które Hrabia oberwał pełznąc przez zagony,
Zieleniły się jako wieniec rospleciony.

« O ty, rzekł, jakiémkolwiek uczczę cię imieniem,
Bóstwem jesteś czy Nimfą, duchem czy widzeniem!
Mów! własnali cię wola na ziemię sprowadza,
Obcali więzi ciebie na padole władza?
Ach domyślam się — pewnie wzgardzony miłośnik
Jaki Pan możny, albo opiekun zazdrośnik,
W tym cię parku zamkowym jak zakletą strzeże!
Godna by o cię bronią walczyli rycerze,
Byś została romansów heroiną smutnych!
Odkryj mi Piękna tajnie twych losów okrutnych!
Znajdziesz wybawiciela — odtąd twém skinieniem,
Jak rządzisz sercem mojém, tak rządź mém ramieniem. »
Wyciągnał ramie—

Ona z rumieńcem dziewiczym
Ale z rozweselonćm słuchała obliczém :

Jak dziecie lubi widzieć obraski jaskrawe
I w liczmanach błyszczących znajduje zabawę,
Nim rozezna ich wartość, tak się słuch jéj pieści
Z dźwięcznemi słowy, których niepojęła treści.
Nakoniec zapytała: skąd tu Pan przychodzi?
I czego tu po grzędach szuka Pan Dobrodziéj?

Hrabia oczy rostworzył, zmieszany, zdziwiony,
Milczał; wreszcie zniżając swéj rozmowy tony,
Przepraszam, rzekł, Panienko! widzę żem pomieszał
Zabawy! ach przepraszam, jam właśnie pośpieszał
Na śniadanie; już późno, chciałem na czas zdążyć,
Panienka wié że drogą trzeba w koło krążyć,
Przez ogród zdaje mi się jest do dworu prościéj.
Dziewczyna rzekła: tędy droga Jegomości;
Tylko grząd psuć nietrzeba; tam między murawą
Scieszka — W lewo, zapytał Hrabia, czy na prawo?
Ogrodniczka podniosłszy błękitne oczęta,
Zdawała się go badać ciekawością zdjęta:
Bo dom o tysiąc kroków widny jak na dłoni,
A Hrabia drogi pyta? Ale Hrabia do niéj
Chciał koniecznie coś mówić i szukał powodu

Rozmowy—Panna mieszka tu? blisko ogrodu?
Czy na wsi? jakto było, żem Panny we dworze
Niewidział? czy niedawno tu? przyjezdna może?
Dziewczę wstrząsnęło głową;—Przepraszam Panienko,
Czy nie tam pokoj Panny, gdzie owe okienko?

Myślił zaś w duchu, jeśli niejest Heroiną
Romansów, jest młodziuchną, prześliczną dziewczyną.
Zbyt często wielka dusza, myśl wielka ukryta
W samotności, jak róża śród lasów roskwita;
Dosyć ją wynieść na świat, postawić przed słońcem
Aby widzów zdziwiła jasnych barw tysiącem!

Ogrodniczka tymczasem powstała w milczeniu,
Podniosła jedno dziécię zwisłe na ramieniu,
Drugie wzięła za rękę, a kilkoro przodem
Zaganiając jak gąski, szła daléj ogrodem.

Odwróciwszy się rzekła — czy też Pan niemoże
Rozbiegłe moje ptastwo wpędzić nazad w zboże?
— Ja ptastwo pędzać? krzyknął Hrabia z zadziwieniem;
Ona tymczasem znikła zakryta drzew cieniem.

Chwilę jeszcze s szpaleru przez majowe zwoje
Przeświecało coś na wskróś jakby oczu dwoje.

Samotny Hrabia długo jeszcze stał w ogrodzie:
Dusza jego jak ziemia po słońca zachodzie,
Ostygała powoli, barwy brała ciemne:
Zaczął marzyć, lecz sny miał bardzo nieprzyjemne.
Zbudził się, sam niewiedząc, na kogo się gniewał;
Niestety mało znalazł! nadto się spodziewał!
Bo gdy zagonem pełznął ku owéj pastérce,
Paliło mu się w głowie, skakało w nim serce;
Tyle wdzięków w tajemnéj nimfie upatrywał,
W tyle ją cudów ubrał, tyle odgadywał!
Wszystko znalazł inaczéj: prawda że twarz ładną,
Kibić miała wysmukłą, ale jak niesktadną!
A owa pulchność liców i rumieńca żywość
Malująca zbyteczną, prostacką szczęśliwość!
Znak że myśl jeszcze drzémie, że serce nieczynne:
I owe odpowiedzi, tak wiejskie, tak gminne!
Pocóż się łudzić, krzyknął, zgaduję, po czasie!
Moja nimfa tajemna pono gęsi pasie!

Z Nimfy zniknieniem całe czarowne przezrocze
Zmieniło się: te wstęgi, te kraty urocze
Złote, srebrne, niestety! więc to była słoma?

Hrabia z załamanemi poglądał rękoma
Na snopek uwiązanéj trawami mietlicy,
Którą brał za pęk strusich piór w ręku dziewicy.
Niezapomniał naczynia: złocista konewka,
Ow rożek Amaltei, była to marchewka!
Widział ją w ustach dziecka pożeraną chciwie:
Więc było po uroku! po czarach! po dziwie!

Tak chłopiec kiedy ujrzy cykoryi kwiaty
Wabiące dłoń miękkiemi, lekkiemi bławaty,
Chce je pieścić, zbliża się, dmuchnie, i s podmuchem
Cały w wiatr na powietrzu rozleci się puchem,
A w ręku widzi tylko badacz zbyt ciekawy
Nagą łodygę szarozielonawéj trawy.

Hrabia wcisnął na oczy kapelusz i wracał
Tamtędy kędy przyszedł, ale drogę skracał,
Stąpając po jarzynach, kwiatach i agreście,

Aż przeskoczywszy parkan odetchnął nareście!
Przypomniał że dziewczynie mówił o śniadaniu;
Może już wszyscy wiedzą o jego spotkaniu
W ogrodzie, blisko domu? może szukać wyślą?
Postrzegli że uciekał? kto wié co pomyślą?
Więc wypadało wrócić. Chyląc się u płotów
Około miedz i zielska, po tysiącach zwrotów
Rad był przecież że wyszedł w końcu na gościniec,
Który prosto prowadził na dworski dziedziniec.
Szedł przy płocie a głowę odwracał od sadu
Jak złodziej od śpichlerza, aby niedać śladu
Że go myśli nawiedzić, albo już nawiedził.
Tak Hrabia był ostróżny choć go nikt nieśledził;
Patrzył w stronę przeciwną ogrodu, na prawo.

Był gaj zrzadka zarosły, wysłany murawą,
Pojéj kobiercach, nawskroś białych pniów brzozowych,
Pod namiotem obwisłych gałęzi majowych,
Snuło się mnóstwo kształtów, których dziwne ruchy,
Niby tańce, i dziwny ubior: istne duchy
Błądzące po księżycu. Tamci w czarnych, ciasnych,
Ci w długich, rospuszczonych szatach, jak śnieg jasnych;

Tamten pod kapeluszem jak obręcz szerokim,
Ten z gołą głową; inni jak gdyby obłokiem
Obwiani, idąc, na wiatr puszczają zasłony
Ciągnące się za głową, jak komet ogony.
Każdy w innéj postawie: ten przyrosł do ziemi,
Tylko oczyma kręci na dół spuszczonemi,
Ów patrząc wprost przed siebie, niby senny kroczy
Jak po linie, ni wprawo, ni w lewo niezboczy;
Wszyscy zaś ciągle w różne schylają się strony
Aż do ziemi, jak gdyby wybijać pokłony.
Jeżeli się przybliżą albo się spotkają,
Ani mówią do siebie, ani się witają,
Głęboko zadumani, w sobie pogrążeni.
Hrabia widział w nich obraz Elizejskich cieni,
Które chociaż boleściom, troskom niedostępne,
Błąkają się spokojne, ciche, lecz posępne.

Któżby zgadnął że owi, tak mało ruchomi,
Owi milczący ludzie, są nasi znajomi?
Sędziowscy towarzysze! z hucznego śniadania
Wyszli na uroczysty obrzęd grzybo-brania:
Jako ludzie rozsądni, umieją miarkować

Mowy i ruchy swoje, aby je stosować
W każdej okoliczności do miejsca i czasu.
Dla tego, nim ruszyli za Sędzią do lasu,
Wzięli postawy, tudzież ubiory odmienne,
Służące do przechadzki opończe płócienne
Któremi osłaniają po wierzchu kontusze,
A na głowy słomianne wdziali kapelusze,
Stąd biali wyglądają, jak czyscowe dusze.
Młodzież także przebrana, oprócz Telimeny
I kilku po francusku chodzących.

Téj sceny
Hrabia niepojął, nieznał wiejskiego zwyczaju,
Więc zdziwiony niezmiernie biegł pędem do gaju.

Grzybów było w bród: chłopcy biorą krasnolice,
Tyle w pieśniach litewskich sławione *lisice*,
Co są godłem panieństwa: bo czerw ich niezjada
I dziwna, żaden owad na nich nieusiada.
Panienki za wysmukłym gonią *borowikiem*
Którego pieśń nazywa grzybów półkownikiem.
Wszyscy dybią na *rydza*; ten wzrostem skromniejszy

I mniej sławny w piosenkach, za to najsmaczniejszy,
Czy świeży, czy solony, czy jesiennéj pory,
Czy zimą. Ale Wojski zbierał *muchomory*.

Inne pospólstwo grzybów pogardzone w braku
Dla szkodliwości albo niedobrego smaku,
Lecz niesą bez użytku, one zwierza pasą
I gniazdem są owadów i gajów okrasą.
Na zielonym obrusie łąk, jako szeregi
Naczyń stołowych sterczą: tu s krągłemi brzegi
Surojadki srebrzyste, żołte i czerwone,
Niby czareczki rożném winem napełnione;
Koźlak jak przewrocone kubka dno wypukłe,
Lejki jako szampańskie kieliszki wysmukłe,
Bielaki krągłe, białe, szerokie i płaskie,
Jakby mlekiem nalane filiżanki saskie,
I kulista, czarniawym pyłkiem napełniona
Purchawka, jak pieprzniczka — zaś innych imiona
Znane tylko w zajęczym, lub wilczym języku,
Od ludzi nieochrzczone; a jest ich bez liku.
Ni wilczych ni zajęczych nikt dotknąć nieraczy,
A kto schyla się ku nim, gdy błąd swój obaczy,

Zagniewany, grzyb złamie, albo nogą kopnie;
Tak szpecąc trawę, czyni bardzo nierostropnie.

Telimena ni wilczych, ni ludzkich niezbiera,
Rostargniona, znudzona, do koła spoziera,
Z głową w górę zadartą. Więc Pan Rejent w gniewie
Mówił o niej, że grzybów szukała na drzewie;
Assessor ją złośliwiej, równał do samicy,
Która miejsca na gniazdo szuka w okolicy.

Jakoż zdała się szukać samotności, ciszy,
Oddalała się zwolna od swych towarzyszy,
I szła lasem na wzgórek pochyło wyniosły,
Ocieniony, bo drzewa gęściej na nim rosły.
Wśrodku szarzał się kamień; strumień s pod kamienia
Szumiał, tryskał, i zaraz, jakby szukał cienia
Chował się między gęste i wysokie zioła,
Które wodą pojone bujały do koła;
Tam ów bystry swawolnik spowijany w trawy
I liściem podesłany, bez ruchu, bez wrzawy,
Niewidzialny i ledwie dosłyszany szepce,
Jako dziecie krzykliwe złożone w kolebce,

Gdy matka nad niém zwiąże firanki majowe
I liścia makowego nasypie pod głowę:
Miejsce piękne i ciche, tu się często schrania
Telimena, zowiąc je *Swiątynią dumania.*

Stanąwszy nad strumieniem, rzuciła na trawnik
Z ramion, swój szal powiewny, czerwony jak krwawnik,
I podobna pływaczce, która do kąpieli
Zimnéj schyla się, nim się zanurzyć ośmieli,
Klęknęła i powoli chyliła się bokiem;
Wreszcie, jakby porwana korału potokiem,
Upadła nań i cała wzdłuż się rospostarła,
Łokcie na trawie, skronie na dłoniach oparła,
Z głową na dół skłonioną; na dole u głowy,
Błysnął francuskiéj książki papier welinowy;
Nad alabastrowemi stronicami księgi,
Wiły się czarne pukle i różowe wstęgi.

W szmaragdzie bujnych traw, na krwawnikowym szalu,
W sukni długiéj, jak gdyby w powłoce koralu,
Od któréj odbijał się włos z jednego końca,
Z drugiego czarny trzewik; po bokach błyszcząca

Snieżną pończoszką, chustką, białością rąk, lica,
Wydawała się zdala jak pstra gąsienica,
Gdy wpełźnie na zielony liść klonu.

Niestety !
Wszystkie tego obrazu wdzięki i zalety,
Darmo czekały znawców, nikt nieważał na nie,
Tak mocno zajmowało wszystkich grzybo-branie.
Tadeusz przecież zważał i w bok strzelał okiem,
I nieśmiejąc iść prosto, przysuwał się bokiem:
Jak strzelec gdy w ruchomej, gałęzistej szopie,
Usiadłszy na dwóch kołach, podjeżdża na dropie,
Albo na siewki idąc, przy koniu się kryje,
Strzelbę złoży na siodle lub pod końską szyję,
Niby to bronę włóczy, niby iedzie miedzą,
A coraz się przybliża kędy ptaki siedzą;
Tak skradał się Tadeusz.

Sędzia czaty zmieszał
I przeciąwszy mu drogę, do źródła pośpieszał.
Z wiatrem igrały białe poły szarafana,
I wielka chustka w pasie końcem uwiązana;

Słomiany, podwiązany kapelusz, od ruchu
Nagłego chwiał się z wiatrem jako liść łopuchu,
Spadając to na barki, to znowu na oczy;
W ręku ogromna laska: tak Pan Sędzia kroczy.
Schyliwszy się i ręce obmywszy w strumieniu,
Usiadł przed Telimeną na wielkim kamieniu,
I wsparłszy się oburącz na gałkę słoniową
Trzciny ogromnéj, s taką ozwał się przemową.

Widzi Aśćka od czasu jak tu u nas gości
Tadeuszek, niemało mam niespokojności;
Jestem bezdzietny, stary; ten dobry chłopczyna,
Wszakto moja na świecie pociecha jedyna,
Przyszły dziedzic fortunki mojéj. Z łaski nieba
Zostawię mu kęs niezły szlacheckiego chleba;
Już mu też czas obmyślić los, postanowienie:
Ale zważajno Aśćka moje utrapienie!
Wiesz że Pan Jacek brat mój, Tadeusza ociec
Dziwny człowiek, zamiarów jego trudno dociec,
Niechce wracać do kraju, Bóg wié gdzie się kryje,
Nawet niechce synowi oznajmić że żyje,
A ciągle nim zarządza. Naprzód w legiony

Chciał go posyłać; byłem okropnie zmartwiony
Potém zgodził się przecie by w domu pozostał
I żeby się ożenił. Jużbyć żony dostał;
Partyę upatrzyłem; nikt z obywateli
Niewyrówna z imienia ani z parenteli
Podkomorzemu; jego starsza córka Anna
Jest na wydaniu, piękna i posażna Panna.
Chciałem zagaić. — Na to Telimena zbladła,
Złożyła książkę, wstała nieco i usiadła.

Jak Mamę kocham, rzekła, czy to Panie bracie
Jest w tém sens jaki, czy wy Boga w sercu macie?
To myślisz Tadeusza zostać Dobrodziejem,
Jeśli młodego chłopca zrobisz grykosiejem!
Świat mu zawiążesz! wierz mi, kląć was kiedyś będzie!
Zakopać taki talent w lasach i na grzędzie!
Wierz mi, ile poznałam, pojętne to dziecie,
Warto, żeby na wielkim przetarło się świecie;
Dobrze brat zrobi gdy go do stolicy wyśle;
Naprzykład do Warszawy? lub wié brat co myślę,
Żeby do Peterburka? Ja pewnie téj zimy
Pojadę tam dla sprawy; razem ułożymy

Co zrobić s Tadeuszem; znam tam wiele osób,
Mam wpływy: to najlepszy kreacyi sposób.
Za mą pomocą znajdzie wstęp w najpierwsze domy,
A kiedy będzie ważnym osobom znajomy,
Dostanie urząd, order; wtenczas niech porzuci
Służbę, jeżeli zechce, niech do domu wróci,
Mając już i znaczenie i znajomość świata.
I cóż brat myśli o tém? — Jużci w młode lata,
Rzekł Sędzia, nieźle chłopcu trochę się przewietrzyć,
Obejrzeć się na świecie, między ludźmi przetrzéć;
Ja za młodu niemało świata objechałem,
Byłem w Piotrkowie, w Dubnie, to za trybunałem
Jadąc jako palestrant, to własne swe sprawy
Forytując, jeździłem nawet do Warszawy.
Człek niemało skorzystał! chciałbym i synowca
Wysłać pomiędzy ludzie, prosto jak wędrowca,
Jak czeladnika który terminuje lata
Ażeby nabył trochę znajomości świata.
Nie dla rang, ni orderów! proszę uniżenie,
Ranga moskiewska, order, cóż to za znaczenie?
Któryż to z dawnych Panów, ba nawet dzisiejszych,
Między szlachtą w powiecie niеco zamożniejszych,

Dba o podobne fraszki; przecież są w estymie
U ludzi, bo szanujem w nich ród, dobre imie,
Albo urząd, lecz ziemski, przyznany wyborem
Obywatelskim, nie zaś czyimś tam faworem. —

Telimena przerwała: « Jeśli brat tak myśli,
Tém lepiej, więc go jako wojażera wyślij. »

Widzi siostra, rzekł Sędzia, skrobiąc smutnie głowę
Chciałbym bardzo, cóż kiedy mam trudności nowe!
Pan Jacek niewypuszcza z opieki swej syna,
I przysłał mi tu właśnie na kark Bernardyna
Robaka, który przybył s tamtéj strony Wisły,
Przyjaciel brata, wszystkie wié jego zamysły;
A więc o Tadeusza już wyrzekli losie,
I chcą by się ożenił, aby pojął Zosię,
Wychowankę Wać Pani; oboje dostaną,
Oprocz fortunki mojéj, z łaski Jacka wiano
W kapitałach; wiesz Aśćka że ma kapitały
I z łaski jego mam też fundusz prawie cały,
Ma więc prawo rozrządzać — Aśćka pomyśl o tém
Żeby się to zrobiło najmniejszym kłopotem;

Trzeba ich s sobą poznać. Prawda, bardzo młodzi,
Szczególnie Zosia mała, lecz to nie nieszkodzi;
Czasby już Zośkę wreszcie wydobyć z zamknięcia,
Bo wszakci to już pono wyrasta z dziecięcia.

Telimena zdziwiona i prawie wylękła,
Podnosiła się coraz, na szalu uklękła,
Zrazu słuchała pilnie, potém dłoni ruchem
Przeczyła, ręką żwawo wstrząsając nad uchem,
Odpędzając jak owad nieprzyjemne słowa
Na powrót w usta mówcy —

« A! A! to rzecz nowa!
Czy to Tadeuszowi szkodzi czy nieszkodzi,
Rzekła z gniewem, sądź o tém sam W Pan Dobrodziéj,
Mnie nic do Tadeusza, sami o nim radźcie,
Zróbcie go ekonomem, lub w karczmie posadźcie,
Niech szynkuje lub z lasu niech źwierzynę znosi:
Z nim sobie co zechcecie zróbcie; lecz do Zosi?
Co Wać Państwu do Zosi? ja jéj ręką rządzę,
Ja sama. Że Pan Jacek dawał był pieniądze
Na wychowanie Zosi i że jéj wyznaczył

Małą pensyjkę roczną, więcej przyrzec raczył;
Toć jej jeszcze niekupił. Z resztą Państwo wiecie,
I dotąd jeszcze o tém wiadomo na świecie,
Że hojność Państwa dla nas nie jest bez powodu,
Winni coś Soplicowie dla Horeszków rodu.»
(Téj części mowy Sędzia słuchał z niepojętém
Pomieszaniem, żałością i widocznym wstrętem;
Jakby lękał się reszty mowy, głowę skłonił,
I ręką potakując, mocno się zapłonił.)

Telimena kończyła: byłam jéj piastunką,
Jestem krewną, jedyną Zosi opiekunką.
Nikt oprócz mnie niebędzie myślił o jéj szczęściu —
A jeśli ona szczęście znajdzie w tém zamęściu?
Rzekł Sędzia, wzrok podnosząc; jeśli Tadeusza
Podoba? — Czy podoba? to na wierzbie gruszka;
Podoba, niepodoba, a to mi rzecz ważna!
Zosia niebędzie, prawda, partya posażna,
Ale też niejest z lada wsi, lada szlachcianka,
Idzie z Jaśnie Wielmożnych, jest Wojewodzianka,
Rodzi się z Horeszkówny; małżonka dostanie!
Staraliśmy się tyle o jéj wychowanie!

Chybaby tu zdziczała — Sędzia pilnie słuchał
Patrząc w oczy; zdało się że się udobruchał,
Bo rzekł dosyć wesoło: no to i cóż robić,
Bóg widzi, szczérze chciałem interessu dobić;
Tylko bez gniewu, jeśli Aśćka się niezgodzi,
Aśćka ma prawo; smutno — gniewać się nie godzi;
Radziłem bo brat kazał, nikt tu nieprzymusza;
Gdy Aśćka rekuzuje Pana Tadeusza,
Odpisuję Jackowi że nie z mojéj winy,
Niedojdą Tadeusza z Zosią zaręczyny.
Teraz sam będę radzić; pono s Podkomorzym
Zagaimy swatostwo i resztę ułożym.

Przez ten czas Telimena ostygła z zapału:
« Ja nie nierekuzuję, braciszku, pomału!
Sam mówiłeś że jeszcze zawczesnie — zbyt młodzi —
Rospatrzmy się, czekajmy, nic to nieczaszkodzi,
Poznajmy s sobą Państwu młodych; będziem zważać,
Niemożna szczęścia drugich tak na traf narażać:
Ostrzegam tylko wcześnie, niech brat Tadeusza
Nienamawia, kochać się w Zosi nieprzymusza,
Bo serce niejest sługa, niezna co to pany,

I nieda się przemocą okuwać w kajdany. —

Zaczém Sędzia powstawszy odszedł zamyślony;
Pan Tadeusz s przeciwnéj przybliżył się strony,
Udając że szukanie grzybów tam go zwabia;
W tymże kierunku zwolna posuwa się Hrabia.

Hrabia podczas Sędziego sporów s Telimeną
Stał za drzewami, mocno zdziwiony tą sceną;
Dobył s kieszeni papier i ołówek, sprzęty
Które zawsze miał s sobą, i na pień wygięty
Rospiąwszy kartkę, widać że obraz malował,
Mówiąc sam s sobą: Jakbyś umyślnie grupował,
Ten na głazie, ta w trawie, grupa malownicza!
Głowy charakterowe! s kontrastem oblicza!

Podchodził, wstrzymywał się, lornetkę przecierał,
Oczy chustką obwiewał i coraz spozierał —
Miałożby to cudowne, śliczne widowisko
Zginąć albo zmienić się gdy podejdę blisko?
Ten aksamit traw, będzież to mak i botwinie?
W Nimfie téj czyż obaczę jaką ochmistrzynię?

Choć Hrabia Telimenę już dawniéj widywał
W domu Sędziego, w którym dosyć często bywał,
Lecz mało ją uważał; zadziwił się z razu
Rozeznając w niéj model swojego obrazu.
Miejsca piękność, postawy wdzięk i gust ubrania,
Zmieniły ją, zaledwo była do poznania.
W oczach świeciły jeszcze niezagasłe gniewy;
Twarz ożywiona wiatru świeżemi powiewy,
Sporem s Sędzią i nagłym przybyciem młodzieńców,
Nabrała mocnych, żywszych niż zwykłe rumieńców.

Pani, rzekł Hrabia, racz mej śmiałości darować,
Przychodzę i przepraszać i razem dziękować.
Przepraszać, że jej kroków śledziłem ukradkiem;
I dziękować, że byłem jéj dumania świadkiem;
Tyle ją obraziłem! winienem jéj tyle!
Przerwałem chwilę dumań: winienem ci chwile
Natchnienia! chwile błogie! potępiaj człowieka,
Ale sztukmistrz twojego przebaczenia czeka!
Na wielem się odważył, na więcéj odważę!
Sądź! tu ukląkł i podał swoje peizaże.

Telimena sądziła malowania proby
Tonem grzecznéj lecz sztukę znającéj osoby;
Skąpa w pochwały lecz nieszczędziła zachętu,
Brawo, rzekła, winszuję, niemało talentu.
Tylko Pan niezaniedbuj; szczególniéj potrzeba
Szukać pięknéj natury! O szczęśliwe nieba
Krajów włoskich! różowe Cezarów ogrody!
Wy klassyczne Tyburu spadające wody!
I straszne Pauzylipu skaliste wydroże!
To Hrabio kraj malarzów! u nas żal się Boże.
Dziecko muz w Soplicowie oddane na mamki
Umrze pewnie. Mój Hrabio, oprawię to w ramki,
Albo w Album umieszczę do rysunków zbiorku,
Które zewsząd skupiałam : mam ich dosyć w biorku.

Zaczęli więc rozmowę o niebios błękitach,
Morskich szumach, i wiatrach wonnych, i skał szczytach,
Mieszając tu i ówdzie, podróżnych zwyczajem,
Śmiéch i urąganie się nad oyczystym krajem.

A przecież w około nich ciągnęły się lasy
Litewskie! tak poważne, i tak pełne krasy! —

Czeremchy oplatane dzikich chmielów wieńcem,
Jarzębiny ze świeżym pasterskim rumieńcem,
Leszczyna jak menada z zielonemi berły,
Ubranemi jak w grona, w orzechowe perły;
A niżéj dziatwa lesna: głóg w objęciu kalin,
Ożyna czarne usta tuląca do malin.
Drzewa i krzewy liśćmi wzięły się za ręce,
Jak do tańca stojące panny i młodzieńce,
W koło pary małżonków. Stoi pośród grona
Para, nad całą lesną gromadą wzniesiona
Wysmukłością kibici i barwy powabem,
Brzoza biała, kochanka, z małżonkiem swym grabem.
A daléj jakby starce na dzieci i wnuki
Patrzą, siedząc w milczeniu, tu sędziwe buki,
Tam matrony topole, i mechami brodaty
Dąb włożywszy pięć wieków na swój kark garbaty,
Wspiera się jak na grobów połamanych słupach,
Na dębów, przodków swoich skamieniałych trupach.

Pan Tadeusz kręcił się nudząc niepomału
Długą rozmową, w któréj niemógł brać udziału;
Aż gdy zaczęto sławić cudzoziemskie gaje,

I wyliczać s kolei wszystkich drzew rodzaje :
Pomarańcze, cyprysy, oliwki, migdały,
Kaktusy, aloesy, mahonie, sandały,
Cytryny, bluszcz, orzechy włoskie, nawet figi,
Wysławiając ich kształty, kwiaty i łodygi,
Tadeusz nieprzestawał dąsać się i zżymać,
Nakoniec niemógł dłużej od gniewu wytrzymać.

Był on prostak, lecz umiał czuć wdzięk przyrodzenia,
I patrząc w las ojczysty, rzekł pełen natchnienia :
« Widziałem w botanicznym Wileńskim ogrodzie,
Owe sławione drzewa rosnące na wschodzie
I na połudaiu, w owéj pięknéj Włoskiéj ziemi;
Któreż równać się może z drzewami naszemi ?
Czy aloes z długiemi jak konduktor pałki?
Czy cytryna karlica z złocistemi gałki ?
Z liściem lakierowanym krótka i pękata,
Jako kobieta mała, brzydka, lecz bogata ?
Czy zachwalony cyprys długi, cienki, chudy!
Co zdaje się być drzewem nie smutku lecz nudy ;
Mówią że bardzo smutnie wygląda na grobie,
Jest to jak lokaj niemiec we dworskiéj żałobie,

Nieśmiejący rąk podnieść, ani głowy skrzywić,
Aby się etykiecie niczém niesprzeciwić.

Czyż niepiękniejsza nasza, poczciwa brzezina,
Która, jako wieśniaczka kiedy płacze syna
Lub wdowa męża, ręce załamie, rostoczy
Po ramionach do ziemi strumienie warkoczy!
Niema z żalu, postawą jak wymownie szlocha!
Czemuż Pan Hrabia, jeśli w malarstwie się kocha,
Niemaluje drzew naszych pośród których siedzi?
Prawdziwie, będą s Pana żartować sąsiedzi,
Że mieszkając na żyznéj Litewskiéj równinie,
Malujesz tylko jakieś skały i pustynie.

Przyjacielu, rzekł Hrabia! piękne przyrodzenie
Jest formą, tłem, materyą, a duszą natchnienie
Które na wyobraźni unosi się skrzydłach,
Poleruje się gustem, wspiera na prawidłach.
Niedość jest przyrodzenia, niedosyć zapału,
Sztukmistrz musi ulecieć w sfery ideału!
Niewszystko co jest piękne wymalować da się!
Dowiesz się o tém wszystkiem s książek w swoim czasie.

Co się tycze malarstwa : do obrazu trzeba
Punktów widzenia, grupy, ansemblu i nieba,
Nieba włoskiego! stąd też w kunszcie peizażów,
Włochy były, są, będą, ojczyzną malarzów.
Stąd też oprócz Brejgela, lecz nie Van der Helle
Ale pejzażysty (bo są dwaj Brejgele)
J oprócz Ruisdalla, na caléj północy
Gdzież był pejzażysta który pierwszéj mocy?
Niebios, niebios potrzeba. — Nasz malarz Orłowski,
Przerwała Telimena, miał gust Soplicowski.
(Trzeba wiedzieć że to jest Sopliców choroba,
Że im oprócz Ojczyzny nic się niepodoba)
Orłowski który życie strawił w Peterburku,
Sławny malarz, (mam jego kilka szkiców w biórku)
Mieszkał tuż przy Cesarzu, na dworze, jak w raju,
A nieuwierzy Hrabia jak tęsknił po kraju,
Lubił ciągle wspominać swéj młodości czasy,
Wystawiał wszystko w Polszczę: ziemię, niebo, lasy...

I miał rozum, zawołał Tadeusz z zapałem :
Te państwa niebo Włoskie, jak o niém słyszałem,
Błękitne, czyste, wszak to jak zamarzła woda ;

Czyż nie piękniejsze stokroć wiatr i niepogoda ?
U nas dość głowę podnieść, ileż to widoków!
Ileż scen i obrazów s samej gry obłoków!
Bo każda chmura inna : na przykład jesienna
Pełźnie jak żółw leniwa, ulewą brzemienna,
I z nieba aż do ziemi spuszcza długie smugi
Jak rozwite warkocze, to są deszczu strugi.
Chmura z gradem, jak balon szybko z wiatrem leci,
Krągła, ciemno-błękitna, w środku żółto świeci,
Szum wielki słychać w koło : nawet te codzienne,
Patrzcie Państwo, te białe chmurki, jak odmienne!
Z razu jak stada dzikich gęsi lub łabędzi,
A s tyłu wiatr jak sokoł do kupy je pędzi :
Sciskają się, grubieją, rosną, nowe dziwy!
Dostają krzywych karków, rospuszczają grzywy,
Wysuwają nóg rzędy, i po niebios sklepie
Przelatują jak tabun rumaków po stepie :
Wszystkie białe jak srebro, zmieszały się — nagle
Z ich karków rosną maszty, z grzyw szerokie żagle,
Tabun zmienia się w okręt i wspaniale płynie
Cicho, zwolna, po niebios błękitnej równinie!

Hrabia i Telimena poglądali w górę;
Tadeusz jedną ręką pokazał im chmurę,
A drugą ścisnął zlekka rączkę Telimeny;
Kilka już upłynęło minut cichéj sceny;
Hrabia rozłożył papier na swym kapeluszu,
I wydobył ołówek: wtém przykry dla uszu
Odezwał się dzwon dworski, i zaraz śród lasu
Cichego, pełno było krzyku i hałasu.

Hrabia kiwnąwszy głową, rzekł poważnym tonem:
Tak to na świecie wszystko los zwykł kończyć dzwonem.
Rachunki myśli wielkiéj, plany wyobraźni,
Zabawki niewinności, uciechy przyjaźni,
Wylania się serc czułych! gdy śpiż zdala ryknie,
Wszystko miesza się, zrywa, mąci się i niknie!
Tu obróciwszy czuły wzrok ku Telimenie,
« Cóż zostaje? » a ona mu rzekła: « wspomnienie »
I chcąc Hrabiego nieco ułagodzić smutek,
Podała mu urwany kwiatek niezabudek.
Hrabia go ucałował i na pierś przyśpilał,
Tadeusz z drugiéj strony krzak ziela rozchylał,
Widząc że się ku niemu tém zielem przewija

Coś białego, była to rączka jak lilija:
Pochwycił ją, całował, i usty po cichu
Utonął w niéj jak pszczoła w lilii kielichu;
Uczuł na ustach zimno; znalazł klucz i biały
Papier w trąbkę zwiniony, był to listek mały;
Porwał, schował w kieszenie, niewie co klucz znaczy,
Lecz mu to owa biała kartka wytłumaczy.

Dzwon wciąż dzwonił, i echem z głębi cichych lasów
Odezwało się tysiąc krzyków i hałasów;
Odgłos to był szukania i nawoływania,
Hasło zakończonego na dziś grzybo-brania,
Odgłos nie smutny wcale, ani pogrzebowy
Jak się Hrabiemu zdało, owszem obiadowy.
Dzwon ten w każde południe krzyczący s poddasza,
Gości i czeladź domu na obiad zaprasza:
Tak było w dawnych licznych dworach we zwyczaju,
I zostało się w domu Sędziego. Więc z gaju
Wychodziła gromada niosąca krobeczki,
Koszyki, uwiązane końcami chusteczki,
Pełne grzybów; a panny w jednym ręku niosły
Jako wachlarz zwiniony, *borowik* rozrosły,

W drugim związane razem, jakby polne kwiatki,
Opieńki, i rozliczněj barwy *Surojadki*.
Wojski miał muchomora. S próżnemi przychodzi
Rękami Telimena, z nią Panicze młodzi.

Goście weszli w porządku i stanęli kołem:
Podkomorzy najwyższe brał miejsce za stołem;
Z wieku mu i z urzędu ten zaszczyt należy,
Idąc kłaniał się starcom, damom i młodzieży;
Obok stał kwestarz; Sędzia tuż przy bernardynie.
Bernardyn zmówił krótki pacierz po łacinie,
Podano w kolej wódkę, zaczem wszyscy siedli,
I chołodziec litewski, milczkiem, żwawo jedli.

Obiadowano ciszěj niż się zwykle zdarza,
Nikt niegadał pomimo wezwań gospodarza.
Strony biorące udział w wielkiej o psów zwadzie
Myśliły o jutrzejszej walce i zakładzie;
Myśl wielka zwykle usta do milczenia zmusza.
Telimena mówiąca wciąż do Tadeusza,
Musiała ku Hrabiemu nieraz się się odwrócić,
Nawet na Assessora nieraz okiem rzucić:

Tak ptasznik patrzy w sidło kędy szczygły zwabia
I razem w pastkę wróblą. Tadeusz i Hrabia
Obadwa radzi s siebie, obadwa szczęśliwi,
Oba pełni nadziei, więc niegadatliwi.
Hrabia na kwiatek dumne opuszczał wejrzenie
A Tadeusz ukradkiem spozierał w kieszenie
Czy ów kluczyk nieuciekł, ręką nawet chwytał
I kręcił kartkę której dotąd nieprzeczytał.
Sędzia Podkomorzemu węgrzyna, szampana
Dolewał, służył pilnie, ściskał za kolana,
Ale do rozmawiania z nim niemiał ochoty
I widać, że czuł jakieś tajemne kłopoty.

Przemijały w milczeniu talerze i dania:
Przerwał nareszcie nudny tok obiadowania
Gość niespodziany, szybko wpadając gajowy;
Niezważał nawet że czas właśnie obiadowy,
Podbiegł do Pana; widać s postawy i z miny
Że ważnéj, i niezwykłéj jest posłem nowiny.
Ku niemu oczy całe zwróciło zebranie,
On odetchnąwszy nieco, rzekł: Niedźwiedź Mospanie!
Resztę wszyscy odgadli; że zwierz z *matecznika*

Wyszedł, że w Zaniemeńską puszczę się przemyka,
Że go trzeba wnet ścigać, wszyscy wraz uznali,
Choć ani się radzili, ani namyślali —
Spólną myśl widać było z uciętych wyrazów,
Z gestów żywych, z wydanych rozlicznych roskazów,
Które wychodząc tłumnie, razem z ust tak wielu
Dążyły przecież wszystkie do jednego celu.

Na wieś! zawołał Sędzia, hej konno, setnika,
Jutro na brzask obława, lecz na ochotnika;
Kto wystąpi z oszczepem, temu z robocizny
Wytrącić dwa szarwarki i pięć dni pańszczyzny.

Wskok, krzyknął Podkomorzy, okulbaczyć siwą,
Dobiedz w cwał do mojego dworu; wziąć co żywo
Dwie pijawki, które w całej okolicy słyną,
Pies zowie się Sprawnikiem, a suka Strapczyną;
Zakneblować im pyski, zawiązać je w miechu
J przystawić ie tutaj konno dla pośpiechu.
« Wańka! krzyknął na chłopca Assessor po rusku,
Tasak mój Sanguszkowski pociągnąć na brusku;

Wiesz, tasak co od Księcia miałem w podarunku;
Pas opatrzyć, czy kula jest w każdym ładunku.
« Strzelby, krzyknęli wszyscy, mieć na pogotowiu.
Assessor wołał ciągle ołowiu, ołowiu!
Formę do kul nam w torbie. — Do Księdza Plebana
Dać znać, dodał Pan Sędzia, żeby jutro zrana
Mszę miał w kaplicy leśnéj; króciuchna offerta
Za myśliwych, msza zwykła świętego Huberta.

Po wydanych roskazach nastało milczenie;
Każdy dumał i rzucał do koła wejrzenie,
Jak gdyby kogoś szukał; zwolna wszystkich oczy
Sędziwa twarz Wojskiego ciągnie i jednoczy:
Znak to był że szukają na przyszłą wyprawę
Wodza, i że Wojskiemu oddają buławę.
Wojski powstał, zrozumiał towarzyszów wolę,
I uderzywszy ręką poważnie po stole,
Pociągnął złocistego z zanadrza łańcuszka,
Na którym wisiał gruby zegarek jak gruszka.
Jutro rzekł, pół do piątéj, przy leśnéj kaplicy
Stawią się bracia strzelcy, wiara obławnicy.

Rzekł i ruszył od stołu, za nim szedł gajowy;
Oni obmyślić mają i urządzić łowy.

Tak wodze gdy na jutro bitwę zapowiedzą,
Żołnierze po obozie broń czyszczą i jedzą,
Lub na płaszczach i siodłach śpią próżni kłopotu;
A wodze śród cichego dumają namiotu.

Przerwał się obiad, dzień szedł na kowaniu koni,
Karmieniu psów, zbieraniu i czyszczeniu broni,
U wieczerzy zaledwo kto przysiadł do stoła;
Nawet strona Kusego s partyą Sokoła,
Przestała dawnym wielkim zatrudniać się sporem:
Pobrawszy się pod ręce Rejent z Assessorem
Wyszukują ołowiu. Reszta spracowana
Szła spać wcześnie, żeby przebudzić się z rana.

KSIĘGA CZWARTA.

DYPLOMATYKA
I ŁOWY.

TREŚĆ.

Zjawisko w papilotach budzi Tadeusza—Zapóźne postrzeżenie omyłki—Karczma—Emissaryusz—Zręczne użycie tabakiery zwraca dyskussye na właściwą drogę—Matecznik—Niedźwiedź—Niebezpieczeństwo Tadeusza i Hrabiego—Trzy strzały—Spor Sagalasówki s Sanguszkówką rosstrzygniony na stronę jednorórki Horeszkowskiej—Bigos—Wojskiego powieść o pojedynku Dowejki z Domejką, przerwana szczuciem kota—Koniec powieści o Dowejce i Domejce.

Rowienniki Litewskich wielkich kniaziów, drzewa
Białowieży, Switezi, Ponar, Kuszelewa!
Których cień spadał niegdyś na koronne głowy
Groźnego Witenesa, Wielkiego Mindowy,

I Giedymina, kiedy na Ponarskiéj górze
Przy ognisku myśliwskiem, na niedźwiedziéj skórze
Leżał, słuchając pieśni mądrego Lizdejki,
A Wilii widokiem i szumem Wilejki
Ukołysany marzył o wilku żelaznym;
I zbudzony, za bogów roskazem wyraźnym
Zbudował miasto Wilno, które w lasach siedzi,
Jak wilk pośrodku żubrów, dzików i niedźwiedzi.
S tego to miasta Wilna, jak z Rzymskiéj wilczycy
Wyszedł Kiejstut i Olgierd i Olgierdowicy,
Równie myśliwi wielcy jak sławni rycerze,
Czyli wroga ścigali, czyli dzikie źwierze.
Sen myśliwski nam odkrył tajnie przyszłych czasów,
Że Litwie trzeba zawsze żelaza i lasów.

Knieje! do was ostatni przyjeżdżał na łowy
Ostatni król co nosił kołpak Witoldowy,
Ostatni z Jagiellonów wojownik szczęśliwy,
I ostatni na Litwie monarcha myśliwy.
Drzewa moje ojczyste! jeśli niebo zdarzy
Bym was oglądał znowu przyjaciele starzy,
Czyli was znajdę jeszcze? czy dotąd żyjecie?

Wy, koło których niegdyś pełzałem jak dziecię:
Czy żyje wielki Baublis, w którego ogromie
Wiekami wydrążonym jakby w dobrym domie,
Dwónastu ludzi mogło wieczerzać za stołem?
Czy kwitnie gaj Mendoga pod farnym kościołem?
I tam na Ukrainie, czy się dotąd wznosi
Przed Hołowińskich domem, nad brzegami Rosi,
Lipa tak rozrośniona, że pod jéj cieniami
Sto młodzieńców, sto panien szło w taniec parami?

Pomniki nasze! ileż co rok was pożera
Kupiecka, lub rządowa, moskiewska siekiera!
Nie zostawia przytułku, ni leśnym śpiewakom,
Ni wieszczom, którym cień wasz tak miły jak ptakom.
Wszak lipa Czarnolaska, na głos Jana czuła,
Tyle rymów natchnęła! wszak ów dąb gaduła,
Kozackiemu wieszczowi tyle cudów śpiewa!

Ja ileż wam winienem o domowe drzewa!
Błahy strzelec uchodząc szyderstw towarzyszy,
Za chybioną źwierzyną, ileż w waszéj ciszy
Upolowałem dumań, gdy w dzikim ostępie

Zapomniawszy o łowach usiadłem na kępie,
A koło mnie srebrzył się, tu mech siwobrody,
Zlany granatem czarnéj, zgniecionéj jagody,
A tam się czerwieniły wrzosiste pagórki,
Strojne w brusznice, jakby w koralów paciorki —
W około była ciemność; gałęzie u góry
Wisiały jak zielone, gęste, niskie chmury,
Wicher kędyś nad sklepem szalał nieruchomym,
Jękiem, szumami, wyciem, łoskotami, gromem:
Dziwny, odurzający hałas! mnie się zdało
Że tam nad głową morze wiszące szalało.

Na dole jak ruiny miast: tu wywrot dębu
Wysterka z ziemi, nakształt ogromnego zrębu,
Na nim oparte jak ścian i kolumn obłamy,
Tam gałęziste kłody, tu wpół zgniłe tramy,
Ogrodzone parkanem traw: w środek tarasu
Zajrzeć straszno, tam siedzą gospodarze lasu,
Dziki, niedźwiedzie, wilki; u wrót leżą kości
Na pół zgryzione, jakichś nieostróżnych gości.
Czasem wymkną się w górę przez trawy zielenie
Jakby dwa wodotryski, dwa rogi jelenie,

I mignie między drzewa źwierz żółtawym pasem ,
Jak promień kiedy wpadłszy, gaśnie między lasem.

I znowu cichość w dole. Dzięcioł na jedlinie,
Stuka z lekka i dalej odlatuje, ginie,
Schował się, ale dziobem nieprzestaje pukać ,
Jak dziecko gdy schowane, woła by go szukać.
Bliżej siedzi wiewiórka, orzech w łapkach trzyma.
Gryzie go; zawiesiła kitkę nad oczyma,
Jak pióro nad szyszakiem u kirasyera;
Chociaż tak osłoniona, do koła spoziera ,
Dostrzegłszy gościa skacze gajów tanecznica,
Z drzew na drzewa , miga się jako błyskawica ;
Nakoniec w niewidzialny otwor pnia przepada,
Jak wracająca w drzewo rodzime Driada.
Znowu cicho.

W tém gałąź wstrzęsła się trącona ,
I pomiędzy jarzębin rozsunione grona,
Kraśniejsze od jarzębin zajaśniały lica ,
To jagod lub orzechów zbieraczka dziewica ;
W krobeczce s prostéj kory, podaje zebrane

Bruśnice świeże, jako jej usta rumiane;
Obok młodzieniec idzie, leszczynę nagina,
Chwyta w lot migające orzechy dziewczyna.

W tém usłyszeli odgłos rogów i psów granie,
Zgadują że się ku nim zbliża polowanie,
J pomiędzy gałęzi gęstwę, pełni trwogi
Zniknęli nagle z oczu, jako lesne bogi.

W Soplicowie ruch wielki : lecz ni psów hałasy,
Ani rżące rumaki, skrzypiące kolasy,
Ni odgłos trąb dających hasło polowania,
Nie mogły Tadeusza wyciągnąć s posłania;
Ubrany padłszy w łóżko, spał jak bobak w norze.
Nikt z młodzieży niemyślił szukać go po dworze,
Każdy sobą zajęty, śpieszył gdzie kazano :
O towarzyszu sennym całkiem zapomniano.

On chrapał : słońce w otwór, co śród okienicy
Wyrznięty był w kształt serca, wpadło do ciemnicy
Słupem ognistym, prosto sennemu na czoło;
On jeszcze chciał zadrzemać i kręcił się w koło

Chroniąc się blasku, nagle usłyszał stuknienie,
Przebudził się; wesołe było przebudzenie.
Czuł się rzeźwym jak ptaszek, z lekkością oddychał,
Czuł się szczęśliwym, sam się do siebie uśmiechał:
Myśląc o wszystkiém co mu wczora się zdarzyło,
Rumienił się, i wzdychał, i serce mu biło.

Spojrzał w okno, o dziwy! w promieni przezroczu,
W owém sercu, błyszczało dwoje jasnych oczu,
Szeroko otworzonych, jak zwykle wejrzenie
Kiedy z jasności dziennéj przedziera się w cienie;
Ujrzał i małą rączkę, niby wachlarz z boku
Nadstawioną ku słońcu dla ochrony wzroku,
Palce drobne zwrócone na światło różowe,
Czerwieniły się na wskróś jakby rubinowe;
Usta widział ciekawe, roztulone nieco,
I ząbki, co jak perły śród koralów świecą,
I lica, choć od słońca zasłaniane dłonią
Różową, same całe jak róże się płonią.

Tadeusz spał pod oknem; sam ukryty w cieniu
Leżąc nawznak cudnemu dziwił się zjawieniu,

I miał je tuż nad sobą, ledwie nie na twarzy,
Nie wiedział czy to jawa, czyli mu się marzy
Jedna s tych miłych, jasnych twarzyczek dziecinnych,
Które pomnim widziane we śnie lat niewinnych.
Twarzyczka schyliła się — ujrzał, drżąc z bojaźni
I radości, niestety! ujrzał najwyraźniej,
Przypomniał, poznał włos ów krótki, jasnozłoty,
W drobne, jako śnieg białe, zwity papiloty,
Niby srebrzyste strączki, co od słońca blasku
Świeciły się jak korona na świętych obrasku.

Zerwał się; i widzenie zaraz uleciało
Przestraszone łoskotem; czekał, niewracało!
Tylko usłyszał znowu trzykrotne stukanie
I słowa: « Niech Pan wstaje, czas na polowanie.
Pan zaspał. » Skoczył z łóżka i obu rękami
Pchnął okienicę, że aż trzasła zawiasami
I rozwarłszy się w obie uderzyła sciany;
Wyskoczył, patrzył w koło, zdumiony, zmieszany,
Nic niewidział, nie dostrzegł niczyjego śladu:
Niedaleko od okna był parkan od sadu,
Na nim chmielowe liście i kwieciste wieńce

Chwiały się ; czy je lekkie potrąciły ręce?
Czy wiatr ruszył? Tadeusz długo patrzył na nie,
Nieśmiał iść w ogród: tylko wsparł się na parkanie,
Oczy podniosł, i s palcem do ust przyciśnionym
Kazał sam sobie milczeć, by słowem kwapionem
Nie rozerwał myślenia; potém w czoło stukał,
Niby do wspomnień dawnych uśpionych w niém pukał,
Nakoniec gryząc palce do krwi się zadrasnął.
I na cały głos — dobrze, dobrze mi tak! — wrzasnął.

We dworze, gdzie przed chwilą tyle było krzyku,
Teraz pusto i głucho, jak na mogilniku:
Wszyscy ruszyli w pole; Tadeusz nadstawił
Uszu, i ręce do nich jak trąbki przyprawił,
Słuchał, aż mu wiatr przyniosł wiejący od puszczy,
Odgłosy trąb i wrzaski polującéj tłuszczy.

Koń Tadeusza w stajni czekał osiodłany,
Wziął więc flintę, skoczył nań, i jak opętany
Pędził ku karczmom które stały przy kaplicy,
Kędy mieli się rankiem zebrać obławnicy.

Dwie chyliły się karczmy po dwóch stronach drogi,
Oknami wzajem sobie grożące jak wrogi;
Stara należy s prawa do zamku dziedzica,
Nową na złość zamkowi postawił Soplica.
W tamtéj, jak w swém dziedzictwie rej wodził Gerwazy,
W téj najwyższe za stołem brał miejsce Protazy.

Nowa karczma niebyła ciekawa s pozoru.
Stara wedle dawnego zbudowana wzoru,
Który był wymyślony od Tyryjskich cieśli,
A potém go żydowie po świecie rozniéśli:
Rodzaj architektury, obcym budowniczym
Wcale nieznany; my go od żydów dziedziczym.

Karczma s przodu jak korab', s tyłu jak świątynia:
Korab', istna Noego czworogranna skrzynia,
Znany dziś pod prostackiém nazwiskiem stodoły;
Tam różne są zwierzęta, konie, krowy, woły,
Kozy brodate; w górze zaś ptastwa gromady,
I płazów choć po parze, są też i owady.
Część tylnia nakształt dziwnéj świątyni stawiona
Przypomina s pozoru ów gmach Salomona,

Który pierwsi ćwiczeni w budowań rzemieśle
Hiramscy na Syonie wystawili cieśle.
Żydzi go naśladują dotąd we swych szkołach,
A szkoł rysunek widny w karczmach i stodołach.
Dach z dranic i ze słomy, śpiczasty, zadarty,
Pogięty jako kołpak żydowski podarty.
Ze szczytu wytryskują krużganku krawędzie,
Oparte na drewnianym licznych kolumn rzędzie;
Kolumny, co jest wielkie architektów dziwo,
Trwałe, chociaż wpół zgniłe, i stawione krzywo
Jako w wieży Pizańskiej, nie podług modelów
Greckich, bo są bez podstaw i bez kapitelów.
Nad kolumnami biegą wpółokrągłe łuki,
Także z drzewa, gotyckiej naśladowstwo sztuki.
Z wierzchu ozdoby sztuczne, nie rylcem, nie dłótem,
Ale zręcznie ciesielskim wyrzezane sklutem,
Krzywe jak szabasowych ramiona świeczników;
Na końcu wiszą gałki, cóś nakształt guzików,
Które żydzi modląc się na łbach zawieszają,
I które po swojemu, cyces nazywają.
Słowem zdaleka karczma chwiejąca się, krzywa,
Podobna jest do żyda, gdy się modląc kiwa;

Dach jak czapka, jak broda strzecha rostrzęśniona,
Sciany dymne i brudne jak czarna opona,
A s przodu rzeźba sterczy jak cyces na czole.

W środku karczmy jest podział jak w żydowskiéj szkole,
Jedna część pełna izbic ciasnych i podłużnych,
Służy dla dam wyłącznie i panów podróżnych;
W drugiéj ogromna sala. Koło każdej ściany
Ciągnie się wielonożny stół wąski drewniany,
Przy nim stołki choć niższe, podobne do stoła,
Jako dzieci do ojca.

Na stołkach do koła
Siedziały chłopy, chłopki, tudzież szlachta drobna,
Wszyscy rzędem; ekonom sam siedział z osobna.
Po rannej mszy s kaplicy, że była niedziela,
Zabawić się i wypić przyszli do Jankiela.
Przy każdym już szumiała siwą wódką czarka,
Po nad wszystkimi z butlą biegała szynkarka.
W środku arędarz Jankiel, w długim aż do ziemi
Szarafanie zapiętym haftkami srebrnemi,
Rękę jedną za czarny pas jedwabny wsadził,

Druga poważnie sobie siwą brodę gładził;
Rzucając w koło okiem roskazy wydawał,
Witał wchodzących gości, przy siedzących stawał
Zagajając rozmowę, kłótliwych zagadzał,
Lecz nie służył nikomu; tylko się przechadzał.
Żyd stary i powszechnie znany s poczciwości,
Od lat wielu dzierżawił karczmę, a nikt z włości
Nikt ze szlachty niezaniosł nań skargi do dworu;
O cóż skarżyć? miał trunki dobre do wyboru,
Rachował się ostróżnie lecz bez oszukaństwa,
Ochoty niezabraniał, nie cierpiał pijaństwa:
Zabaw wielki miłośnik; u niego wesele
I chrzciny obchodzono; on w każdą niedzielę
Kazał do siebie ze wsi przychodzić muzyce,
Przy której i basetla była i kozice.

Muzykę znał, sam słynął muzycznym talentem;
S cymbałami, narodu swego instrumentem,
Chadzał niegdyś po dworach i graniem zdumiewał
I pieśniami, bo biegle i uczenie śpiewał.
Chociaż żyd dosyć czystą miał polską wymowę,
Szczególniej zaś polubił pieśni narodowe;

Przywoził mnóstwo s każdéj za Niemen wyprawy,
Kołomyjek z Halicza, mazurów z Warszawy;
Wieść, niewiem czyli pewna, w całéj okolicy
Głosiła, że on pierwszy przywiozł z zagranicy
I upowszechnił wówczas, w tamecznym powiecie,
Ową piosenkę, sławną dziś na całym świecie,
A którą po raz pierwszy na ziemi Auzonow
Wygrały Włochom polskie trąby legionów.
Talent spiewania bardzo na Litwie popłaca,
Jedna miłość u ludzi, wsławia i wzbogaca :
Jankiel zrobił majątek ; syt zysków i chwały
Zawiesił dźwięcznostronne na scianie cymbały ;
Osiadłszy z dziećmi w karczmie, zatrudniał się szynkiem,
Przy tém w pobliskiém mieście był też podrabinkiem,
A zawsze miłym wszędzie gościem , i domowym
Doradzcą; znał się dobrze na handlu zbożowym ,
Na wicinnym : potrzebna jest znajomość taka
Na wsi. — Miał także sławę dobrego Polaka.

On pierwszy zgodził kłótnie często nawet krwawe
Między dwiema karczmami , obie wziął w dzierżawę ;
Szanowali go równie i starzy stronnicy

Horeszkowscy i słudzy sędziego Soplicy.
On sam powagę umiał utrzymać nad groźnym
Klucznikiem Horeszkowskim i kłotliwym Woźnym;
Przed Jankielem tłumili dawne swe urazy,
Gerwazy groźny ręką, językiem Protazy.

Gerwazego niebyło; ruszył na obławę,
Niechcąc aby tak ważną i trudną wyprawę
Odbył sam Hrabia, młody i niedoświadczony;
Poszedł więc z nim dla rady, tudzież dla obrony.

Dziś miejsce Gerwazego najdalsze od progu,
Między dwiema ławami, w samym karczmy rogu,
Zwane *pokuciem*, kwestarz ksiądz Robak zajmował:
Jankiel go tam posadził; widać że szanował
Wysoko Bernardyna, bo skoro dostrzegał
Ubytek w jego szklance, natychmiast podbiegał
I roskazał dolewać lipcowego miodu.
Słychać, że z Bernardynem znali się za młodu
Kędyś tam w cudzych krajach. Robak często chadzał
Nocą do karczmy, tajnie z żydem się naradzał
O ważnych rzeczach; słychać było że towary

Ksiądz przemycał, lecz potwarz ta niegodna wiary.

Robak wsparty na stole, wpółgłośno rosprawiał,
Tłum szlachty go otaczał i uszy nadstawiał,
I nosy ku księdzowskiéj chylił tabakierze;
Brano z niéj, i kichała szlachta jak możdzerze.

« Rewerendissime, rzekł kichnąwszy Skołuba,
To mi tabaka, co to idzie aż do czuba;
Od czasu jak nos dźwigam (tu głasnął nos długi)
Takiéj niezażywałem (tu kichnął raz drugi)
Prawdziwa Bernardynka, pewnie s Kowna rodem,
Miasta sławnego w świecie tabaką i miodem.
Byłem tam lat już — Robak przerwał mu « na zdrowie
Wszystkim Waszmościom, moi Mościwi Panowie;
Co się tabaki tyczy, hem, ona pochodzi
Z dalszéj strony niż myśli Skołuba Dobrodziéj;
Pochodzi z Jasnéj Góry; Xięża Paulinowie
Tabakę taką robią w mieście Częstochowie,
Kędy jest obraz tylu cudami wsławiony,
Bogarodzicy Panny, Królowéj korony
Polskiéj; zowią ją dotąd i Księżną Litewską!

Koronęć jeszcze dotąd piastuje królewską,
Lecz na Litewskićm Księstwie teraz syzma siedzi! »
— S Częstochowy? rzekł Wilbik, byłem tam wspowiedzi,
Kiedym na odpust chodził lat temu trzydzieście;
Czy to prawda że Francuz gości teraz w mieście,
Że chce kościoł rozwalać, i skarbiec zabierze,
Bo to wszystko w Litewskim stoi Kurierze?
—Nieprawda rzekł Bernardyn, nie, Pan Najjaśniejszy
Napoleon katolik jest najprzykładniejszy;
Wszak go papież namaścił, żyją s sobą w zgodzie
I nawracają ludzi w francuskim narodzie,
Który się trochę popsuł; prawda s Częstochowy
Oddano wiele srebra na skarb narodowy
Dla Ojczyzny, dla Polski, sam Pan Bóg tak także,
Skarbcem Ojczyzny zawsze są jego ołtarze;
Wszakże w Warszawskićm Księstwie mamy sto tysięcy
Wojska polskiego, może wkrótce będzie więcéj,
A któż wojsko opłaci? czy nie wy Litwini,
Wy tylko grosz dajecie do Moskiewskiéj skrzyni.
—Kat by dał, krzyknął Wilbik, gwałtem od nas biorą.
— Oj dobrodzieju, chłopek ozwał się s pokorą,
Pokłoniwszy się księdzu i skrobiąc się w głowę,

Już to szlachcie, to jeszcze bieda przez połowę,
Lecz nas drą jak na łyka — Cham, Skołuba krzyknął,
Głupi, tobieć to lepiej, tyś chłopie przywyknął
Jak węgórz do odarcia ; lecz nam *urodzonym* ,
Nam wielmożnym, do złotych swobód wzwyczajonym!
Ach bracia! wszak to dawniej szlachcic na zagrodzie!
— (Tak, tak, krzyknęli wszyscy: rowny wojewodzie!)
Dziś nam szlachectwa przeczą, każą nam drabować
Papiery, i szlachectwa papierem probować.
— Jeszcze Waszeci mniejsza, zawołał Juraha,
Waszeć s pradziadów chłopów uszlachcony szłaha,
Ale ja, s kniaziów! pytać u mnie o patenta ,
Kiedym został szlachcicem ? sam Bóg to pamięta!
Niechaj Moskal w las idzie pytać się dębiny
Kto jej dał patent rosnąć nad wszystkie krzewiny.
—Kniaziu, rzekł Żagiel, świeć Waść baki lada komu,
Tu znajdziesz pono mitry i w niejednym domu.
—Waść ma krzyż w herbie, wołał Podhajski, to skryta
Aluzya, że w rodzie bywał neofita.
— Fałsz, przerwał Birbarz, przecież ja s tatarskich Hrabiów
Pochodzę, a mam krzyże nad herbem korabiów.
—Poraj, krzyknął Mickiewicz, z mitrą w polu złotem,

Herb Książęcy, Stryjkowski gęsto pisze o tém.

Za czém wielkie powstały w całej karczmie szmery;
Ksiądz Bernardyn uciekł się do swéj tabakiery,
W koléj częstował mówców, gwar zaraz ucichnął,
Każdy zażył przez grzeczność i kilkakroć kichnął;
Bernardyn korzystając s przerwy, mówił daléj:
— Oj wielcy ludzie od téj tabaki kichali!
Czy uwierzycie Państwo, że s téj tabakiery,
Pan jenerał Dąbrowski zażył razy cztery?
— Dąbrowski? zawołali — Tak, tak, on jenerał;
Byłem w obozie gdy on Gdańsk Niemcom odbierał,
Miał coś pisać, bojąc się ażeby nie zasnął,
Zażył, kichnął, dwakroć mię po ramieniu klasnął;
Księże Robaku mówił, Księże Bernardynie,
Obaczymy się w Litwie może nim rok minie,
Powiedz Liwinom niech mnie czekają s tabaką
Częstochowską, niebiorę innéj tylko taką.

Mowa Księdza wzbudziła takie zadziwienie,
Taką radość, że całe liczne zgromadzenie
Milczało chwilę; potém napół ciche słowa

Powtarzano : tabaka s Polski ? Częstochowa ?
Dąbrowski ? z ziemi włoskiej ? aż nakoniec razem,
Jakby myśl z myślą, wyraz sam zbiegł się z wyrazem,
Wszyscy jednogłośnie jak na dane hasło
Krzyknęli : Dąbrowskiego ! wszystko razem wrzasło,
Wszystko się uścisnęło : chłop s tatarskim Hrabią,
Mitra s Krzyżem, Poraje z Gryfem i s Korabią;
Zapomnieli wszystkiego, nawet Bernardyna,
Tylko śpiewali krzycząc : wódki, miodu, wina!

Długo się przysłuchiwał Ksiądz Robak piosence,
Nakoniec chciał ją przerwać ; wziął w obiedwie ręce
Tabakierkę, kichaniem melodyę zmieszał,
I nim się nastroili, tak mówić pośpieszał :
Chwalicie mą tabakę Mości Dobrodzieje,
Obaczcież co się wewnątrz tabakierki dzieje.
Tu wycierając chustką zabrudzone denko,
Pokazał malowaną armią malenką
Jak rój much; w środku jeden człowiek na rumaku,
Wielki jako chrząszcz siedział, pewnie wódz orszaku ;
Spinał konia jak gdyby chciał skakać w niebiosa,
Jednę rękę na cuglach, drugą miał u nosa :

Przypatrzcie się, rzekł Robak, tej groźnej postawie,
Zgadnijcie czyja? —Wszyscy patrzyli ciekawie,—
Wielki to człowiek, cesarz, ale nie Moskali,
Ich Carowie tabaki nigdy niebierali.
— Wielki człowiek, zawołał Cydzik, a w kapocie?
Ja myśliłem że wielcy ludzie chodzą w złocie,
Bo u Moskalów lada jenerał Mospanie,
To tak świeci się w złocie, jak szczupak w szafranie;
—Ba, przerwał Rymsza; przecież widziałem za młodu
Kościuszkę, naczelnika naszego narodu:
Wielki człowiek! a chodził w krakowskiej sukmanie,
To jest czamarce; — w jakiej czamarce, Mospanie?
Odparł Wilbik, to przecież zwano taratatką;
— Ale tamta s frężlami, ta jest całkiem gładką,
Krzyknął Mickiewicz; — za tém wszczynały się swary
O rożnych taratatki kształtach i czamary.

Przemyślny Robak widząc, że się tak rospryska
Rozmowa, jął ją znowu zbierać do ogniska,
Do swojéj tabakiery; częstował, kichali,
Życzyli sobie zdrowia, on rzecz ciągnął daléj:
— Gdy Cesarz Napoleon w potyczce zażywa

Raz po raz, to znak pewny że bitwę wygrywa :
Na przykład pod Austerlic; Francuzi tak stali
Z armatami, a na nich biegła ćma Moskali;
Cesarz patrzył i milczał; co Francuzi strzelą,
To Moskale półkami jak trawa się ścielą.
Półk za półkiem cwałował i spadał s kulbaki;
Co półk spadnie, to Cesarz zażyje tabaki;
Aż w końcu Alexander ze swoim braciszkiem
Konstantym, i z niemieckim cesarzem Franciszkiem,
W nogi s pola; więc Cesarz widząc że po walce,
Spojrzał na nich, zaśmiał się i otrząsnął palce.
Otoż jeśli kto s Panów coście tu przypomni
Będzie w wojsku Cesarza, niech to sobie wspomni.

Ach! zawołał Skołuba, mój księże kwestarzu!
Kiedyż to będzie! wszak to ile w kalendarzu
Jest świąt, na każde święto Francuzów nam wróżą,
Wygląda człek, wygląda, aż się oczy mróżą,
A Moskal jak nas trzymał, tak trzyma za szyję,
Pono nim słońce wnidzie, rosa oczy wyjje.

Mospanie, rzekł Bernardyn, babska rzecz narzekać,

A żydowska rzecz ręce założywszy czekać
Nim kto w karczmę zajedzie i do drzwi zapuka;
Z Napoleonem pobić Moskalów nie sztuka.
Już ci on Szwabom skórę trzy razy wymłócił,
Brzydkie Prusactwo zdeptał, Anglików wyrzucił
Het za morze, Moskalom zapewne wygodzi;
Ale co stąd wyniknie, wie Asan Dobrodziej?
Oto szlachta Litewska wtenczas na koń wsiędzie
I szable weźmie, kiedy bić się s kim nie będzie;
Napoleon sam wszystkich pobiwszy, nareszcie
Powie, obejdę się ja bez was, kto jesteście?
Więc nie dość gościa czekać, nie dość i zaprosić,
Trzeba czeladkę zebrać i stoły pownosić,
A przed ucztą potrzeba dom oczyścić s śmieci,
Oczyścić dom powtarzam, oczyścić dom, dzieci!
Nastąpiło milczenie, potém głosy w tłumie:
Jakże to dom oczyścić, jakto ksiądz rozumie?
Już ci my wszystko zrobim, na wszystko gotowi,
Tylko niech Ksiądz Dobrodziej, jaśniej się wysłowi.

Ksiądz poglądał za okno, przerwawszy rozmowę,
Ujrzał coś ciekawego, z okna wytknął głowę,

Po chwili rzekł powstając : dziś czasu niemamy,
Potém o tém obszerniéj s sobą pogadamy;
Jutro będę dla sprawy w powiatowém mieście
J do Waszmościów z drogi zajadę po kweście.

Niech też do Niebrymowa Ksiądz na nocleg zdąży,
Rzekł Ekonom, rad będzie Księdzu Pan Chorąży;
Wszakże na Litwie stare powiada przysłowie :
Szczęśliwy człowiek , jako kwestarz w Niebrymowie!
I do nas rzekł Zubkowski , wstąp jeżeli łaska,
Znajdzie się tam półsztuczek płutna, masła faska,
Baran lub krówka, wspomnij księże na te słowa :
Szczęśliwy człowiek, trafił, jak ksiądz do Zubkowa.
I do nas rzekł Skołuba, do nas Terajewicz,
Żaden Bernardyn głodny nie wyszedł s Puccwicz.
Tak cała szlachta prośbą i obietnicami
Przeprowadzała Księdza; on już był za drzwiami.

On już pierwéj przez okno ujrzał Tadeusza
Który leciał gościńcem , w cwał, bez kapelusza,
Z głową schyloną, bladém, posępném obliczem,
A konia ustawicznie bodł i kropił biczem.

Ten widok bardzo Księdza Bernardyna zmieszał,
Więc za młodzieńcem kroki szybkiemi pośpieszał
Do wielkiéj puszczy, która jako oko sięga
Czerniła się na całym brzegu widnokręga.

Któż zbadał puszcz litewskich przepastne krainy,
Aż do samego środka, do jądra gęstwiny?
Rybak ledwie u brzegów nawiedza dno morza;
Myśliwiec krąży koło puszcz litewskich łoża,
Zna je ledwie po wierzchu, ich postać, ich lice,
Lecz obce mu ich wnętrzne serca tajemnice:
Wieść tylko albo bajka wié co się w nich dzieje.
Bo gdybyś przeszedł bory i podszyte knieje,
Trafisz w głębi na wielki wał pniów, kłod, korzeni,
Obronny trzęsawicą, tysiącem strumieni
I siecią zielsk zarosłych, i kopcami mrowisk,
Gniazdami os, szerszeniów, kłębami wężowisk.
Gdybyś i te zapory zmógł nadludzkiém męztwem,
Daléj spotkać się z większém masz niebezpieczeństwém;
Daléj co krok czychają, niby wilcze doły,
Małe jeziorka, trawą zarosłe na poły,
Tak głębokie że ludzie dna ich niedośledzą,

(Wielkie jest podobieństwo że djabły tam siedzą)
Woda tych studni sklni się, plamista rdzą krwawą,
A z wnętrza ciągle dymi zionąc woń plugawą,
Od której drzewa w koło tracą liść i korę;
Łyse, skarłowaciałe, robaczliwe, chore,
Pochyliwszy konary mchem kołtunowate,
I pnie garbiąc brzydkiemi grzybami brodate,
Siedzą wkoło wody, jak czarownic kupa
Grzejąca się nad kotłem w którym warzą trupa.

Za temi jeziorkami już nie tylko krokiem,
Ale daremnie nawet zapuszczać się okiem;
Bo tam już wszystko mglistym zakryte obłokiem,
Co się wiecznie ze trzęskich oparzelisk wznosi.
A za tą mgłą nakoniec (jak wieść gminna głosi)
Ciągnie się bardzo piękna, żyzna okolica,
Główna królestwa zwierząt i roślin stolica.
W niej są złożone wszystkich drzew i ziół nasiona,
S których się rozrastają na świat ich plemiona;
W niej jak w arce Noego, s wszelkich zwierząt rodu
Jedna przynajmniej para chowa się dla płodu.
W samym środku (jak słychać) mają swoje dwory,

Dawny Tur, Żubr i Niedźwiedź, puszcz imperatory.
Około nich na drzewach gnieździ się Ryś bystry,
I żarłoczny Rosomak, jak czujne ministry;
Dalej zaś jak podwładni szlachetni wassale,
Mieszkają Dziki, Wilki i Łosie rogale.
Nad głowami Sokoły i Orłowie dzicy,
Żyjący s pańskich stołów, dworscy zausznicy.
Te pary zwierząt główne i patryarchalne,
Ukryte w jądrze puszczy, światu niewidzialne,
Dzieci swe ślą dla osad za granicę lasu,
A sami we stolicy używają wczasu;
Nie giną nigdy bronią sieczną ani palną,
Lecz starzy umierają śmiercią naturalną.
Mają też i swój smętarz, kędy bliscy śmierci,
Ptaki składają pióra, czworonogi sierci.
Niedźwiedź gdy zjadłszy zęby strawy nieprzeżuwa,
Jeleń zgrzybiały gdy już ledwie nogi suwa,
Zając sędziwy gdy mu już krew w żyłach krzepnie,
Kruk gdy już posiwieje, sokoł gdy oślepnie,
Orzeł gdy mu dziób stary tak się w kabłąk skrzywi
Że zamknięty na wieki już gardła nie żywi,
Idą na smętarz. Nawet mniejszy zwierz raniony

Lub chory, bieży umrzéć w swe ojczyste strony.
Stadto w miejscach dostępnych kędy człowiek gości,
Nie znajdują się nigdy martwych zwierząt kości.
Słychać że tam w stolicy, między zwierzętami
Dobre są obyczaje, bo rządzą się sami;
Jeszcze cywilizacją ludzką niepopsuci,
Nieznają praw własności która świat nasz kłóci,
Nie znają pojedynków, ni wojennéj sztuki.
Jak ojce żyły w raju, tak dziś żyją wnuki,
Dzikie i swojskie razem w miłości i zgodzie,
Nigdy jeden drugiego nie kąsa, ni bodzie.
Nawet gdyby tam człowiek wpadł chociaż niezbrojny,
Toby środkiem bestyi przechodził spokojny;
Oneby nań patrzyły tym wzrokiem zdziwienia,
Jakim w owym ostatnim szóstym dniu stworzenia
Ojce ich pierwsze co się w ogrójeu gnieździły,
Patrzyły na Adama nim się z nim skłóciły.
Szczęściem człowiek nie zbładzi do tego ostępu,
Bo Trud i Trwoga i Śmierć bronią mu przystępu.

Czasem tylko w pogoni zaciekłe ogary,
Wpadłszy niebacznie między bagna, mchy i jary,

Wnętrznéj ich okropności rażone widokiem,
Uciekają skowycząc z obłąkanym wzrokiem;
I długo potém ręką pana już głaskane,
Drżą jeszcze u nóg jego strachem opętane.
Te puszcz stołeczne, ludziom nieznane tajniki,
W języku swoim strzelcy zowią: *Mateczniki.*

Głupi niedźwiedziu! gdybyś w Mateczniku siedział,
Nigdyby się o tobie Wojski niedowiedział;
Ale czyli pasieki zwabiła cię wonność,
Czy uczułeś do owsa dojrzałego skłonność;
Wyszedłeś na brzeg puszczy gdzie się las przerzedził,
I tam zaraz leśniczy bytność twą wyśledził,
I zaraz obsaczniki, chytre nasłał szpiegi,
By poznać gdzie popasasz i gdzie masz noclegi;
Teraz Wojski z obławą, już od matecznika
Postawiwszy szeregi odwrót ci zamyka.

Tadeusz się dowiedział, że niemało czasu
Już przeszło, jak ogary wpadły w otchłań lasu.

Cicho; — próżno myśliwi natężają ucha;

Próżno, jak najciekawszéj mowy, każdy słucha
Milczenia, długo w miejscu nieruchomy czeka;
Tylko muzyka puszczy gra do nich zdaleka.
Psy nurtują po puszczy jak pod morzem nurki,
A strzelcy obróciwszy do lasu dwórurki,
Patrzą Wojskiego: ukląkł, ziemię uchem pyta:
Jako w twarzy lekarza wzrok przyjacioł czyta
Wyrok życia lub zgonu miłéj im osoby,
Tak strzelcy ufni w sztuki Wojskiego sposoby
Topili w nim spójrzenia nadziei i trwogi.
« Jest! jest! wyrzekł półgłosem, zerwał się na nogi.
On słyszał! oni jeszcze słuchali — nareszcie,
Słyszą, jeden pies wrzasnął, potém dwa, dwadzieście,
Wszystkie razem ogary rospierzchnioną zgrają
Doławiają się, wrzeszczą, wpadli na trop, grają,
Ujadają: już nie jest to powolne granie
Psów goniących zająca, lisa albo łanie;
Lecz wciąż, wrzask krótki, częsty, ucinany, zjadły;
To nie na ślad daleki ogary napadły,
Na oko gonią — nagle ustał krzyk pogoni,
Doszli zwierza — wrzask znowu, skowyt, — zwierz się bro
I zapewne kaleczy, śród ogarów grania

Słychać co raz to częściej jęk psiego konania.

Strzelcy stali, i każdy ze strzelbą gotową
Wygiął się jak łuk na przod s weiśnioną w las głową,
Niemogą dłużej czekać! już ze stanowiska
Jeden za drugim zmyka i w puszczę się weiska,
Chcą pierwsi spotkać zwierza: choć Wojski ostrzegał,
Choć Wojski stanowiska na koniu obiegał,
Krzycząc, że czy kto prostym chłopem czy paniczem,
Jeżeli z miejsca zejdzie dostanie w grzbiet smyczem.
Nie było rady! wszyscy pomimo zakazu
W las pobiegli, trzy strzelby buknęły od razu,
Potém weiąż kanonada, aż głośniéj nad strzały
Ryknął niedźwiedź i echem napełnił las cały.
Ryk okropny! boleści, wściekłości, rospaczy;
Za nim wrzask psów, krzyk strzelców, trąby dojeżdżaczy
Grzmiały ze środka puszczy; strzelcy ci w las spieszą,
Tamci korki odwodzą a wszyscy się cieszą;
Jeden Wojski w żałości, krzyczy że chybiono.
Strzelcy i obławnicy poszli jedną stroną
Na przełaj zwierza między ostępem i puszczą;
A niedźwiedz odstraszony psów i ludzi tłuszczą,

Zwrócił się nazad w miejsca mniéj pilnie strzeżone
Ku polom, skąd już zeszły strzelcy rozstawione,
Gdzie tylko pozostali z mnogich łowczych szyków
Wojski, Tadeusz, Hrabia s kilką obławników.

Tu las był rzadszy; słychać z głębi ryk, trzask łomu,
Aż z gęstwy jak s chmur wypadł niedźwiedź nakształt grom
W koło psy gonią, straszą, rwą; on wstał na nogi
Tylne i spojrzał w koło, rykiem strasząc wrogi,
I przedniemi łapami to drzewa korzenie,
To pniaki osmalone, to wrosłe kamienie
Rwał, waląc w psów i w ludzi; aż wyłamał drzewo
Kręcąc nim jak maczugą, na prawo, na lewo;
Runął wprost na ostatnich strażników obławy,
Hrabię i Tadeusza: oni bez obawy
Stoją w kroku, na źwierza wytknęli flint rury,
Jako dwa konduktory w łono ciemnéj chmury;
Aż oba jednym razem pociągnęli kórki,
(Niedoświadczeni!) razem zagrzmiały dwórurki;
Chybili; Niedźwiedź skoczył, oni tuż utkwiony
Oszczep jeden chwycili czterema ramiony,
Wydzierali go sobie; spojrzą, aż tu s pyska

Wielkiego czerwonego dwa rzędy kłów błyska,
I łapa s pazurami już się na łby spuszcza;
Pobledli, w tył skoczyli, i gdzie rzadnie puszcza
Zmykali; zwierz za nimi wspiął się, już pazury
Zahaczał, chybił, podbiegł, wspiął się znów do góry,
I czarną łapą sięgał Hrabiego włos płowy.
Zdarłby mu czaszkę z mozgów jak kapelusz z głowy,
Gdy Assessor z rejentem wyskoczyli z boków,
A Gerwazy biegł s przodu o jakie sto krokow,
Z nim Robak, choć bez strzelby— i trzej w jednej chwili
Jak gdyby na komendę razem wystrzelili.
Niedźwiedź wyskoczył w górę jak kot przed chartami,
I głową na dół runął, i czterma łapami
Przewróciwszy się młyńcem, cielska krwawe brzemie
Waląc tuż pod Hrabiego, zbił go z nóg na ziemię.
Jeszcze ryczał, chciał jeszcze powstać, gdy nań wsiadły
Rozjuszona Strapczyna i Sprawnik zajadły.

Natenczas Wojski chwycił na taśmie przypięty
Swój róg bawoli, długi, centkowany, kręty
Jak wąż boa, oburącz do ust go przycisnął,
Wzdął policzki jak banię, w oczach krwią zabłysnął,

Zasunął w pół powieki, wciągnął w głąb pół brzucha
I do płuc wysłał z niego cały zapas ducha,
I zagrał: róg jak wicher, nie wstrzymanym dechem,
Niesie w puszczę muzykę i podwaja echem.
Umilkli strzelce, stali szczwacze zadziwieni
Mocą, czystością, dziwną harmonią pieni.
Starzec cały kunszt którym niegdyś w lasach słynął
Jeszcze raz przed uszami myśliwców rozwinął;
Napełnił wnet, ożywił knieje i dąbrowy,
Jakby psiarnię w nię wpuścił i rospoczął łowy.
Bo w graniu była łowów historja krótka:
Z razu odzew dźwięczący, rześki: to pobudka;
Potém jęki po jękach skomlą: to psów granie;
A gdzie niegdzie ton twardszy jak grzmot: to strzelanie.

Tu przerwał, lecz róg trzymał; wszystkim się zdawało
Że Wojski wciąż gra jeszcze, a to echo grało.

Zadął znowu; myśliłbyś że róg kształty zmieniał,
I że w ustach Wojskiego to grubiał to cieniał,
Udając głosy zwierząt; to raz w wilczą szyję
Przeciągając się, długo, przeraźliwie wyje,

Znowu jakby w niedźwiedzie rozwarłszy się garło,
Ryknął; potém beczenie żubra wiatr rozdarło.

Tu przerwał, lecz róg trzymał; wszystkim się zdawało
Że Wojski wciąż gra jeszcze, a to echo grało.
Wysłuchawszy rogowéj arcydzieło sztuki,
Powtarzały je dęby dębom, bukom buki.

Dmie znowu: jakby w rogu były setne rogi,
Słychać zmieszane wrzaski szczwania, gniewu, trwogi,
Strzelców, psiarni i zwierząt; aż Wojski do góry
Podniósł róg, i tryumfu hymn uderzył w chmury.

Tu przerwał, lecz róg trzymał; wszystkim się zdawało
Że Wojski wciąż gra jeszcze, a to echo grało.
Ile drzew tyle rogów znalazło się w boru,
Jedne drugim pieśń niosą jak s choru do choru.
I szła muzyka coraz szersza, coraz dalsza,
Coraz ciższa i coraz czystsza, doskonalsza,
Aż znikła gdzieś daleko, gdzieś na niebios progu!

Wojski obiedwie ręce odjąwszy od rogu

Roskrzyżował; róg opadł, na pasie rzemiennym
Chwiał się. Wojski z obliczem nabrzmiałém, promiennėm,
Z oczyma wzniesionemi, stał jakby natchniony,
Łowiąc uchem ostatnie znikające tony.
A tymczasem zagrzmiało tysiące oklasków,
Tysiące powinszowań i wiwatnych wrzasków.

Uciszono się zwolna, i oczy gawiedzi
Zwróciły się na wielki, świeży trup niedźwiedzi:
Leżał krwią opryskany, kulami przeszyty,
Piersiami w gęszczę trawy wplątany i wbity,
Rosprzestrzenił szeroko przednie krzyżem łapy,
Dyszał jeszcze, wylewał strumień krwi przez chrapy,
Otwierał jeszcze oczy, lecz głowy nie ruszy;
Pijawki Podkomorzego dzierżą go pod uszy,
Z lewéj strony Strapczyna, a s prawéj zawisał
Sprawnik i dusząc gardziel krew czarną wysysał.

Zaczem Wojski roskazał kij żelazny włożyć
Psom między zęby, i tak paszczęki rostworzyć.
Kolbami przewrócono na wznak zwierza zwłoki,
I znów trzykrotny wiwat uderzył w obłoki.

— A co? krzyknął Asssessor, kręcąc strzelby rurą,
A co? fuzyjka moja? górą nosi górą!
A co? fuzyjka moja? nie wielka ptaszyna,
A jak się popisała? to jej nie nowina,
Nie puści ona na wiatr żadnego ładunku,
Od Książęcia Sanguszki mam ją w podarunku.
Tu pokazywał strzelbę przedziwnéj roboty
Choć maleńką, i zaczął wyliczać jéj cnoty.
— Ja biegłem, przerwał Rejent otarłszy pot s czoła,
Biegłem tuż za niedźwiedziem; a Pan Wojski woła
Stój na miejscu; jak tam stać, niedźwiedź w pole wali,
Rwąc s kopyta jak zając coraz daléj, daléj,
Aż mi ducha niestało, dobiedz ni nadziei,
Aż spojrzę w prawo, sadzi, a tu rzadko w knici,
Jak téż wziąłem na oko, postójże marucha,
Pomyśliłem, i basta, ot leży bez ducha;
Tęga strzelba, prawdziwa to Sagalasówka,
Napis Sagalas London à Bałabanówka.
(Sławny tam mieszkał slósarz polak, który robił
Polskie strzelby, ale je po angielsku zdobił.)

— Jak to, parsknął Assessor, do krocset niedźwiedzi!

To to niby Pan zabił? co też to Pan bredzi!
— Słuchajno, odparł Rejent, tu Panie nie śledztwo,
Tu obława, tu wszystkich weźmiem na świadectwo.

Więc kłótnia między zgrają wszczęła się zawzięta,
Ci stronę Assessora, ci brali Rejenta;
O Gerwazym niewspomniał nikt, bo wszyscy biegli
Z boków, i co się s przodu działo nie postrzegli.
Wojski głos zabrał: teraz jest przynajmniej za co,
Bo to Panowie nie jest ów szarak ladaco,
To niedźwiedź, tu już nie żal poszukać odwetu,
Czy szarpentyną, czyli nawet s pistoletu;
Spór wasz trudno pogodzić, więc dawnym zwyczajem,
Na pojedynek nasze pozwolenie dajem.
Pamiętam za mych czasów żyło dwóch sąsiadów,
Oba ludzie uczciwi, szlachta s prapradziadów,
Mieszkali po dwóch stronach nad rzekę Wilejką,
Jeden zwał się Domeyko a drugi Doweyko.
Do niedźwiedzicy oba razem wystrzelili,
Kto zabił trudno docieć, strasznie się kłócili,
I przysięgli strzelać się przez niedźwiedzią skórę:
To mi to po szlachecku, prawie rura w rurę.

Pojedynek ten wiele narobił hałasu;
Pieśni o nim śpiewano za owego czasu.
Ja byłem sekundantem; jak się wszystko działo,
Opowiem od początku historję całą.

Nim Wojski zaczął mówić, Gerwazy spór zgodził:
On niedźwiedzia z uwagą do koła obchodził,
Nareszcie dobył tasak, rościął pysk na dwoje,
I w tyleu głowy, mozgu roskroiwszy słoje,
Znalazł kulę, wydobył, suknią ochędożył,
Przymierzył do ładunku, do flinty przyłożył;
A potém dłoń podnosząc i kulę na dłoni,
Panowie, rzekł, ta kula nie jest z waszéj broni,
Ona s téj Horeszkowskiéj wyszła jednorurki,
(Tu podniosł flintę starą, obwiązaną w sznurki)
Lecz nie ja wystrzeliłem — o trzeba tam było
Odwagi; straszno wspomnieć, w oczach mi się ćmiło!
Bo prosto biegli ku mnie oba paniczowie,
A niedźwiedź s tyłu już, już, na Hrabiego głowie,
Ostatniego z Horeszków! chociaż po kądzieli.
Jezus Marya, krzyknąłem; i Pańscy anieli
Zesłali mi na pomoc Księdza Bernardyna.

On nas wszystkich zawstydził; oj dzielny księżyna!
Gdym drżał, gdym się do cyngla dotknąć nie ośmielił,
On mi z rąk flintę wyrwał, wycelił, wystrzelił:
Między dwie głowy strzelić! sto kroków! nie chybić!
I w sam środek paszczęki! tak mu zęby wybić!
Panowie! długo żyję, jednego widziałem
Człowieka, co mógł takim popisać się strzałem.
Ów głośny niegdyś u nas s tylu pojedynków,
Ów co korki kobiétom wystrzelał s patynków,
Ów łotr nad łotry, sławny w czasy wiekopomne,
Ów Jacek, vulgo Wąsal; nazwiska nie wspomnę:
Ale mu nie czas teraz dojeżdżać niedźwiedzi;
Pewnie po same wąsy hultaj w piekle siedzi.
Chwała Księdzu! dwom ludziom on życie ocalił,
Może i trzem; Gerwazy nie będzie się chwalił,
Ale gdyby otatnie s krwi Horeszków dziecie
Wpadło w bestyi paszczę, niebyłbym na świecie,
I moje by tam stare pogryzł niedźwiedź kości;
Pójdź księże, wypijemy zdrowie Jegomości.

Próżno szukano księdza; wiedzą tylko tyle,
Że po zabiciu źwierza, zjawił się na chwilę,

Podskoczył ku Hrabiemu i Tadeuszowi,
A widząc że obadwa cali są i zdrowi,
Podniósł ku niebu oczy, cicho pacierz zmówił,
I pobiegł w pole szybko, jakby go kto łowił.

Tymczasem na Wojskiego roskaz, pęki wrzosu,
Suche chrosty i pniaki rzucono do stosu;
Bucha ogień, wyrasta szara sosna dymu,
I rosszerza się w górze nakształt baldakimu.
Nad płomieniem oszczepy złożono w koziołki,
Na grotach zawieszono brzuchate kociołki;
Z wozów niosą jarzyny, mąki i pieczyste,
I chléb.

Sędzia otworzył puzderko zamczyste,
W którém rzędami flaszek białe sterczą głowy;
Wybiera z nich największy kufel kryształowy,
(Dostał go Sędzia w darze od księdza Robaka)
Wódka to Gdańska napój miły dla Polaka;
Niech żyje! krzyknął Sędzia w górę wznosząc flaszę,
Miasto Gdańsk niegdyś nasze, będzie znowu nasze!
I lał srebrzysty likwor w kolej, aż na końcu

Zaczęło złoto kapać i błyskać na słońcu.

W kociołkach bigos grzano — w słowach wydać trudno
Bigosu smak przedziwny, kolor i woń cudną;
Słów tylko brzęk usłyszy i rymów porządek,
Ale treści ich miejski nie pojmie żołądek.
Aby cenić litewskie pieśni i potrawy,
Trzeba mieć zdrowie, na wsi żyć, wracać z obławy.

Przecież i bez tych przypraw, potrawą nielada
Jest bigos, bo się z jarzyn dobrych sztucznie składa.
Bierze się doń siekana, kwaszona kapusta,
Która, wedle przysłowia, sama idzie w usta;
Zamknięta w kotle, łonem wilgotném okrywa
Wyszukanego cząstki najlepsze mięsiwa;
I praży się, aż ogień wszystkie z niéj wyciśnie
Soki żywne, aż z brzegów naczynia war pryśnie,
I powietrze do koła zionie aromatem.

Bigos już gotów. Strzelcy s trzykrotnym wiwatem
Zbrojni łyżkami biegą i bodą naczynie,
Miedź grzmi, dym bucha, bigos jak kamfora ginie,

Zniknął, uleciał; tylko w czeluściach saganów,
Wre para, jak w kraterze zagasłych wulkanów.

Kiedy się już do woli napili, najedli,
Zwierza na wóz złożyli, sami na koń siedli,
Radzi wszyscy, rozmowni, oprócz Assessora
I Rejenta, ci byli gniewliwsi niż wczora,
Kłócąc się o zalety, ten swéj Sanguszkówki,
A ten bałabanowskiéj swéj Sagalasówki.
Hrabia też i Tadeusz jadą nie weseli,
Wstydząc się że chybili i że się cofnęli:
Bo na Litwie kto zwierza wypuści z obławy,
Długo musi pracować nim poprawi sławy.

Hrabia mówił że pierwszy do oszczepu godził,
I że spotkaniu z zwierzem Tadeusz przeszkodził;
Tadeusz utrzymywał, że będąc silniejszy
I do robienia ciężkim oszczepem zręczniejszy,
Chciał wyręczyć Hrabiego: tak sobie niekiedy
Przymawiali śród gwaru i wrzasku czeredy.

Wojski jechał po środku; staruszek szanowny,

Wesoły był nadzwyczaj i bardzo rozmowny;
Chcąc kłótników zabawić i do zgody dowieść,
Kończył im o Doweyce i Domeyce powieść:
—Assessorze, jeżeli chciałem byś z Rejentem
Pojedynkował, nie myśl że jestem zawziętym
Na krew ludzką; broń Boże, chciałem was zabawić,
Chciałem wam komedyę niby to wyprawić,
Wznowić koncept, który ja, lat temu czterdzieście,
Wymyśliłem — przedziwny!— Wy młodzi jesteście,
Nie pamiętacie o nim, lecz za moich czasów,
Głośny był od téj puszczy, do poleskich lasów.

Domeyki i Doweyki wszystkie sprzeciwieństwa
Pochodziły, rzecz dziwna, z nazwisk podobieństwa
Bardzo niewygodnego. Bo gdy w czas seymików,
Przyjaciele Doweyki skarbili stronników,
Szepnął ktoś do szlachcica, day kreskę Doweyce;
A ten niedosłyszawszy dał kreskę Domeyce.
Gdy na uczcie wniósł zdrowie Marszałek Rupeyko
Wiwat Doweyko, drudzy krzyknęli Domeyko;
A kto siedział w pośrodku, nie trafił do ładu,
Zwłaszcza przy niewyraźnéj mowie w czas objadu.

Gorzej było; raz w Wilnie jakiś szlachcic pijany,
Bił się w szable z Domeyką i dostał dwie rany;
Potém ow szlachcic z Wilna wracając do domu,
Dziwnym trafem z Doweyką zjechał sie u promu;
Gdy więc na jednym promie płynęli Wileyką,
Pyta sąsiada kto on, odpowie: Doweyko;
Nie czekając dobywa rapier spod kireyki,
Czach, czach, i za Domeykę podciął wąs Doweyki.

Wreszcie jak na dobitkę, trzeba jeszcze było,
Żeby na polowaniu tak się wydarzyło,
Że stali blisko siebie oba imiennicy,
I do jednéj strzelili razem Niedźwiedzicy.
Prawda że po ich strzale upadła bez duchu,
Ale już piérwéj niosła z dziesiątek kul w brzuchu;
Strzelby z jednym kalibrem miało wiele osób,
Kto zabił Niedźwiedzicę? dojdźże! jaki sposób?

Tu już krzyknęli: dosyć! trzeba raz rzecz skończyć,
Bóg nas czy diabeł złączył, trzeba się rozłączyć:
Dwóch nas jak dwóch słońc pono za nadto na świecie,-
A więc do szerpentynek i stają na mecie.

Oba szanowni ludzie; co ich szlachta godzą,
To oni na się jeszcze zapalczywiej godzą.
Zmienili broń; od szabel szło na pistolety,
Stają, krzyczym że nadto przybliżyli mety;
Oni na złość, przysięgli przez niedźwiedzią skórę
Strzelać się, śmierć niechybna! prawie rura w rurę;
Oba tęgo strzelali — Sekunduj Hreczecha;
Zgoda rzekłem, niech zaraz dół wykopie klecha:
Bo taki spór nie może skończyć się na niczém;
Lecz bijcie się szlacheckim trybem, nie rzeźniczym,
Dosyć już mety zbliżać, widzę żeście zuchy,
Chcecie strzelać się rury oparłszy na brzuchy?
Ja nie pozwolę; zgoda że na pistolety;
Lecz strzelać się nie z dalszej, ani z bliższej mety,
Jak przez skórę niedźwiedzią; ja rękami memi
Jako sekudant skórę rościągnę na ziemi,
I ja sam was ustawię. Waść po jednej stronie
Stanie na końcu pyska, a Waść na ogonie.
Zgoda! wrzaśli: czas?—jutro—miejsce? Karczma Usza-
Rozjechali się. Ja zaś do Wirgiliusza —

Tu Wojskiemu przerwał krzyk: Wyczha! tuż spod koni

Smyknął szarak; już Kusy, już go Sokoł goni.
Psy wzięto na obławę, wiedząc że s powrotem
Na polu łatwo można napotkać się s kotem;
Bez smyczy szły przy koniach; gdy kota spostrzegły,
Wprzód nim strzelcy poszczuli już za nim pobiegły.
Rejent też i Assessor chcieli końmi natrzeć,
Lecz Wojski wstrzymał krzycząc: wara! stać i patrzeć;
Nikomu krokiem ruszyć z miejsca niedozwolę,
Stąd widzim wszyscy dobrze, zając idzie w pole.
W istocie, kot czuł s tyłu myśliwych i psiarnie,
Rwał w pole, słuchy wytknął jak dwa różki sarnie,
Sam szarzał się nad rolą długi, wyciągnięty,
Skoki pod nim sterczały jakby cztery pręty,
Rzekłbyś że ich nie rusza tylko ziemię trąca
Po wierzchu, jak jaskółka wodę całująca.
Pył za nim, psy za pyłem, zdaleka się zdało,
Że zając, psy i charty jedne tworzą ciało:
Jakby jakaś przez pole suwała się żmija,
Kot jak głowa, pył s tyłu jakby modra szyja,
A psami jak podwojnym ogonem wywija.

Rejent, Assessor patrzą, otworzyli usta,

Dech wstrzymali; wtém Rejent pobladnął jak chusta,
Zbladł i Assessor, widzą — fatalnie się dzieje,
Owa źmija im dalej, tém bardziej dłużeje,
Już rwie się w pół, już znikła owa szyja pyłu,
Głowa już blisko lasu, ogony, gdzie s tyłu!
Głowa niknie, raz jeszcze jakby kto kutasem
Mignął: w las wpadła; ogon urwał się pod lasem.

Biedne psy, ogłupiałe biegały pod gajem,
Zdawały się naradzać, oskarżać nawzajem;
Wreście wracają, zwolna skacząc przez zagony,
Spuściły uszy, tulą do brzucha ogony,
I przybiegłszy, ze wstydu nieśmieją wznieść oczu,
I zamiast iść do Panów, stały na uboczu.

Rejent spuścił ku piersiom zasępione czoło,
Assessor rzucał okiem ale niewesoło,
Potém zaczęli oba słuchaczom wywodzić:
Jak ich charty bez smycza nie nawykły chodzić,
Jak kot z nienacka wypadł, jak źle był poszczuty
Na roli, gdzie psom chyba trzebaby wdziać buty,
Tak pełno wszędzie głazów i ostrych kamieni.

Mądrze rzecz wyłuszczali, szczwacze doświadczeni;
Myśliwi s tych mów wiele mogliby korzystać,
Lecz nie słuchali pilnie, ci zaczęli świstać,
Ci śmiać się w głos, ci mając niedźwiedzia w pamięci
Gadali o nim, świeżą obławą zajęci.

Wojski ledwie raz okiem za zającem rzucił,
Widząc że uciekł, głowę obojętnie zwrócił
I kończył rzecz przerwaną: na czém więc stanąłem?
A ha! na tém, że obu za słowo ująłem
Iż będą strzelali się przez niedźwiedzią skórę,
Szlachta w krzyk, to śmierć pewna! prawie rura w rurę
A ja w śmiech, bo mnie uczył mój przyjaciel Maro,
Że skóra źwierza nie jest ladajaką miarą.
Wszak wiecie Waćpanowie jak królowa Dydo
Przypłynęła do Libów i tam z wielką biédą
Wytargowała sobie taki ziemi kawał,
Któryby się wołową skórą nakryć dawał;
Na tym kawałku ziemi stanęła Kartago!
Więc ja to sobie w nocy rozbieram z uwagą.

Ledwie dniało, już z jec   trony taradejką

Jedzie Dowejko, z drugiéj na koniu Domeyko.
Patrzą, aż tu przez rzekę, leży most kosmaty,
Pas ze skóry niedźwiedziej porzniętej na szmaty.
Postawiłem Dowejkę na zwierza ogonie
Z jednéj strony, Domeykę zaś po drugiéj stronie.
Pukajcie teraz, rzekłem, choć przez całe życie,
Lecz póty was niespuszczę aż się pogodzicie.
Oni w złość; a tu szlachta kładnie się na ziemi
Od śmiechu, a ja s Księdzem słowy poważnemi
Nuż im z Ewanjelji, s statutów dowodzić,
Niema rady: — śmieli się i musieli zgodzić.

Spor ich potém w dozgonną przyjaźń się zamienił,
I Doweyko się s siostrą Domeyki ożenił,
Domeyko pojął siostrę szwagra, Doweykównę,
Podzielili majątek na dwie części równe,
A w miejscu gdzie się zdarzył tak dziwny przypadek,
Pobudowawszy karczmę, nazwali Niedźwiadek.

KSIĘGA PIĄTA.

KŁÓTNIA.

TREŚĆ.

Plany myśliwskie Telimeny — Ogrodniczka wybiera się na wielki świat i słucha nauk opiekunki — Strzelcy wracają — Wielkie zadziwienie Tadeusza — Spotkanie się powtórne w świątyni dumania i zgoda ułatwiona za pośrednictwem mrówek — U stołu wytacza się rzecz o łowach — Powieść Wojskiego o Rejtanie i Księciu Denassów, przerwana — Zagajenie układów między stronami, także przerwane — Zjawisko s kluczem — Kłótnia — Hrabia z Gierwazym odbywają radę wojenną.

Wojski chlubnie skończywszy łowy wraca z boru,
A Telimena w głębi samotnego dworu
Zaczyna polowanie. Wprawdzie nieruchoma
Siedzi z założonemi na piersiach rękoma,

Lecz myślą goni zwierzów dwóch; szuka sposobu
Jakby razem obsaczyć i ułowić obu:
Hrabię i Tadeusza. Hrabia panicz młody,
Wielkiego domu dziedzic, powabnej urody;
Już trochę zakochany! cóż? może się zmienić!
Potém, czy szczérze kocha? czy się zechce żenić?
S kobietą kilka laty starszą! nie bogatą!
Czy mu krewni pozwolą? co świat powié na to?

Telimena tak myśląc s sofy się podniosła
I stanęła na palcach, rzekłbyś że podrosła;
Odkryła nieco piersi, wygięła się bokiem,
I sama siebie pilném obejrzała okiem,
I znowu zapytała o radę zwierciadła;
Po chwili, wzrok spuściła, westchnęła adła.

Hrabia Pan! zmienni w gustach są ludzie tni!
Hrabia blondyn! blondyni nie są zbyt nan ni.
A Tadeusz? prostaczek! poczciwy chłopczyna!
Prawie dziecko! raz pierwszy kochać się zaczyna!
Pilnowany niełacno zerwie pierwsze związki,
Przytém dla Telimeny ma już obowiązki

Męszczyzni póki młodzi, chociaż w myślach zmienni,
W uczuciach są od dziadów stalsi, bo sumienni.
Długo serce młodzieńca proste i dziewicze
Chowa wdzięczność za pierwsze miłości słodycze!
Ono roskosz i wita i żegna z weselem,
Jak skromną ucztę ktorą dzielim s przyjacielem.
Tylko stary pianica, gdy już spali trzewa,
Brzydzi się trunkiem, którym nazbyt się zalewa.
Wszystko to Telimena dokładnie wiedziała,
Bo i rozum i wielkie doświadczenie miała.

Lecz co powiedzą ludzie? można im zejść z oczu,
W inne strony wyjechać, mieszkać na uboczu,
Lub co lepsza, wynieść się całkiem z okolicy,
Naprzykład zrobić małą podróż do stolicy,
Młodego chłopca na świat wielki wyprowadzić,
Kroki jego kierować, pomagać mu, radzić,
Serce mu kształcić, mieć w nim przyjaciela, brata!
Nareszcie — użyć świata, póki służą lata!

Tak myśląc, po alkowie śmiało i wesoło
Przeszła się kilka razy — znów spuściła czoło.

Wartoby też pomyślić o Hrabiego losie—
Czyby się nie udało podsunąć mu Zosię?
Niebogata, lecz za to urodzeniem równa,
Z domu senatorskiego, jest dygnitarzówna.
Jeżeliby do skutku przyszło ożenienie,
Telimena w ich domu miałaby schronienie
Na przyszłość, krewna Zosi i Hrabiego swatka,
Dla młodego małżeństwa byłaby jak matka.

Po téj s sobą odbytéj, stanowczéj naradzie,
Woła przez okno Zosię, bawiącą się w sadzie.

Zosia w porannym stroju i z głową odkrytą
Stała, trzymając w ręku podniesione sito,
Do nóg jéj biegło ptastwo; stąd kurki garbate
Toczą się kłębkiem, stamtąd koguty czubate,
Wstrząsając koralowe na głowach szyszaki
I wiosłując skrzydłami przez bruzdy i krzaki,
Szeroko wyciągają ostrożaste pięty;
Za niemi zwolna indyk sunie się odęty
Sarkając na trzpiotalstwo swéj krzykliwéj żony;
Owdzie pawie jak tratwy długiemi ogony

Stérują się po łące, a gdzie niegdzie z góry
Upada jak kiść śniegu gołąb' srebrnopióry.
W pośrodku zielonego okręgu murawy,
Sciska się okrąg ptastwa krzykliwy, ruchawy,
Opasany gołębi sznurem, nakształt wstęgi
Białéj, środkiem pstrokaty w gwiazdy, w cętki, w pręgi.
Tu dzioby bursztynowe, tam czubki s korali
Wznoszą się z gęstwi pierza jak ryby spod fali:
Wysuwają się szyje i w ruchach łagodnych
Chwieją się ciągle nakształt tulipanów wodnych;
Tysiące oczu jak gwiazd błyskają ku Zosi.

Ona w środku wysoko nad ptastwem się wznosi,
Sama biała i w długą bieliznę ubrana
Kręci się, jak bijąca śród kwiatów fontanna;
Czerpie s sita i sypie na skrzydła i głowy,
Ręką jak perły białą, gęsty grad perłowy
Krup jęczmiennych: to ziarno godne pańskich stołów,
Robi się dla zaprawy litewskich rosołów,
Zosia je wykradając s szafy ochmistrzyni
Dla swego drobiu, szkodę w gospodarstwie czyni.

Usłyszała wołanie: Zosiu! to głos cioci!
Sypnęła razem ptastwu ostatek łakoci,
A sama kręcąc sito, jako tanecznica
Bębenek i w takt bijąc, swawolna dziewica
Jęła skakać przez pawie, gołębie i kury:
Zmieszane ptastwo tłumnie furknęło do góry.
Zosia stopami ledwie dotykając ziemi,'
Zdawała się najwyżéj bujać między niemi;
Przodem gołębie białe, które w biegu płoszy,
Leciały, jak przed wozem bogini roskoszy.

Zosia przez okno s krzykiem do alkowy wpadła,
I na kolanach ciotki zadyszana siadła;
Telimena całując i głaszcząc pod brodę,
Z radością zważa dziecka żywość i urodę
(Bo prawdziwie kochała swą wychowanicę.)
Ale znowu poważnie nastroiła lice,
Wstała i przechodząc się wszerz i wzdłuż alkowy,
Dzierżąc palec przy ustach, temi rzekła słowy:

Kochana Zosiu, już też całkiem zapominasz
I na stan i na wiek twój; wszak to dziś zaczynasz

Rok czternasty, czas rzucić indyki i kurki,
Fi! to godna zabawka dygnitarskiej córki.
I z umurzaną dziatwą chłopską już do woli
Napieściłaś się! Zosiu! patrząc serce boli;
Opaliłaś okropnie płeć, czysta cyganka,
A chodzisz i ruszasz się, jak parafianka.
Już ja temu wszystkiemu na przyszłość zaradzę,
Od dziś zacznę, dziś ciebie na świat wyprowadzę,
Do salonu, do gości, gości mamy siła,
Patrzajżeż ażebyś mnie wstydu nie zrobiła.

Zosia skoczyła z miejsca i klasnęła w dłonie,
I ciotce zawisnąwszy oburącz na łonie,
Płakała i śmiała się na przemian z radości.
Ach ciociu! już tak dawno nie widziałam gości;
Od czasu jak tu żyję s kury i indyki,
Jeden gość co widziałam to był gołąb' dziki;
Już mi troszeczkę nudno tak siedzieć w alkowie,
Pan Sędzia nawet mówi, że to źle na zdrowie.

Sędzia! przerwała ciotka, ciągle mi dokuczał
Żeby cię na świat wywieść, ciągle pod nos mruczał

Ze już jesteś dorosłą; sam nie wié co plecie,
Dziaduś nigdy na wielkim niebywały świecie.
Ja wiem lepiéj jak długo trzeba się sposobić
Panience, by wyszedłszy na świat effekt zrobić.
Wiedz Zosiu, że kto rośnie na widoku ludzi,
Choć piękny, choć rozumny effektów nie wzbudzi,
Gdy go wszyscy przywykną widzieć od maleńka.
Lecz niechaj ukształcona, dorosła panienka,
Nagle ni stąd ni zowąd przed światem zabłyśnie,
Wtenczas każdy się do niéj przez ciekawość ciśnie,
Wszystkie jéj ruchy, rzuty oczu jéj uważa,
Słowa jéj podsłuchiwa i drugim powtarza:
A kiedy wejdzie w modę raz młoda osoba,
Każdy ją chwalić musi, choć i niepodoba.
Znaleść się, spodziewam się że umiesz; w stolicy
Urosłaś. Choć dwa lata mieszkasz w okolicy,
Niezapomniałaś jeszcze całkiem Petersburka.
No, Zosio, toaletę rób, dostań tam z biórka,
Nagotowane znajdziesz wszystko do ubrania.
Spiesz się, bo lada chwila wrócą s polowania.

Wezwano pokojowę i służącą dziewkę;

W naczynie srebrne wody wylano konewkę,
Zosia jak wróbel w piasku, trzepioce się; myje
S pomocą sługi ręce, oblicze i szyję.
Telimena otwiera Petersburskie składy,
Dobywa flaszki perfum, słoiki pomady,
Pokrapia Zosię wkoło wyborną perfumą,
(Woń napełniła izbę) włos namaszcza gumą.
Zosia kładnie pończoszki białe, ażurowe,
I trzewiki Warszawskie białe atłasowe;
Tymczasem pokojowa sznurowała stanik,
Potém rzuciła na gors Pannie pudermanik,
Zaczęto przypieczone zbierać papiloty,
Pukle, że nazbyt krótkie uwito w dwa sploty,
Zostawując na czole i skroniach włos gładki;
Pokojowa zaś świeżo zebrane bławatki
Uwiązawszy w plecionkę daje Telimenie;
Ta ją do głowy Zosi przyszpila uczenie,
S prawéj strony na lewo: kwiat od bladych włosów
Odbijał bardzo pięknie, jak od zboża kłosow!
Zdjęto puderman, całe ubranie gotowe.
Zosia białą sukienkę wrzuciła przez głowę,
Chusteczkę batystową białą w ręku zwija,

I tak cała wygląda biała jak lilija.

Poprawiwszy raz jeszcze i włosów i stroju,
Kazano jéj wzdłuż i wszerz przejść się po pokoju;
Telimena uważa znawczyni oczyma,
Musztruje siestrzenicę, gniéwa się i zżyma;
Aż na dygnienie Zosi krzynęła z rospaczy,
Ja nieszczęśliwa! Zosiu widzisz, co to znaczy
Żyć z gęśmi, s pastuchami! tak nogi rosszerzasz
Jak chłopiec, okiem w prawo i w lewo uderzasz,
Czysto rozwódka! — dygnij, patrz jaka niezwinna!
— Ach ciociu, rzekła smutnie Zosia, cóż ja winna,
Ciotka mnie zamykała; nie było s kim tańczyć,
Lubiłam z nudy ptastwo paść i dzieci niańczyć;
Ale poczekaj ciociu, niechno się pobawię
Trochę z ludźmi, obaczysz jak się ja poprawię.

Już, rzekła ciotka, z dwojga złego, lepiej s ptastwem
Niż s tém co u nas dotąd gościło plugastwem;
Przypomnij tylko sobie, kto tu u nas bywał:
Pleban co pacierz mruczał, lub w warcaby grywał,
I palestra s fajkami! to mi kawalery!

Nabrałabyś się od nich pięknéj maniery.
Teraz to pokazać się jest przynajmniéj komu,
Mamy przecież uczciwe towarzystwo w domu.
Uważaj dobrze Zosiu, jest tu Hrabia młody,
Pan, dobrze wychowany, krewny wojewody,
Pamiętaj być mu grzeczną —

Słychać rżenie koni
I gwar myśliwców; już są pod bramą: to oni!
Wziąwszy Zosię pod rękę pobiegła do sali.
Myśliwi na pokoje jeszcze niewchadzali,
Musieli po komnatach odmieniać swą odzież,
Niechcąc wniść do dam w kurtkach. Piérwsza wpadła młodzież,
Pan Tadeusz i Hrabia, co żywo przybrani.

Telimena sprawuje obowiązki Pani,
Wita wchodzących, sadza, rozmową zabawia,
I siostrzenicę wszystkim s kolei przedstawia:
Naprzód Tadeuszowi, jako krewną bliską;
Zosia grzecznie dygnęła, on skłonił się nisko,
Chciał coś do niéj przemówić, już usta otworzył,
Ale spójrzawszy w oczy Zosi tak się strwożył,

Że stojąc niemy przed nią, to płonął, to bladnął;
Co było w jego sercu, on sam nie odgadnął.
Uczuł się nieszczęśliwym bardzo — poznał Zosię!
Po wzroście i po włosach świątłych i po głosie;
Tę kibić i tę główkę widział na parkanie,
Ten wdzięczny głos zbudził go dziś na polowanie.

Aż Wojski Tadeusza wyrwał z zamięszania,
Widząc że bladnie i że na nogach się słania,
Radził mu odejść do swéj izby dla spoczynku;
Tadeusz stanął w kącie, wsparł się na kominku,
Nic nie mówiąc — szerokie, obłędne źrenice
Obracał to na ciotkę, to na siostrzenicę.
Dostrzegła Telimena, iż piérwsze spojrzenie
Zosi, tak wielkie na nim zrobiło wrażenie;
Nie odgadła wszystkiego, przecież pomieszana
Bawi gości, a z oczu nie spuszcza młodziana.
Wreszcie czas upatrzywszy ku niemu podbiega:
Czy zdrów? dla czego smutny? pyta się, nalega,
Napomyka o Zosi, zaczyna z nim żarty;
Tadeusz nieruchomy, na łokciu oparty,
Nic nie gadając marszczył brwi i usta krzywił:

Tém bardziéj Telimenę pomieszał i zdziwił.
Zmieniła więc natychmiast twarz i ton rozmowy,
Powstała zagniewana, i ostremi słowy
Poczęła nań przymówki sypać i wyrzuty;
Porwał się i Tadeusz jak żądłem ukłuty,
Spojrzał krzywo, nic mówiąc ani słowa splunął,
Krzesło nogą odepchnął i s pokoju runął,
Trzasnąwszy drzwi za sobą. Szczęściem że téj sceny
Nikt z gości nie uważał oprócz Telimeny.

Wyleciawszy przez bramę, biegł prosto na pole;
Jak szczupak, gdy mu oścień skróś piersi przekole,
Pluska się i nurtuje myśląc że ucieczc,
Ale wszędzie żelazo i sznur s sobą wlecze:
Tak i Tadeusz ciągnął za sobą zgryzoty,
Suwając się przez rowy i skacząc przez płoty,
Bez celu i bez drogi; aż nie mało czasu
Nabłąkawszy się, w końcu wszedł w głębinę lasu
I trafił czy umyślnie, czyli też przypadkiem,
Na wzgórek co był wczora szczęścia jego świadkiem,
Gdzie dostał ów bilecik, zadatek kochania,
Miejsce jak wiemy, zwane *Swiątynią dumania*.

Gdy okiem w koło rzuca, postrzega, to ona!
Telimena, samotna, w myślach pogrążona,
Od wczorajszéj postacią i strojem odmienna,
W bieliźnie, na kamieniu, sama jak kamienna;
Twarz schyloną w otwarte utuliła dłonie,
Choć nie słyszysz szlochania, znać że we łzach tonie.

Daremnie broniło się serce Tadeusza:
Ulitował się, uczuł że go żal porusza,
Długo poglądał niemy, ukryty za drzewem,
Nakoniec westchnął i rzekł sam do siebie z gniewem:
Głupi! cóż ona winna, że się ja pomylił;
Więc zwolna głowę ku niéj z za drzewa wychylił.
Gdy nagle Telimena zrywa się s siedzenia,
Rzuca się w prawo, w lewo, skacze skróś strumienia,
Roskrzyżowana, z włosem rospuszczonym, blada,
Pędzi w las, podskakuje, przyklęka, upada,
I nie mogąc już powstać, kręci się po darni,
Widać z jéj ruchów w jakiéj strasznéj jest męczarni;
Chwyta się za piers, szyję, za stopy, kolana;
Skoczył Tadeusz myśląc że jest pomieszana,
Lub ma wielką chorobę. Lecz z innéj przyczyny

Pochodziły te ruchy.

U bliskiéj brzeziny
Było wielkie mrowisko, owad gospodarny
Snuł się wkoło po trawie, ruchawy i czarny;
Nie wiedzieć czy s potrzeby, czy z upodobania,
Lubił szczególnie zwiedzać świątynię dumania;
Od stołecznego wzgórka aż po źrodła brzegi
Wydeptał drogę, którą wiodł swoje szeregi.
Nieszczęściem Telimena siedziała śród drożki;
Mrówki znęcone blaskiem bieluchnéj pończoszki,
Wbiegły, gęsto zaczęły łaskotać i kąsać,
Telimena musiała uciekać, otrząsać,
Nakoniec na murawie siąść i owad łowić.

Niemógł jéj swéj pomocy Tadeusz odmówić;
Oczyszczając sukienkę aż do nóg się zniżył,
Usta trafem ku skroniom Telimeny zbliżył—
W tak przyjaźnéj postawie, choć nic nie mówili
O rannych kłótniach swoich, przecież się zgodzili;
I nie wiedzieć jak długo trwałaby rozmowa,
Gdyby ich nie przebudził dzwonek s Soplicowa —

Hasło wieczerzy: pora powracać do domu,
Zwłaszcza że słychać było opodal trzask łomu.
Może szukają? razem wracać nie wypada;
Więc Telimena w prawo pod ogród się skrada,
A Tadeusz na lewo biegł do wielkiéj drogi;
Oboje w tym odwrocie mieli nieco trwogi:
Telimenie zdało się, że raz s poza krzaka
Błysła zakapturzona, chuda twarz Robaka;
Tadeusz widział dobrze, jak mu raz i drugi
Pokazał się na lewo cień biały i długi,
Co to było nie wiedział, ale miał przeczucie,
Że to był Hrabia w długim, angielskim surducie.

Wieczerzano w zamczysku. Uparty Protazy
Niedbając na wyraźne Sędziego zakazy,
W niebytność Państwa znowu do zamku szturmował,
I kredens doń (jak mówi) zaintromitował.
Goście weszli w porządku i stanęli kołem;
Podkomorzy naywyższe brał miejsce za stołem,
Z wieku mu i z urzędu ten zaszczyt należy,
Idąc kłaniał się damom starcom i młodzieży.
Kwestarz nie był u stołu; miejsce Bernardyna

Po prawéj stronie męża, ma Podkomorzyna.
Sędzia, kiedy już gości jak trzeba ustawił,
Żegnając po łacinie, stół pobłogosławił;
Męszczyznom dano wódkę; zaczém wszyscy siedli,
I chłodnik zabielany milcząc żwawo jedli.

Po chłodniku szły raki, kurczęta, szparagi,
W towarzystwie kielichów Węgrzyna, Malagi;
Jedzą, piją a milczą wszyscy. Nigdy pono
Od czasu jako mury zamku podźwigniono,
Który uraczał hojnie tylu szlachty bratów,
Tyle wesołych słyszał i odbił wiwatów,
Niepamiętano takiéj posępnéj wieczerzy;
Tylko pukanie korków i brzęki talerzy,
Odbijała zamkowa sień wielka i pusta:
Rzekłbyś iż zły duch gościom zasznurował usta.

Mnogie były powody milczenia: myśliwi
Powrócili z ostępu dosyć gadatliwi;
Lecz gdy zapał ochłonął, myśląc nad obławą,
Postrzegają że wyszli z niéj nie z wielką sławą:
Trzebaż było ażeby jeden kaptur popi,

Wyrwawszy się Bóg wie skąd, jak Filip s konopi,
Przepisał wszystkich strzelców powiatu? O wstydzie!
Cóż o tém będą gadać w Oszmianie i Lidzie,
Które od wieków walczą s tutejszym powiatem
O piérwszeństwo w strzelectwie; myślili więc nad tém.

Zaś Assessor i Rejent prócz wspólnych niechęci,
Świeżą hańbę swych chartów mieli na pamięci.
W oczach im stoi nieczny kot, skoki wyciąga,
I omykiem spod gaju kiwając urąga,
I tym omykiem ćwiczy po sercach jak biczem:
Siedzieli s pochyloném ku misie obliczem.
Assessor nowe jeszcze miał powody żalów,
Patrząc na Telimenę i na swych rywalów.

Do Tadeusza siedzi Telimena bokiem,
Pomięszana, zaledwie śmie nań rzucić okiem;
Chciała zasępionego Hrabiego zabawić,
Wyzwać w dłuższą rozmowę, w lepszy humor wprawić:
Bo Hrabia dziwnie kwaśny powrócił s przechadzki,
A raczéj jako myślił Tadeusz z zasadzki;
Słuchając Telimeny, czoło podniosł hardo,

Brwi zmarszczył, spójrzał na nią ledwie nie s pogardą;
Potém przysiadł się jak mógł najbliżej do Zosi,
Nalewa jéj do szklanki, talerze przynosi,
Prawi tysiąc grzeczności, kłania się, uśmiécha,
Czasem oczy wywraca i głęboko wzdycha.
Widać przecież, pomimo tak zręczne łudzenie,
Że umizgał się, tylko na złość Telimenie;
Bo głowę odwracając niby nie umyślnie,
Co raz ku Telimenie groźnem okiem błyśnie.

Telimena nie mogła pojąć co to znaczy,
Ruszywszy ramionami, myśliła: dziwaczy.
Wreszcie nowym zalotom Hrabiego dość syta,
Zwróciła się do swego drugiego sąsiada.

Tadeusz też posępny nic nie jadł, nic nie pił,
Zdawał się słuchać rozmów, oczy w talerz wlepił;
Telimena mu leje wino, on się gniewa
Na natrętność; pytany o zdrowie — poziewa.
Ma za złe (tak się zmienił jednego wieczora)
Że Telimena zbytnie do zalotów skora;
Gorszy się że jéj suknia tak wcięta głęboko,

Nie skromnie — a dopiéro, kiedy podniosł oko!
Aż przeląkł się, bystrzejsze teraz miał źrenice,
Ledwie spójrzał w rumiane Telimeny lice,
Odkrył od razu wielką, straszną tajemnicę!
Przebóg, naróżowana!

Czy róż w złym gatunku,
Czy jakoś na obliczu przetarł się s trefunku:
Gdzieniegdzie zrzedniał, na wskróś grubszą płeć odsłania.
Może to sam Tadeusz w *Świątyni dumania*,
Rozmawiając za blisko, omusknął z bielidła
Karmin, lżejszy od pyłków motylego skrzydła.
Telimena wracała nazbyt śpieszno z lasu,
I poprawić kolory swe nie miała czasu;
Około ust szczególniéj widne były piegi.
Nuż oczy Tadeusza, jako chytre szpiegi,
Odkrywszy jedną zdradę, poczną w kolej zwiedzać
Resztę wdzięków, i wszędzie, jakiś fałsz wyśledzać:
Dwóch zębów braknie w ustach; na czole, na skroni
Zmarszczki; tysiące zmarszczków pod brodą się chroni!

Niestety! czuł Tadeusz, jak jest niepotrzebnie,

Rzecz piękną nazbyt ściśle zważać; jak haniebnie
Być szpiegiem swej kochanki; nawet jak szkaradnie,
Odmieniać smak i serce—lecz któż sercem władnie?
Darmo chce brak miłości zastąpić sumnieniem,
Chłod duszy ogrzać znowu jéj wzroku promieniem:
Już ten wzrok, jako księżyc światły a bez ciepła,
Błyskał po wierzchu duszy, która do dna krzepła..
Takie robiąc sam w sobie wyrzuty i skargi,
Pochylił w talerz głowę, milczał i gryzł wargi.

Tym czasem zły duch nową pokusą go wabi,
Podsłuchiwać co Zosia mówiła do Hrabi:
Dziewczyna uprzejmością Hrabiego ujęta,
Z razu rumieniła się spuściwszy oczęta,
Potém śmiać się zaczęli, w końcu rozmawiali,
O jakiémś niespodzianém w ogrodzie spotkaniu,
O jakiémś po łopuchach i grzędach stąpaniu.
Tadeusz wyciągnąwszy co najdłużéj uszy,
Połykał gorzkie słowa i przetrawiał w duszy.
Okropną miał biesiadę. Jak w ogrodzie żmija,
Dwoistém żądłem zioło zatrute wypija,
Potém skręci się w kłębek i na drodze legnie,

Grożąc stopie co na nią nieostróżnie biegnie ;
Tak Tadeusz opiły trucizną zazdrości,
Zdawał się obojętny, a pękał ze złości.

W najweselszém zebraniu niech się kilku gniewa,
Zaraz się ich ponurość na resztę rozlewa.
Strzelcy dawniéj milczeli, druga stołu strona
Umilkła, Tadeusza żółcią zarażona.

Nawet Pan Podkomorzy nadzwyczaj ponury,
Nie miał ochoty gadać; widząc swoje córy
Posażne i nadobne Panny, w wieku kwiecie,
Zdaniem wszystkich najpierwsze partye w powiecie,
Milczące, zaniedbane od milczącéj młodzi.
Gościnnego Sędziego również to obchodzi;
Wojski zaś uważając że tak wszyscy milczą,
Nazywał tę wieczerzą nie polską, lecz wilczą.

Hreczecha na milczenie miał słuch bardzo czuły,
Sam gawęda, i lubił niezmiernie gaduły.
Nie dziw ! ze szlachtą strawił życie na biesiadach,
Na polowaniach, zjazdach, sejmikowych radach ;

Przywykł żeby mu zawsze coś bębniło w ucho,
Nawet wtenczas, gdy milczał, lub s placką za muchą
Skradał się, lub zamknąwszy oczy siadał marzyć ;
W dzień szukał rozmów, w nocy musiano mu gwarzyć
Pacierze różańcowe, albo gadać bajki :
Stąd też nieprzyjacielem zabitym był fajki,
Wymyślonéj od niemców by nas scudzoziemczyć,
Mawiał : Polskę oniemić, jest to Polskę zniemczyć.—
Starzec wiek przegwarzywszy chciał spoczywać w gwarze,
Milczenie go budziło ze snu : tak młynarze
Uśpieni kół tarkotem, ledwie staną osie,
Budzą się krzycząc s trwogą : a słowo stało się.

Wojski ukłonem dawał znak Podkomorzemu,
A ręką od ust lekko skinął ku Sędziemu,
Prosząc o głos; Panowie na ten ukłon niemy
Odkłonili się oba, co znaczy : prosiemy.
Wojski zagaił.

« Smiałbym upraszać młodzieży,
Ażeby postaremu bawić u wieczerzy,
Nie milczeć i żuć : czy my Ojce Kapucyni?

Kto milczy między szlachtą, to właśnie tak czyni,
Jako myśliwiec który nabój rdzawi w strzelbie :
Dla tego ja rozmowność naszych przodków wielbię.
Po łowach szli do stołu, nie tylko by jadać,
Ale aby nawzajem mogli się wygadać,
Co każdy miał na sercu; nagany, pochwały
Strzelców i obławników, ogary, wystrzały,
Wywoływano na plac; powstawała wrzawa,
Miła uchu myśliwców, jak druga obława.
Wiem, wiem o co wam idzie: ta czarnych trosk chmura
Pono z Robakowego wzniosła się kaptura!
Wstydzicie się swych pudeł! niech was wstyd nie pali,
Znałem mysliwych lepszych od was, a chybiali;
Trafiać, chybiać, poprawiać, to kolej strzelecka.
Ja sam, chociaż ze strzelbą włoczę się od dziecka,
Chybiałem; chybiał sławny ów strzelec Tułoszczyk,
Nawet nie zawsze trafiał pan Rejtan nieboszczyk.
O Rejtanie opowiem póżniej. Co się tycze
Wypuszczenia z obławy, że oba panicze
Zwierzowi jak należy kroku niedostali
Choć mieli oszczep w ręku, tego nikt nie chwali,
Ani gani : bo zmykać mając naboj w rurze

Znaczyło po staremu być tchórzem nad tchórze,
Toż wystrzelić na oślep (jak to robi wielu)
Nie przypuściwszy zwierza, nie wziąwszy do celu,
Jest rzecz haniebna; ale kto dobrze wymierzy,
Kto przypuści do siebie zwierza jak należy,
Jeśli chybił, cofnąć się może bez sromoty,
Albo walczyć oszczepem, lecz z własnéj ochoty
A nie z musu: gdyż oszczep strzelcom poruczony,
Nie dla natarcia, ale tylko dla obrony.
Tak było po staremu: a więc mnie zawierzcie,
I waszéj rejterady do serca niebierzcie,
Kochany Tadeuszku i Wielmożny Grafie;
Ilekroć zaś wspomnicie o dzisiejszym trafie,
Wspomnijcie też starego Wojskiego przestrogę,
Nigdy jeden drugiemu nie zachodzić w drogę,
Nigdy we dwóch nie strzelać do jednéj źwierzyny.

Właśnie Wojski wymawiał to słowo źwierzyny,
Gdy Assessor półgębkiem podszepnął: dziewczyny;
Brawo krzyknęła młodzież, powstał szmer i śmiechy,
Powtarzano s kolei przestrogę Hreczechy,
Mianowicie ostatnie słowo: ci źwierzyny,

A drudzy w głos śmiejąc się krzyczeli dziewczyny;
Rejent szepnął: kobiety,—Assessor: kokiety,
Utkwiwszy w Telimenie oczy jak sztylety.

Nie myślił wcale Wojski przymawiać nikomu,
Ani uważał, co tam szepcą pokryjomu;
Rad bardzo że mógł damy i młodzież rozśmieszyć,
Zwrócił się ku myśliwcom, chcąc i tych pocieszyć.
I zaczął, nalewając sobie kielich wina:

« Nadaremnie oczyma szukam Bernardyna;
Chciałbym mu opowiedzieć wypadek ciekawy,
Podobny do zdarzenia dzisiejszéj obławy.
Klucznik mówił, że tylko znał jednego człeka,
Co tak celnie jak Robak mógł strzelić zdaleka;
Ja zaś znałem drugiego: równie trafnym strzałem
Ocalił on dwóch panów; sam ja to widziałem,
Kiedy do Nalibockich zaciągnęli lasów,
Tadeusz Rejtan poseł i książe Denassow.
Nie zazdrościli sławie szlachcica panowie,
Owszem u stołu, pierwsi wnieśli jego zdrowie,
Nadawali mu wielkich prezentów bez liku,

I skórę zabitego dzika : o tym dziku
J o strzale, powiem wam jak naoczny świadek;
Bo to był dzisiejszemu podobny przypadek,
A zdarzył się największym strzelcom za mych czasów,
Posłowi Rejtanowi i Księciu Denassow.

A w tem ozwał się Sędzia nalewając czaszę :
Piję zdrowie Robaka, Wojski, w ręce wasze.
Jeśli datkiem nie możem kwestarza zbogacić,
Postaramy się przecież za proch mu zapłacić,
Ręczamy, że niedźwiedź zabity dziś w boru,
Przez dwa lata wystarczy na kuchnię klasztoru.
Lecz skóry Księdzu niedam; lub gwałtem zabiorę,
Albo ją mnich ustąpić musi przez pokorę,
Albo ją kupię choćby dziesiątkiem soboli.
Skórą tą rozrządzimy wedle naszéj woli;
Pierwszy wieniec i sławę już wziął sługa boży,
Skórę Jaśnie Wielmożny pan nasz Podkomorzy
Temu da, kto na drugą nagrodę zasłużył.

Podkomorzy pogładził czoło i brwi zmrużył;
Strzelcy zaczęli szemrać, każdy coś powiadał,

Tamten jak zwierza znalazł, ten jak ranę zadał,
Tamten psiarnię nawołał, ów zwierza nawrócił
Znowu w ostęp. Assessor z Rejentem się kłócił,
Jeden wielbiąc przymioty swojéj Sanguszkówki,
Drugi bałabanowskiéj swéj Sagalasówki.

Sędzio sąsiedzie, wreszcie wyrzekł Podkomorzy,
Pierwszą nagrodę słusznie zyskał sługa boży;
Lecz nie łacno rozsądzić kto jest po nim drugi,
Bo wszyscy zdają mi się mieć równe zasługi,
Wszyscy równi zręcznością, biegłością i męstwem.
Przecież dwóch dziś odznaczył los niebespieczeństwem,
Dwaj byli niedźwiedziego najbliżsi pazura,
Tadeusz i pan Hrabia; im należy skóra.
Pan Tadeusz ustąpi (jestem tego pewny)
Jako młodszy i jako Gospodarza krewny;
Więc spolia opima weźmiesz Mości Hrabia.
Niech ten łup twą strzelecką komnatę ozdabia,
Niechaj pamiątką będzie dzisiejszéj zabawy,
Godłem szczęścia łowczego, bodźcem przyszłéj sławy.

Umilknął wesoł, myśląc że Hrabię ucieszył,

Nie wiedział jak boleśnie serce jego przeszył.
Bo Hrabia na strzeleckiéj komnaty wspomnienie,
Mimowolnie wzrok podniosł; a te łby jelenie,
Te gałęziste rogi jakby las wawrzynów
Zasiany ręką ojców na wieńce dla synów,
Te rzędami portretów zdobione filary,
Ten w sklepieniu błyszczący herb Półkozic stary,
Ozwały się doń zewsząd głosami przeszłości;
Zbudził się z marzeń, wspomniał, gdzie, u kogo gości,
Dziedzic Horeszków, gościem środ swych własnych progów,
Biesiadnikiem Sopliców, swych odwiecznych wrogów!
A przytém zawiść ktorą czuł dla Tadeusza,
Tém mocniéj Hrabię przeciw Soplicom porusza.

Rzekł więc z gorzkim uśmiechem: mój domek zbyt mały,
Niema godnego miejsca na dar tak wspaniały;
Niech lepiéj niedźwiedź czeka pośród tych rogaczy,
Aż mi go Sędzia razem z zamkiem oddać raczy.

Podkomorzy zgadując na co się zanosi,
Zadzwonił w tabakierę złotą, o głos prosi.

Godzieneś pochwał, rzecze, Hrabio mój sąsiedzie,
Że dbasz o interesa nawet przy obiedzie;
Nie tak jak modni wieku twojego panicze,
Żyjący bez rachunku. Ja tuszę i życzę
Zgodą zakończyć moje sądy podkomorskie;
Dotąd jedyna trudność jest o fundum dworskie.
Mam już projekt zamiany, fundum wynagrodzić
Ziemią, w sposób następny — Tu zaczął wywodzić
Porządnie (jak zwykł zawsze) plan przyszłéj zamiany;
Iuż był w połowie rzeczy; gdy ruch niespodziany
Wszczął się na końcu stoła: jedni coś postrzegli,
Wskazują palcem, drudzy z oczyma tam biegli,
Aż wreszie wszystkie głowy, jak kłosy schylone,
Wstecznym wiatrem w przeciwną zwróciły się stronę,
W kąt.

S kąta, kędy wisiał portret nieboszczyka
Ostatniego z rodziny Horeszków Stolnika,
Z małych drzwiczek ukrytych pomiędzy filary,
Wysunęła się cicho postać, nakształt mary.
Gerwazy; poznano go po wzroście, po licach,
Po srebrzystych na żółtéj kurcie Półkozicach.

Stąpał jako słup prosto, niemy i surowy,
Niezdjąwszy czapki, nawet nieschyliwszy głowy;
W ręku trzymał błyszczący klucz jakby puginał,
Odemknął szafę i w niej coś kręcić zaczynał.

Stały w dwóch kątach sieni, wsparte o filary,
Dwa kurantowe w szafach zamknięte zegary;
Dziwaki stare, dawno ze słońcem w niezgodzie,
Południe wskazywały często o zachodzie;
Gerwazy nie przybrał się machyny naprawić,
Ale bez nakręcenia nie chciał jéj zostawić,
Dręczył kluczem zegary każdego wieczora;
Właśnie teraz przypadła nakręcania pora.
Gdy Podkomorzy sprawą zajmował uwagę
Stron interessowanych, on pociągnął wagę:
Zgrzytnęły wyszczerbionym zębem koła rdzawe,
Wzdrygnął się Podkomorzy i przerwał rosprawę.
Bracie, rzekł, odłoż nieco twą pilną robotę —
I kończył plan zamiany; lecz Klucznik na psotę
Jeszcze silniéj pociągnął drugiego ciężaru;
I wnet gil który siedział na wierzchu zegaru,
Trzepiocąc skrzydłem zaczął ciąć kurantów nóty:

Ptak sztucznie wyrobiony, szkoda że popsuty,
Zająkął się i piszczał, im dalej tém gorzej.
Goście w śmiech; musiał przerwać znowu Podkomorzy.
Mości Kluczniku, krzyknął, lub raczéj puszczyku,
Jeśli dziob twój szanujesz, dość mi tego krzyku.

Ale Gerwazy groźbą wcale się nie strwożył,
Prawą rękę poważnie na zegar położył,
A lewą wziął się pod bok; tak oburącz wsparty,
Podkomorzeńku! krzyknął, wolne pańskie żarty,
Wróbel mniejszy niż puszczyk, a na swoich wiorach
Śmielszy jest aniżeli puszczyk w cudzych dworach:
Co Klucznik to nie puszczyk; kto w cudze poddasze
Nocą włazi, ten puszczyk, i ja go wystraszę.
— Za drzwi z nim. Podkomorzy krzyknął.

— Panie Hrabia!
Zawołał Klucznik, widzisz Pan co się wyrabia:
Czy niedosyć się jeszcze pański honor plami,
Że Pan jadasz i pijasz s temi Soplicami;
Trzebaż jeszcze, aby mnie, zamku urzędnika,
Gerwazego Rembayłę, Horeszków Klucznika,

Lżyć w domu Panów moich, i Pan że to zniesie!
— Wtém Protazy zawołał trzykroć : Uciszcie się,
Na ustęp! Ja Protazy Baltazar Brzechalski,
Dwojga imion, Generał niegdyś trybunalski,
Vulgo Woźny, woźneńską obdukcyą robię
I vizyą formalną, zamawiając sobie
Urodzonych tu wszystkich obecnych świadectwo
I pana Assessora wzywając na śledztwo ,
S powodu Wielmożnego Sędziego Soplicy :
O inkursyą, to jest o najazd granicy,
Gwałt zamku, w którym Sędzia dotąd prawnie włada,
Czego dowodem jawnym jest, że w zamku jada.
—Brzechaczu, wrzasnął Klucznik, ja cię wnet nauczę;
I dobywszy z zapasa swe żelazne klucze,
Okręcił w koło głowy, puścił s całej mocy;
Pęk żelaza wyleciał, jako kamień s procy.
Pewnie łeb Protazemu rozbiłby na ćwierci ;
Szczęściem schylił się Woźny i wydarł się śmierci.

Porwali się z miejsc wszyscy, chwilę była głucha
Cichość, aż Sędzia krzyknął : w dyby tego zucha!
Hola chłopcy! — i czeladź rzuciła się żwawo

Ciasném przejściem pomiędzy ścianami i ławą;
Lecz Hrabia krzesłem w środku zagrodził im drogę
I na tym szańcu słabym utwierdziwszy nogę,
Wara! zawołał, Sędzio! niewolno nikomu
Krzywdzić sługę mojego w moim własnym domu;
Kto ma na starca skargę, niech mi ją przełoży.

Zyzem w oczy Hrabiemu spojrzał Podkomorzy.
« Bez Waścinéj pomocy ukarać potrafię
Zuchwałego szlachetkę; a Waść Mości Grafie,
Przed dekretem ten zamek zawcześnie przywłaszczasz;
Nie Wać tu jesteś panem, nie Wać nas ugaszczasz:
Siedź cicho jakeś siedział; jeśli siwej głowy
Nie czcisz, to szanuj pierwszy urząd powiatowy.

—Co mi? odmruknął Hrabia, dość już téj gawędy,
Nudźcie drugich waszemi względy i urzędy;
Dośćjuż głupstwa zrobiłem, wdając się z Wać państwem
W pijatyki, które się kończą grubijaństwem.
Zdacie mi sprawę z mego honoru obrazy;
Do widzenia po trzeźwu — pódź za mną Gerwazy.

Nigdy się odpowiedzi takiéj niespodziewał
Podkomorzy, właśnie swój kieliszek nalewał,
Gdy zuchwalswem Hrabiego rażony jak gromem,
Oparłszy się o kielich butlem nieruchomym,
Głowę wyciągnął na bok i ucha przyłożył,
Oczy rozwarł szeroko, usta wpół otworzył;
Milczał, lecz kielich w ręku tak potężnie cisnął,
Że szkło dźwięknąwszy pękło, płyn w oczy mu prysnął.
Rzekłbyś że z winem ognia w duszę się nalało,
Tak oblicze spłonęło, tak oko pałało;
Zerwał się mówić, pierwsze słowo niewyraźnie
Mlеł w ustach, aż przez zęby wyleciało: Błaźnie!
Grafiątko! ja cię! Tomasz! karabellę! Ja tu
Nauczę ciebie mores, błaźnie, daj go katu!
Względy, urzędy nudzą, uszko delikatne!
Ja cię tu zaraz po tych zauszniczkach płatnę.
Fora za drzwi! do korda! Tomasz, karabellę!

Wtém do Podkomorzego skoczą przyjaciele;
Sędzia porwał mu rękę: « Stój Pan, to rzecz nasza,
Mnie tu naprzód wyzwano, Protazy, pałasza!
Puszczę go w taniec jako niedźwiadka na kiju —

Lecz Tadeusz Sędziego wstrzymał — Panie stryju,
Wielmożny Podkomorzy, czyż się Państwu godzi
Wdawać się s tym fircykiem, czy tu nie ma młodzi?
Na mnie to zdajcie, ja go należycie skarcę;
A Waszeć Panie śmiałku co wyzywasz starce,
Obaczym czyli jesteś tak strasznym rycerzem;
Rosprawimy się jutro, plac i broń wybierzem.
Dziś uchodź pókiś cały —

Dobra była rada;
Klucznik i Hrabia wpadli w obroty nie lada.
Przy wyższym końcu stoła wrzał tylko krzyk wielki,
Ale z ostrego końca latały butelki
Koło Hrabiego głowy. Strwożone kobiety
W prośby, w płacz; Telimena, krzyknąwszy: niestety!
Wzniosła oczy, powstała, i padła zemdlona,
I przechyliwszy szyję przez Hrabi ramiona,
Na pierś jego złożyła swe piersi łabędzie.
Hrabia choć zagniewany, wstrzymał się w zapędzie,
Zaczął cucić, ocierać.

Tymczasem Gerwazy,

Wystawiony na stołków i butelek razy,
Już zachwiał się, już czeladź zakasawszy pięście
Rzucała się nań zewsząd hurmem, gdy na szczęście
Zosia widząc szturm, skoczy i litością zdjęta,
Zasłania starca na krzyż rospiąwszy rączęta —
Wstrzymali się; Gerwazy zwolna ustępował,
Zniknął z oczu, szukano gdzie się pod stół schował;
Gdy nagle, z drugiéj strony wyszedł jak spod ziemi,
Podniosłszy w górę ławę ramiony silnemi,
Okręcił się jak wiatrak, oczyścił pół sieni,
Wziął Hrabię i tak oba ławą zasłonieni
Cofali się ku drzwiczkom; już dochodzą progów,
Gerwazy stanął, jeszcze raz spojrzał na wrogów,
Dumał chwilę, niepewny, czy cofać się zbrojnie,
Czyli z nowym orężem szukać szczęścia w wojnie.
Obrał drugie; już ławę jak taran murowy
W tył dźwignął dla zamachu, już ugiąwszy głowy,
Z wypiętą na przód piersią, s podniesioną nogą
Miał wpaść... ujrzał Wojskiego, uczuł w sercu trwogę.

Wojski cicho siedzący s przymrużoném okiem,
Zdawał się pogrążony w dumaniu głębokiém;

Dopiero gdy się Hrabia s Podkomorzym skłócił
I Sędziemu pogroził, Wojski głowę zwrócił,
Zażył dwakroć tabaki i przetarł powieki.
Chociaż Wojski Sędziemu był krewny daleki,
Ale w gościnnym jego domu zamieszkały,
O zdrowie przyjaciela był niezmiernie dbały.
Przypatrywał się zatém s ciekawością walce,
Wyciągnął zlekka na stół rękę dłoń i palce,
Położył nóż na dłoni, trzonkiem do paznokcia
Indexu, a żelazem zwrócony do łokcia,
Potém rękę w tył nieco wychyloną kiwał
Niby bawiąc się, lecz się w Hrabiego wpatrywał.

Sztuka rzucania nożów, straszna w ręcznéj bitwie,
Już była zaniedbana podówczas na Litwie,
Znajoma tylko starym; Klucznik jéj probował
Nieraz wzwadach karczemnych, Wojski w niéj celował.
Widać z zamachu ręki że silnie uderzy,
A z oczu łacno zgadnąć, że w Hrabiego mierzy
(Ostatniego z Horeszków chociaż po kądzieli)
Mniéj baczni młodzi ruchów starca niepojęli;
Gerwazy zbladnął, ławą Hrabiego zakłada,

Cofa się ku drzwiom. — « Łapaj ! » krzyknęła gromada.

Jako wilk obskoczony znienacka przy ścierwie,
Rzuca się oślep w zgraję co mu ucztę przerwie,
Już goni, ma ją szarpać, wtém śród psiego wrzasku
Trzasło ciche półkorcze, wilk zna je po trzasku,
Śledzi okiem, postrzega, że s tyłu za charty,
Myśliwiec wpół schylony, na kolanie wsparty
Rurą, ku niemu wije, i już cyngla tyka ;
Wilk uszy spuszcza, ogon podtuliwszy zmyka,
Psiarnia s tryumfującym rzuca się hałasem,
I skubie go po kudłach, zwierz zwraca się czasem,
Spojrzy, klapnie paszczęką, i białych kłów zgrzytem
Ledwie pogrozi, psiarnia pierzcha ze skowytem.
Taki Gerwazy z groźną cofał się postawą ,
Wstrzymując napastników oczyma i ławą,
Aż razem z Hrabią wpadli w głąb' ciemnéj framugi.

« Łapaj ! » krzyknięto znowu ; tryumf był nie długi :
Bo nad głowami tłumu Klucznik nie spodzianie
Ukazał się na chorze, przy starym organie,
I s trzaskiem jął wyrywać ołowiane rury,

Wielkąby klęskę zadał uderzając z góry.
Ale już goście tłumnie wychodzili s sieni,
Nieśmieli kroku dostać słudzy potrwożeni,
I chwytając naczynia w ślad Panów uciekli,
Nawet nakrycia s częścią sprzętów się wyrzekli.

Któż ostatni, niedbając na groźby i razy
Ustąpił s placu bitwy? Brzechalski Protazy.
On za krzesłem Sędziego stojąc niewzruszenie,
Ciągnął woźnieńskim głosem swoje oświadczenie,
Aż skończył, i s pustego szedł pobojowiska,
Kędy zostały trupy, ranni i zwaliska.

W ludziach straty nie było; ale wszystkie ławy
Miały zwichnione nogi, stół także kulawy,
Obnażony z obrusa, poległ na talerzach
Zlanych winem, jak rycerz na krwawych puklerzach,
Między licznemi kurcząt i jendykow ciały,
W których piersi widelce świeżo wbite tkwiały.

Po chwili w Horeszkowskim samotnym budynku,
Wszystko do zwyczajnego wracało spoczynku.

Mrok zgęstniał; reszty pańskiéj wspaniałéj biesiady
Leżą, podobne uczcie nocnéj, gdzie na dziady
Zgromadzać zaklęte mają nieboszczyki.
Już na poddaszu trzykroć krzyknęły puszczyki
Jak guślarze; zdają się witać wschód miesiąca,
Którego postać oknem spadła na stół, drżąca
Niby dusza czyscowa; s podziemu, przez dziury
Wyskakiwały nakształt potępieńców szczury:
Gryzą, piją; czasami w kącie zapomniana
Puknie na toast duchom butelka szampana.

Ale na drugiém piętrze, w izbie którą zwano,
Choć była bez zwierciadeł, izbą zwierciadlaną,
Stał Hrabia na krużganku zwroconym ku bramie;
Chłodził się wiatrem, surdut wdział na jedno ramie,
Drugi rękaw i poły u szyi sfałdował,
I piers surdutem jakby płaszczem udrapował.
Gerwazy chodził kroki wielkiemi po sali;
Obadwa zamyśleni, do siebie gadali:
—Pistolety, rzekł Hrabia, lub gdy chcą pałasze.
—Zamek, rzekł Klucznik i wieś, oboje to nasze.
—Stryja, synowca, wołał Hrabia, całe plemie,

Wyzywaj—Zamek, wołał Klucznik, wieś i ziemie
Zabieraj Pan — to mówiąc zwrócił się do Hrabi —
Jeśli Pan chce mieć pokój, niech wszystko zagrabi.
Poco process, Mopanku! sprawa jak dzień czysta,
Zamek w ręku Horeszków był przez lat czterysta;
Część gruntów oderwano w czasie Targowicy,
I jak Pan wié, oddano władaniu Soplicy.
Nie tylko tę część, wszystko zabrać im należy,
Za koszta processowe, za karę grabieży.
Mówiłem Panu zawsze, processów zaniechać,
Mówiłem Panu zawsze: najechać, zajechać;
Tak było po dawnemu: kto raz grunt posiądzie,
Ten dziedzic; wygraj w polu, a wygrasz i w sądzie.
Co się tycze dawniejszych s Soplicami sprzéczek,
Jest na to od processu lepszy scyzoryczek;
A jeśli Maciej w pomoc da mi swą rózeczkę,
To my we dwóch, Sopliców tych porzniem na sieczkę.

Brawo! rzekł Hrabia, plan twóy, gotycko - sarmacki,
Podoba się mi lepiéj, niż spór adwokacki.
Wiész co? na całéj Litwie narobim hałasu
Wyprawą, niesłychaną od dawnego czasu.

I sami się zabawim. Dwa lata tu siedzę,
Jakąż bitwę widziałem? s chłopami o miedzę.
Nasza wyprawa przecież krwi rozlanie wróży;
Odbyłem taką jedną w czasie mych podróży.
Gdym w Sycylji bawił u pewnego księcia,
Rozbójnicy porwali w górach jego zięcia,
I okupu od krewnych żądali zuchwale;
My zebrawszy na prędce sługi i Wassale,
Wpadliśmy; ja dwóch zbojców ręką mą zabiłem,
Pierwszy wleciałem w tabor, więźnia uwolniłem.
Ach mój Gerwazy! jaki to był tryumfalny,
Jaki piękny nasz powrót, rycersko-feudalny!
Lud s kwiatami spotykał nas — córka książęcia
Wdzięczna zbawcy, ze łzami wpadła w me objęcia.
Gdym przybył do Palermo, wiedziano z gazety,
Palcami wskazywały mię wszystkie kobiety.
Nawet wydrukowano o całém zdarzeniu
Romans, gdzie wymieniony jestem po imieniu.
Romans ma tytuł: *Hrabia, czyli tajemnice*
Zamku Birbante—rokka. Czy są tu ciemnice
W tym zamku? Są rzekł Klucznik, ogromne piwnice,
Ale puste! bo wino wypili Soplice.

— Dżokejów, dodał Hrabia, uzbroić we dworze,
Z włości wezwać Wassalów! — Lokajów? broń Boże!
Przerwał Gerwazy. Czy to zajazd jest hultajstwem?
Kto widział zajazd robić s chłopstwem i z lokajstwem?
Mój Panie, na zajazdach nieznacie się wcale;
Wąsalów co innego, zdadzą się wąsale:
Nie we włości ich szukać, ale po zaściankach,
W Dobrzynie, w Rzezikowie, w Cięty czach, w Rąbankach;
Szlachta odwieczna, w której krew rycerska płynie,
Wszyscy przychylni Panów Horeszków rodzinie,
Wszyscy nieprzyjaciele zabici Sopliców!
Stamtąd zbiorę ze trzystu wąsatych szlachciców;
To rzecz moja. Pan niechaj do pałacu wraca,
I wyśpi się, bo jutro będzie wielka praca;
Pan spać lubi, już późno, drugi kur już pieje;
Ja tu będę pilnować zamku aż rozdnieje,
A ze słoneczkiem stanę w Dobrzyńskim zaścianku.

Na te słowa Pan Hrabia ustąpił s krużganku;
Ale nim odszedł, spójrzał przez otwór strzelnicy,
I widząc świateł mnóstwo w domostwie Soplicy,
Illuminujcie! krzyknął, jutro o tej porze,

Będzie jasno w tym zamku, ciemno w waszym dworze.

Gerwazy siadł na ziemi, oparł się o ścianę,
I pochylił ku piersiom czoło zadumane;
Światłość miesięczna padła na wierzch głowy łysy,
Gerwazy po nim kryślił palcem różne rysy;
Widać że przyszłych wypraw snuł plany wojenne.
Cięża mu coraz bardziej powieki brzemienne,
Bezwładną kiwnął szyją, czuł że go sen bierze,
Zaczął wedle zwyczaju wieczorne pacierze.
Lecz między Ojczenaszém i Zdrowaś Maryą,
Dziwne stanęły mary, tłoczą się i wiją:
Klucznik widzi Horeszki, swoje dawne Pany,
Ci niosą karabelle, drudzy buzdygany,
Każdy groźnie spoziera i pokręca wąsa,
Składa się karabellą, buzdyganem wstrząsa —
Za nimi jeden cichy, posępny cień mignął,
S krwawą na piersi plamą. Gerwazy się wzdrygnął,
Poznał Stolnika; zaczął w koło siebie żegnać,
I ażeby tém pewnié[illegible]ne sny rozegnać,
Odmawiał litanią [illegible]wych duszach.
Znowu wzrok mu s[illegible]się, zadzwoniło w uszach—

Widzi tłum szlachty konnej, błyszczą karabelle:
Zajazd! zajazd Korelicz i Rymsza na czele!
I ogląda sam siebie : jak na koniu siwym,
S podniesionym nad głową rapiérem straszliwym
Leci; rospięta na wiatr szumi taratatka,
Z lewego ucha spadła w tył konfederatka;
Leci, jezdnych i pieszych po drodze obala,
I nakoniec Soplicę w stodole podpala —
Wtém ciężka marzeniami na pierś spadła głowa,
I tak usnął ostatni Klucznik Horeszkowa.



OBJAŚNIENIA.

Ostatni zajazd na Litwie.

Za czasów Rzeczypospolitéj Polskiéj, exekwowanie wyroków sądowych było bardzo trudne, w kraju gdzie władza wykonawcza nie miała prawie żadnéj policji pod swemi roskazami, a obywatele możni trzymali nadworne pólki, niektórzy nawet, jak książęta Radziwiłłowie, kilkunasto tysięczne wojka. Żałujący więc uzyskawszy dekret musiał po exekucją udawać się do stanu rycerskiego, to jest do szlachty, przy któréj była także władza wykonawcza. Zbrojni krewni, przyjaciele i powietnicy ciągnęli z dekretem w ręku i w towarzystwie woźnego, zdobywali często nie bez rozlewu krwi dobra przysądzone żałującemu, które woźny legalnie tradował lub w possessyę oddawał. Taka exekucja zbrojna dekretu nazywała się *zajazdem*. — W dawnych czasach, póki szanowano prawa, najmożniejsi panowie nie śmieli się opierać wyrokom, rzadko zdarzały się zbrojne napaści, a gwałt prawie nigdy nie uszedł bezkarnie. Wiadomy z dziejów smutny koniec księcia Wasila Sanguszki i Stadnickiego zwanego djablem. — Zepsucie publicznych obyczajów Rzeczypospolitéj namnożyło zajazdów, które ciągle mieszały spokojność Litwy.

Str. 9, w. 5. Panno Święta, co jasnéj bronisz Częstochowy
I w Ostréj świecisz Bramie.

Wszyscy w Polszcze wiedzą o obrazie cudownym N. P. na jasnéj górze w Częstochowie. W Litwie słyną cudami obrazy N. P. Ostrobramskiéj w Wilnie, Zamkowéj w Nowogródku, tudzież Żyrowickiéj i Boruńskiéj.

Str. 14, w. 5. Nim się Pan Wojski ubierze.

Wojski (tribunus) bywał niegdyś z urzędu opiekunem żon i dzieci szlachty w czasie pospolitego ruszenia. Od dawnego czasu urząd ten bez obowiązków stał się tytularnym. W Litwie jest zwyczajem, iż Osobom poważnym, nadaje się przez grzeczność jakikolwiek tytuł dawny, który używaniem uprawnia się. Mianują naprzykład sąsiedzi przyjaciela swego Oboźnym, Stolnikiem lub Podczaszym, z razu w rozmowie tylko i w korrespondencyi, a następnie nawet w aktach urzędowych. Rząd Rossyjski zabraniał podobnych tytułów, i pragnąłby je śmiesznością okryć a wprowadzić na ich miejsce, tytułowanie podług rang swojéj hierarchji, do któréj Litwini dotąd wielki wstręt mają.

Str. 14, w. 19. .... Ale nie myśl wcale,
Aby w domu Sędziego służono niedbale.

Rząd Rossyjski nigdy w krajach zdobytych nie obala od

razu praw i instytucji cywilnych, ale je powoli ukazami podkopuje i rostacza. W Malorossyi na przykład, utrzymano aż do ostatnich czasów Statut Litewski, ukazami odmieniony. Litwie zostawiono całe dawne urządzenie Sądów cywilnych i kryminalnych. Obierani więc są po dawnemu Sędziowie ziemscy i grodzcy w powiatach, i Sędziowie główni w guberniach. Ale że appellacya idzie do Petersburga do mnogich różnego stopnia instancji, przy sądach więc miejscowych, ledwie pozostał cień dawnéj powagi tradycyjnéj.

Str. 16, w. 1. Podkomorzy już zjechał z żoną i z córkami.

Podkomorzy, niegdyś urzędnik znakomity i poważny, Princeps Nobilitatis, za rządu Rossyjskiego stał się tylko tytularnym. Sądził jeszcze niekiedy sprawy graniczne, ale nakoniec i tę część jurysdykcji utracił. Teraz zastępuje czasem Marszałka, i mianuje Komorników czyli mierniczych powiatowych.

Str. 19, w. 11. Wojski z Woźnym Protazym ze świecami w sieni.

Woźny albo jenerał, wybrany uchwałą trybunalską lub sądową ze szlachty osiadłéj, roznosił pozwy, ogłaszał intromissye, robił wizye, przywoływał aktoraty etc. Pospolicie drobna szlachta urząd ten sprawowała.

Str. 28, w. 11. Biegali za nim wszyscy jakby za rarogiem.

Raróg, ptak z gatunku jastrzębia. Wiadomo że za jastrzębiami drobne ptastwo szczególnie jaskułki, tłumnie ugędzają się. Stąd przysłowie : latać jak za rarogiem.

Str. 32, w. 13. ..... Że Bonapart czarował.

Mnóstwo krąży powieści między prostym ludem rossyjskim o czarach Bonapartego i Suwarowa.

Str. 34, w. 21. Assessora z Rejentem wzmogła się uparta.

Assessorowie składają policją ziemską powiatu. Wedle ukazów czasem bywają obierani przez obywateli, czasem naznaczani od Rządu; ci ostatni zowią się koronni. Sędziowie appellacyjni zowią się także Assessorami, ale tu nie o nich mowa.

Rejenci aktowi zarządzają kancellarją, dekretowi piszą wyroki, wszyscy zaś mianowani z ręki Pisarzów sądowych.

Str. 45, w. 3. Coby Rzekł Wojewoda Niesiołowski stary.

Józef hrabia Niesiołowski, ostatni Wojewoda Nowogrodzki, był prezesem Rządu rewolucyjnego w czasie powstania Jasińskiego.

Str. 45, w. 9. Białopiotrowiczowi samemu odmówił.

Jerzy Białopiotrowicz ostatni Pisarz W. X. Litewskiego, czynnie należał do powstania Litwy pod Jasińskim. Sądził więźniów stanu w Wilnie. Mąż dla cnot i patryotyzmu bardzo szanowany w Litwie.

Str. 47, w. 21. Woźny pas mu odwiązał, pas Słucki, pas lity.

W Słucku sławna była fabryka złotogłowu i pasów litych na całą Polskę; udoskonalona staraniem Tyzenhauza.

Str. 49, w. 2. Była to trybunalska wokanda...

Wokanda, wąska podługowata książeczka, na której spisywano nazwiska stron processujących wedle porządku aktoratów. Każdy Adwokat i Woźny musiał mieć takową wokandę.

Str. 51, w. 11. Rzucił w oczy Francuzów sto krwawych sztandarów.

Jenerał Kniaziewicz, wysłany przez armią włoską, złożył Dyrektorjatowi zdobyte chorągwie.

Str. 51, w. 12. Jak Jabłonowski zabiegł aż kędy pieprz rośnie.

Książe Jabłonowski, dowodzący Legią Naddunajską, umarł w Saint Domingo, i cała prawie legia tam zginęła.

W Emigracji jest kilku Weteranów pozostałych z owéj nieszczęśnéj wyprawy, między innymi Jenerał Malachowski.

Str. 68, w. 18. I w organ i w rozliczne instrumenty grała.

W dawnych zamkach stawiano na chorach organ.

Str. 71, w. 7. I czarną mu polewkę do stołu podano.

Czarna polewka podana u stołu paniczowi starającemu się o rękę panny, oznaczała rekuzę.

Str. 81, w 19. Lub z wicin bierze ziarna w najlepszym gatunku.

Wiciny są to wielkie statki na Niemnie, któremi Litwini prowadzą handel s Prussami, spławiając zboża, i biorąc wzamian za nie towary kolonialne.

Str. 97, w. 9. Książe Dominik, kiedym z nim razem polował.

Ks. Dominik Radziwiłł, wielki miłośnik polowania, — emigrował do Księstwa Warszawskiego, i wystawił własnym kosztem pułk jazdy, którym dowodził. Umarł we Francyi. Na nim zgasła linia męska Książąt na Ołyce i Nieświeżu, największych Panów w Polszcze i zapewne w Europie.

Str. 97, w. 11. . . . z Jenerałem Mejenem.

Mejen odznaczył się w wojnie Narodowéj za Kościuszki. Dotąd pokazują pod Wilnem okopy Mejenowskie.

Str. 114, w. 10. Panienki za wysmukłym gonią borowikiem,
Którego pieśń nazywa grzybów półkownikiem.

Znajoma w Litwie pieśń gminna, o grzybach wychodzących na wojnę pod wodzą borowika. W téj pieśni opisane są własności grzybów jadalnych.

Str. 132, w. 9. Nasz malarz Orłowski. . .

Znany malarz rodzajowy; na kilka lat przed śmiercią malować zaczął pejzaże. Umarł, niedawno w Petersburgu.

Str. 138, w. 14. . . . . . Dwie Pijawki,
Pies zowie się Sprawnikiem, a suka Srabczyną.

Rodzaj psów angielskich, małych i silnych, zwanych pijawkami, służy do łowów na wielkiego zwierza, szczególniéj niedźwiedzia.

Sprawnik czyli kapitan Sprawnik, naczelnik Policji Ziemskiéj — *Strabczy*, rodzaj Prokurora rządowego. Urzędnicy ci mając często sposobność nadużywania władzy, w wielkiém są obrzydzeniu u obywateli.

Str. 144, w. 5. Ukołysany marzył o wilku żelaznym.

Podług tradycji, wielki Książe Gedymin miał sen na górze Ponarskiéj o wilku żelaznym, i za radą Wajdeloty Lizdejki założył miasto Wilno.

Str. 144, w. 26. Ostatni król co nosił kołpak Witoldowy.

Zygmunt August był podniesiony starożytnym obyczajem na stolicę Wielkiego Księstwa Litewskiego, przypasał miecz i koronował się kołpakiem. Lubił bardzo myśliwstwo.

Str. 145, w. 2. Czy żyje wielki Baublis.

W powiecie Rosieńskim w majętności Paszkiewicza Pisarza Ziemskiego, rosł dąb znany pod imieniem Baublisa, niegdyś w czasach pogańskich czczony jak świętość. We wnętrzu tego wygniłego olbrzyma, Paszkiewicz założył gabinet starożytności Litewskich.

Str. 145, w 5. Czy kwitnie gaj Mendoga pod farnym kościołem.

Nie daleko fary Nowogrodzkiéj, rosły starożytne lipy, których wiele wycięto około roku 1812.

Str. 145, w. 15. .... Wszak ów dąb gaduda
Kozackiemu wieszczowi tyle cudów śpiewa.

Ob. Poema Goszczyńskiego « Zamek Kaniowski. »

Str. 156, w. 2. Kołomyjek z Halicza.

Kołomyjki, piosenki ruskie w rodzaju mazurów polskich.

Str. 156, w. 16. Znał się dobrze na handlu zbożowym,
Na wicinnym...

Ob. przyp. do str. 81, w. 18.

Str. 157, w. 12. Miejsce zwane pokuciem.

Zaszczytne miejsce, gdzie dawniéj stawiano bogów domowych, gdzie dotąd rossyanie zawieszają obrazy. Tam wieśniak litewski sadza gościa którego chce uczcić.

Str. 169, w. 20. Orzeł gdy mu dziób stary tak się w kabłak skrzywi,
Że zamknięty na wieki już gardła nie żywi.

Dzioby wielkich ptaków drapieżnych z wiekiem coraz bardziéj zakrzywiają się, i nakoniec wierzchnie ostrze zagiąwszy się, dziób zamyka, i ptak z głodu umiérać musi. To mniemanie gminne przyjęli niektórzy Ornitologowie.

Str. 170, w. 2. Stąd to w miejscach dostępnych kędy człowiek gości,
Nie znajdują się nigdy martwych zwierząt kości.

Rzeczywiście, nie ma przykładu, aby znaleziono kiedy szkielet zdechłego zwierza.

Str. 179, w. 2. A co fuzyjka moja, nie wielka ptaszyna.

Ptaszynki są to strzelby małego kalibru, w które kładzie się drobna kula. Dobrzy strzelcy s takich fuzji ptaka w lot trafiają.

Str. 184, w. 1. Zaczęło złoto kapać i błyskać na słońcu.

W butelkach wódki gdańskiéj, bywają na dnie listki złota.

Str. 191, w. 14. . . . Taki ziemi kawał,
Któryby się wołową skórą nakryć dawał.

Królowa Dydo kazała porznąć na pasy skórę wołową, i tym sposobem zamknęła w obrębie skóry obszerne pole, gdzie wystawiła Kartaginę. Wojski wyczytał opis tego zdarzenia nie w Eneidzie, ale zapewne w Kommentarzach Scholiastów.

Str. 212, w. 1. Wyrwawszy się Bóg wie skąd, jak Filip s konopi.

Raz na Sejmie poseł *Filip* ze wsi dziedzicznej *Konopie*, zabrawszy głos, tak dalece odstąpił od materji, że wzbudził śmiech powszechny w Izbie. Stąd urosło przysłowie: wyrwał się jak Filip s konopi.

NB. Niektóre miejsca w pieśni czwartej są pióra Stefana Witwickiego.

OMYŁKI.

Str. 50, w. 17. Bez ręki lub nogi *popraw:* Bez ręki lub bez nogi.

Str. 52, w. 4. Piotrowki, Obolewki *popraw:* Piotrowski, Obolewski.

Str. 53, w. 10. Postrzegli to chłopcy *popraw:* Postrzegali to chłopcy.

Str. 83, w. 12. Oba dobrze puszczali *popraw:* Oba dobrze poszczuli.

Str. 111, w. 14. Cały w wiatr *popraw:* Cały kwiat.

Str. 124, w. 14. Jesli Tadeusza *popraw:* Jesli Tadeuszka

Str. 144, w. 20. Bym was oglądał znowu *popraw:* Bym wrócił was oglądać

Str. 168, w. 8. W koło *popraw:* W około.

CENA 2 TOMÓW ZŁO. POL. DWADZIEŚCIA.

SPIS RZECZY.

W TYPOGRAFII A. PINARD, PRZY WYBRZEŻU VOLTAIRE, 15.

PAN TADEUSZ

CZYLI

OSTATNI ZAJAZD NA LITWIE.

Historja szlachecka

z r. 1811 i 1812;

WE DWUNASTU KSIĘGACH, WIERSZEM,

przez

ADAMA MICKIEWICZA.

TOM DRUGI.

Wydanie Aleksandra Jełowickiego,

Z POPIERSIEM AUTORA.

PARYŻ.

1834.

BIBLIOTEKA UNIW. JAGIELLOŃSKA

KSIĘGA SZÓSTA.

Zaścianek.

TREŚĆ.

Pierwsze ruchy wojenne zajazdu—Wyprawa Protazego— Bobak s Panem Sędzią radzą o rzeczy publicznej;—Dalszy ciąg wyprawy Protazego bezskutecznej — Ustęp o konopiach — Zascianek szlachecki Dobrzyn—Opisanie domostwa i osoby Maćka Dobrzyńskiego.

Nieznacznie z wilgotnego wykradał się mroku
Świt bez rumieńca; wiodąc dzień bez światła w oku.
Dawno wszedł dzień, a jeszcze ledwie jest widomy.
Mgła wisiała nad ziemią, jak strzecha ze słomy
Nad ubogą Litwina chatką: w stronie wschodu
Widać z bielszego nieco na niebie obwodu,

Że słońce wstało, tędy ma wstąpić na ziemię,
Lecz idzie nie wesoło i po drodze drzemie.

Za przykładem niebieskim, wszystko się spóźniło
Na ziemi; bydło poźno na paszę ruszyło,
I zdybało zające przy poźnem śniadaniu;
One zwykły do gajów wracać o świtaniu,
Dziś okryte tumanem, te mokrzycę chrupią,
Te jamki w roli kopiąc, parami się kupią,
I na wolnem powietrzu myślą użyć wczasu;
Ale przed bydłem muszą powracać do lasu.

I w lasach cisza. Ptaszek zbudzony nie śpiewa,
Otrząsnął pierze z rosy, tuli się do drzewa,
Głowę wciska w ramiona, oczy znowu mruży
I czeka słońca. Kędyś u brzegów kałuży
Klekce bocian; na kopach siedzą wrony zmokłe,
Rozdziawiwszy się ciągną gawędy rozwlokłe,
Obrzydłe gospodarzom jako wróżby słoty.
Gospodarze już dawno wyszli do roboty.

Już zaczęły żniwiarki swą piosnkę zwyczajną,

Jak dzień słotny ponurą, tęskną, jednostajną,
Tém smutniejszą że dźwięk jéj w mgłę bez echa wsiąka;
Chrząsnęły sierpy w zbożu, ozwała się łąka,
Rząd kosiarzy otawę siekących wciąż brząka,
Pogwizdując piosenkę; s końcem każdéj zwrotki
Stają, ostrzą żelezca i w takt kują w młotki.
Ludzi we mgle nie widać, tylko sierpy, kosy,
I pieśni brzmią, jak muzyk niewidzialnych głosy.

W środku na snopie zboża Ekonom usiadłszy
Nudzi się, kręci głową, roboty nie patrzy,
Pogląda na gościniec, na drogi rosstajne,
Kędy działy się jakieś rzeczy nadzwyczajne.

Na gościńcu i drogach od samego ranka
Panuje ruch niezwykły; stąd chłopska furmanka
Skrzypi, lecąc jak poczta, stąd szlachecka bryka
Czwałem tarkocze, drugą i trzecią spotyka:
Z lewéj drogi posłaniec jak kuryer goni,
S prawéj przebiegło w zawód kilkanaście koni,
Wszyscy spieszą, ku różnym kierują się stronom:
Co to ma znaczyć? Powstał ze snopa Ekonom.

Chciał przypatrzyć się, spytać; długo stał nad drogą,
Daremnie wołał, nie mógł zatrzymać nikogo,
Ni poznać we mgle. Jezdni migają jak duchy,
Tylko słychać raz po raz tentent kopyt głuchy,
I co dziwniejsza jeszcze, szczękanie pałaszy:
Bardzo to Ekonoma i cieszy i straszy.
Bo choć na Litwie było naonczas spokojnie,
Dawno już wieści głuche biegały o wojnie,
O Francuzach, Dąbrowskim, o Napoleonie.
Miałyżby wojnę wróżyć ci jezdzcy? te bronie?.
Ekonom pobiegł wszystko Sędziemu powiedzieć,
Spodziewając się i sam czegoś się dowiedzieć.

W Soplicowie domowi i goście po kłótni
Wczorajszéj, wstali s siebie nieradzi i smutni.
Próżno Wojszczanka damy na kabałę sprasza,
Mężczyznom próżno karty dają do marjasza,
Nie chcą bawić się ni grać, siedzą cicho w kątkach,
Mężczyzni palą lulki, kobiéty przy prątkach;
Nawet spią muchy.

Wojski, rzuciwszy łopatkę,

I z dziecinną radością pociągnął za sznurek,
By stary Dąbrowskiego usłyszyć mazurek.

Biegał po całym domu i szukał komnaty
Gdzie mieszkał dzieckiem będąc, przed dziesięciu laty.
Wchodzi, cofnął się, toczył zdumione źrenice
Po ścianach; w tej komnacie mieszkanie kobiéce?
Któżby tu mieszkał? stary stryj niebył żonaty;
A ciotka w Petersburgu mieszkała przed laty.
To niebył ochmistrzyni pokoj? Fortepiano?
Na niém noty, i książki; wszystko porzucano
Niedbale i bezładnie; nieporządek miły!
Niestare były rączki co je tak rzuciły.
Tuż i sukienka biała, świeżo s kołka zdjęta
Do ubrania, na krzesła poręczu rospięta.
A na oknach donice s pachnącemi ziołki,
Gieranium, lewkonia, astry i fijołki.
Podróżny stanął w jedném z okien — nowe dziwo:
W sadzie, na brzegu niegdyś zarosłym pokrzywą
Był maleńki ogródek ścieszkami porznięty,
Pełen bukietów trawy angielskiéj i mięty.
Drewniany drobny w cyfrę powiązany płotek

Połyskał się wstążkami jaskrawych stokrotek.
Grządki widać że były świeżo polewane;
Tuż stało wody pełne naczynie blaszane,
Ale nigdzie niewidać było ogrodniczki;
Tylko co wyszła; jeszcze kołyszą się drzwiczki
Świeżo trącone, blisko drzwi ślad widać nóżki
Na piasku, bez trzewika była i pończoszki,
Na piasku drobnym, suchym, białym nakształt śniegu;
Ślad wyraźny lecz lekki, odgadniesz że w biegu
Chybkim był zostawiony nożkami drobnemi
Od kogoś, co zaledwie dotykał się ziemi.

Podróżny długo w oknie stał patrząc, dumając,
Wonnemi powiewami kwiatów oddychając,
Oblicze aż na krzaki fijołkowe skłonił,
Oczyma ciekawemi po drożynach gonił,
I znowu je na drobnych śladach zatrzymywał,
Myślał o nich i czyje były odgadywał.
Przypadkiem oczy podniosł, i tuż na parkanie
Stała młoda dziewczyna — białe jej ubranie
Wysmukłą postać tylko aż do piersi kryje,
Odsłaniając ramiona i łabędzią szyję.

W takiém Litwinka tylko chodzić zwykła z rana,
W takiém nigdy niebywa od męszczyzn widziana;
Więc choć świadka niemiała, założyła ręce
Na piersiach, przydawając zasłony sukience.
Włos w pukle nierozwity, lecz w węzełki małe
Pokręcony, schowany w drobne strączki białe,
Dziwnie ozdabiał głowę, bo od słońca blasku
Świecił się, jak korona na świętych obrasku.
Twarzy niebyło widać, zwrócona na pole
Szukała kogoś okiem, daleko, na dole;
Ujrzała, zaśmiała się i klasnęła w dłonie,
Jak biały ptak zleciała s parkanu na błonie,
I wionęła ogrodem, przez płotki, przez kwiaty,
I po desce opartéj o ścianę komnaty,
Nim spostrzegł się, wleciała przez okno, świecąca,
Nagła, cicha i lekka, jak światłość miesiąca.
Nócąc chwyciła suknie, biegła do zwierciadła;
W tém ujrzała młodzieńca i z rąk jéj wypadła
Suknia, a twarz od strachu i dziwu pobladła.
Twarz podróżnego barwą spłonęła rumianą,
Jak obłok gdy z jutrzenką napotka się ranną;
Skromny młodzieniec oczy zmrużył i przysłonił,

Wiesz jak zamku nie cierpię; odtąd moja noga
Tam nie postanie. Znowu kłótnia! kara Boga!
Jakże tam było? powiedz; trzeba tę rzecz zatrzeć,
Już mię znudziło wreszcie na tyle głupstw patrzeć,
Ważniejsze ja mam sprawy niż godzić pieniaczy,
Ale jeszcze raz zgodzę — Zgodzić? Cóż to znaczy!
A idźże mi Waść wreszcie s tą zgodą do licha!
Przerwał Sędzia tupnąwszy nogą, patrzcie mnicha!
Że go przyjmuję grzecznie, chce mnie za nos wodzić.
Wiedź Wasze że Soplice nie zwykli się godzić;
Gdy pozwą, muszą wygrać: nieraz w ich imieniu
Trwał process aż wygrali w szóstém pokoleniu.
Dosyć zrobiłem głupstwa s porady Waszeci
Zwołując podkomorskie sądy po raz trzeci.
Od dzisiaj niéma zgody, niema, niema, niema.
(I krzycząc chodził, tupał nogami obiema,)
Prócz tego za wczorajszy niegrzeczny uczynek
Musi mnie deprekować, albo pojedynek!—
— Ale Sędzio, cóż będzie jak się Jacek dowie?
Wszak on umrze z rospaczy! Czyliż Soplicowie
Nie narobili jeszcze w tym zamku dość złego!
Bracie! wspominać nie chcę wypadku strasznego.

Wiesz także że część gruntów od zamku dziedzica
Zabrała i Soplicom dała Targowica.
Jacek za grzech żałując, musiał był ślubować
Pod absolucija, dobra te restytuować.
Wziął więc Zosię, Horeszków dziedziczkę ubogą,
Hodować, wychowanie jéj opłacał drogo.
Chciał ją Tadeuszkowi swojemu wyswatać,
I tak dwa poróżnione domy znowu zbratać,
I dziedziczce bez wstydu ustąpić grabierzy.
—Lecz cóż to? krzyknął Sędzia, co do mnie należy?
Ja się nie znałem, nawet nie widziałem z Jackiem;
Ledwiem słyszał o jego życiu hajdamackiem,
Siedząc wtenczas retorem w jezuickiéj szkole,
Potém u wojewody służąc za pacholę.
Dano mi dobra, wziąłem; kazał przyjąć Zosię,
Przyjąłem, hodowałem, myślę o jéj losie:
Dość mnie nudzi ta cała historya babia!
A potém czegoż jeszcze wlazł mi tu ten Hrabia?
Z jakiém prawem do zamku? Wszak wiesz przyjacielu,
On Horeszkom dziesiąta woda na kisielu!
I ma mnie lżyć? a ja go zapraszać do zgody! —
—Bracie! rzekł Ksiądz, ważne są do tego powody.

Pamiętasz że Jacek chciał do wojska słać syna,
Potém w Litwie zostawił: cóż w tém za przyczyna?
Oto w domu Ojczyznie potrzebniejszy będzie.
Słyszałeś pewnie o czém już gadają wszędzie,
O czém ja wiadomostki przynosiłem nieraz:
Teraz czas już powiedzieć wszystko, czas już teraz!
Ważne rzeczy, mój bracie! Wojna tuż nad nami!
Wojna o Polskę! bracie! Będziem Polakami!
Wojna niechybna. Kiedy s poselstwem tajemném
Tu biegłem, wojsk forpoczty już stały nad Niemnem;
Napoleon już zbiéra armiję ogromną,
Jakiéj człowiek nie widział i dzieje nie pomną;
Obok Francuzów ciągnie polskie wojsko całe,
Nasz Józef, Dąbrowski, nasze orły białe!
Już są w drodze, na piérwszy znak Napoleona
Przejdą Niemen, i bracie! Ojczyzna wskrzeszona!—

Sędzia słuchając, zwolna okulary składał,
I wpatrując się mocno w Księdza, nic nie gadał,
Westchnął głęboko, w oczach łzy się zakręciły....
Wreszcie porwał za szyję Księdza s całéj siły,
—Mój Robaku! wołając, czy to tylko prawda?

Mój Robaku! powtarzał, czy to tylko prawda?
Ileż razy zwodzono! Pamiętasz? gadali:
Napoleon już idzie! i my już czekali!
Gadano: już w Koronie, już Prusaka pobił,
Wkracza do nas! A on! co? Pokój w Tylży zrobił!
Czy tylko prawda? Czy ty nie zwodzisz sam siebie?—
—Prawda, zawołał Robak, jak Pan Bóg na niebie!—
—Błogosławioneż niechaj będą usta, które
To zwiastują, rzekł Sędzia, wznosząc ręce w górę.
Nie pożałujesz twego poselstwa Robaku,
Nie pożałuje klasztor; dwieście owiec z braku
Daję na klasztor. Księże, tyś się wczoraj palił
Do mojego kasztanka i gniadosza chwalił,
Dziś, zaraz w twym kwestarskim wozie pójdą oba;
Dziś proś mnie o co zechcesz, co ci się podoba,
Nie odmówię! Lecz o tym interesie całym
Z Hrabią, daj pokój; skrzywdził mnie, już zapozwałem,
Czyż wypada?—

Załamał ręce Ksiądz zdziwiony.
Wlepiwszy oczy w Sędzię, ruszywszy ramiony,
Rzekł: To gdy Napoleon wolność Litwie niesie,

Gdy świat drży cały, to ty myślisz o processie?
I jeszczeż po tém wszyskiém com tobie powiedział,
Będziesz spokojnie, ręce założywszy, siedział,
Gdy działać trzeba!—Działać? Cóż? Sędzia zapytał.
—Jeszcześ, rzekł Robak, z oczu moich nie wyczytał?
Jeszcze serce nic tobie nie gada? Ach bracie,
Jeźli Soplicowskiéj krwi kroplę w żyłach macie,
Uważ tylko; Francuzi uderzają s przodu?
A gdyby s tyłu zrobić powstanie narodu?
Co myślisz? Niechno Pogoń zarży, niech na Żmudzi
Niedźwiedź ryknie! Ach gdyby jakie tysiąc ludzi,
Gdyby choć pięćset s tyłu na Moskwę natarło,
Powstanie jako pożar wkoło rozpostarło,
Gdybyśmy my, nabrawszy Moskwie harmat, znaków,
Zwycięscy szli powitać wybawców rodaków?
Ciągniemy! Napoleon widząc nasze lance,
Pyta co to za wojsko, my krzyczym: Powstańce
Najjaśniejszy Cesarzu! Litwa ochotnicy!
Pyta: pod czyją wodzą?— Sędziego Soplicy!
Ach któżby potém pisnąć śmiał o Targowicy?
Bracie, póki Ponarom stać, Niemnowi płynąć,
Póty w Litwie Sopliców imieniowi słynąć,

Wnuków, prawnuków będzie Jagiełłów stolica
Wskazywać palcem, mówiąc: oto jest Soplica,
S tych Sopliców co piérwsi zrobili powstanie!—

A na to Sędzia: Mniejsza o ludzkie gadanie,
Nigdy nie dbałem bardzo o pochwały świata,
Bóg świadkiem żem niewinien grzechów mego brata,
W politykę jam nigdy bardzo się niewdawał,
Urzędując i orząc mojéj ziemi kawał:
Lecz jestem szlachcic, radbym plamę domu zmazać;
Jestem Polak, dla kraju radbym coś dokazać,
Choć duszę oddać. W szable nie byłem zbyt tęgi,
Wszakże biérali ludzie i odemnie cięgi,
Wié świat że w czasie polskich ostatnich sejmików
Wyzwałem i zraniłem dwoch braci Buzwików,
Którzy... Ale to mniejsza. Jakże Wasze myśli?
Czy potrzeba żebyśmy zaraz w pole wyszli?
Strzelców zebrać, rzecz łatwa; prochu mam dostatek,
W plebanii u księdza jest kilka armatek,
Przypominam iż Jankiel mówił iż u siebie
Ma groty do lance, że je mogę wziąć w potrzebie,
Te groty przywiózł w pakach gotowych s Królewca

Pod sekretem; weźmiem je, zaraz zrobim drzewca,
Szabel nam nie zabraknie, szlachta na koń wsiędzie,
Ja s synowcem na czele, i ? — jakoś to będzie! —

— O polska krwi! zawołał Bernardyn wzruszony,
Z otwartemi skoczywszy na Sędzię ramiony,
Prawe dziecię Sopliców! Tobie Bóg przeznacza,
Oczyścić grzechy brata twojego tułacza;
Zawszem ciebie szanował, ale od tej chwili
Kocham cię jak gdybyśmy bracią sobie byli.
Przygotujemy wszystko, lecz wyjść nie czas jeszcze,
Ja sam wyznaczę miejsce i czas wam obwieszczę.
Wiém że car wysłał gońców do Napoleona
Prosić o pokój; wojna nie jest ogłoszona;
Lecz książe Józef słyszał od pana Biniona,
Francuza co należy do cesarskiej rady,
Że się na niczém skończą wszystkie te układy,
Że będzie wojna. Książe wysłał mnie na zwiady,
Z roskazem żeby byli Litwini gotowi
Dowieść przychodzącemu Napoleonowi,
Że chcą złączyć się znowu s siostrą swą, Koroną,
I żądają ażeby Polskę przywrócono.

Tymczasem bracie s Hrabią trzeba przyjść do zgody;
Jestto dziwak, fantastyk trochę, ale młody,
Poczciwy, dobry Polak; potrzebny nam taki,
W rewolucyach bardzo potrzebne dziwaki,
Wiém z doświadczenia; nawet głupi się przydadzą
Byle tylko poczciwi i pod mądrych władzą.
Hrabia pan, ma u szlachty wielkie zachowanie,
Cały powiat ruszy się jeźli on powstanie;
Znając jego majątek każdy szlachcic powie,
Musi to być rzecz pewna gdy z nią są panowie.
Biegę do niego zaraz. — Niech się piérwszy zgłosi,
Rzekł Sędzia, niech przyjedzie tu, niech mnie przeprosi,
Wszak jestem starszy wiekiem, jestem na urzędzie!
Co się tyczé processu sąd arbitrów będzie...
Bernardyn trzasnął drzwiami. — No, szczęśliwa droga,
Rzekł Sędzia.

Ksiądz wpadł w powóz stojący u proga,
Tnie biczem konie, łechce lejcami po bokach;
Furknęła kałamaszka, ginie w mgły obłokach,
Tylko kiedy niekiedy kaptur mnicha bury
Wznosi się nad tumany, jako sęp nad chmury.

Woźny już dawniéj wyszedł ku domowi Hrabi.
Jak lis bywalec, gdy go woń słoniny wabi,
Bieży ku niéj a strzelców zna fortele skryte,
Bieży, staje, przysiada coraz, wznosi kitę
I wiatr nią jak wachlarzem ku swym nozdrzom tuli,
Pyta wiatru czy strzelcy jadła nie zatruli:
Protazy zeszedł z drogi, i wzdłuż sianożęci
Krąży około domu; pałkę w ręku kręci,
Udaje że obaczył kędyś bydło w szkodzie,
Tak zręcznie lawirując stanął przy ogrodzie;
Schylił się, bieży, rzekłbyś iż derkacza tropi,
Aż nagle skoczył przez płot i wpadł do konopi.

W téj zielonéj, pachnącéj, i gęstéj krzewinie,
Koło domu, jest pewny przytułek zwierzynie
I ludziom. Nieraz zając zdybany w kapuście,
Skacze skryć się w konopiach bespieczniéj niż w chruście,
Bo go dla gęstwi ziela ani chart nie zgoni,
Ani ogar wywietrzy dla zbyt tęgiéj woni.
W konopiach człowiek dworski, uchodząc kańczuka
Lub pięści, siedzi cicho aż się pan wyfuka.
I nawet często zbiegli od rekruta chłopi

Gdy ich rząd śledzi w lasach, siedzą śród konopi.
I stądto w czasie bitew, zajazdów, tradowań,
Obie strony nie szczędzą wielkich usiłowań
Ażeby stanowisko zająć konopiane,
Które s przodu ciągnie się aż pod dworską ścianę,
A s tyłu pospolicie stykając się s chmielem,
Kryie attak i odwrót przed nieprzyjacielem.

Protazy, choć człek śmiały, uczuł nieco strachu:
Bo przypomniał s samego rośliny zapachu
Różne swoje dawniejsze woźnieńskie przypadki,
Jedne po drugich, biorąc konopie na świadki :
Jako raz zapozwany szlachcic s Telsz Dzindolet,
Roskazał mu, oparłszy o piersi pistolet,
Wleść pod stół i ów pozew psim głosem odszczekać,
Że Woźny musiał co tchu w konopie uciekać.
Jak poźniej Wołodkowicz, pan dumny, zuchwały,
Co rospędzał sejmiki, gwałcił trybunały,
Przyjąwszy urzędowy pozew, zdarł na sztuki,
I postawiwszy przy drzwiach s kijami hajduki,
Sam nad Woźnego głową trzymał goły rapiér,
Krzycząc : albo cię zetnę, albo zjédz twój papiér ;

Woźny niby jeść zaczął jak człowiek rostropny,
Aż skradłszy się do okna wpadł w ogród konopny.

Wprawdzie już wtenczas w Litwie nie było zwyczajem
Opędzać się od pozwów szablą lub nahajem,
I ledwie Woźny czasem usłyszał łajanie :
Ale Protazy o téj obyczajów zmianie
Wiedzieć nie mógł, bo dawno już pozwów nie naszał.
Choć zawsze gotów, choć się Sędziemu sam wpraszał,
Sędzia dotąd, przez winny wzgląd na lata stare,
Odmawiał jego prośbom ; dziś przyjął ofiarę
Dla naglącéj potrzeby.

Woźny patrzy, czuwa —
Cicho wszędzie — w konopie zwolna ręce wsuwa,
I roschylając gęstwę badylów, w jarzynie
Jako rybak pod wodą nurkujący płynie :
Wzniósł głowę — cicho wszędzie — do okien się skrada —
Cicho wszędzie — przez okna głąb' pałacu bada —
Pusto wszędzie — Na ganek wchodzi nie bez strachu,
Odmyka klamkę — pusto jak w zaklętym gmachu ;
Dobywa pozew, czyta głośno oświadczenie.

A wtém usłyszał turkot, uczuł serca drżenie,
Chciał uciec; gdy ode drzwi zaszła mu osoba —
Szczęściem znajoma! Robak! Zdziwili się oba.

Widno że Hrabia kędyś ruszył s całym dworem,
I bardzo spieszył, bo drzwi zostawił otworem.
Widać żesię uzbrajał; leżały dwórurki
I sztucce na podłodze, daléj sztentle, kurki,
I narzędzia ślósarskie któremi rynsztunki
Poprawiano: proch, papiér; robiono ładunki.
Czy Hrabia s całym dworem wyjechał na łowy?
Ale po coż broń ręczna? Tu szabla bez głowy
Zardzewiała, tam leży szpada bez temlaku:
Zapewne wybiérano oręż s tego braku,
I poruszono nawet stare broni składy.
Robak obejrzał pilnie rusznice i szpady,
A potém do folwarku wybrał się na zwiady,
Szukając sług żeby się rospytał o Hrabię;
W pustym folwarku ledwie wynalazł dwie babie,
Od których słyszy że pan i dworska drużyna
Ruszyli tłumnie, zbrojnie, drogą do Dobrzyna.

Słynie szeroko w Litwie Dobrzyński Zaścianek
Męstwem swoich szlachciców, pięknością szlachcianek.
Niegdyś możny i ludny; bo gdy król Jan trzeci
Obwołał pospolite ruszenie przez wieci,
Chorąży województwa, s samego Dobrzyna
Przywiódł mu sześćset zbrojnéj szlachty. Dziś rodzina
Zmniejszona, zubożała; dawniéj w pańskich dworach,
Lub wojsku, na zajazdach, sejmikowych zborach
Zwykli byli Dobrzyńscy żyć o łatwym chlebie.
Teraz zmuszeni sami pracować na siebie
Jako zaciężne chłopstwo! tylko że siermięgi
Nie noszą, lecz kapoty białe w czarne pręgi,
A w niedzielę kontusze. Strój także szlachcianek
Najuboższych różni się od chłopskich katanek:
Zwykłe chodzą w drylichach albo perkaliczkach,
Bydło pasą nie w łapciach s kory, lecz w trzewiczkach,
I żną zboże a nawet przędą w rękawiczkach.

Różnili się Dobrzyńscy między Litwą bracią
Językiem swoim, tudzież wzrostem i postacią.
Czysta krew Lacka, wszyscy mieli czarne włosy,
Wysokie czoła, czarne oczy, orle nosy;

Z Dobrzyńskiej ziemi ród swój starożytny wiedli.
A choć od lat czterystu na Litwie osiedli,
Zachowali mazurską mowę i zwyczaje.
Jeźli który z nich dziecku imie na chrzcie daje,
Zawsze zwykł za patrona brać Koronijasza,
Swiętego Bartłomieja albo Matyasza.
Tak syn Macieja zawzdy zwał się Bartłomiejem,
A znowu Bartłomieja syn zwał się Maciejem;
Kobiety wszystkie chrzczono Kachny lub Maryny.
By rozeznać się wpośród takiej mieszaniny,
Brali różne przydomki od jakiej zalety
Lub wady, tak mężczyzni jako i kobiety.
Mężczyznom czasem kilka dawano przydomków,
Na znak pogardy albo szacunku spółziomków;
Czasem jedenże szlachcic inaczéj w Dobrzynie,
A pod innem nazwiskiem u sąsiadów słynie.
Dobrzyńskich naśladując inna szlachta bliska
Brała również przydomki, zwane *imioniska*.
Teraz ich każda prawie używa rodzina,
A rzadki wié iż mają początek z Dobrzyna,
I były tam potrzebne; kiedy w reszcie kraju
Głupiém naśladownictwem weszły do zwyczaju.

Więc Matyasz Dobrzyński, który stał na czele
Całej rodziny, zwan był *Kurkiem na kościele.*
Potém s siedemset dziewięć-dziesiąt czwartym rokiem,
Odmieniwszy przydomek ochrzciłsię *Zabokiem;*
Toż *Królikiem* Dobrzyńscy mianują go sami,
A Litwini nazwali *Maćkiem nad Maćkami.*

Jak on nad Dobrzyńskimi, dom jego nad siołem
Panował, stojąc między karczmą i kościołem.
Widać rzadko zwiedzany, mieszka w nim hołota,
Bo brama sterczy bez wrot, ogrody bez płota,
Nie zasiane, na grzędach już porosły brzozki:
Przecież ten folwark zdał się być stolicą wioski,
Iż kształtniejszy od innych chat, bardziej rozległy,
I prawą stronę gdzie jest świetlica miał s cegły.
Obok lamus, spichrz, gumno obora i stajnie,
Wszystko w kupie, jak bywa u szlachty zwyczajnie;
Wszystko nadzwyczaj stare, zgniłe; domu dachy
Swieciły się jak gdyby od zielonej blachy
Od mchu i trawy, która buja jak na łące.
Po strzechach gumien, niby ogrody wiszące,
Różnych roslin, pokrzywa i krokos czerwony,

Żółta dziewanna, szczyru barwiste ogony,
Gniazda ptastwa różnego, w strychach gołębniki,
W oknach gniazda jaskółcze, u progu króliki
Białe skaczą i ryją w niedeptanéj darni.
Słowem dwór nakształt klatki albo królikarni.

A dawniéj był obronny! Pełno wszędzie śladów,
Że wielkich i że częstych doznawał napadów.
Pod bramą dotąd w trawie, jak dziecięca głowa,
Wielka, leżała kula żelazna działowa
Od czasów szwedzkich: niegdyś skrzydło wrót otwarte
Bywało o tę kulę jak o głaz oparte.
Na dziedzińcu spomiędzy piołunu i chwastu
Wznoszą się stare szczęty krzyżow kilkunastu,
Na ziemi nieświęconéj; znak że tu chowano
Poległych śmiercią nagłą i niespodziewaną.
Ktoby uważał z bliska lamus, spichrz i chatę,
Ujrzy ściany od ziemi do szczytu pstrokate
Niby rojem owadów czarnych; w każdéj plamie
Siedzi we środku kula jak czmiel w ziemnéj jamie.

U drzwi domostwa wszystkie klhaki, ćwieki, haki,

Albo ucięte, albo noszą szabel znaki:
Pewnie tu probowano hartu Zygmuntówek,
Któremi można śmiało ćwicki obciąć z główek,
Lub bak przerżnąć, w brzeszczocie nic zrobiwszy szczerby.
Nade drzwiami, Dobrzyńskich widne były herby;
Lecz armaturę, sérów zasłoniły pułki,
I zasklepiły gęsto gniazdami jaskółki.

Wewnątrz samego domu, w stajni i wozowni,
Pełno znajdziesz rynsztunków jak w starej zbrojowni.
Pod dachem wiszą cztéry ogromne szyszaki,
Ozdoby czół marsowych: dziś Wenery ptaki
Gołębie w nich gruchając karmią swe pisklęta.
W stajni kolczuga wielka nad żłobem rospięta
I pierścieniasty pancerz służą za drabinę,
W którą chłopiec zarzuca źrebcom dzięcielinę.
W kuchni kilka rapiérów kucharka bezbożna
Odhartowała, kładąc je w piec zamiast rożna;
Buńczukiem, łupem z Wiednia, otrzepywa żarna:
Słowem wygnała Marsa Ceres gospodarna,
I panuje s Pomoną, Florem, i Wertumnem
Nad Dobrzyńskiego domem, stodołą i gumnem.

Ale dziś muszą znowu ustąpić Boginie :
Mars powraca.

O świcie zjawił się w Dobrzynie
Konny posłaniec; biega od chaty do chaty,
Budzi jak na pańszczyznę; wstają szlachta braty,
Napełniają się ciżbą zaścianku ulice,
Słychać krzyk w karczmie, widać w plebanji świece;
Biegą; jeden drugiego pyta co to znaczy,
Starzy składają radę, młódź konie kulbaczy,
Kobiety zatrzymują, chłopcy się szamocą,
Rwą się biedz, bić się, ale nie wiedzą s kim, o co !
Muszą chcąc niechcąc zostać. W mieszkaniu plebana
Trwa rada długa, tłumna, strasznie zamieszana,
Aż nie mogąc zdań zgodzić, nakoniec stanowi
Przełożyć całą sprawę Ojcu Maciejowi.

Siedmdziesiąt dwa lat liczył Maciej, starzec dziarski,
Niskiego wzrostu, dawny Konfederat Barski.
Pamiętają i swoi i nieprzyjaciele
Jego damaskowaną krzywą karabelę,
Którą piki i sztyki rzezał nakształt sieczki,

I której żartem skromne dał imie *rózeczki*.
S konfederata stał się stronnikiem królewskim,
I trzymał s Tyzenhauzem Podskarbim litewskim;
Lecz gdy król w Targowicy przyjął uczestnictwo,
Maciej opuścił znowu królewskie stronnictwo.
I ztądto że przechodził partyj tak wiele,
Nazywany był dawniej *Kurkiem na kościele*,
Że jak kurek za wiatrem chorągiewkę zwracał.
Przyczynę zmian tak częstych napróżnobyś macał:
Może Maciej zbyt wojnę lubił, zwyciężony
W jednej stronie, znów bitwy szukał z drugiej strony?
Może bystry polityk duch czasu zbadywał,
I tam szedł gdzie Ojczyzny dobro upatrywał?
Kto wié! to pewna że go nigdy nie uwiodły
Ani chęć osobistej chwały, ni zysk podły,
I że nigdy z moskiewską partyą nie trzymał;
Na sam widok Moskala pienił się i zżymał.
By nie spotkać Moskala po kraju zaborze,
Siedział w domu jak niedźwiedź gdy ssie łapę w borze.

Ostatni raz wojował poszedłszy z Ogińskim
Do Wilna, gdzie służyli oba pod Jasińskim,

I tam z *różeczką* cudów dokazał odwagi.
Wiadomo że sam jeden skoczył z wałów Pragi
Bronić pana Pocieja, który odbieżany
Na placu boju, dostał dwadzieścia trzy rany.
Myślano długo w Litwie że obu zabito,
Wrócili oba, każdy pokłóty jak sito.
Pan Pociej, zacny człowiek, chciał zaraz po wojnie
Obrońcę Dobrzyńskiego wynagrodzić hojnie,
Dawał mu folwark pięciu dymów w dożywocie,
I wyznaczył mu rocznie tysiąc złotych w złocie.
Lecz Dobrzyński odpisał : niech Pociej Macieja
nie Maciej Pocieja ma za dobro[illegible]
ówił więc folwark [illegible] płacy;
[illegible], żył z własnej rąk pracy,
[illegible] pszczół, lekarstwa dla bydła,
[illegible] na targ kuropatwy które łowił w sidła,
[illegible]olując na zwierza.

Było dość w Dobrzynie
Starych ludzi rostropnych, którzy po łacinie
Umieli, i w Palestrze ćwiczyli się z młodu;
Było dość majętniejszych; a s całego rodu

Maciek prostak ubogi był najwięcej czczony,
Nie tylko jako rębacz *rózeczką* wsławiony,
Lecz jako człek mądrego i pewnego zdania,
Znający dzieje kraju, rodziny podania,
Zarówno świadom prawa jak i gospodarstwa.
Wiedział także sekreta strzelców i lekarstwa,
Przyznawano mu nawet (czemu pleban przeczy)
Wiadomość nadzwyczajnych i nadludzkich rzeczy.
To pewna że powietrza zmiany zna dokładnie,
I częściej niż kalendarz gospodarski zgadnie.
Nie dziw tedy że czy to siejbę rozpoczynać,
Czy wiciny wyprawiać, czy zboże zażynać,
Czy processować, czyli zawierać układy,
Nie działo się w Dobrzynie nic bez Maćka rady.
Wpływu takiego starzec bynajmniej nie szukał,
Owszem chciał się go pozbyć, klientów swych fukał,
I najczęściéj wypychał milczkiem za drzwi domu,
Rady rzadko udzielał i nielada komu,
Ledwie w niezmiernie ważnych sporach lub umowach
Pytany wyrzekł zdanie i w niewielu słowach.
Myślano że dzisiejszéj podejmie się sprawy
I stanie swą osobą na czele wyprawy;

Bo bijatykę lubił niezmiernie za młodu,
I był nieprzyjacielem moskiewskiego rodu.

Właśnie staruszek chodził po samotnym dworze
Nucąc piosenkę *Kiedy ranne wstają zorze*,
Rad że się wypogadza; mgła nie szła do góry,
Jak się dziać zwykło kiedy zbierają się chmury,
Ale coraz spadała; wiatr rozwinął dłonie
I mgłę muskał, wygładzał, rozścielał na błonie,
Tymczasem słonko z góry tysiącem promieni
Tło przetyka, posrebrza, wyzłaca, rumieni.
Jak para mistrzów w Słucku lity pas wyrabia,
Dziewica siedząc w dole krosny ujedwabia
I tło ręką wygładza, tymczasem tkacz z góry
Zrzuca jéj nitki srebra, złota i purpury,
Tworząc barwy i kwiaty: tak dziś ziemię całą
Wiatr tumanami osnuł a słońce dzierżgało.

Maciej ogrzał się słońcem, zakończył pacierze,
I już się do swojego gospodarstwa bierze.
Wyniósł traw, liścia; usiadł przed domem i świsnął:
Na ten świst rój królików s pod ziemi wytrysnął.

Jako narcyzy nagle wykwitłe nad trawę,
Bielą się długie słuchy; pod niemi jaskrawe
Przeświecają się oczki, jak krwawe rubiny
Gęsto wszyte w aksamit zielonéj darniny.
Już króliki na łapkach stają, każdy słucha,
Patrzy, nakoniec cała trzódka białopucha
Bieży do starca liśćmi kapusty znęcona,
Do nóg mu, na kolana skacze, na ramiona;
On sam biały jak królik lubi ich gromadzić
W koło siebie i ręką ciepłą ich puch gładzić,
A drugą ręką s czapki proso w trawę miota
Dla wróblów, spada z dachów krzykliwa chołota.

Gdy się staruszek bawił widokiem biesiady,
Nagle króliki znikły w ziemi, a gromady
Wróblów na dach uciekły przed gośćmi nowymi
Którzy szli do folwarku krokami prędkiemi.
Bylito s plebanii przez szlachty gromadę
Posłowie wyprawieni do Maćka po radę.
Zdala witając starca niskiemi ukłony
Rzekli « Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony » —
— « Na wieki wieków, amen » starzec odpowiedział,

KSIĘGA SIÓDMA.

RADA.

TREŚĆ.

Zbawienne rady Bartka zwanego Prusak — Głos żołnierski Maćka Chrzciciela—Głos polityczny Pana Buchmana—Jankiel radzi ku zgodzie, którą Scyzoryk roscina—Rzecz Gerwazego, s której okazują się wielkie skutki wymowy sejmowéj. — Protestacya starego Maćka — Nagłe przybycie posiłków wojennych zrywa naradę — Hejże na Soplice !

S kolei, Bartek poseł rzecz swą wyprowadzał :
Ten, że często na strugach do Królewca chadzał,
Nazwany był Prusakiem od swych spółrodaków
Przez żart, bo nienawidził okropnie Prusaków,
Choć lubił o nich gadać; człek podeszły w lata,
W podróżach swych dalekich, wiele zwiedził świata;

Gazet pilny czytelnik, polityki świadom,
Mógł więc nie mało światła udzielić obradom.
Ten tak rzecz kończył: —

Nie jest to Panie Macieju,
Bracie mój, a nas wszystkich ojcze Dobrodzieju,
Nie jest to marna pomoc. Ja bym na Francuzów
Spuścił się w czasie wojny, jak na czterech tuzów:
Lud bitny, a od czasów Pana Tadeusza
Kościuszki, świat takiego nie miał geniusza
Wojennego, jak wielki Cesarz Bonaparte.
Pamiętam kiedy przeszli Francuzi przez Wartę,
Bawiłem za granicą wtenczas, w roku pańskim
Tysiącznym osimsetnym szóstym; właśnie z Gdańskiem
Handlowałem, a krewnych mam wiele w Poznańskiém.
Jeździłem ich odwiedzić; więc s Panem Józefem
Grabowskim, który teraz jest reimentu szefem,
A pod ów czas żył na wsi blisko Obiezierza,
Polowaliśmy sobie na małego źwierza.
Był pokój w Wielko-Polszcze jak teraz na Litwie;
Wtém nagle rozeszła się wieść o strasznéj bitwie;
Przybiegł do nas posłaniec od Pana Todwena,

Grabowski list przeczytał, krzyknął, Jena! Jena!
Zbito Prusaków na łeb, na szyję, wygrana!
Ja s konia ssiadłszy, zaraz padłem na kolana,
Dziękując Panu Bogu — Do miasta jedziemy
Niby dla interessu, niby nic nie wiemy;
Aż tu widzimy, wszystkie Laudraty, Hofraty,
Komissarze, i wszystkie podobne psu-braty
Kłaniają się nam nisko; każdy drży, blednieje,
Jako owad prusaczy gdy wrzątkiem kto zleje.
My śmiejąc się, trąc ręce, prosim uniżenie
O nowinki? pytamy, co słychać o Jenie?
Tu ich strach zdjął, dziwią się że o klęsce owej
Już wiemy; krzyczą Niemcy achary Got! o wej!
Spuściwszy nos, do domów, z domów dalej w nogi —
O to był rwetes! Wszystkie wielko-polskie drogi
Pełne uciekających; niemczyska jak mrowie
Pełzną, ciągną pojazdy, które lud tam zowie
Wageny i fornalki; męszczyzni, kobiety,
S fajkami, z imbryczkami, wleką pudła, bety;
Drapią jak mogą; a my milczkiem wchodzim w radę,
Hejże na koń, pomieszać Niemcom rejteradę;
Nuż Landratom tłuc w karki, z Hofratów drzeć schaby,

A Herow oficerów łowić za harcaby—
A Jenerał Dąbrowski wpada do Poznania
I Cessarski przynosi roskaz: do powstania!
W tydzień jeden, tak lud nasz Prusaków wychłostał
I wygnał, na lekarstwo Niemca byś nie dostał!
Gdyby się tak obrócić i gracko i raźnie,
I u nas w Litwie sprawić Moskwie taką łaznię?
He? co myślisz Macieju? jeśli z Bonapartem
Moskwa drze koty, to on wojuje nie żartem:
Bohater pierwszy w świecie, a wojsk ma bez liku!
He, cóż myślisz Macieju, nasz ojcze Króliku?

Skończył. Czekają wszyscy Macieja wyroku.
Maciej głowy nie ruszył ani podniosł wzroku,
Tylko ręką kilkakroć uderzył po boku,
Jak gdyby szabli szukał; (od zaboru kraju
Szabli nie nosił; przecież z dawnego zwyczaju,
Na wspomnienie Moskala, zawsze rękę zwracał
Na lewy bok; zapewne rózeczki swéj macał,
I stąd był nazywany powszechnie Zabokiem)
Już wzniosł głowę, słuchają w milczeniu głębokiem.
Maciej oczekiwanie powszechne omylił,

Nachmurzył brwi i znowu głowę na piers schylił.
Nakoniec odezwał się, zwolna każde słowo
Wymawiając s przyciskiem, a w takt kiwał głową.

— Cicho! skądże ta cała nowina pochodzi?
Jak daleko Francuzi? kto nimi dowodzi?
Czy już wojnę zaczęli z Moskwą? gdzie i o co?
Którędy mają ciągnąć? z jaką idą mocą?
Wiele piechoty, jazdy? Kto wié, niechaj gada!

Milczała patrząc na się kolejno gromada.
Radziłbym, rzecze Prusak, czekać Bernardyna
Robaka, bo od niego pochodzi nowina;
Tymczasem posłać pewnych szpiegów nad granicę
I po cichu uzbrajać całą okolicę;
A tymczasem ostrożnie całą rzecz prowadzić,
Aby Moskalom naszych zamiarów nie zdradzić.

He! czekać? szczekać? zwlekać? przerwał Maciej drugi,
Ochrzcony Kropicielem, od wielkiej maczugi
Którą zwał Kropidełkiem; miał ją dziś przy sobie.
Stanął za nią, na gałce zwiesił ręce obie,

Na ręku oparł brodę, krzycząc: czekać! zwlekać!
Sejmikować! Hem, trem brem, a potem uciekać.
Ja w Prusach niebywałem; rozum królewiecki
Dobry dla Prus, a u mnie jest rozum szlachecki.
To wiem, że kto chce bić się, niech kropidło chwyta,
Kto umierać, ten księdza niech woła, i kwita!
Ja chcę żyć, bić! Bernardyn po co? czy my żaki?
Co mi tam Robak, otoż my będziem robaki,
I dalej Moskwę toczyć! trem, bdrem, szpiegi, w zwiady;
Wiecie wy co to znaczy? — Oto że wy dziady
Niedołęgi? He, Bracia! to wyżła rzecz tropić,
Bernardyńska kwestować, a moja rzecz, kropić,
Kropić, kropić i kwita! — Tu maczugę głasnął,
Za nim cały tłum szlachty, kropić, kropić! wrzasnął.

Poparł stronę Chrzciciela, Bartek zwan Brzytewka
Od szabli cienkiéj, tudzież Maciej zwan Konewka
Od sztućca który naszał, z gardłem tak szerokiém,
Że zeń jak s konwi, tuzin kulek lał potokiem;
Oba krzyczeli: wiwat Chrzciciel s kropidełkiem.
Prusak chciał mówić, ale zgłuszono go zgiełkiem
I śmiechem; precz, wołano, precz Prusaki tchórze,

Kto tchórz niech w bernardyńskim chowa się kapturze.

Wtém znowu głowę zwolna podniosł Maciej stary,
I zaczęły cokolwiek uciszać się gwary.
— Niedrwijcie, rzekł, z Robaka; znam go, to ćwiek klecha,
Ten robaczek większego od was zgryzł orzecha;
Raz go tylko widziałem, ledwiem okiem rzucił,
Poznałem co za ptaszek; ksiądz oczy odwrócił,
Lękając się żebym go nie zaczął spowiadać;
Ale to rzecz nie moja, wiele o tém gadać!
On tu nie przyjdzie, próżno wzywać Bernardyna;
Jeśli od niego wyszła ta cała nowina,
To kto wié w jakim celu: bo to bies księżyna!
Jeśli prócz téj nowiny nic więcej nie wiecie,
Więc po coście tu przyszli? i czego wy chcecie?

Wojny! krzyknęli — Jakiej? spytał — zawołali:
Wojny z Moskalem! bić się! Hajże na Moskali.

Prusak wciąż wołał a głos co raz wyżej wznosił,
Aż posłuchanie, częścią ukłonem wyprosił,
Częścią zdobył swą mową krzykliwą i cienką.

I ja chcę bić się, wołał tłukąc się w pierś ręką;
Choć kropidła nie noszę, drągiem od wiciny
Sprawiłem raz Prusakom czterem dobre chrzciny,
Którzy mię po pianemu chcieli w Preglu topić.
— Toś zuch Bartku, rzekł Chrzciciel, dobrze! kropić! kro
—Ależ najsłodzy Jezu! trzeba pierwéj wiedzieć
S kim wojna? o co? trzeba to światu powiedzieć,
Wołał Prusak, bo jakże lud ruszy za nami?
Gdzie pójdzie, kiedy, gdzie iść, my nie wiemy sami!
Bracia Szlachta! Panowie! potrzeba rozsądku!
Dobrodzieje! potrzeba ładu i porządku!
Chcecie wojny, więc zróbmy konfederacyą,
Obmyślmy gdzie zawiązać i pod laską czyją?
Tak było w Wielko-Polszcze; — widzim rejteradę
Niemiecką, cóż my robim? wchodzim tajnie w radę,
Uzbrajamy szlachtę i włościan gromadę,
Gotowi, Dąbrowskiego czekamy rozkazu,
Nakoniec, hajże na koń! powstajem od razu!

— Proszę o głos, zawołał Pan Komissarz s Klecka.
Człowiek młody, przystojny, ubrany z niemiecka;
Zwał się Buchman, lecz Polak był, w Polszcze się rodzi

Nie wiedzieć pewnie czyli ze szlachty pochodził,
Lecz o to nie pytano; i wszyscy Buchmana
Szacowali, iż służył u wielkiego Pana,
Był dobry patriota, i pełen nauki,
S ksiąg obcych wyuczył się gospodarstwa sztuki,
I dóbr administracyą prowadził porządnie;
O polityce także wnioskował rozsądnie,
Pięknie pisać i gładko umiał się wysławiać,
Zatém umilkli wszyscy, kiedy jął rosprawiać.
—Proszę o głos, powtórzył, podwakroć odchrząknął,
Ukłonił się i usty dźwięcznemi tak brząknął.

Preopinanci moi w swych głosach wymownych,
Dotknęli wszystkich punktów stanowczych i głównych,
Dyskussyą na wyższe wznieśli stanowisko;
Mnie tylko pozostaje, w jedno zjąć ognisko,
Rzucone trafne myśli i rozumowania:
Mam nadzieję w ten sposób sprzeczne zgodzić zdania.
Dwie części w dyskussyi całéj uważałem,
Podział już jest zrobiony, idę tym podziałem.
Naprzód: dla czego mamy przedsiebrać powstanie?
W jakim duchu? to pierwsze żywotne pytanie;

Drugie, rewolucyjnéj władzy się dotycze;
Podział jest trafny, tylko przewrócić go życzę.
Naprzod zacząć od władzy; skoro pojmiem władzę,
Z niéj powstania istotę, duch, cel, wyprowadzę.
Co do władzy więc — kiedy oczyma przebiegam
Dzieje całéj ludzkości i cóż w nich spostrzegam?
Oto ród ludzki dziki, w lasach rospierzchniony,
Skupia się, zbiera, łączy dla wspólnéj obrony,
Obmyśla ją; i to jest najpierwsza obrada.
Potém każdy wolności własnéj cząstkę składa
Dla dobra powszechnego: to pierwsza ustawa,
S któréj jako ze źródła płyną wszystkie prawa.
Widzimy tedy, że rząd umową się tworzy,
Niepochodząc, jak mylnie sądzą, z woli Bożéj.
Owoż rząd na kontrakcie oparłszy społecznym,
Podział władzy już tylko jest skutkiem koniecznym....

—Otoż są i kontrakty! Kijowskie czy Mińskie?
Rzekł stary Maciej, owoż i rzady Babińskie!
Panie Buchman, czy Bóg nam chciał Cara narzucić,
Czy djabeł, ja z Waszecią nie będę się kłócić;
Panie Buchman, gadaj Waść jakby Cara zrucić.

—Tu sęk, krzyknął Kropiciel; gdybym mógł podskoczyć
Do tronu, i kropidłem, plusk, raz Cara zmoczyć,
To jużby on niewrócił, ni Kijowskim traktem,
Ni Mińskim, ni za żadnym Buchmana kontraktem;
Aniby go wskrzesili z mocy Bożéj popi,
Ni z mocy belzebuba— ten mi zuch kto kropi.
Panie Buchman, Waścina rzecz bardzo wymowna,
Ale wymowa szum, drum: kropić, to rzecz główna.

— To, to, to, pisnął ręce trąc Bartek Brzytewka,
Od Chrzciciela do Maćka biegając, jak cewka
Od jednéj strony krosien przerzucana w drugą:
Tylko ty Maćku z rózgą, ty Maćku z maczugą,
Tylko zgodźcie się, dalbóg pobijem na druzgi
Moskala; Brzytew idzie pod komendę Rózgi.

Komenda, przerwał Chrzciciel, dobra ku paradzie;
U nas była komenda w Kowieńskiej brygadzie
Krótka a węzłowata: strasz, sam się nie strachaj,—
Bij, nie daj się, — postępuj często, gęsto machaj:
Szach, mach! — To, pisnął Brzytwa, to mi regulament!
Po co tu pisać akta, po co psuć atrament?

Konfederacyi trzeba? oto cała sprzeczka?
Jest Marszałek nasz Maciej, a laska rózeczka.
— Niech żyje, krzyknął Chrzciciel, Kurek na kościele!
Szlachta odpowiedziała: Wiwant Kropiciele!

Ale w kątach szmer powstał, choć w środku tłumiony;
Widać że się rozdziela rada na dwie strony.
Buchman krzyknął: ja zgody nigdy niepochwalam!
To mój system! Ktoś drugi wrzasnął: niepozwalam!
Inni s kątów wtórują. Nareście głos gruby
Ozwał się, przybyłego szlachcica Skołuby:

— Cóż to Państwo Dobrzyńscy! a to co się święci?
A my, czy to będziemy spod prawa wyjęci?
Kiedy nas zapraszano z naszego zaścianku,
A zapraszał nas klucznik Rembajło Mopanku,
Mówiono nam że wielkie rzeczy dziać się miały,
Że tu nie o Dobrzyńskich, lecz o powiat cały,
O całą szlachtę idzie; toż i Robak bąkał,
Choć nigdy niedokończył i zawsze się jąkał,
I ciemno się tłumaczył; — wreście koniec końców,
My zjechali, sąsiadów wezwali przez gońców.

Nie sami tu Panowie Dobrzyńscy jesteście,
Z różnych innych zaścianków jest tu nas ze dwieście;
Wszyscy więc radźmy. Jeśli potrzeba Marszałka,
Głosujmy wszyscy, równa u każdego gałka.
Niech żyje równość!

Zatém dwaj Terajewicze
I czterej Stupyłkowscy i trzej Mickiewicze
Krzyknęli : Wiwat równość! — stojąc za Skołubą.
Tymczasem Buchman wołał : zgoda będzie zgubą!
Kropiciel krzyczał : bez was obejdziem się sami;
Niech żyje nasz Marszałek, Maciek nad Maćkami!
Hej do laski! — Dobrzyńscy krzyczą : zapraszamy!
A obca Szlachta woła w głos: niepozwalamy!
Rostrycha się tłum na dwie kupy rozdzielony,
I kiwając głowami w dwie przeciwne strony,
Tamci, niepozwalamy — ci krzyczą, prosiemy.

Maciek stary w pośrodku, jeden siedział niemy,
I jedna głowa jego była nieruchoma.
Przeciw niemu stał Chrzciciel, zwieszony rękoma
Na maczudze, a głową na końcu maczugi

Wspartą kręcił, jak tykwą wbitą na kij długi,
I na przemiany, to w tył, to się na przód kiwał,
I ustawicznie, kropić, kropić! wykrzykiwał.
Wzdłuż izby zaś przebiegał Brzytewka ruchawy,
Ciągle od Kropiciela do Macieja ławy.
Konewka zaś powoli wszerz izbę przechodził
Od Dobrzyńskich do szlachty, niby to ich godził;
Jeden wciąż wołał, golić, — a drugi zalewać!
Maciek milczał, lecz widno że się zaczął gniewać.

Ćwierć godziny wrzał hałas, gdy nad tłum wrzeszczący,
Ze środka głów, wyskoczył w górę słup błyszczący:
Był to rapier sążnistéj długości, szeroki
Na całą piędź, a sieczny na obadwa boki.
Widocznie miecz Teutoński z Norymberskiej stali
Ukuty: wszyscy milcząc, na broń pogladali.
Kto ją podniosł? niewidać, lecz zaraz zgadniono;
To Scyzoryk, niech, żyje Scyzoryk! krzykniono,
Wiwat Scyzoryk klejnot Rębajłów zaścianku,
Wiwat Rebajło, Szczerbiec, Półkozic, Mopanku!

Wnet Gerwazy (to on był) przez tłum się przecisnął

Na środek izby, w koło scyzorykiem błysnął,
Potém, w dół chyląc ostrze na znak powitania
Przed Maćkiem, rzekł: Rózeczce Scyzoryk się kłania.
Bracia, szlachta Dobrzyńscy: ja nie będę radził
Nic a nic, powiem tylko po com was zgromadził,
A co robić, jak robić, decydujcie sami.
Wiecie, słuch dawno chodzi między zaściankami,
Że się na wielkie rzeczy zanosi na świecie;
Ksiądz Robak o tém gadał, wszakże wszyscy wiecie?
— Wiemy! krzyknęli — Dobrze, owoż mądréj głowie,
Ciągnał mowca spojrzawszy bystro, dość dwie słowie.
Nie prawdaż?—prawda, rzekli—Gdy Cesarz Francuski,
Rzekł Klucznik, stąd przyciąga, a stamtąd Car Ruski,
Więc wojna, car s cesarzem, królowie s królami
Pójdą za łby jak zwykle między monarchami;
A nam czy siedzieć cicho? Gdy wielki wielkiego
Będzie dusić, my duśmy mniejszych, każdy swego.
Z góry i z dołu, wielcy wielkich, małych mali,
Jak zaczniem ciąć, tak całe szelmostwo się zwali,
I tak zakwitnie szczęście i Rzeczpospolita.
Nie prawdaż? — prawda! rzekli, jakby s książki czyta.
Prawda! powtórzył Chrzciciel, krop a krop i kwita.

— Ja zawsze gotow golić ozwał się Brzytewka;
—Tylko zgodźcie się, prosił uprzejmie Konewka,
Chrzcicielu i Macieju, pod czyją iść wodzą; —
Ale mu przerwał Buchman: niech się głupi godzą,
Dyskussye publicznéj sprawie nie zaszkodzą.
Proszę milczeć, słuchamy, sprawa na tém zyska,
Pan Klucznik ją z nowego zważa stanowiska.

— Owszem, zawołał Klucznik, u mnie po staremu,
O wielkich rzeczach myśleć należy wielkiemu;
Jest na to Cesarz, będzie król, senat, posłowie.
Takie rzeczy Mopanku, robią się w Krakowie
Lub w Warszawie, nie u nas, w zaścianku w Dobrzynie;
Aktów konfederackich nie piszą w kominie
Kredą, nie na wicinie, lecz na pargaminie:
Nie nam to pisać akta, ma Polska pisarzy
Koronnych i Litewskich, tak robili starzy;
Moja rzecz scyzorykiem wyrzynać — Kropidłem
Pluskać, dodał Kropiciel — i wykałać szydłem,
Krzyknął Bartek Szydełko, dobywszy swój szpadki.

Wszystkich was, kończył Klucznik, biórę tu na świadki,

Czy Robak nic powiadał, że wprzód nim przyjmiecie
W dom wasz Napoleona, trzeba wymieść śmiecie?
Słyszeliście to wszyscy, a czy rozumiecie?
Któż jest śmieciem powiatu? kto zdradziecko zabił
Najlepszego s Polaków, kto go okradł, zgrabił?
Któż to? mamże wam gadać?—A już ci Soplica,
Przerwał Konewka; to łotr— Oj to ciemiężyciel,
Pisnął Brzytewka—Więc go kropić! dodał Chrzciciel.
—Jeśli zdrajca, rzekł Buchman, więc na szubienicę.
Hejże, krzyknęli wszyscy, hajże na Soplicę!

Lecz Prusak śmiał podjąć się Sędziego obrony,
I wołał z wzniesionemi ku szlachcie ramiony:
Panowie Bracia! aj! aj! a na boskie rany!
Co znowu? Panie Klucznik, czy Waść opętany?
Czy o tém była mowa? że ktoś miał wariata,
Banita bratem, to co? karać go za brata!
To mi po chrześcijańsku! są tu w tym konszachty
Hrabiego— żeby Sędzia był ciężki dla szlachty,
Nie prawda! dalibógże! to wy tylko sami
Pozywacie go, a on zgody szuka z wami,
Ustępuje ze swego, jeszcze grzywny płaci.

Ma process z Hrabią, cóż stąd? obadwa bogaci;
Niechaj pan drze się s panem, cóż to do nas braci?
Pan Sędzia ciemiężyciel! on pierwszy zabraniał
Ażeby się chłop przed nim do ziemi nie kłaniał,
Mówiąc że to grzech. Nie raz u niego gromada
Chłopska, ja sam widziałem, do stołu z nim siada;
Płacił za włość podatki, a nie tak jest w Klecku,
Choć tam Waść Panie Buchman, rządzisz po niemiecku.
Sędzia zdrajca! my się z nim od infimy znamy:
Poczciwe było dziecko, i dziś taki samy;
Polskę kocha nad wszystko, polskie obyczaje
Chowa, modom moskiewskim przystępu nie daje.
Ilekroć s Prus powracam, chcąc zmyć się z niemczyzny,
Wpadam do Soplicowa, jak w centrum polszczyzny;
Tam się człowiek napije, nadysze Ojczyzny!
Dalbóg Dobrzyńscy! ja wasz brat, ale Sędziego
Niepozwolę pokrzywdzić, nie będzie nic s tego.
Nie tak Panowie Bracia w Wielko-Polszcze było:
Co za duch! co za zgoda! aż przypomnieć miło!
Nikt tam podobną fraszką nieśmiał rady mieszać.
— To nie fraszka zawołał Klucznik, łotrów wieszać!

Szmer wzmagał się; wtem Jankiel posłuchania prosił,
Na ławę wskoczył, stanął, i nad głowy wznosił
Brodę jak wiechę, co mu aż do pasa wisi;
Prawą ręką zdjął zwolna z głowy kołpak lisi,
Lewą ręką jarmułkę zruszoną poprawił,
Potém lewicę za pas zatknął i tak prawił,
Kołpakiem lisim w kolej kłaniając się nisko.

Nu Panowie Dobrzyńscy, ja sobie żydzisko;
Mnie Sędzia ni brat, ni swat; szanuję Sopliców
Jak Panów bardzo dobrych i moich dziedziców;
Szanuję też Dobrzyńskich Bartków i Maciejów,
Jako dobrych Sąsiadów, Panów Dobrodziejów;
A mówię tak: jeżeli Państwo chcą gwałt zrobić
Sędziemu, to bardzo źle, możecie się pobić,
Zabić — assessory? a sprawnik? a turma?
Bo w wiosce u Soplicy jest żołnierzy hurma,
Wszystko jegry! Assessor w domu; tylko świśnie,
Tak wraz przymarszerują, stoją jak umyślnie.
A co będzie? a jeśli czekacie Francuza,
To Francuz jest daleko jeszcze, droga duża.
Ja żyd, o wojnach nie wiem, a byłem w Bielicy,

I widziałem tam żydków od samej granicy;
Słychać że Francuz stoi nad rzeką Łososną,
A wojna jeśli będzie, to chyba aż wiosną.
Nu, mówię tak, czekajcie; wszak dwór Soplicowa
Nie budka kramna, co się rozbierze, w wóz schowa
I pojedzie: dwór jak stał, do wiosny stać będzie;
A Pan Sędzia, to nie jest żydek na arędzie,
Nie ucieeze, to jego można znaleść wiosną;
A teraz rozejdźcie się, a niegadać głośno
O tém co było, bo to gadać, to daremno!
A czyja łaska Panów Szlachty, proszę ze mną.
Moja Siora powiła małego Jankielka,
Ja dziś traktuję wszystkich, a muzyka wielka!
Każę przynieść kozieę, basetle, dwie skrzypiec,
A Pan Macick Dobrodziej lubi stary lipiec
I nowego mazurka; mam nowe mazurki.
A wyuczyłem śpiewać fein moje bachurki.

Wymowa lubionego powszechnie Jankiela
Trafiała do serc; powstał krzyk, oklask wesela,
Szmer przyzwolenia nawet za domem się szerzył,
Gdy Gerwazy w Jankiela scyzorykiem zmierzył.

Żyd skoczył, wpadł w tłum; Klucznik wołał: precz stąd żydzie,
Nie tkaj palców między drzwi, nie o ciebie idzie!
Panie Prusak! że Waszeć Sędziowską handlujesz
Parą wicin mizernych, to już zań gardłujesz?
Zapomniałeś Mopanku, że ojciec Waszécin
Spławiał do Prus dwadzieścia Horeszkowskich wicin?
Stąd się zbogacił i on i jego rodzina;
Ba nawet wszyscy, ilu was tu jest z Dobrzyna.
Bo pamiętacie starzy, słyszeliście młodzi,
Że Stolnik był was wszystkich ojciec i Dobrodziej:
Kogoż on komissarzem słał do swych dobr Pińskich?
Dobrzyńskiego! rachmistrzów kogo miał? Dobrzyńskich!
Marszałkostwa, kredensu nie zwierzał nikomu,
Tylko Dobrzyńskim: pełno Dobrzyńskich miał w domu!
On forytował wasze w trybunałach sprawy,
On wyrabiał u króla dla was chleb łaskawy,
Dzieci wasze kopami pomieszczał w konwikcie
Pijarskim, na swym koszcie, odzieży i wikcie;
Dorosłych promowował także swym nakładem:
A dla czego to robił? że wam był sąsiadem!
Dziś Soplica kopcami tyka waszych granic,
Cóż kiedy wam dobrego zrobił on?

— Nic a nic!
Przerwał Konewka: bo to wyrosło s szlachciury,
A jak dmie się, phu, phu, phu, jak nos drze do gory!
Pamiętacie, prosiłem na córki wesele;
Poję, nie chce pić, mowi: nie piję tak wiele,
Jak wy szlachta; wy szlachta ciągniecie jak bąki:
Ot magnat! delikacik z marymonckiéj mąki!
Nie pił, leliśmy w gardło, krzyczał: gwałt się dzieje!
Czekajno, niech no ja mu s Konewki naleję.

— Filut, zawołał Chrzciciel: oj i ja go kropnę
Za swoje. Mój syn było to dziecko rostropne;
Teraz tak zgłupiał, że go nazywają Sakiem,
A s przyczyny Sędziego został głupcem takim.
Mówiłem, po co tobie leść do Soplicowa:
Jeżeli cię tam złowię! niech cię Bóg uchowa.
On znowu smyk do Zosi, dybie przez konopie,
Złowiłem go, a zatém za uszy i kropię;
A on beczy i beczy jak maleńkie chłopie:
Ojcze, choć zabij, muszę tam iść; a wciąż szlocha —
Co tobie? a on mówi, że tę Zosię kocha!
Chciałby popatrzyć na nią, żal mi nieboraka,

Mówię Sędziemu: Sędzio, daj Zosię dla Saka;
On mówi: jeszcze mała, czekaj ze trzy lata,
Jak sama zechce: łotr! łże, już ją komuś swata.
Słyszałem; już ja się tam na wesele wkręcę,
Ja im łoże małżeńskie kropidłem poświęcę.

— I taki łotr, zawołał Klucznik, ma panować?
I dawnych panów, lepszych od siebie ruinować?
A Horeszków i pamięć i imie zaginie!
Gdzież jest wdzięczność na świecie?—nie ma jéj w Dobrzynie
Bracia! chcecie bój z ruskim wieść imperatorem,
A boicie się wojny s Soplicowskim dworem?
Strach wam turmy! czyż to ja wzywam na rozboje?
Broń Boże! Szlachta Bracia! ja przy prawie stoję.
Wszak Hrabia wygrał, zyskał dekretów nie mało;
Tylko je exekwować! tak dawniéj bywało:
Trybunał pisał dekret, szlachta wypełniała,
A szczególniéj Dobrzyńscy, i ztąd wasza chwała
Urosła w Litwie! Wszakże to Dobrzyńscy sami
Bili się na zajazdzie Myskim z Moskalami,
Których przywiódł Jenerał ruski Wojniłowicz,
I łotr, przyjaciel jego Pan Wołk z Łogomowicz;

Pamiętacie jak Wołka wzięliśmy w niewolę,
Jak chcieliśmy go wieszać na belce w stodole,
Iż był tyran dla chłopstwa a sługa Moskali;
Ale się chłopi głupi nad nim zlitowali!
(Upiec go muszę kiedyś na tym scyzoryku.)
Nie wspomnę innych wielkich zajazdów bez liku,
S których wyszliśmy zawsze jak szlachcie przystało,
I z zyskiem i aplauzem powszechnym i s chwałą!
Po cóż o tem wspominać! dziś darmo Pan Hrabia
Sąsiad wasz, sprawę toczy, dekrety wyrabia,
Już nikt z was pomóc nie chce biednemu sierocie!
Dziedzic Stolnika tego, który żywił krocie,
Dziś nie ma przyjaciela, oprocz mnie Klucznika,
I ot tego wiernego mego scyzoryka!

— I kropidła, rzekł Chrzciciel, gdzie ty Gerwazeńku
Tam i ja; póki ręka, puki plusk plask w ręku.
Co dwaj to dwaj! Dalibóg mój Gerwazy! ty miecz,
Ja mam kropidło; Dal Bóg! ja kropię a ty siecz,
I tak szach mach, plusk plask; oni niech gawędzą!

—Toć i Bartka, rzekł Brzytwa, Bracia nie odpędzą,

Już co wy namydlicie, to ja wszystko zgolę.
— I ja przydał Konewka z wami ruszyć wolę,
Gdy ich nie można zgodzić na obior marszałka;
Co mi tam głosy, gałki, u mnie insza gałka:
(Tu wydobył s kieszeni garść kul, dzwonił niemi)
Ot gałki! krzyknął, w Sędzię gałkami wszystkiemi!
— Do was wołał Skołuba, do was się łączymy!
—Gdzie wy, krzyknęła szlachta, gdzie wy, to tam i my!
Niech żyją Horeszkowie, wiwant Półkozice!
Wiwat Klucznik Rębajło! Hajże na Soplice!

I tak, wszystkich pociągnął wymowny Gerwazy:
Bo wszyscy ku Sędziemu mieli swe urazy,
Jak zwyczajnie w sąsiędztwie, to o szkodę skargi,
To o wyręby, to o granice zatargi:
Jednych gniew, drugich tylko poburzała zawiść
Bogactw Sędziego — wszystkich zgodziła nienawiść.
Cisną się do Klucznika, podnoszą do góry
Szable, pałki —

Aż Maciek dotychczas ponury,
Nieruchomy, wstał z ławy i wolnemi kroki

Wyszedł na środek izby, i podparł się w boki;
I spójrzawszy przed siebie i kiwając głową,
Zabrał głos, wymawiając zwolna każde słowo,
S przestankiem i przyciskiem : A głupi! a głupi!
A głupi wy! na kim się mleło, na was skrupi.
To, póki o wskrzeszeniu Polski była rada,
O dobru pospolitém, głupi, u was zwada?
Nie można było, głupi, ani się rozmówić,
Głupi, ani porządku, ani postanowić
Wodza nad wami, głupi! a niech no kto podda
Osobiste urazy, głupi, u was zgoda!
Precz stąd! bo jakem Maciek, was, do milionów
Krocset kroci tysięcy fur beczek furgonów
Djabłów!!!! —

Ucichli wszyscy jak rażeni gromem!
Ale razem straszliwy powstał krzyk za domem :
« Wiwat Hrabia! » On wjeżdżał na folwark Maciejów,
Sam zbrojny, za nim zbrojnych dziesięciu dżokejów.
Hrabia siedział na dzielnym koniu, w czarnym stroju,
Na sukni orzechowy płaszcz włoskiego kroju,
Szeroki, bez rękawów, jak wielka opona,

Spięty klamrą u szyi, spadał przez ramiona;
Kapelusz miał okrągły z piórem, w ręku szpadę,
Okręcił się i szpadą powitał gromadę.

Wiwat Hrabia! krzyknęli, z nim żyć i umierać!
Szlachta zaczęła s chaty przez okna wyzierać
I za Klucznikiem co raz ku drzwiom się napierać;
Klucznik wyszedł, a za nim tłum przeze drzwi runął,
Maciek resztę wypędził, drzwi zamknął, zasunął,
I przez okno wyjrzawszy, raz jeszcze rzekł: głupi!

A tym czasem się szlachta do Hrabiego kupi;
Idą w karczmę, Gerwazy wspomniał dawne czasy,
Kazał sobie trzy podać od kuntuszów pasy,
Na nich ze sklepu karczmy beczki wydobywa
Trzy: jedną miodu, drugą wódki, trzecią piwa.
Wyjął goździe, wnet s szumem trysnęły trzy strugi,
Jeden biały jak srebro, krwawnikowy drugi,
Trzeci żółty; troistą grają w górze tęczą,
A spadając w sto kubków, we sto szklanek brzęczą.
Wre szlachta, tamci piją, ci Hrabiemu życzą
Lat setnych, wszyscy, Hajże na Soplice, krzyczą.

Jankiel wymknął się milczkiem, oklep; Prusak równie
Niesłuchany, choć jeszcze roprawiał wymownie,
Chciał zmykać, szlachta w pogoń, wołając że zdradził.
Mickiewicz stał zdaleka, ni krzyczał, ni radził,
Ale z miny poznano, że coś złego knuje,
Więc do kordów, i Hajże! on się rejteruje,
Odcina się, już ranny, przyparty do płotów,
Gdy mu skoczył na odsiecz Zan i trzech Czeczotów.
Zaczém rozjęto szlachtę, ale w tym rozruchu,
Dwóch było ciętych w ręce, ktoś dostał po uchu.
Reszta wsiadała na koń. —

Hrabia i Gerwazy
Porządkują, rozdają oręże, roskazy.
W końcu, wszyscy przez długą zaścianku ulicę
Puścili się w cwał krzycząc: Hajże na Soplicę.



KSIĘGA ÓSMA.

ZAJAZD.

TREŚĆ.

Astronomia Wojskiego — Uwaga Podkomorzego nad kometami — Tajemnicza scena w pokoju Sędziego — Tadeusz chcąc zręcznie wyplątać się wpada w wielkie kłopoty — Nowa Dydo — Zajazd — Ostatnia woźnieńska protestacya — Hrabia zdobywa Soplicowo — Szturm i rzeź — Gerwazy piwniczym — Uczta Zajazdowa.

Przed burzą bywa chwila cicha i ponura;
Kiedy nad głowy ludzi przyleciawszy chmura,
Stanie i grożąc twarzą, dech wiatrów zatrzyma,
Milczy, obiega ziemię błyskawic oczyma,
Znacząc te miejsca, gdzie wnet ciśnie grom po gromie:
Téj ciszy chwila była w Soplicowskim domie.

Myśliłbyś, że przeczucie nadzwyczajnych zdarzeń,
Scięło usta, i wzniosło duchy w kraje marzeń.

Po wieczerzy, i Sędzia i goście ze dworu
Wychodzą na dziedziniec, używać wieczoru;
Zasiadają na przyzbach wysłanych murawą;
Całe grono s posępną i cichą postawą,
Pogląda w niebo, które zdawało się zniżać,
Ścieśniać, i coraz bardziéj ku ziemi przybliżać;
Aż oboje skrywszy się pod zasłonę ciemną
Jak kochankowie, wszczęli rozmowę tajemną,
Tłómacząc swe uczucia w westchnieniach tłumionych,
Szeptach, szmerach i słowach na wpół wymówionych,
S których składa się dziwna muzyka wieczoru.

Zaczął ją puszczyk, jęcząc na poddaszu dworu;
Szepnęły wiotkiém skrzydłem niedoperze, lecą
Pod dom, gdzie szyby okien, twarze ludzi świecą;
Bliżéj zaś, niedoperzów siostrzyczki, ćmy, rojem
Wiją się, przywabione białym kobiet strojem,
Mianowicie przykrzą się Zosi, bijąc w lice,
I w jasne oczki, które biorą za dwie świéce.

Na powietrzu owadów wielki krąg się zbiera,
Kręci sie grając jako harmoniki sfera;
Ucho Zosi rozróżnia wśród tysiąca gwarów
Akord muszek i półton fałszywy komarów.

W polu koncert wieczorny ledwie jest zaczęty;
Właśnie muzycy kończą stroić instrumenty,
Już trzykroć wrzasnął derkacz, pierwszy skrzypak łąki,
Już mu zdala wtórują z bagien basem bąki,
Już bekasy do góry porwawszy sie wiją,
I bekając raz poraz jak w bębenki biją.

Na finał szmerów muszych i ptaszęcéj wrzawy,
Odezwały sie chórem podwójnym dwa stawy,
Jako zaklęte w górach kaukazkich jeziora
Milczące przez dzień cały, grające z wieczora.
Jeden staw co toń jasną i brzeg miał piaszczysty,
Modrą piersią jęk wydał cichy, uroczysty;
Drugi staw z dnem błotnistém i gardzielem mętnym,
Odpowiedział mu krzykiem żałośnie namiętnym;
W obu stawach piały żab niezliczone hordy,
Oba chory zgodzone w dwa wielkie akordy.

Ten fortissimo zabrzmiał, tamten nóci s cicha;
Ten zdaje się wyrzekać, tamten tylko wzdycha;
Tak dwa stawy gadały do siebie przez pola,
Jak grające na przemian dwie arfy Eola.

Mrok gęstniał; tylko w gaju i około rzeczki
W łozach, błyskały wilcze oczy jako świeczki,
A dalej u ścieśnionych widnokręgu brzegów,
Tu i ówdzie ogniska pastuszych noclegów.
Nareszcie księżyc srebrną pochodnię zaniecił,
Wyszedł z boru i niebo i ziemię oświecił.
One teraz s pomroku odkryte w połowie,
Drzemały obok siebie, jako małżonkowie
Szczęśliwi: niebo w czyste objęło ramiona
Ziemi pierś, co księżycem świeci posrebrzona.

Już na przeciw księżyca, gwiazda jedna, druga
Błysnęła; już ich tysiąc, już milion mruga.
Kastor z bratem Poluxem jaśnieli na czele,
Zwani niegdyś u Sławian Lele i Polele,
Teraz ich w zodiaku gminnym znów przechrzczono,
Jeden zowie się Litwą, a drugi Koroną.

Dalej niebieskiéj *Wagi* dwie szale błyskają; 2
Na nich Bóg w dniu stworzenia (starzy powiadają)
Ważył s kolei wszystkie planety i ziemię,
Nim w przepaściach powietrza osadził ich brzemię;
Potem wagi złociste zawiesił na niebie:
Z nich to ludzie wag i szal wzór wzięli dla siebie.

Na połnóc, świeci okrąg gwiaździstego *Sita*, 3
Przez które Bóg (jak mówią) przesiał ziarnka żyta,
Kiedy je z nieba zrucał dla Adama ojca,
Wygnanego za grzechy z roskoszy ogrojca.

Nieco wyżej *Dawida* wóz, gotów do jazdy, 4
Długi dyszel kieruje do polarnej gwiazdy.
Starzy Litwini wiedzą o rydwanie owym,
Że nie słusznie pospólstwo zwie go Dawidowym,
Gdyż to jest wóz Anielski. Na nim to przed czasy,
Jechał Lucyper, Boga gdy wyzwał w zapasy,
Mlecznym gościńcem pędząc w cwał w niebieskie progi,
Aż go Michał zbił z wozu, a wóz zrucił z drogi.
Teraz popsuty między gwiazdami się wala,
Naprawiać go Archanioł Michał nie pozwala.

I to wiadomo także u starych Litwinów,
(A wiadomość tę pono wzięli od rabinów)
Że ów zodyakowy *Smok* długi i gruby
Który gwiaździste wije po niebie przeguby,
Którego mylnie wężem chrzczą Astronomowie,
Jest nie wężem lecz rybą, Lewiatan się zowie.
Przed czasy mieszkał w morzach, ale po potopie
Zdechł z niedostatku wody; więc na niebios stropie
Tak dla osobliwości, jako dla pamiątki,
Anieli zawiesili jego martwe szczątki.
Podobnie pleban Mirski zawiesił w kościele
Wykopane olbrzymów żebra i piszczele.

Takie gwiazd historye, które s książek zbadał,
Albo słyszał s podania, Wojski opowiadał;
Chociaż wieczorem słaby miał wzrok Wojski stary,
I nie mógł w niebie dojrzeć nic przez okulary,
Lecz na pamięć znał imie i kształt każdej gwiazdy;
Wskazywał palcem miejsca i drogę ich jazdy.

Dziś mało go słuchano, nie zważano wcale
Na *Sito*, ni na *Smoka*, ani też na *Szale*;

Dziś oczy i myśl wszystkich pociąga do siebie
Nowy gość, dostrzeżony niedawno na niebie,
Był to *kometa* piérwszej wielkości i mocy,
Zjawił się na zachodzie, leciał ku północy;
Krwawym okiem z ukosa na rydwan spoziera,
Jakby chciał zająć puste miejsce Lucypera,
Warkocz długi w tył rzucił, i część nieba trzecią
Obwinął nim, gwiazd krocie zagarnął jak siecią,
I ciągnie je za sobą, a sam wyżéj głową
Mierzy, na północ, prosto w gwiazdę biegunową.

Z niewymownćm przeczuciem cały lud Litewski
Poglądał każdéj nocy na ten cud niebieski,
Biorąc złą wróżbę z niego, tudzież z innych znaków:
Bo zbyt często słyszano krzyk złowieszczych ptaków,
Które na pustych polach gromadząc się w kupy,
Ostrzyły dzioby jakby czekając na trupy.
Zbyt często postrzegano, że psy ziemię ryły,
I jak gdyby śmierć wietrząc przeraźliwie wyły:
Co wróży głód lub wojnę; a strażnicy boru
Widzieli jak przez smętarz szła dziewica moru,
Która wznosi się czołem nad najwyższe drzewa,

A w lewym ręku chustką skrwawioną powiewa.

Różne stąd wnioski tworzył, stojący przy płocie
Cywón, co przyszedł zdawać sprawę o robocie,
I pisarz prowentowy w szeptach z ekonomem.

Lecz Podkomorzy siedział na przyźbie przed domem.
Przerwał rozmowę gości, znać że głos zabiera;
Błysnęła przy księżycu wielka tabakiera
(Cała s szczerego złota, z brylantów oprawa,
We środku za szkłem portret króla Stanisława)
Zadzwonił w nią palcami, zażył i rzekł: Panie
Tadeuszu, Waścine o gwiazdach gadanie,
Jest tylko echem tego co słyszałeś w szkole.
Ja o cudzie, prostaków poradzić się wolę.
I ja Astronomii słuchałem dwa lata
W Wilnie, gdzie Sapieżyna, mądra i bogata
Pani, oddała dochód z wioski dwiestu chłopów,
Na zakupienie różnych szkieł i teleskopów.
Ksiądz Poczobut człek sławny był Obserwatorem,
I całej Akademii naonczas Rektorem,
Przecież w końcu katedrę i teleskop rzucił,

Do klasztoru, do cichéj celi swéj powrócił,
I tam umarł przykładnie. Znam się też s Sniadeckim
Który jest mądrym bardzo człekiem, chociaż świeckim.
Owoż Astronomowie, planetę, kometę,
Uważają tak jako mieszczanie karetę;
Wiedzą czyli zajeżdża przed króla stolicę,
Czyli z rogatek miejskich rusza za granicę;
Lecz kto w niej jechał? po co? co s królem rozmawiał?
Czy król posła s pokojem czy z wojną wyprawiał?
O to ani pytają. Pomnę za mych czasów
Gdy Branecki karetą swą ruszył do Jassów,
I za tą niepoczciwą pociągnął karetą
Ogon Targowiczanów, jak za tą kometą;
Lud prosty choć w publiczne nie mięszał się rady,
Zgadnął zaraz że ogon ów jest wróżbą zdrady.
Słychać że lud dał imie miotły tej komecie,
I powiada że ona milion wymiecie.

A na to rzekł z ukłonem Wojski: Prawda, Jaśnie
Wielmożny Podkomorzy: przypominam właśnie,
Co mnie mówiono niegdyś małemu dziecięciu,
Pamiętam, choć nie miałem wówczas lat dziesięciu,

Kiedy widziałem w domu naszym nieboszczyka
Sapiehę, pancernego znaku Porucznika,
Co potém był nadwornym Marszałkiem królewskim,
Nakoniec umarł wielkim Kanclerzem Litewskim,
Miawszy lat sto i dziesięć. Ten za króla Jana
Trzeciego, był pod Wiedniem w chorągwi Hetmana
Jabłonowskiego, owoż ów Kanclerz powiadał,
Że właśnie kiedy na koń król Jan trzeci siadał,
Gdy Nuncyusz Papieski żegnał go na drogę
A Poseł Austryacki całował mu nogę
Podając strzemię (Poseł zwał się Wilczek Hrabia)
Król krzyknął: Patrzcie co się na niebie wyrabia!
Spójrzą, alić nad głowy suwał się kometa,
Drogą, jaką ciągnęły wojska Mahometa,
S wschodu na zachód; potém i ksiądz Bartochowski,
Składając panegiryk na tryumf krakowski,
Pod godłem *Orientis Fulmen*, prawił wiele
O tym komecie; także czytam o nim w dziele
Pod tytułem *Janina*, gdzie jest opisana
Cała wyprawa króla nieboszczyka Jana,
I wyryta chorągiew wielka Mahometa,
I ów taki jak dziś go widzimy kometa.

— Amen — rzekł na to Sędzia, ja wróżbę Waszeci
Przyjmuję, oby z gwiazdą zjawił się Jan trzeci!
Jest na zachodzie wielki dziś bohater; może
Kometa go przywiedzie do nas; co daj Boże!

Na to rzekł Wojski, głowę pochyliwszy smutnie:
Kometa czasem wojny, czasem wróży kłótnie!
Nie dobrze iż się zjawił tuż nad Soplicowem,
Może nam grozi jakiém nieszczęściem domowém.
Mieliśmy wczoraj dosyć rostérku i zwady,
Tak w czasie polowania, jako i biesiady.
Rejent kłócił się z rana s panem Assesorem,
A Pan Tadeusz wyzwał Hrabiego wieczorem.
Pono spór ten ze skóry niedźwiedziéj pochodził;
I gdyby mnie Dobrodziej Sędzia nie przeszkodził,
Jabym u stołu obu przeciwników zgodził.
Bo chciałem opowiedzieć wypadek ciekawy,
Podobny do zdarzenia wczorajszéj wyprawy,
Co trafił się najpierwszym strzelcom za mych czasów,
Posłowi Rejtanowi i Księciu Denassów.
Przypadek był takowy —

Jenerał Podolskich
Ziem, przejeżdzał z Wołynia do swoich dóbr Polskich,
Czy też, gdy dobrze pomnę, na sejm do Warszawy,—
Po drodze zwiedzał szlachtę, już to dla zabawy,
Już dla popularności; wstąpił więc do Pana
Tadeusza, dziś świętéj pamięci, Rejtana,
Który był potém naszym Nowogrodzkim posłem,
I w którego ja domu od dzieciństwa wzrosłem.
Otoż Rejtan, na przyjazd księcia Jenerała,
Zaprosił gości — liczna szlachta się zebrała,
Było teatrum; (Książe kochał się w teatrze)
Fajerwerk dawał Kaszyc, który mięszka w Jatrze,
Pan Tyzenhauz tancerzy przysłał, a kapele
Ogiński i Pan Sołtan co mieszka w Zdzięciele.
Słowem dawano huczne nad spodziw zabawy
W domu, a w lasach wielkie robiono obławy.
Wiadomo zaś Waszmościom jest, że prawie wszyscy,
Ile ich zapamiętać można, Czartoryscy,
Choć idą z Jagiellonów krwi, lecz do myśliwstwa
Nie są bardzo pochopni, pewno nie z leniwstwa,
Lecz z gustów cudzoziemskich; i książe Jenerał
Częściéj do książek, niźli do psiarni zazierał,

I do alkówek damskich, częściej niż do lasów.

W świcie Księcia, był książe Niemiecki Denassów,
O którym powiadano, że w Libijskiej ziemi
Goszcząc, polował niegdyś s królmi murzyńskiemi,
I tam tygrysa spisą w ręcznym boju zwalił,
S czego się bardzo książe ów Denassów chwalił.
U nas zaś polowano na dziki w tę porę;
Rejtan zabił ze sztucca ogromną maciorę,
Z wielkiém niebespieczeństwem, bo z bliska wypalił.
Każdy z nas trafność strzału wydziwiał i chwalił,
Tylko niemiec Denassów obojętnie słuchał
Pochwał takich, i chodząc pod nos sobie dmuchał:
Że trafny strzał dowodzi tylko śmiałe oko,
Biała broń śmiałą rękę; i zaczął szeroko
Znowu gadać, o swojej Libii i spisie,
O swych królach murzyńskich i o swym tygrysie.
Markotno to się stało panu Rejtanowi,
Był człek żywy, uderzył po szabli i mówi:
Mości książe! kto patrzy śmiele, walczy śmiele,
Warte dziki tygrysów, a spis karabele —
I zaczynali z niemcem dyskurs nazbyt żwawy.

Szczęściem książe Jenerał przerwał te rosprawy,
Godząc ich po francuzku : co tam gadał niewiem,
Ale ta zgoda był to popioł nad żarzewiem ;
Bo Rejtan wziął do serca, okazyi czekał,
I dobrą sztukę spłatać niemcowi przyrzekał ;
Téj sztuki ledwie własnym nieprzypłacił zdrowiem,
A spłatał ją nazajutrz, jak to wnet opowiem.

Tu Wojski umilknąwszy, prawą rękę wznosił,
I u Podkomorzego tabakiery prosił ;
Długo zażywa, kończyć powieści nieraczy,
Jak gdyby chciał zaostrzyć ciekawość słuchaczy.
Zaczynał wreszcie, kiedy znowu mu przerwano
Powieść taką ciekawą, tak pilnie słuchaną!
Bo do Sędziego nagle ktoś przysłał człowieka,
Donosząc że z niezwłocznym interessem czeka.
Sędzia dając dobranoc, żegnał całe grono :
Natychmiast się po różnych stronach rozpierzchniono,
Ci spać do domu, tamci w stodole na sianie,
Sędzia, szedł podróżnemu dawać posłuchanie.

Inni już śpią — Tadeusz po sieniach się zwija,

Chodząc jako wartownik, około drzwi stryja,
Bo musi w ważnych rzeczach rady jego szukać
Dziś jeszcze nim spać pójdzie; nie śmie do drzwi stukać,
Sędzia drzwi na klucz zamknął, s kimś tajnie rozmawia;
Tadeusz końca czeka, a ucha nadstawia.

Słyszy wewnątrz szlochanie; nie trącając klamek
Ostrożnie dziurką klucza zagląda przez zamek.
Widzi rzecz dziwną! Sędzia i Robak na ziemi
Klęczeli objąwszy się, i łzami rzewnemi
Płakali, Robak ręce Sędziego całował,
Sędzia Księdza za szyję płacząc obejmował,
Wreszcie po ćwierćgodzinnem przerwaniu rozmowy,
Robak po cichu temi odezwał się słowy:

« Bracie! Bóg wie żem dotąd tajemnic dochował,
Którem z żalu za grzechy w spowiedzi ślubował;
Że Bogu i Ojczyźnie poświęcony cały,
Nie służąc pysze, ziemskiej nie szukając chwały,
Żyłem dotąd, i chciałem umrzeć Bernardynem,
Nie wydając nazwiska nie tylko przed gminem,
Ale nawet przed tobą, i przed własnym synem!

Wszakże Ksiądz Prowinciał dał mi pozwolenie
In articulo mortis, zrobić objawienie.
Kto wić czy wrócę żywy! kto wić co się stanie
W Dobrzynie! Bracie! wielkie, wielkie zamieszanie!
Francuz jeszcze daleko, nim przeminie zima
Trzeba czekać, a szlachta pono nie dotrzyma.
Możem za nadto czynnie s powstaniem się krzątał!
Pono źle zrozumieli! Klucznik wszystko splątał!
Ten waryat Hrabia! słyszę, pobiegł do Dobrzyna,
Niemogłem go uprzedzić, ważna w tém przyczyna:
Stary Maciek mnie poznał, a jeśli odkryje
Potrzeba będzie oddać pod Scyzoryk szyję.
Nic Klucznika nie wstrzyma! mniejsza o mą głowę,
Lecz tém odkryciem spisku zerwałbym osnowę.

Przecież! dziś tam być muszę! widzieć co się dzieje,
Choćbym zginął; bezemnie szlachta oszaleje!
Bądź zdrów najmilszy bracie! bądź zdrów, śpieszyć muszę
Jeśli zginę, ty jeden westchniesz za mą duszę;
W przypadku wojny, tobie cała tajemnica
Wiadoma, kończ com zaczął, pomnij żeś Soplica.

Tu Ksiądz łzy otarł, habit zapiął, kaptur włożył,
I okienicę tylną pocichu otworzył,
Widać było że oknem do ogrodu skakał: —
Sędzia zostawszy jeden, siadł w krześle i płakał.

Chwilę czekał Tadeusz, nim w klamkę zadzwonił;
Otworzono mu, cicho wszedł, nisko się skłonił,
—Stryjaszku Dobrodzieju, rzekł, ledwie dni kilka
Przebawiłem tu, dni te minęły jak chwilka;
Nie miałem czasu s twoim domem się nacieszyć
I s tobą, a odjeżdzać muszę, muszę śpieszyć
Zaraz, dzisiaj Stryjaszku, a jutro najdaléj:
Wszak pamiętacie, żeśmy Hrabiego wyzwali.
Bić się z nim to rzecz moja, posłałem wyzwanie,
W Litwie jest zakazane pojedynkowanie,
Jadę więc na granicę Warszawskiego Księstwa;
Hrabia prawda fanfaron, lecz mu nie brak męstwa,
Na miejsce naznaczone zapewne się stawi,
Rosprawim się; a jeśli Bóg pobłogosławi,
Ukarzę go, a potém za Łososny brzegi
Przepłynę, gdzie mnie bratnie czekają szeregi.
Słyszałem że mi ojciec testamentem kazał,

Służyć w wojsku, a niewiem kto testament zmazał.

—Mój Tadeuszku, rzekł stryj, czy Waszeć kąpany
W gorącéj wodzie, czy też kręcisz jak lis szczwany,
Co indziéj kitą wije, a sam indziéj bieży?
Wyzwaliśmy, zapewne, i bić się należy.
Ale jechać dziś, skądżeś Waszeć tak się zaciął?
Przed pojedynkiem zwyczaj jest posłać przyjacioł,
Układać się, wszak Hrabia może nas przeprosić,
Deprekować; czekaj Waść, czasu jeszcze dosyć.
Chyba inny gies jaki Waści stąd wygania,
To gadaj szczerze, poco takie omawiania.
Jestem twój stryi, choć stary, znam co serce młode,
Byłem ci ojcem (mówiąc gładził go pod brodę)
Już w ucho szepnął o tém mnie mój palec mały,
Że Waszeć masz tu jakieś z damami kabały.
Za katy prędko teraz młodź do dam się bierze.
No Tadeuszku, przyznaj mi się Waść a szczerze.

Jużci, bąknął Tadeusz, prawda, są przyczyny
Inne, kochany Stryju! może z mojéj winy!
Omyłka! cóż? nieszczęście! już trudno naprawić!

Nie, drogı stryju, dłużej niemogę tu bawić.
Błąd młodości! Stryjaszku, nie pytaj o więcéj,
Ja muszę s Soplicowa wyjeżdzać co prędzéj.

Ho! rzekł Stryj, pewnie jakieś miłośne zatargi!
Uważałem że Waszeć wczoraj gryzłeś wargi,
Pogladając spode łba na pewną dziewczynkę,
Widziałem, że i ona miała kwaśną minkę.
Znam ja te wszystkie głupstwa, kiedy dzieci para
Kocha się, to tam u nich nieszczęść co niemiara!
To cieszą się, to znowu trapią się i smucą;
To znowu Bóg wić o co do zębów się skłócą;
To stojąc w kątkach jakby mruki, niegadają
Do siebie, czasem nawet w pole uciekają.
Jeżeli na was raptus podobny napada,
Bądźcie tylko cierpliwi, już jest na to rada;
Biorę na siebie wkrótce przywieść was do zgody.
Znam ja te wszystkie głupstwa, wszakże byłem młody.
Powiedz mi Wasze wszystko; ja może nawzajem
Coś odkryję, i tak się oba poprzyznajem.

—Stryjaszku, rzekł Tadeusz (całując mu rękę

I rumieniąc się) powiem prawdę; tę panienkę,
Zosię, wychowanicę stryja, podobałem
Bardzo, choć tylko parę razy ją widziałem;
A mówią że stryi dla mnie za żonę przeznacza
Podkomorzankę, piękną, i córkę bogacza.
Teraz niemogłbym s Panną Różą się ożenić,
Kiedy kocham tę Zosię; trudno serce zmienić!
Nieuczciwie, żeniąc się z jedną kochać drugą,
Czas może mnie uleczy; wyjadę — na długo.

— Tadeuszku! stryj przerwał; to mi dziwny sposób
Kochania się — uciekać od kochanych osób,
Dobrze żeś szczery; widzisz, głupstwo byś wypłatał
Odjeżdzając: a co Waść powiesz, gdybym swatał
Sam Waci Zosię? He? cóż nie skoczysz z radości?

— Tadeusz rzekł po chwili: dobroć Jegomości
Dziwi mnie! lecz cóż? łaska stryja Dobrodzieja
Nie przyda się już na nic! Ach! próżna nadzieja!
Bo Pani Telimena! nieodda mi Zosi!
— Będziem prosić, rzekł Sędzia —

Nikt jéj nie uprosi,
Przerwał prędko Tadeusz — nie, czekać niemogę,
Stryjaszku, muszę prędko, jutro jechać w drogę,
Daj mi Stryjaszku tylko twe błogosławieństwo,
Wszystko przygotowałem, jadę zaraz w Księstwo.

Sędzia wąs kręcąc, z gniewem na chłopca spozierał;
— To Waść tak szczery? takeś mi serce otwierał?
Naprzód ów pojedynek! potém znowu miłość
I ten wyjazd, oj jest tu w tém jakaś zawiłość.
Już mnie gadano, jużem kroki Waści badał!
Asan bałamut i trzpiot, Asan kłamstwa gadał.
A gdzież to Asan chodził onegdaj wieczorem,
Czego Asan jak wyżeł tropił pode dworem?
O Tadeuszku! jeśli może Asan Zosię
Zbałamucił i teraz uciekasz? młokosie,
To się Waci nie uda; lubisz czy nie lubisz,
Zapowiadam Asanu że Zosię poślubisz.
A nie, to bizun — jutro staniesz na kobiercu.
I gada mnie o czuciach! o niezmiennym sercu!
Łgarz jesteś! pfe! ja z Waści Panie Tadeuszu,
Zrobię śledztwo, ja Waści jeszcze natrę uszu!

Dziś dość miałem kłopotów! aż mi głowa boli!
Ten mi jeszcze spokojnie zasnąć nie dozwoli!
Idź mi Waść spać.—To mówiąc drzwi na wściąż otwierał
I zawołał Woźnego żeby go rozbierał.

Tadeusz cicho wyszedł opuściwszy głowę,
Rozbierał w myśli przykrą ze stryjem rozmowę,
Piérwszy raz połajany tak ostro! ocenił
Słuszność wyrzutów, sam się przed sobą rumienił.
Co począć? jeśli Zosia o wszystkiém się dowie?
Prosić o rękę? a cóż Telimena powie?
Nie — czuł że nie mógł dłużéj zostać w Soplicowie.

Tak zadumany ledwie zrobił kroków parę,
Gdy mu cóś drogę zaszło; spójrzał, widzi marę
Całą w bieliźnie, długą, wysmukłą, i cienką,
Suwała się ku niemu z wyciągniętą ręką,
Od któréj odbijał się drżący blask miesięczny,
I przystąpiwszy, cicho jęknęła: Niewdzięczny!
Szukałeś wzroku mego, teraz go unikasz,
Szukałeś rozmów zemną dziś uszy zamykasz,
Jakby w słowach, we wzroku mym, była trucizna!

Dobrze mi tak, wiedziałam kto jesteś! — męszczyzna!
Nie znając kokieteryi niechciałam cię dręczyć,
Uszczęśliwiłam; także umiał mnie zawdzięczyć!
Tryumf nad miękkiém sercem, serce twe zatwardził,
Żeś je zdobył zbytłacno, zbytprędkoś niém wzgardził!
Dobrze mi tak! lecz straszną nauczona probą,
Wierz mi, iż więcéj niż ty gardzę sama sobą!

— Telimeno, Tadeusz rzekł, dalbóg nietwarde
Mam serce, ani ciebie unikam przez wzgardę,
Ale uważno sama, wszak nas widzą, śledzą,
Czyż można tak otwarcie? cóż ludzie powiedzą.
Wszak to nieprzyzwoicie, to dalbóg jest grzechem.
—Grzechem! odpowiedziała mu z gorzkim uśmiechem,
Niewiniątko! baranek! Ja będąc kobiétą,
Jeśli z miłości niedbam choćby mnie odkryto,
Choćby mnie osławiono; a ty! ty męszczyzna?
Cóż szkodzi z was któremu, chociaż się i przyzna
Że ma romans, z dziesięciu razem kochankami?
Mów prawdę, chcesz mnie rzucić —Zalała się łzami.
— Telmeno, cóżby świat mówił o człowieku,
Rzekł Tadeusz, któryby teraz, w moim wieku,

Zdrów, żył na wsi, kochał się — kiedy tyle młodzi,
Tylu żonatych od żon od dzieci uchodzi
Za granicę, pod znaki narodowe bieży?
Chocbym chciał zostać, czy to odemnie zależy?
Ojciec mnie testamentem kazał, abym służył
W wojsku Polskiém, teraz stryj ten rozkaz powtórzył:
Jutro jadę, zrobiłem już postanowienie,
I dalbóg Telimeno już go nie odmienię.
— Ja, rzekła Telimena, niechcę ci zagradzać
Drogi do sławy, szczęściu twojemu przeszkadzać!
Jesteś męszczyzną, znajdziesz kochankę godniejszą
Serca twojego, znajdziesz bogatszą, piękniejszą!
Tylko dla méj pociechy, niech wiem przed rozstaniem,
Że twoja skłonność była prawdziwém kochaniem,
Że to niebył żart tylko, nie rospusta płocha,
Lecz miłość; niech wiem, że mnie mój Tadeusz kocha!
Niech słowo «kocham» jeszcze raz z ust twych usłyszę,
Niech je w sercu wyryję, i w myśli zapiszę;
Przebaczę łacniéj, chociaż przestaniesz mnie kochać,
Pomnąc jakeś mnie kochał! — I zaczęła szlochać. —

Tadeusz widząc że tak płacze i tak błaga

Czule, i tylko takiéj drobnostki wymaga,
Wzruszył się, przejęły go szczery żal i litość,
I jeżeliby badał serca swego skrytość,
Możeby się w téj chwili i sam niedowiedział
Czyli ją kochał, czy nie — Więc żywo powiedział:
Telimeno, bogdaj mnie jasny piorun ubił,
Jeśli nieprawda żem cię dalbóg bardzo lubił,
Czy kochał; krótkie s sobą spędziliśmy chwile,
Ale one mnie przeszły tak słodko, tak mile,
Że będą długo, zawsze myśli méj przytomne,
I dalibógże nigdy ciebie nie zapomnę.

Telimena skoczywszy padła mu na szyję;
— Tegom się spodziewała, kochasz mnie, więc żyję!
Bo dzisiaj miałam dni me własną ręką skrócić;
Gdy mnie kochasz mój drogi, czyż możesz mnie rzucić?
Tobie oddałam serce, oddam ci majątek,
Pójdę za tobą wszędzie; każdy świata kątek
Będzie mnie s tobą miły! z najdzikszéj pustyni
Miłość, wierzaj mi, ogród roskoszy uczyni. —

Tadeusz wydarłszy się z objęcia przemocą,

Jakto? rzekł, czyś z rozumu obrana? gdzie? poco?
Jechać za mną? Ja będąc sam prostym żołnierzem,
Włóczyć, czy markietankę?— To my się pobierzem,
Rzekła mu Telimena — Nie, nigdy, zawoła
Tadeusz, ja żenić się niemam teraz zgoła
Zamiaru, ni kochać się — fraszki! dajmy pokoj!
Proszę cię moja droga, rozmyśl się! uspokoj!
Ja jestem tobie wdzięczen, ale nie podobna
Żenić się, kochajmy się, ale tak — z osobna.
Zostać dłużej nie mogę, nie, nie, jechać muszę,
Bądź zdrowa Telimeno moja, jutro ruszę.

Rzekł, nasuwał kapelusz, odwracał się bokiem
Chcąc iść; lecz go wstrzymała Telimena okiem
I twarzą, jak Meduzy głową; musiał zostać
Mimowolnie; poglądał s trwogą na jej postać,
Stała blada, bez ruchu, bez tchu i bez życia!
Aż wyciągając rękę jak miecz do przebicia,
S palcem zmierzonym prosto w Tadeusza oczy,
— Tego chciałam, krzyknęła, ha języku smoczy!
Serce jaszczurcze! to nic, żem tobą zajęta
Wzgardziła Assesora, Hrabię i Rejenta,

Żeś mnie uwiódł i teraz porzucił sierotę,
To nic! jesteś męszczyzną, znam waszą niecnotę,
Wiém że jak inni tak ty mógłbyś wiarę złamać,
Lecz nie wiedziałam, że tak podle umiesz kłamać!
Słuchałam pode drzwiami stryja! więc to dziecko?
Zosia? wpadła ci w oko? i na nią zdradziecko
Dybiesz! Zaledwieś jedną nieszczęsną oszukał,
A już pod jéj okiem nowych ofiar szukał!
Uciekaj, lecz cię moje dosięgną przekleństwa—
Lub zostań, wydam światu twoje bezeceństwa,
Twe sztuki! już nie zwiodą innych jak mnie zwiodły!
Precz! gardzę tobą! jesteś kłamca, człowiek podły!—

Na obelgę śmiertelną dla uszu szlachcica,
I któréj żaden nigdy nie słyszał Soplica,
Zadrżał Tadeusz, twarz mu pobladła jak trupia,
Tupnąwszy nogą, usta przyciąwszy, rzekł:— głupia!

Odszedł; lecz wyraz « podłość » echem się powtórzył
W sercu, wzdrygnął się młodzian, czuł że nań zasłużył,
Czuł że wyrządził wielką krzywdę Telimenie,
Że go słusznie skarżyła, mówiło sumnienie,

Lecz czuł że po tych skargach tém mocniéj ją zbrzydził;
O Zosi, ach! pomyślić nie ważył się, wstydził.
Przecież ta Zosia, taka piękna, taka miła!
Stryj swatał ją! możeby jego żoną była!
Gdyby nie szatan co go plącząc w grzech za grzechem,
W kłamstwo za kłamstwem, wreszcie odstąpił z uśmie
Złajany, pogardzony od wszystkich! w dni parę
Zmarnował przyszłość! uczuł słuszną zbrodni karę.

W téj burzy uczuć jakby kotwica spoczynku
Zabłysnęła mu nagle myśl o pojedynku;
Zamordować Hrabiego! łotra! krzyknął w gniewie,
Zginąć, albo zemścić się! a za co? sam nic wie!
I ten gniew wielki, jak się zajął, w mgnieniu oka,
Tak wywietrzał; znow zdjęła go żałość głęboka.
Myślił: jeśli prawdziwe było postrzeżenie,
Ze Hrabia z Zosią jakiś miał porozumienie,
I cóż stąd? może Hrabia kocha Zosię szczerze,
Może go ona kocha? za męża wybierze!
Jakiémże prawem chciałbym zerwać to zamęście,
I sam nieszczęśnik, wszystkich mam zaburzać szczęście?

Wpadł w rospacz i niewidział innego sposobu
Chyba ucieczkę prędką; gdzie? chyba do grobu!

Więc kułak przycisnąwszy na schyloném czole,
Biegł ku łąkom gdzie stawy błyszczały się w dole,
I stanął nad błonistym; w zielonawe tonie
Łakomy wzrok utopił, i błotniste wonie
Z roskoszą ciągnął piersią, i otworzył usta
Ku nim; bo samobójstwo jak każda rospusta
Jest wymyślną; on w głowy szalonym zawrocie,
Czuł niewymowny pociąg utopić się w błocie.

Lecz Telimena z dzikiéj młodzieńca postawy
Zgadując rospacz, widząc że pobiegł nad stawy,
Chociaż ku niemu takim słusznym gniewem pała,
Przelękła się; w istocie dobre serce miała.
Żal jéj było że inną śmiał Tadeusz lubić,
Chciała go skarać, ale nie myśliła zgubić;
Więc puściła się za nim, wznosząc ręce obie,
Krzycząc: stój! głupstwo! kochaj czy nie! żeń się sobie!
Czy jedź! tylko stój! — Ale on już szybkim biegiem
Wyprzedził ją daleko; już — stanął nad brzegiem!

Dziwnem zrządzeniem losów, po tym samym brzegu
Jechał Hrabia, na czele dżokejów szeregu,
A zachwycony wdziękiem nocy tak pogodnej
I harmonią cudną orkiestry podwodnej,
Owych chorów co brzmiały jak arfy Eolskie,
(Żadne żaby nie grają tak pięknie jak Polskie)
Wstrzymał konia i o swej zapomniał wyprawie,
Zwrócił ucho do stawu i słuchał ciekawie.
Oczy wodził po polach, po niebios obszarze:
Pewnie układał w myśli nocne peizaże.

Zaiste, okolica była malownicza!
Dwa stawy pochyliły ku sobie oblicza
Jako para kochanków; prawy staw miał wody
Gładkie i czyste jako dziewicze jagody.
Lewy ciemniejszy nieco, jako twarz młodziana
Smagława, i już męskim puchem osypana.
Prawy złocistym piaskiem połyskał się w koło
Jak gdyby włosem jasnym; a lewego czoło
Najeżone łozami, wierzbami czubate;
Oba stawy ubrane w zieloności szatę.

Z nich dwa strugi jak ręce związane pospołu
Sciskają się; strug dalej upada do dołu;
Upada lecz nie ginie, bo w rowu ciemnotę
Unosi na swych falach księżyca pozłotę;
Woda warstami spada, a na każdéj warście
Połyskają się blasku miesięcznego garście,
Swiatło w rowie na drobne drzazgi się rostrąca,
Chwyta je i w głąb niesie toń uciekająca,
A z góry znów garściami spada blask miesiąca.
Myślałbyś że u stawu siedzi Switeziauka,
Jedną ręką zdrój leje z bezdennego dzbanka,
A drugą ręką w wodę dla zabawki miota
Brane s fartuszka garście zaklętego złota.

Daléj, z rowu wybiegłszy strumień, na równinie
Roskręca się, ucisza, lecz widać że płynie,
Bo na jego ruchoméj drgającéj powłoce
Wzdłuż miesięczne światełko drgające migoce.
Jako piękny wąż żmudzki zwany *giwojtosem*
Chociaż zdaje się drzemać, leżąc między wrzosem,
Pełźnie, bo na przemiany srebrzy się i złoci,
Aż nagle zniknie z oczu we mchu lub paproci:

Tak strumień kręcący się chował się w olszynach,
Które na widnokręgu czerniały kończynach,
Wznosząc swe kształty lekkie niewyraźne oku,
Jak duchy nawpół widne, napoły w obłoku.

Między stawami w rowie młyn ukryty siedzi:
Jako stary opiekun co kochanków śledzi,
Podsłuchał ich rozmowę, gniewa się, szamoce,
Trzęsie głową, rękami, i groźby bełkoce;
Tak ów młyn nagle zatrząsł mchem obrosłe czoło,
I palczastą swą pięścią wykręcając w koło
Ledwo kleknął i szczęki zębowate ruszył,
Zaraz miłośną stawów rozmowę zagłuszył,
I zbudził Hrabię.

Hrabia widząc że tak blisko
Tadeusz naszedł jego zbrojne stanowisko,
Krzyczy: do broni! łapaj! skoczyli dżokeje;
Nim Tadeusz rozeznać mógł co się z nim dzieje,
Już go chwycili; biegą do dworu, w podwórze
Wpadają; dwór budzi się, psy w hałas, w krzyk stróże,
Wyskoczył wpół ubrany Sędzia; widzi zgraję

Zbrojną, myśli że zbójcy, aż Hrabię poznaje.
—Co to jest? pyta. Hrabia szpadą nad nim mignął,
Lecz widząc bezbronnego w zapale ostygnął,
—Soplico, rzekł, odwieczny wrogu méj rodziny,
Dziś skarzę cię za dawne i za świeże winy,
Dziś zdasz mi sprawę z mojéj fortuny zaboru,
Nim pomszczę się obelgi mojego honoru!

Lecz Sędzia żegnając się krzyknął: w Imie Ojca
I Syna! tfu! Mospanie Hrabia czy Waść zbojca?
Przebóg! czy to się zgadza s Pana urodzeniem,
Wychowaniem i s Pana na świecie znaczeniem?
Nie pozwolę skrzywdzić się!—W tém Sędziego słudzy
Biegli, jedni s kijami, ze strzelbami drudzy,
Wojski stojąc zdaleka, poglądał ciekawie
W oczy Panu Hrabiemu, a nóż miał w rękawie.

Już mieli zacząć bitwę, lecz Sędzia przeszkodził;
Próżno było bronić się, nowy wróg nadchodził;
Postrzeżono w olszynie blask, wystrzał rusznicy!
Most na rzece zahuczał tętentem konnicy,
I « hajże na Soplicę! » tysiąc głosów wrzasło:

Wzdrygnął się Sędzia, poznał Gerwazego hasło;
Nic to, zawołał Hrabia, będzie tu nas więcej,
Poddaj się Sędzio, to są moi sprzymierzeńcy.

W tém Assesor nadbiegał krzycząc: areszt kładę
W Imie Imperatorskiéj Mości; oddaj szpadę
Panie Hrabio, bo wezwę wojskowéj pomocy,
A wiesz Pan że kto zbrojnie śmie napadać w nocy,
Zastrzeżono tysiącznym dwóchsetnym ukazem
Że jak zło... W tém go Hrabia w twarz uderzył płazem.
Padł zgłuszony Assesor i skrył się w pokrzywy,
Wszyscy myśleli że był ranny lub nieżywy.

— Widzę, rzekł Sędzia, że się na rozbój zanosi;
Jęknęli wszyscy; wszystkich zagłuszył wrzask Zosi,
Która krzyczała Sędzię objąwszy rękami,
Jako dziecko od żydów kłóte igiełkami.

Tymczasem Telimena wpadła między konie,
Wyciągnęła ku Hrabi załamane dłonie,
« Na twój honor, krzyknęła przeraźliwym głosem,
Z głową w tył wychyloną, z rospuszczonym włosem,

Przez wszystko co jest świętém, na klęczkach błagamy!
Hrabio, śmieszże odmówić? proszą ciebie damy,
Okrutniku, nas pierwéj musisz zamordować!
— Padła zemdlona, — Hrabia skoczył ją ratować,
Zadziwiony i nieco zmieszany tą sceną,
— Panno Zofio, rzecze, Pani Telimeno!
Nigdy się krwią bezbronnych ta szpada nie splami;
Soplicowie! jesteście mojemi więźniami.
Tak zrobiłem we Włoszech, kiedy pod opoką
Którą Sycylianie zwą Birbante-rokką,
Zdobyłem tabor zbójców; zbrojnych mordowałem,
Rozbrojonych zabrałem i związać kazałem:
Szli za końmi i tryumf mój zdobili świetny,
Potém ich powieszono u podnoża Etny. —

Było to osobliwsze szczęście dla Sopliców
Że Hrabia, mając lepsze konie od szlachciców,
I chcąc spotkać się pierwszy zostawił ich w tyle,
I biegł przed resztą jazdy, przynajmniéj o milę,
Ze swém dżokejstwem, które posłuszne i karne
Stanowiło niejako wojsko regularne;
Gdy inna szlachta była zwyczajem powstania

Burzliwa i nieźmiernie skora do wieszania.

Hrabia miał czas ostygnąć z zapału i gniewu,
Przemyślał jakby skończyć bój kez krwi rozlewu;
Więc rodzinę Sopliców w domu zamknąć każe,
Jako więźniów wojennych; u drzwi stawi straże.

W tém « hajże na Sopliców » wpada szlachta hurmem,
Obstępuje dwór w koło, i bierze go szturmem,
Tem łacniej, że wódz wzięty i pierzchła załoga;
Lecz zdobywcy chcą bić się, wyszukują wroga.
Do domu niewpuszczeni, biegą do folwarku,
Do kuchni — gdy do kuchni weszli, widok garków,
Ogień ledwie zagasły, potraw zapach świeży,
Chrupanie psów gryzących ostatki wieczerzy,
Chwyta wszystkich za serca, myśl wszystkich odmienia,
Studzi gniewy, zapala potrzebę jedzenia.
Marszem i całodziennym znużeni sejmikiem,
« Jeść! jeść! » — po trzykroć zgodnym wezwali okrzykiem,
Odpowiedziano « pić, pić » ; między szlachty zgrają
Stają dwa chory, ci pić, a ci jeść wołają,
Odgłos leci echami, gdzie tylko dochodzi,

Wzbudza oskomę w ustach, głód w żołądkach rodzi.
I tak na dane s kuchni hasło, niespodzianie
Rozeszła się armiia na furażowanie.

Gerwazy od pokojów Sędziego odparty,
Ustąpić musiał przez wzgląd dla Hrabiowskiej warty.
Więc niemogąc zemścić się na nieprzyjacielu,
Myślił o drugim wielkim tej wyprawy celu.
Jako człek doświadczony i biegły w prawnictwie,
Chce Hrabiego osadzić na nowém dziedzictwie
Legalnie i formalnie; więc za Woźnym biega,
Aż go po długich śledztwach za piecem dostrzega,
Wnet porywa za kołnierz, na dziedziniec wlecze,
I zmierzywszy mu w piersi scyzoryk, tak rzecze:
Panie Woźny, Pan Hrabia śmie Wacpana prosić,
Abyś raczył przed szlachtą bracią wnet ogłosić
Intromissyą Hrabi do zamku, do dworu
Sopliców, do wsi, gruntów zasianych, ugoru,
Słowem cum gais, boris et graniciebus,
Kmetonibus, scultetis, et omnibus rebus
Et quibusdam aliis. Jak tam wiesz tak szczekaj,
Nic nie opuszczaj. — Panie Kluczniku, zaczekaj,

Rzekł śmiało, ręce za pas włożywszy Protazy,
Gotów jestem wypełniać wszelkie stron roskazy,
Ale ostrzegam że akt nie będzie miał mocy,
Wymuszony przez gwałty, ogłoszony w nocy.
— Co za gwałty, rzekł Klucznik, tu niema napaści,
Wszak proszę Pana grzecznie; jeśli ciemno Waści,
To scyzorykiem skrzesam ognia, że Waszeci
Zaraz w ślepiach, jak w siedmiu kościołach zaświeci.

— Gerwazeńku, rzekł Woźny, po co się tak dąsać?
Jestem Woźny, nie moja rzecz sprawę rostrząsać,
Wszak wiadomo że strona Woźnego zaprasza
I dyktuje mu co chce, a Woźny ogłasza.
Woźny jest posłem prawa, a posłów niekarzą,
Niewiem tedy za co mnie trzymacie pod strażą;
Wnet akt spiszę, niech mi kto latarkę przyniesie,
A tym czasem ogłaszam: Bracia uciszcie się!

I by donośniej mówić, wstąpił na stos wielki
Belek (pod płotem sadu suszyły się belki)
Wlazł na nie, i zarazem jakby go wiatr zdmuchnął,
Zniknął z oczu; słyszano jak w kapustę buchnął;

Widziano, po konopiach ciemnych jego biała
Konfederatka, niby gołąb przeleciała.
Konewka strzelił w czapkę, ale chybił celu,
W tém zatrzeszczały tyki, już Protazy w chmielu,
« Protestuję » zawołał; pewny był ucieczki,
Bo za sobą miał łozę i bagniska rzeczki.

Po téj protestacyi, która się ozwała
Jak na zdobytych wałach ostatni strzał działa,
Ustał już wszelki opor w Soplicowskim dworze;
Szlachta głodna plądruje, zabiera co może.
Kropiciel stanowisko zająwszy w oborze,
Jednego wołu i dwa cielce w łby zakropił,
A Brzytewka im szable w gardzielach utopił.
Szydełko równie czynnie używał swéj szpadki,
Kabany i prosięta koląc pod łopatki.
Już rzeź zagraża ptastwu, — czujne gęsi stado
Co niegdyś ocaliło Rzym przed Gallów zdradą,
Darmo gęga o pomoc; zamiast Manliusza,
Wpada w kotuch Konewka, jedne ptaki zdusza,
A drugie żywcem wiąże do pasa kontusza.
Próżno gęsi szyjami wywijając chrypią,

Próżno gęsiory sycząc napastnika szczypią.
On bieży; osypany iskrzącym się puchem,
Unoszony jak kółmi gęstych skrzydeł ruchem,
Zdaje się być Chochlikiem, skrzydlatym złym duchem.

Ale rzeź najstraszniejsza, chociaż najmniéj krzyku,
Między kurami. Młody Sak wpadł do kurniku,
I z drabinek, stryczkami łowiąc, ciągnie z góry
Kogutki i szurpate i czubate kury,
Jedne po drugich dusi i składa do kupy,
Ptastwo piękne, karmione perłowemi krupy.
Niebaczny Saku, jakiż zapał cię unosi!
Nigdy już odtąd gniewnéj nie przebłagasz Zosi.

Gerwazy przypomina starodawne czasy,
Każe sobie podawać od kontuszów pasy,
I niemi s Soplicowskiéj piwnicy dobywa
Beczki staréj siwuchy, dębniaku i piwa.
Jedne wnet odgwoździono, a drugie ochoczo
Szlachta gęsta jak mrówie, porywają, toczą
Do zamku; tam na nocleg cały tłum się zbiera
Tam założona główna Hrabiego kwatera.

Nakładają sto ognisk, warzą, skwarzą, pieką,
Gną się stoły pod mięsem, trunek płynie rzeką;
Chce szlachta noc tę przepić, przejeść i prześpiewać.—
Lecz powoli zaczęli drzémać i poziewać,
Oko gaśnie za okiem, i cała gromada
Kiwa głowami, każdy gdzie siedział tam pada,
Ten z misą, ten nad kuflem, ten przy wołu ćwierci.
Tak Zwycięzców, zwyciężył w końcu sen, brat śmierci.



KSIĘGA DZIEWIĄTA.

BITWA.

TREŚĆ.

O niebespieczeństwach wynikających z nieporządnego obozowania — Odsiecz niespodziana — Smutne położenie szlachty — Odwiedziny Kwostarskie są wróżbą ratunku — Major Płut zbytnią zalotnością sciąga na siebie burzę — Wystrzał s krócicy, hasło boju — Czyny Kropiciela, czyny i niebespieczeństwa Maćka — Konewka zasadzką ocala Soplicowo — Posiłki jezdne, attak na piechotę — Czyny Tadeusza — Pojedynek dowódców przerwany zdradą — Wojski stanowczym manewrem przechyla szalę boju — Czyny krwawo Gerwazego — Podkomorzy zwycięzca wspaniałomyslny.

A chrapali tak twardym snem, że ich nie budzi
Blask latarek i wniście kilkudziesiąt ludzi,
Którzy wpadli na szlachtę, jak pająki ścienne
Nazwane *kosarzami* na muchy wpółsenne ;

Zaledwie która bzyknie, już długiemi nogi
Obejmuje ją w koło i dusi mistrz srogi.
Sen szlachecki był jeszcze twardszy niż sen muszy,
Żaden nie bzyka, leżą wszyscy jak bez duszy;
Chociaż byli chwytani silnemi rękoma
I przewracani jako na przewiąsłach słoma.

Tylko jeden Konewka, któremu w powiecie
Nie znajdziesz równie mocnéj głowy przy bankiecie,
Konewka co mógł wypić lipcu dwa antały,
Nim mu splątał się język i nogi zachwiały,
Ten choć długo ucztował i usnął głęboko,
Dawał przecie znak życia; przemknął jedno oko,
I widzi! istne zmory! dwie okropne twarze
Tuż nad sobą, a każda ma wąsów po parze,
Dyszą nad nim, ust jego tykają wąsami,
I czworgiem rąk w około wiją jak skrzydłami;
Zląkł się, chciał przeżegnać się, darmo rękę chwyta,
Ręka prawa jak gdyby do boku przybita;
Ruszył lewą, niestety! czuje że go duchy
Spowiły ciasno jako niemowlę w pieluchy;
Zląkł się jeszcze okropniéj, wnet oko zawiera,

Leży nie dysząc, stygnie, ledwie nie umiera.

Lecz Kropiciciel zerwał się bronić się, po czasie!
Bo już był skrępowany we swym własnym pasie;
Przecież zwinął się, i tak spręży ście podskoczył,
Że padł na piersi sennych, po głowach się toczył,
Miotał się jako szczupak gdy się w piasku rzuca,
A ryczał jako niedźwiedź, bo miał silne płuca.
Ryczał: zdrada! — Wnet cała zbudzona gromada
Chorem odpowiedziała: zdrada! gwałtu! zdrada!

Krzyk dochodzi echami zwierciadlanej sali,
Kędy Hrabia, Gerwazy i dżokeje spali;
Przebudza się Gerwazy, darmo się wydziera
Związany w kij do swego własnego rapiera:
Patrzy, widzi przy oknie ludzi uzbrojonych,
W czarnych krótkich kaszkietach, w mundurach zielonych,
Jeden z nich opasany szarfą, trzymał szpadę
I ostrzem jej kierował swych drabów gromadę
Szepcąc: wiąż! wiąż! Do koła leżą jak barany
Dżokeje w pętach, Hrabia siedzi nie związany
Lecz bezbronny, przy nim dwaj z gołemi bagnety

Stoją drabi — poznał ich Gerwazy, niestety!
Moskale!!!

Nie raz Klucznik był w podobnych trwogach,
Nie raz miewał powrozy na ręku i nogach,
A przecież się uwalniał, wiedział o sposobie
Rwania więzów, był silny bardzo, ufał sobie.
Przemyślał ratować się mileczkiem; oczy żmruzył,
Niby śpi, zwolna ręce i nogi przedłużył,
Dech wciągnął, brzuch i piersi ścisnął co najwężej;
Aż jednym razem kurczy, wydyma się, pręży,
Jak wąż głowę i ogon gdy chowa w przeguby,
Tak Gerwazy z długiego stał się krótki gruby;
Rosciągnęły się, nawet skrzypnęły powrozy,
Ale nie pękły! Klucznik ze wstydu i zgrozy
Przewrócił się i w ziemię schowawszy twarz gniewną
Zamknąwszy oczy leżał nieczuły jak drewno.

Wtém ozwały się bębny, naprzód zrzadka, potém
Coraz gęstszym i coraz głośniejszym łoskotem;
Na ten appel, rozkazał officer Moskali,
Dżokejów z Hrabią zamknąć pod strażą na sali,

Szlachtę wieść na dwór, kędy stała druga rota.
Nadaremnie Kropiciel dąsa się i miota.

Sztab stał we dworze, a z nim zbrojnej szlachty wiele,
Podhajscy, Birbaszowie, Hreczechy, Biergele,
Wszyscy Sędziego krewni albo przyjaciele.
Na odsiecz mu przybiegli słysząc o napadzie,
Zwłaszcza że z Dobrzyńskimi byli z dawna w zwadzie.

Kto z wiosek batalion Moskalów sprowadził?
Kto tak prędko sąsiedztwo z zaścianków zgromadził?
Assessor-li, czy Jankiel? różnie słychać o tém,
Lecz nikt pewnie niewiedział ni wtenczas ni potém.

Już też i słońce wschodzi, krwawo się czerwieni,
Brzegiem tępym jak gdyby odartym s promieni
Na wpół widne, na wpół w czarnych chmurach się chowa,
Jak rozżarzona w węglach kowalskich podkowa.
Wiatr wzmagał się i pędził obłoki ze wschodu
Gęste i poszarpane jako bryły lodu;
Każdy obłok w przelocie deszczem zimnym pruszy,
S tyłu za nim wiatr leci i deszcz znowu suszy,

Za wiatrem znowu obłok nadbiega wilgotny :
I tak dzień naprzemiany był chłodny i słotny.

Tymczasem Major belki schnące pode dworem
Każe wlec, w każdej belce wysiekać toporem
Półokrągłe otwory, w te otwory wtyka
Nogi więźniów, i drugą belką je zamyka.
Oba drewna goździami przebite po rogach
Scisnęły się, jako psie paszczęki, na nogach.
Zaś powrozami mocniéj sznurowano ręce
Na plecach szlachty; Major ku większéj ich męce
Kazał pierwéj pozdzierać z głów konfederatki,
S pleców płaszcze, kontusze, nawet taratatki,
Nawet żupany. I tak szlachta skuta w kłodzie
Siedziała rzędem; dzwoniąc zębami na chłodzie
I na deszczu, bo coraz wzmagała się słota.
Nadaremnie Kropiciel dąsa się i miota.

Darmo Sędzia za szlachtą instancyę wnosi,
I Telimena łączy prożby do łez Zosi,
Ażeby miano większy wzgląd na niewolników.
Wprawdzie officer rotny Pan Nikita Rykow,

Moskal, lecz dobry człowiek, dał się udobruchać,
Cóż kiedy sam Majora Płuta musiał słuchać.

Ten Major, Polak rodem z miasteszka Dzierowicz,
Nazywał się (jak słychać) po polsku Płutowicz,
Lecz przechrzcił się; łotr wielki, jak się zwykle dzieje
S Polakiem, który w Carskiej służbie zmoskwicieje.
Płut stał s fajką przed frontem, w boki się podpierał,
I gdy mu kłaniano się, nos w górę zadzierał,
A za odpowiedź na znak gniewnego humoru,
Wypuścił z ust kłąb dymu i poszedł do dworu.

A tymczasem Rykowa Sędzia ułagadza,
I Assessora także na bok odprowadza;
Przemyślają jakby rzecz zakończyć bez sądu,
A co jeszcze ważniejsza bez mieszań się rządu.
Więc do Majora Płuta rzekł kapitan Ryków:

Panie Major! co nam s tych wszystkich niewolników?
Oddamy pod sąd! będzie szlachcie wielka bieda,
A Panu Majorowi nikt za to nic nieda.
Wiesz co Major? ot lepiej tę sprawę zagodzić,

Pan Sędzia Majorowi musi trud nagrodzić,
My powiemy, że my tu przyszli dla wizyty,
A tak i kozy całe i wilk będzie syty.
Przysłowie ruskie : wszystko można lecz ostrożnie,
I to przysłowie : sobie piecz na Carskim rożnie,
I to przysłowie : lepsza zgoda od niezgody;
Zaplątaj dobrze węzeł, końce wsadź do wody.
Raportu nie podamy, tak się nikt niedowie.
Bóg dał ręce żeby brać ; to ruskie przysłowie.

Słysząc to Major wstaje i od gniewu parska.
« Czy ty oszalał Ryków? to służba Cesarska,
A służba nie jest drużba, stary głupi Ryków!
Czy ty oszalał? ja mam puszczać buntowników!
W takim wojennym czasie! Ha Pany Polaki
Ja was nauczę buntu! Ha szlachta łajdaki
Dobrzyńscy, oj ja znam was, niech łajdaki mokną!
(I zaśmiał się na całe gardło, patrząc w okno)
Wszakże ten sam Dobrzyński co siedzi w surducie,
Hej zdiąć mu surdut; w roku przeszłym na reducie,
Zaczął ze mną tę kłótnię, kto zaczął? on, nie ja.
On gdy tańczyłem, krzyknął, precz za drzwi złodzieja!

Że wtenczas za pułkowej okradzenie kassy
Byłem pod śledztwem, miałem wielkie ambarasy,
A jemu co do tego? ja tańczę mazura,
On krzyczy s tyłu: złodziej! szlachta za nim ura!
Skrzywdzili mnie—a co? wpadł w me szpony szlachiura.
Mówiłem: ej Dobrzyński! ej przyjdzie do woza
Koza — a co? Dobrzyński widzisz! będzie łoza.

Potém Sędziemu szepnął schyliwszy się w ucho;
Jeśli chcesz Sędzio żeby to uszło na sucho,
Za każdą głowę tysiąc rubelków gotówką.
Tysiąc rubelków Sędzio, to ostatnie słówko.

Sędzia chciał targować się; lecz Major nie słuchał,
Znowu biegał po izbie, dymem gęsto buchał,
Podobny do szmermelu albo do rakiety.
Chodziły za nim prosząc i płacząc kobiety.
Majorze, mówił Sędzia, choć pozwiesz do prawa,
Cóż wygrasz, tu nie zaszła żadna bitwa krwawa,
Nie było ran, że zjedli kury i pułgąski,
Za to wedle statutu zapłacą nawiąski;
Ja na Pana Hrabiego nie zanoszę skargi,

To tylko były zwykłe sąsiedzkie zatargi.

— A czy Sędzia, rzekł Major, żółtą księgę czytał?
— Co to za żółta księga, Pan Sędzia zapytał?
— Księga, rzekł Major, lepsza niż wasze statuty,
A w niéj pisze co słowo, stryczek, sybir, knuty;
Księga ustaw wojennych, teraz w Litwie całéj
Ogłoszonych; już pod stół wasze trybunały.
Podług ustaw wojennych, za takową psotę,
Pójdziecie już to najmniéj w sybirną robotę.
— Appeluję, rzekł Sędzia, do Gubernatora,
— Appeluj, rzekł Płut choćby do Imperatora.
Wiesz że gdy Imperator zatwierdza ukazy,
Z łaski swéj, często karę powiększa dwa razy.
Appelujcie, ja może wynajdę w potrzebie,
Mospanie Sędzio, dobry kruczek i na ciebie.
Wszak Jankiel szpieg którego już rząd dawno śledzi,
Jest twoim domownikiem, w karczmie twojéj siedzi.
Mogę teraz was wszystkich wziąść w areszt od razu.
—Mnie, rzekł Sędzia, brać w areszt? jak śmiesz bez roskazu?
I przychodziło coraz do żywszego sporu;
Gdy nowy gość zajechał na dziedziniec dworu.

Wjazd tłumny, dziwny. Przodem niby laufer, bieży
Ogromny czarny baran, a łeb mu się jeży
Czterma rogami, s których dwa jako kabłąki
Kręcą się koło uszu, ubrane we dzwonki;
A dwa od czoła na bok wysuwając końce,
Wstrząsają kulki krągłe, mosiężne, brzęczące.
Za baranem szły woły, trzoda owiec, kozy,
Za bydłem cztery ciężko pakowane wozy.

Wszyscy odgadli że to wjazd księdza Kwestarza.
Więc Pan Sędzia powinność znając gospodarza,
Stał w progu, witać gościa. Ksiądz na pierwszéj bryce
Jechał kapturem na wpół zasłoniwszy lice,
Ale go wnet poznano, bo gdy więźniów minął,
Zwrócił się ku nim twarzą, palcem na znak skinął.
I drugiéj bryki furman, równie był poznany,
Stary Maciek — Różeczka, za chłopa przebrany;
Szlachta zaczęła krzyczeć skoro się pokazał,
On rzekł: głupi! — i ręką milczenie nakazał.
Na trzecim wozie Prusak w kubraku wytartym,
A Pan Zan z Mickiewiczem jechali na czwartym.

A tymczasem Podhajscy i Jsajewicze,
Birbasze, Wilbikowie, Biergele, Kotwicze,
Widząc szlachtę Dobrzyńskich w tej ciężkiej niewoli,
Zaczęli z dawnych gniewów ostygać powoli.
Bo szlachta Polska chociaż niezmiernie kłotliwa
I porywcza do bitew, przecież nie jest mściwa.
Biegą więc do Macieja starego po radę.
On koło wozów całą ustawia gromadę,
Każe czekać.

Bernardyn wstąpił do pokoju,
Zaledwie go poznano choć nie zmienił stroju,
Tak przybrał inną postać; zwyczajnie ponury,
Zamyślony, a teraz głowę wzniosł do góry,
I z miną rozjaśnioną jak kwestarz rubacha,
Nim zaczął gadać, długo śmiał się:

— Cha, cha, cha, cha,
Kłaniam, kłaniam! cha, cha, cha, wyśmienicie, przednie!
Panowie officery, kto poluje wednie,
Wy w nocy! dobry połów, widziałem zwierzynę;
Oj skubać, skubać szlachtę, oj drzeć z nich łupinę,

Oj weźcież ich na munsztuk, bo też szlachta bryka!
Winszuję ci Majorze, żeś złowił Hrabika,
To tłuścioszek, to bogacz, panicz z Antenatów,
Nie wypuszczaj go s klatki bez trzystu dukatów;
A jak weźmiesz, na klasztor daj jakie trzy grosze,
I dla mnie, bo ja zawżdy za twą duszę proszę.
Jakem Bernardyn, bardzo myślę o twéj duszy!
Śmierć i sztabs-officerów porywa za uszy!
Dobrze napisał Baka, że śmierć dżga za katy
W szkarłaty, i po suknie nieraz dobrze stuknie,
I po płótnie tak utnie jak i po kapturze,
I po fryzurze równie jak i po mundurze.
Śmierć matula, powiada Baka, jak cybula
Łzy wyciska, gdy ściska, a równie przytula
I dziecko co się lula, i zucha co hula!
Ah! ah! Majorze, dzisiaj żyjem, jutro gnijem,
To tylko nasze, co dziś zjemy i wypijem!
Panie Sędzio wszakże to czas podobno śniadać?
Siadam za stół, i proszę wzystkich ze mną siadać;
Majorze, gdyby zrazów? Panie Poruczniku
Co myślisz? gdyby wazę dobrego ponczyku?

—To prawda Ojcze, rzekli dwaj officerowie,
Czasby już zjeść i wypić Pana Sędzi zdrowie!

Zdziwili się domowi patrząc na Robaka,
Skąd mu się wzięła mina i wesołość taka.
Sędzia wnet kucharzowi powtórzył roskazy,
Wniesiono wazę, cukier, butelki i zrazy.
Płut i Ryków tak czynnie zaczęli się zwijać,
Tak łakomie połykać i gęsto zapijać,
Że wpół godziny zjedli dwadzieścia trzy zrazy
I wychylili ponczu ogromne pół wazy.

Więc Major syt i wesół w krześle się rozwalił,
Dobył fajkę, biletem bankowym zapalił,
I otarłszy śniadanie z ust końcem serwety,
Obrócił śmiejące się oczy na kobiety
I rzekł: ja, piękne panie, lubię was jak wety!
Na me szlify Majorskie, gdy człek zjadł śniadanie,
Najlepszą jest po zrazach zakąską, gadanie
S paniami tak pięknemi jak wy piękne panie!
Wiecie co? grajmy w karty? w welba-cwelba? w wista?
Albo pójdźmy mazurka? he! do djabłów trzysta!

Wszak ja w jegierskim pułku pierwszy mazurzysta!
Zaczém ku damom bliżéj chylił się wygięty,
I puszczał na przemiany dym i komplementy!

— Tańczyć! zawołał Robak, gdy wychylę flaszę,
To i ja choć ksiądz habit czasami podkaszę
I potańczę mazurka! Ale wiesz Majorze
My tu pijem, a jegry tam zmarzną na dworze?
Hulać to hulać! Sędzio, daj beczkę siwuchy,
Major pozwoli, niechaj piją jegry zuchy!
— Prosiłbym, rzecze Major, lecz w tém niema musu.
— Daj Sędzio, szepnął Robak, beczkę spirytusu.
I tak kiedy we dworze sztab wesoły łyka,
Za domem zaczęła się w wojsku pijatyka.

Ryków kapitan miłczkiem kielichy wychylał,
Lecz Maior pił i razem damom się przymilał,
A wzmagał się w nim coraz tańcowania zapał,
Rzucił fajkę, i rękę Telimeny złapał,
Chciał tańczyć, lecz uciekła, więc podszedł do Zosi,
Kłaniając się słaniając do mazurka prosi.
« Héj ty Ryków, przestańże tam trąbić na fajce,

Precz fajka, wszak ty dobrze grasz na bałabajce,
Widziszno tam gitarę, pódźno weź gitarę
I mazurka! ja Major idę w pierwszą parę » —
Kapitan wziął gitarę i strony przykręcał,
Płut znowu Telimenę do tańca zachęcał. —

— Słowo Majorskie panno, nie rossyaninem
Jestem, jeżeli kłamię! chcę być sukinsynem,
Jeżeli kłamię, spytaj, a officerowie
Wszyscy poświadczą, cała armija to powie
Że w tej drugiej armii, w korpusie dziewiątym,
W drugiej pieszéj dywizyi, w pułku piędziesiątym
Jegerskim, major Płut jest pierwszy mazurzysta.
Pódźże panienko! nie bądź taka narowista!
Bo ja po officersku ukarzę paniękę —

To mówiąc skoczył, chwycił Telimeny rękę
I szerokim całusem w białe ramie klasnął;
Gdy Tadeusz przypadłszy z boku w twarz mu trzasnął.
I całus i policzek ozwały się razem
Jeden za drugim, jako wyraz za wyrazem.

Maior osłupiał, oczy przetarł, z gniewu blady
Zawołał: bunt! buntownik! — i dobywszy szpady
Biegł przebić; w tém ksiądz dostał z rękawa krócicę,
Pal Tadeuszku! krzyknął, pal jak w jasną świecę!
Tadeusz wnet pochwycił, wymierzył, wypalił,
Chybił, ale Majora zgłuszył i osmalił.
Porywa się z gitarą Ryków: bunt! bunt! woła,
Wpada na Tadeusza; lecz Wojski zza stoła
Machnął ręką na odlew, nóż w powietrzu świsnął
Między głowy i pierwéj uderzył niż błysnął.
Uderza w dno gitary nawylot ją wierci,
Schylił się na bok Ryków i tak uszedł śmierci,
Lecz strwożył się; krzyknąwszy Jegry! bunt! Jej bogu!
Dobył szpady, broniąc się zbliżał się do progu.

W tém z drugiej strony izby wpada szlachty wiele
Przez okna, z rapierami, Rózeczka na czele.
Płut w sieni, Ryków za nim, wołają żołnierzy,
Już trzech najbliższych domu na pomoc im bieży;
Już przeze drzwi włażą trzy błyszczące bagnety,
A za niemi trzy czarne schylone kaszkiety.
Maciek stał u drwi z rózgą wzniesioną do góry,

Lgnąc do ściany, czatował jako kot na szczury,
Aż ciął okropnie; może głowyby trzy zwalił,
Lecz stary czy niedojrzał, czy zbyt się zapalił,
Bo nim szyję wytknęli rąbnął po kaszkietach,
Zdarł je; rózga spadając brzękła po bagnetach —
Moskale cofają się, Maciek ich wygania
Na dziedziniec —

Tam jeszcze więcej zamieszania.
Tam stronnicy Sopliców pracują w zawody
Nad roskuciem Dobrzyńskich , rozrywają kłody;
Widząc to jegry za broń porywają, biegą;
Szerżant wpadłszy bagnetem przebił Podhajskiego,
Dwóch drugich szlachty zranił, do trzeciego strzela,
Uciekają; było to przy kłodzie Chrzciciela.
Ten już miał ręce wolne, gotowe ku walce;
Wstał podniósł dłoń i zwinął w kłąbek długie palce,
I z góry tak uderzył w grzbiet Rossyanina ,
Że twarz jego i skroń wbił w zamek karabina.
Trzasł zamek, lecz zalany krwią proch już nie spalił;
Szerżant u nóg Chrzciciela na swą broń się zwalił.
Chrzciciel schyla się , chwyta karabin za rurę

I wijąc jak kropidłem podnosi go w górę,
Robi młynka, dwóch zaraz szeregowych zwala
Po ramionach, i w głowę ugadza kaprala,
Reszta zlękła od kłody cała się s przestrachem:
Tak Kropiciel ruchomym nakrył szlachtę dachem.

Zaczém rozbito kłodę, rozcięto powrozy,
Szlachta już wolna wpada na kwestarskie wozy,
Z nich dobywa rapiéry, pałasze, tasaki,
Kosy, strzelby; Konewka znalazł dwa szturmaki
I worek kul; wsypał je do swego szturmaka,
Drugi równie nabiwszy ustąpił dla Saka.

Jegrów więcej przybywa, mięszają się, tłuką,
Szlachta w zgiełku nie może ciąć krzyżową sztuką,
Jegry nie mogą strzelać, już walczą wręcz, z bliska—
Już stal ząb za ząb o stal porwawszy się pryska,
Bagnet o szablę, kosa o gifes się łamie,
Pięść spotyka się s pięścią i z ramieniem ramię.

Lecz Ryków s częścią Jegrów, pobiegł gdzie stodoła
Tyka płotów; tam staje, na żołnierzy woła

Ażeby zaprzestali bitwę tak bezładną,
Gdzie nie używszy broni pod pięściami padną.
Gniewny że sam nie może dać ognia, bo w tłumie
Moskalów od Polaków rozróżnić nie umie,
Woła: stroj się! (co znaczy formuj się do szyku)
Ale komendy jego nie słychać śród krzyku.

Stary Maciek do ręcznych zapasów nie zdolny,
Rejterował się czyniąc przed sobą plac wolny
Na prawo i na lewo; tu końcem szablicy
Ociera bagnet z rury, jako knot ze świécy;
Tam machnąwszy na odlew ścina albo kole.
I tak ostróżny Maciek ustępuje w pole.

Lecz z największym na niego naciera uporem
Stary Gifreiter, co był pułku instruktorem,
Wielki mistrz na bagnety; zebrał się sam w sobie,
Skurczył się, a karabin porwał w ręce obie,
Prawą u zamka, lewą w pół rury porywa,
Kręci się, podskakuje, czasem przysiadywa,
Lewą rękę opuszcza, a broń s prawéj ręki
Suwa naprzód, jak żądło z wężowej paszczęki,

I znowu ją w tył cofa, na kolanie wspiera,
I tak kręcąc się, skacząc, na Maćka naciera.

Ocenił przeciwnika zręczność Maciek stary,
I lewą ręką włożył na nos okulary,
Prawą, rękojeść rózgi tuż przy piersiach trzyma,
Cofa się, Gifrejtera ruch śledząc oczyma,
Sam słania się na nogach, jakoby był pijany;
Gefrejter bieży prędzéj i pewny wygranéj,
Żeby uchodzącego tém łacniej dosiągnął,
Powstał i całą prawą rękę wzdłuż wyciągnął
Popychając karabin, a tak się wysilił
Pchnięciem i wagą broni, że się aż pochylił;
Maciek tam kędy bagnet wkłada się na rurę,
Podstawia swą rękojeść, podbija broń w górę,
I wnet spuszczając rózgę, tnie Moskala w rękę
Raz, i znowu na odlew przecina mu szczękę. —
Tak padł Gifrejter, fechmistrz najpierwszy z Moskalów,
Kawaler trzech krzyżyków i czterech medalów.

Tymczasem koło kłodek, lewe szlachty skrzydło
Już jest bliskie zwycięstwa; tam walczył Kropidło

Widny z dala, tam Brzytwa wił się śród Moskali,
Ten ich w pół ciała rzeza, tamten w głowy wali;
Jako machina, którą niemieccy majstrowie
Wymyślili i która młóckarnią się zowie,
A jest razem sieczkarnią, ma cepy i noże,
Razem i słomę kraje i wybija zboże.
Tak pracują Kropiciel i Brzytwa pospołu,
Mordując nieprzyjacioł, ten z góry ten z dołu.

Lecz Kropiciel już pewne porzuca zwycięstwo,
Bieży na prawe skrzydło gdzie niebezpieczeństwo
Nowe grozi Maćkowi; śmierci Gifrejtera
Mszcząc się Proporszczyk z długim szpontonem naciera
(Szponton, jest to zarazem dzida i siekiera,
Teraz już zaniedbany i tylko na flocie,
Używają go — w ów czas służył i piechocie.)
Proporszczyk człowiek młody zręcznie się uwijał,
Ilekroć mu przeciwnik broń na bok odbijał,
On cofał się, młodego nie mógł Maciek zgonić,
I tak nieraniąc musiał tylko siebie bronić.
Już mu Proporszczyk dzidą lekką ranę zadał,
Już wznosząc w górę berdysz do cięcia się składał,

Chrzciciel nie zdoła dobiedz, lecz staje wpół drogi,
Okręca broń i ciska wrogowi pod nogi,
Skruszył kość, już Proporszczyk szponton z rąk upuszcza;
Słania się, wpada Chrzciciel, za nim szlachty tłuszcza,
A za szlachtą Moskale od lewego skrzydła
Biegą zmieszani, wszczął się bój koło Kropidła.

Chrzciciel który w obronie Maćka oręż stracił,
Ledwie że téj przysługi życiem nie przypłacił,
Bo przypadło nań s tyłu dwóch silnych Moskali,
I czworo rąk zarazem we włos mu wplątali,
Upiąwszy się nogami ciągną jako liny
Sprężyste, uwiązane do masztu wiciny;
Daremnie w tył Kropiciel ciska ślepe razy,
Chwieje się — a wtém postrzegł że blisko Gerwazy
Walczy; zawołał: Jezus Marya! Scyzoryku!

Klucznik trwogę Chrzciciela poznawszy po krzyku
Odwrócił się, i spuścił ostrze płytkiéj stali
Między głowę Chrzciciela i ręce Moskali;
Cofnęli się wydawszy przeraźliwe głosy,
Lecz jedna ręka mocniej wplątana we włosy,

Została się, wisząca i krwią buchająca.
Tak orlik jedną szponę gdy wbije w zająca,
Drugą, by wstrzymać zwierza, o drzewo uczepi,
A zając targnąwszy się orła wpół rozszczepi,
Prawa szpona u drzewa zostaje się w lesie,
A lewą zakrwawioną, źwierz na pola niesie.

Kropiciel wolny oczy obraca do koła,
Ręce wyciąga, broni szuka, broni woła,
Tymczasem grzmi pięściami, stojąc mocno w kroku,
I pilnując się z bliska Gerwazego boku,
Aż Saka syna swego postrzega w natłoku.
Sak prawą ręką szturmak wymierza, a lewą
Ciągnie za sobą długie sążniowate drzewo,
Uzbrojone w krzemienie i w guzy i sęki.
(Nikt by go nie podźwignął prócz Chrzciciela ręki.)
Chrzciciel gdy miłą broń swą, swe kropidło zoczył,
Chwycił je, ucałował, z radości podskoczył,
Zakręcił je nad głową i zaraz ubroczył.

Co potém dokazywał, jakie klęski szerzył,
Daremnie śpiewać, niktby muzie nieuwierzył,

Jak nie wierzono w Wilnie ubogiej kobiecie,
Która stojąc na świętej Ostrej bramy szczycie,
Widziała, jako Dejów Moskiewski Jenerał
Wchodząc s półkiem kozaków, już bramę otwierał,
I jak jeden mieszczanin, zwany Czarnabacki,
Zabił Dejowa, i zniósł cały pułk kozacki.

Dosyć że się tak stało, jak przewidział Ryków;
Jegry w tłumie, ulegli mocy przeciwników.
Dwudziestu trzech na ziemi wala się zabitych,
Trzydziestu kilku jęczy ranami okrytych,
Wielu pierzchło, skryło się w sad, w chmiele, nad rzekę,
Kilku wpadło do domu pod kobiét opiekę.

Zwycięska szlachta biega z okrzykiem wesela,
Ci do beczek, ci łupy rwą z nieprzyjaciela;
Jeden Robak tryumfów szlachty nie podziela.
On dotąd sam nie walczył (bo bronią kanony
Księdzu bić się), lecz jako człowiek doświadczony
Dawał rady, plac boju z różnych stron obchodził,
Wzrokiem, ręką, walczących zachęcał, przywodził.
I teraz woła, aby do niego się łączyć,

Uderzyć na Rykowa, zwycięstwo dokończyć.
Tymczasem przez posłańca wskazał do Rykowa,
Że jeżeli broń złoży, życie swe zachowa;
Jeżeli zaś oddanie broni będzie zwlekać,
Robak każe otoczyć resztę i wysiekać.

Kapitan Ryków wcale nie prosił pardonu;
Zebrawszy koło siebie pół batalionu,
Krzyknął: za broń! wnet szereg karabiny chwyta,
Chrząsnęła broń, a była już dawno nabita,
Krzyknął: cel! rury rzędem zabłysnęły długim,
Krzyknął: ognia koleją! grzmią jeden po drugim,
Ten strzela, ten nabija, ten chwyta do ręki,
Słychać świsty kul, zamków chrzęsty, sztęplów dźwięki.
Cały szereg zdaje się być ruchomym płazem,
Który tysiąc błyszczących nóg wywija razem.

Prawda że Jegry byli mocnym trunkiem pijani,
Źle mierzą i chybiają, rzadko który rani,
Ledwie który zabije; przecież dwóch Maciejów
Już zraniono, i poległ jeden z Bartłomiejów.
Szlachta z niewiela rusznic z rzadka się odstrzela,

Chce szablami uderzyć na nieprzyjaciela,
Ale starsi wstrzymują; kule gęsto świszczą,
Rażą, spędzają, wkrótce dziedziniec oczyszczą,
Już aż po szybach dworu zaczynają dzwonić.

Tadeusz który został w domu kobiet bronić
Z rozkazu Stryja, słysząc że coraz to gorzej
Wre bitwa, wybiegł, za nim wybiegł Podkomorzy,
Któremu Tomasz wreszcie przyniosł karabelę,
Spieszy, łączy się s szlachtą i staje na czele.
Bieży broń wzniosłszy, szlachta rusza jego śladem,
Jegry przypuściwszy ich, sypnęli kul gradem.
Legł Isajewicz, Wilbik, Brzytewka raniony;
Zaczém, wstrzymują szlachtę, Robak z jednej strony
A z drugiej Maciej; szlachta ostyga w zapale,
Ogląda się, cofa się; widzą to Moskale,
Kapitan Ryków myśli ostatni cios zadać,
Spędzić szlachtę z dziedzińca i dworem owładać.

— Formuj się do attaku! zawołał, na sztyki!
Na przód! Wnet szereg rury wytknąwszy jak tyki,
Schyla głowy, zrusza się i przyśpiesza kroku,

Darmo szlachta wstrzymuje s przodu, strzela z boku,
Szereg już pół dziedzińca przeszedł bez oporu;
Kapitan pokazując szpadą na drzwi dworu,
Krzyczy : Sędzio poddaj się, bo dwór spalić każę!
— Pal, woła Sędzia, ja cię w tym ogniu usmażę.

O dworze Soplicowski! jeśli dotąd całe
Swiecą się pod lipami twoje ściany białe,
Jeśli tam dotąd szlachty sąsiedzkiej gromada
Za gościnnemi stoły Sędziego zasiada,
Pewnie tam piją często za Konewki zdrowie,
Bez niego jużby było dziś po Soplicowie!

Konewka dotąd małe dał męstwa dowody;
Choć najpierwszy ze szlachty uwolniony s kłody,
Choć zaraz znalazł w wozie swą miłą konewkę,
Swój szturmak faworytny, i z nim kul sakiewkę,
Niechciał bić się; powiadał, że sobie nieufa
Na czczo; szedł więc gdzie stała spirytusu kufa,
Ręką jak łyżką strumień do ust sobie chylił;
Dopiero gdy się dobrze rozgrzał i posilił,
Poprawił czapkę, s kolan wziął do rąk konewkę,

Zmacał sztenlfem naboju, podsypał panewkę,
I spójrzał na plac boju; widzi że błyszcząca
Fala bagnetów szlachtę bije i roztrąca,
Przeciw tej fali płynie; schyla się do ziemi
I nurkuje pomiędzy trawami gęstemi,
Środkiem dziedzińca, aż tam gdzie rosła pokrzywa
Zasadza się, a Saka gestami przyzywa.

Sak broniąc dworu stanął s szturmakiem u proga,
Bo w tym dworze mieszkała jego Zosia droga,
Od której choć w zalotach został pogardzony,
Kochał ją zawsze, zginąć rad dla jej obrony.

Już szereg Jegrów w marszu na pokrzywę wkracza,
Gdy Konew ruszył cyngla, i s paszczy garłacza
Tuzin kul rozsiekanych puszcza śród Moskali,
Sak puszcza drugi tuzin, Jegry się zmieszali.
Przerażony zasadzką szereg w kłąb się zwija,
Cofa się, rzuca rannych; Chrzciciel ich dobija.

Stodoła już daleko; bojąc się odwodu
Długiego, Ryków skoczył pod parkan ogrodu,

Tam pierzchającą rotę zatrzymuje w biegu,
Szykuje, lecz szyk zmienia; z jednego szeregu
Robi trójkąt, klin ostry wystawując s przodu,
A dwa boki opiera o parkan ogrodu.
Dobrze zrobił, bo jazda nań od zamku wali.

Hrabia, który był w zamku pod strażą Moskali,
Gdy pierzchła straż zlękniona, dworzan na koń wsadził,
I słysząc strzały, w ogień jazdę swą prowadził,
Sam na czele z żelazem nad głowę wzniesioném.
Wtém Ryków krzyknął: ognia pół batalionem!
Przeleciała po zamkach wzdłuż nitka ognista,
I s czarnych rur wytkniętych świsnęło kul trzysta.
Trzech jezdnych padło rannych, jeden trupem leży.
Padł koń Hrabi, spadł Hrabia; Klucznik krzycząc bieży
Na ratunek, bo widzi, Jegry na cel wzięli
Ostatniego z Horeszków, chociaż po kądzieli.
Robak był bliższy, Hrabię ciałem swym zakrywa,
Dostał za niego postrzał, spod konia dobywa,
Uprowadza; a szlachcie każe się rozstąpić,
Lepiéj mierzyć, postrzałów nadaremnych skąpić,
Kryć się za płoty, studnię, za ściany obory;

Hrabia z jazdą ma czekać sposobniejszéj pory.

Plany Robaka pojął i wykonał cudnie
Tadeusz, stał ukryty za drewnianą studnię:
A że trzeźwy i dobrze strzelał z dubeltówki
(Mogł trafić do rzuconéj w powietrze złotówki),
Okropnie razi Moskwę, starszyznę wybiera,
Za pierwszym zaraz strzałem ubił Feldfebera,
Potém z dwóch rur raz po raz dwóch szerżantów sprzątał,
Mierzy to po galonach, to w środek trójkąta
Gdzie stał sztab; zaczém Ryków gniewa się i dąsa,
Tupa nogami, szpady swéj rękojeść kąsa.
Majorze Płucie, woła, co to s tego będzie?
Wkrótce tu nie zostanie nikt z nas przy komędzie!

Więc Płut na Tadeusza krzyknął z wielkim gniewem:
Panie Polak, wstydź się Pan chować się za drzewem,
Niebądź tchórz, wyjdź na środek, bij się honorowie
Po żołniersku. — A na to Tadeusz odpowie:
Majorze! jeśli jesteś tak śmiałym rycerzem,
A czegoż ty się chowasz za Jegrów kołnierzem?
Nie tchórzę ja przed tobą, wynidźno z za płotów,

Dostałeś w twarz, jam przecie bić się s tobą gotów!
Po co krwi rozlew! między nami była zwada,
Niechajże ją roztrzygnie pistolet lub szpada.
Daję ci broń na wybor, od działa do szpilki;
A nie, to was wystrzelam jako w jamie wilki.
I to mówiąc wystrzelił, a tak dobrze mierzył
Że Porucznika obok Rykowa uderzył.

Majorze, szepnął Ryków, wyjdź na pojedynek,
I pomścij się za jego raniejszy uczynek.
Jeśli tego szlachcica kto inny zabije,
To Major widzi, Major hańby swéj nie zmyje.
Trzeba tego szlachcica na pole wywabić,
Nie można s karabina, to choć szpadą zabić.
Co puka to nie sztuka, to wolę co kole,
Mówił stary Suworów; wyjdź Majorze w pole,
Bo on nas powystrzela, patrz, bierze do celu.
Na to rzekł Major: Ryków! miły przyjacielu,
Ty jesteś zuch na szpady, wyjdź ty bracie Ryków,
Lub wiesz co, wyszlem kogo z naszych poruczników.
Ja Major, ja nie mogę odstąpić żołnierzy,
Do mnie batalionu komęda należy. —

Słysząc to Ryków, szpadę podniosł, wyszedł śmiało,
Kazał ognia zaprzestać, machnął chustką białą.
Pyta się Tadeusza jaką broń podoba;
Po układach, na szpady zgodzili się oba.
Tadeusz broni nie miał; gdy szukano szpady,
Wyskoczył Hrabia zbrojny i zerwał układy.

— Panie Soplico! wołał, s przeproszeniem Pana,
Pan wyzwałeś Majora! ja do Kapitana
Mam dawniejszą urazę, on do zamku mego
(Mów Pan, przerwał Protazy, do zamku naszego)
On wpadł, rzekł kończąc Hrabia, na czele złodziejów,
On, poznałem Rykowa, wiązał mych dżokejów.
Skarzę go, jakom zbójców skarał pod opoką,
Którą Sycylianie zwą Birbante-rokko.

Uciszyli się wszyscy, ustało strzelanie,
Wojska ciekawe patrzą na wodzów spotkanie:
Hrabia i Ryków idą, obróceni bokiem,
Prawą ręką i prawém grożąc sobie okiem;
W tém lewemi rękami odkrywają głowy
I kłaniają się grzecznie (zwyczaj honorowy,

Nim przyjdzie do zabójstwa, naprzód się przywitać)
Już spotkały się szpady i zaczęły zgrzytać;
Rycerze wznosząc nogi, prawemi kolany
Przyklękają, w przód i w tył skacząc naprzemiany.

Ale Płut Tadeusza widząc przed swym frontem,
Naradzał się po cichu z Gifrejterem Gontem,
Który w rocie uchodził za pierwszego strzelca.
Gonto, rzekł Major, widzisz ty tego wisielca,
Jeśli mu wsadzisz kulę, tam pod piątym żebrem,
To dostaniesz odemnie cztery ruble srebrem.
Gont odwodzi karabin, do zamka się chyli,
Wierni go towarzysze płaszczami okryli,
Mierzy, nie w żebro, ale w głowę Tadeusza,
Strzelił i trafił, blisko, w środek kapelusza.
Okręcił się Tadeusz, aż Kropiciel wpada
Na Rykowa, a za nim szlachta krzycząc: zdrada!
Tadeusz go zasłania, ledwie zdołał Ryków
Zrejterować się i wpaść we środek swych szyków.

Znowu Dobrzyńscy z Litwą natarli w zawody,
I pomimo dawniejsze dwóch stronnictw niezgody

Walczą jak bracia, jeden drugiego zachęca.
Dobrzyńscy widząc jak się Podhajski wykręca
Tuż przed szeregiem Jegrów i kosą ich kraje,
Zawołali z radością: Niech żyją Podhaje!
Naprzód bracia Litwini, górą, górą Litwa!
Skołubowie zaś widząc jak waleczny Brzytwa
Choć ranny, leci s szablą wzniesioną do góry,
Krzyknęli: górą Maćki, niech żyją Mazury!
Dodawszy wzajem serca biegną na Moskali,
Nadaremnie ich Robak z Maćkiem wstrzymywali.

Gdy tak na rotę Jegrów uderzano s przodu,
Wojski rzuca plac boju, idzie do ogrodu;
Przy boku jego stąpał ostróżny Protazy,
A Wojski mu po cichu wydawał roskazy.

Stała w ogrodzie, prawie pod samym parkanem,
O który się opierał Ryków swym trójgranem,
Wielka stara sernica, budowana w kratki
Z bałek na krzyż wiązanych, podobna do klatki.
W niej świeciły się białych serów mnogie kopy;
W koło zaś wahały się suszące się snopy

Szałwii, benedykty kardy, macierzanki,
Cała zielna domowa apteka Wojszczanki.
Sernica w górze miała wszerz sążni pół czwarta,
A u dołu na jednym wielkim słupie wsparta,
Niby gniazdo bocianie. Stary słup dębowy
Pochylił się, bo już był wygnił do połowy,
Groził upadkiem. Nieraz Sędziemu radzono,
Aby zrzucił budowę wiekiem nadwątloną;
Ale Sędzia powiadał, że woli poprawiać
Aniżeli rozrzucać, albo też przestawiać.
Odkładał budowanie do sposobnéj pory,
Tymczasem pod słup kazał wetknąć dwie podpory.
Tak pokrzepiona ale nie trwała budowa,
Wyglądała za parkan nad trójkąt Rykowa.

Ku téj sernicy Wojski z Woźnym milczkiem idą,
Każdy zbrojny ogromnym drągiem jakby dzidą;
Za nimi ochmistrzyni dąży przez konopie
I kuchcik, małe ale bardzo silne chłopie.
Przyszedłszy drągi wparli w wierzch słupa nadgniły,
Sami u końców wisząc pchają s całéj siły,
Jako flisy uwięzła na rapach wicinę

Długiemi drągi z brzegu pędzą na głębinę.

Trzasnął słup, już sernica chwieje się, i wali
Z brzemieniem drzew i serow na trójkąt Moskali,
Gniecie, rani, zabija; gdzie stały szeregi,
Leżą drwa, trupy, sery białe jako śniegi
Krwią i mozgiem splamione. Trójkąt w sztuki pryska,
A już w środku Kropidło grzmi, już Brzytwa błyska,
Siecze Rózga, od dworu wpada szlachty tłuszcza,
A Hrabia od bram jazdę na rospierzchłych puszcza.

Już tylko ośmiu Jegrów s szerżantem na czele
Bronią się, bieży Klucznik, oni stoją śmiele,
Dziewięć rur wymierzyli prosto w łeb Klucznika,
On leci na strzał, kręcąc ostrze scyzoryka.
Widzi to Ksiądz, zabiega Klucznikowi drogę,
Sam pada i podbija Gerwazemu nogę.
Upadli, właśnie kiedy pluton ognia dawał;
Ledwie ołów prześwisnął, już Gerwazy wstawał,
Już wskoczył w dym; dwom Jegrom zaraz głowy zmiata,
Uciekają strwożeni, Klucznik goni, płata;
Oni biegną dziedzińcem, Gerwazy ich torem,

Wpadają we drzwi gumna stojące otworem,
I Gerwazy do gumna na ich karkach wjechał,
Zniknął w ciemności, ale bitwy nie zaniechał,
Bo przeze drzwi jęk słychać, wrzask i gęste razy.
Wkrótce ucichło wszystko; wyszedł sam Gerwazy
Z mieczem krwawym.

Już szlachta odzierżyła pole,
Porozpędzanych Jegrów ściga, rąbie, kole;
Ryków sam został, krzyczy że broni nie złoży,
Bije się, gdy ku niemu podszedł Podkomorzy
I wznosząc karabellę, rzekł poważnym tonem:
Kapitanie! nie splamisz czci twojej pardonem,
Dałeś proby rycerzu nieszczęsny lecz mężny
Twojej odwagi, porzuć opór niedołężny,
Złóż broń nim cię naszemi szablami rozbroim,
Zachowasz życie i cześć, jesteś więźniem moim!

Ryków Podkomorzego zwalczony powagą,
Skłonił się i oddał mu swoję szpadę nagą,
Skrwawioną po rękojeść i rzekł: Lachy braty!
Oj biada mnie żem niemiał choć jednej armaty!

Dobrze mówił Suworów: pomnij Ryków kamrat
Żebyś nigdy na Lachów niechodził bez armat!
Cóż! Jegry byli pjani, Major pić pozwolił!
Oh Major Płut, on dzisiaj bardzo poswywolił!
On odpowie przed Carem, bo on miał komędę.
Ja, Panie Podkomorzy, wasz przyjaciel będę.
Ruskie przysłowie mówi: kto się mocno lubi,
Ten Panie Podkomorzy i mocno się czubi.
Wy dobrzy do wypitki, dobrzy do wybitki,
Ale przestańcie robić nad Jegrami zbytki.

Podkomorzy słysząc to, karabellę wznasza
I przez Woźnego pardon powszechny ogłasza,
Każe rannych opatrzyć, s trupów czyścić pole,
A Jegrów rozbrojonych prowadzić w niewolę.
Długo szukano Płuta; on w krzaku pokrzywy
Zarywszy się głęboko, leżał jak nieżywy;
Wyszedł wreszcie ujrzawszy, że było po bitwie.
Taki miał koniec zajazd ostatni na Litwie.

KSIĘGA DZIESIĄTA.

EMIGRACYA JACKA.

TREŚĆ.

Narada tycząca się zabespieczenia losu zwycięzców — Układy z Rykowem — Pożegnanie — Ważne odkrycie — Nadzieja.

Owe obłoki ranne z razu rospierzchnione
Jak czarne ptaki, lecąc w wyższą nieba stronę
Coraz się zgromadzały; ledwie słońce zbiegło
S południa, już ich stado pół niebios obległo
Ogromną chmurą; wiatr ją pędził coraz chyżej,
Chmura coraz gęstniała, zwieszała się niżej,
Aż jedną stroną na wpół od niebios oddarta,
Ku ziemi wychylona i wszerz rozpostarta,

Jak wielki żagiel, biorąc wszystkie wiatry w siebie,
Od południa na zachód leciała po niebie.

I była chwila ciszy; i powietrze stało
Głuche, milczące, jakby s trwogi oniemiało.
I łany zbóż co wprzódy kładąc się na ziemi
I znowu w górę trzęsąc kłosami złotemi
Wrzały jak fale, teraz stoją nieruchome
I poglądają w niebo najeżywszy słomę.
I zielone przy drogach wierzby i topole,
Co pierwej, jako płaczki przy grobowym dole,
Biły czołem, długiemi kręciły ramiony,
Rospuszczając na wiatry warkocz posrebrzony;
Teraz jak martwe, z niemej wyrazem żałoby,
Stoją nakształt posągów Sybilskiej Nioby.
Jedna osina drżąca, wstrząsa liście siwe.

Bydło zwykle do domu powracać leniwe,
Teraz zbiega się tłumnie, pasterzy nie czeka,
I opuszczając strawę do domu ucieka.
Buhaj racicą ziemię kopie, orze rogiem,
I całą trzodę straszy ryczeniem złowrogiem.

Krowa coraz ku ziemi wznosi wielkie oko,
Usta z dziwu otwiera, i wzdycha głęboko;
A wieprz marudzi w tyle, dąsa się i zgrzyta,
I snopy zboża kradnie i na zapas chwyta.

Ptastwo skryło się w lasy, pod strzechy, w głąb trawy;
Tylko wrony stadami obstąpiwszy stawy,
Przechadzają się sobie poważnemi kroki,
Czarne oczy kierują na czarne obłoki,
Wytknąwszy język s suchej szerokiej gardzieli
I skrzydła rostaczając czekają kąpieli;
Lecz i te przewidując nazbyt mocną burzę
Już w las ciągną, podobne wznoszącej się chmurze.
Ostatnia s ptaków lotem niścigłym zuchwała
Jaskułka, czarny obłok przeszywa jak strzała,
Wreszcie spada jak kula.

Właśnie w owej chwili
Szlachta z Moskwą okropną walkę zakończyli,
I chronią się gromadnie w domy i stodoły,
Opuszczają plac boju, gdzie wkrótce żywioły
Stoczą walkę.

Na zachód, jeszcze ziemia słońcem ozłocona,
Świeciła się ponuro, żółtawo-czerwona;
Już chmura rostaczając cienie nakształt sieci,
Wyławia resztki światła, a za słońcem leci,
Jak gdyby je pochwycić chciała przed zachodem.
Kilka wichrów raz poraz prześwisneło spodem,
Jeden za drugim lecą miecąc krople dżdzyste,
Wielkie, jasne, okrągłe, jak grady ziarniste.

Nagle wichry zwarły się, porwały się w poły,
Borykają się, kręcą, świszczącemi koły
Krążą po stawach, mącą do dna wody w stawach,
Wpadli na łąki, świszczą po łozach i trawach,
Pryskają łóz gałęzie, lecą traw przekosy
Na wiatr, jako garściami wyrywane włosy,
Zmieszane s kędziorami snopów; wiatry wyją
Upadają na rolę, tarzają się, ryją,
Rwą skiby, robią otwor wichrowi trzeciemu
Który wydarł się z roli jak słup czarnoziemu,
Wznosi się, jak ruchoma piramida toczy,
Łbem grunt wierci, z nóg piasek sypie gwiazdom w oczy,
Co krok wszerz wydyma się, rostwiera ku górze,

I ogromną swą trąbą otrębuje burze.
Aż s całym tym chaosem wody i kurzawy,
Słomy, liścia, gałęzi, wydartéj murawy,
Wichry w las uderzyły, i po głębiach puszczy
Ryknęły jak niedźwiedzie.

A już deszcz wciąż pluszczy,
Jak s sita, w gęstych kroplach; w tém rykły pioruny,
Krople zlały się razem; to jak proste struny,
Długim warkoczem wiążą niebiosa do ziemi,
To jak z wiader buchają warstami całemi.
Już zakryły się całkiem niebiosa i ziemia,
Noc je z burzą od nocy ciemniejszą zaciemia.
Czasem widnokrąg pęka od końca do końca,
I anioł burzy nakształt niezmiernego słońca,
Rozświéci twarz, i znowu okryty całunem
Uciekł w niebo i drzwi chmur zatrzasnął piorunem.
Znowu wzmaga się burza, ulewa nawalna,
I ciemność gruba, gęsta, prawie dotykalna.
Znowu deszcz ciszéj szumi, grom na chwilę uśnie;
Znowu wzbudzi się, ryknie, i znów wodą chluśnie.

Aż się uspokoiło wszystko; tylko drzewa
Szumią około domu i szemrze ulewa.

W takim dniu, pożądany był czas najburzliwszy;
Bo nawalnica, boju plac mrokiem okrywszy,
Zalała drogi, mosty zerwała na rzece,
S folwarku niedostępną zrobiła fortecę.
O tém więc co się działo w obozie Soplicy,
Dziś nie mogła rozejść się wieść po okolicy,
A właśnie zawisł szlachty los od tajemnicy.

W izbie Sędziego ważne toczą się narady;
Bernardyn, leżał w łóżku, zmordowany, blady
I skrwawiony, lecz całkiem zdrowy na umyśle,
Daje rozkazy, Sędzia wypełnia je ściśle.
Prosi Podkomorzego, przyzywa Klucznika,
Każe przywieść Rykowa, potem drzwi zamyka.
Godzinę całą trwały tajemne rozmowy,
Aż je przerwał kapitan Rykow temi słowy,
Rzucając na stół kiesę ciężką dukatami:
— Państwo Lachy, już jest ta gadka między wami,
Że każdy Moskal złodziej; powiedźcież, kto spyta

Że znaliście Moskala, który zwan Nikita
Nikitycz Ryków, rotny Kapitan, miał osim
Medalów i trzy krzyże, to pamiętać prosim.
Ten medal za Oczaków, ten za Izmajłów,
Ten za bitwę pod Nowi, ten za Preisiż—Iłów,
Tamten za Korsakowa sławną rejteradę
S pod Zurich; a miał także i za męstwo szpadę,
Także od Feldmarszałka trzy zadowolnienia,
Dwie pochwały Cesarskie i cztery wspomnienia,
Wszystko na piśmie —

— Ale, ale Kapitanie,
Przerwał Robak, i cóż się tedy z nami stanie,
Jeśli niechcesz zgodzić się; wszakże dałeś słowo
Załatwić tę rzecz —

Prawda, słowo dam na nowo,
Rzecze Ryków, ot słowo! Co po waszej zgubie?
Ja człek poczciwy, ja was Państwo Lachy lubię,
Że wy ludzie weseli, dobrzy do wypitki,
I także ludzie śmiali, dobrzy do wybitki.
U nas Ruskie przysłowie: kto na wozie jedzie,

Bywa często pod wozem; kto dzisiaj na przedzie,
Jutro w tyle; dziś bijesz, jutro ciebie biją;
Czy o to gniew? tak u nas po żołniersku żyją.
Skądby się człowiekowi tyle złości wzięło
Gniewać się o przegranę! Oczakowskie dzieło
Było krwawe, pod Zurich zbili nam piechotę,
Pod Austerlicem całą utraciłem rotę;
A pierwej wasz Kościuszko pod Racławicami,
Byłem serżantem, wysiekł mój pluton kosami.
I cóż stąd? to ja znowu u Maciejowiców
Zabiłem własnym sztykiem dwóch dzielnych szlachciców,
Jeden był Mokronowski, szedł s kosą przed frontem,
I kanonierowi uciął rękę z lontem.
Oj! wy Lachy! Ojczyzna! ja to wszystko czuję,
Ja Ryków; Car tak każe, a ja was żałuję,
Co nam do Lachów? Niechaj Moskwa dla Moskala,
Polska dla Lacha; ale cóż? Car niepozwala!

— Sędzia mu na to rzecze: Panie Kapitanie
Żeś człek poczciwy wiedzą to wszyscy ziemianie,
U których na kwaterach stałeś od lat wielu;
Za ten dar nie gniewaj się dobry przyjacielu,

Niechcieliśmy cię skrzywdzić; te oto dukaty,
Smieliśmy złożyć wiedząc żeś człek niebogaty.

— Ach Jegry! wołał Ryków, cała rota skłuta!
Moja rota! a wszystko z winy tego Płuta!
On komendant, on za to przed Carem odpowie,
A wy te grosze sobie zabierzcie panowie,
U mnie jest kapitański mój żołd ladajaki,
A dosyć mnie na ponczyk i lulkę tabaki.
A was lubię, że z wami sobie zjem, popiję,
Pohulam, pogawędzę, i tak sobie żyję;
Oto ja was obronię, i jak będzie śledztwo,
Słowo uczciwe, że dam za wami świadectwo,
Powiemy że my przyszli tu z wizytą, pili
Sobie, tańczyli, trochę sobie podchmielili,
A Płut przypadkiem ognia zakomęderował,
Bitwa! i batalion tak jakoś zmarnował.
Wy Pany tylko śledztwo pomazujcie złotem,
Będzie kręcić się. Ale teraz powiem o tém
Co już mówiłem temu szlachcicu, co długi
Ma rapier, że Płut pierwszy komendant, ja drugi:
Płut został żywy, może on wam zagiąć kruczka

Takiego, że zginiecie, bo to chytra sztuczka;
Trzeba mu gębę zatkać bankowym papierem.
No i cóż Panie szlachcic, ty z długim rapierem,
Czy już byłeś u Płuta? czyś się z nim naradził?

— Gerwazy obejrzał się, łysinę pogładził,
Kiwnął niedbale ręką, jak gdyby znać dawał
Że już wszystko załatwił.— Lecz Ryków nastawał:
Cóż czy Płut będzie milczeć, czy słowem zaręczył?
— Klucznik zły że go Ryków pytaniami dręczył,
Poważnie palec wielki ku ziemi naginał,
A potém, machnął ręką jak gdyby przecinał
Dalszą rozmowę, i rzekł: klnę się scyzorykiem
Że Płut nie wyda! gadać już nie będzie z nikim! —
Potem dłonie opuścił i palcami chrząsnął,
Jak gdyby tajemnicę całą z rąk wytrząsnął.

Ten ciemny giest pojęli słuchacze, i stali
Patrząc z dziwem na siebie, wzajem się badali,
I posępne milczenie trwało minut kilka.
Aż Ryków rzekł: nosił wilk, ponieśli i wilka!
— Requiescat in pace, dodał Podkomorzy!

— Jużci, zakończył Sędzia, był w tém palec Boży!
Lecz ja téj krwi nie winien, jam o tém nie wiedział —

Ksiądz porwał się s poduszek i posępny siedział.
Nakoniec rzekł, spójrzawszy bystro na Klucznika:
Wielki grzech bezbronnego zabić niewolnika!
Chrystus zabrania mścić się nawet i nad wrogiem!
Oj Kluczniku! odpowiesz ty ciężko przed Bogiem.
Jedna jest restrykcya, jeśli popełniono
Nie z zemsty głupiej ale pro publico bono.
— Klucznik głową i ręką kiwał wyciągnioną,
I mrugając powtarzał: pro publico bono!

Więcej nie było mowy o Płucie Majorze;
Nazajutrz daremnie go szukano we dworze,
Daremnie wyznaczano za trupa nagrodę,
Major zginął bez śladu jak gdyby wpadł w wodę;
Co się z nim stało różnie powiadano o tém,
Lecz nikt pewnie nie wiedział ni wtenczas ni potém.
Daremnie pytaniami Klucznika dręczono;
Nic nie wyrzekł, prócz tych słów: pro publico bono.
Wojski był w tajemnicy, lecz słowem ujęty

Honorowem, staruszek milczał jak zaklęty.

Po zawarciu układów wyszedł z izby Ryków,
A Robak kazał wezwać szlachtę wojowników,
Do których Podkomorzy s powagą tak mowi:
—Bracia! Bóg dziś naszemu szczęścił orężowi,
Ale muszę Wać Państwu wyznać bez ogródki,
Że s tych niewczesnych bojów złe wynikną skutki;
Zbłądziliśmy, i nikt tu z nas nie jest bez winy;
Ksiądz Robak że zbyt czynnie rozszerzał nowiny,
Klucznik i szlachta że je pojęła opacznie.
Wojna z Rossyą jeszcze nie prędko się zacznie,
Tymczasem kto miał udział najczynniejszy w bitwie,
Ten nie może bezpieczny zostać się na Litwie;
Musicie więc do Księstwa uciekać Panowie,
A mianowicie Maciej co się Chrzciciel zowie,
Tadeusz, Konew, Brzytew, niech unoszą głowy
Za Niemen, gdzie ich czeka zastęp narodowy;
My na was nieobecnych całą winę zwalim,
I na Płuta, tak resztę rodzeństwa ocalim.
Żegnam was nie nadługo; są pewne nadzieje,
Że nam z wiosną swobody zorza zajaśnieje,

I Litwa co was teraz żegna jak tułaczy,
Wkrótce jako zwycięskich swych zbawców zobaczy.
Sędzia wszystko co trzeba zgotuje na drogę.
I ja pieniędzmi ile zdołam, dopomogę. —

Czuła szlachta, że mądrze Podkomorzy radził;
Wiadomo że kto z Ruskim Carem raz się zwadził,
Ten już z nim na téj ziemi nie zgodzi się szczérze,
I musi albo bić się, albo gnić w Sybirze.
Więc nic nie mówiąc, smutnie po sobie spójrzeli,
Westchnęli; na znak zgody głowami skinęli.

Polak chociaż stąd między narodami słynny,
Że bardziéj niżli życie kocha kraj rodzinny,
Gotów zawżdy rzucić go, puścić się w kraj świata,
W nędzy i poniewierce przeżyć długie lata,
Walcząc z ludźmi i z losem, póki mu śród burzy
Przyświeca ta nadzieja, że Ojczyźnie sł[illegible]

Oświadczyli, że zaraz wyje[illegible]dżał[illegible]
Tylko się to nie zdało Panu Buchmanowi.
Buchman człowiek rozsądny w bitwę się nie wmieszał,

Ale słysząc że radzą, głosować pośpieszał,
Znajdował projekt dobrym, lecz chciał przeinaczyć,
Dokładniéj go rozwinąć, jaśniéj wytłómaczyć,
A naprzód Komissyą legalnie wyznaczyć
Któraby rozważyła Emigracji cele,
Środki, sposoby, tudzież innych względów wiele;
Nieszczęściem krótkość czasu była na zawadzie,
Że się niestało zadość Buchmanowéj radzie.
Szlachta żegna się śpiesznie i już w drogę rusza.

Ale Sędzia zatrzymał w izbie Tadeusza,
I rzekł do Księdza: Czas już żebym ci powiedział
To o czémem s pewnością wczoraj się dowiedział,
Że nasz Tadeusz szczerze zakochany w Zosi,
Niechajże przed odjazdem o rękę jéj prosi;
Mówiłem s Telimeną, już nam nieprzeszkadza,
Zosia także się z wolą opiekunów zgadza.
Jeśli dziś ślubem pary nie możem uwięczyć,
Toćby ich panie bracie, przynajmniej zaręczyć
Przed odjazdem; bo serce młode i podróżne,
Wiesz dobrze jako miewa tentacyje różne.
A wszakże, kiedy okiem rzuci na pierscionek

I przypomni młodzieniec, że już jest małżonek,
Zaraz wnim obcych pokus ostyga gorączka.
Wierzaj mi wielką siłę ma ślubna obrączka.

Ja sam przed lat trzydziestu, wielki affekt miałem
Ku Pannie Marcie, której serce pozyskałem;
Byliśmy zaręczeni, Bóg nie błogosławił
Związkowi temu, i mnie sierotą zostawił,
Wziąwszy do chwały swojej nadobną Wojszczankę,
Przyjaciela mojego córę Hreczeszankę.
Pozostała mi tylko pamiątka jej cnoty,
Jej wdzięków, i ten oto ślubny pierścień złoty.
Ilekroć nań spójrzałem, zawsze ma nieboga
Stawała przed oczyma; i tak z łaski Boga,
Dotąd méj narzeczonéj dochowałem wiary,
I niebywszy małżonkiem, jestem wdowiec stary,
Chociaż Wojski ma drugą córę dość nadobną,
I do mojéj kochanéj Marty dość podobną!

To mówiąc na pierścionek s czułością spozierał,
I odwróconą ręką łzy z oczu ocierał,
—Bracie, kończył, co myślisz? zrobim zaręczyny?

On kocha, a mam słowo ciotki i dziewczyny.

Lecz Tadeusz podbiega i z żywością mowi :
Czemże zdołam odwdzięczyć dobremu stryjowi,
Który tak o me szczęście ustawnie się trudzi!
Ach dobry stryju! byłbym najszczęśliwszy z ludzi,
Gdyby mi Zosia była dzisiaj zaręczona,
Gdybym wiedział że to jest moja przyszła żona,
Przecież powiem otwarcie, dziś te zaręczyny
Do skutku przyjść nie mogą, są różne przyczyny...
Nie pytaj więcej, jeśli Zosia czekać raczy,
Może mnie w krótce lepszym, godniejszym obaczy,
Może stałością na jej wzajemność zarobię,
Może troszeczką sławy me imie ozdobię,
Może wkrótce w ojczyste wrócim okolice;
Wtenczas stryju wspomnę ci twoje obietnice,
Wtenczas na klęczkach drogą powitam Zosienkę,
I jeśli będzie wolna, poproszę o rękę;
Teraz porzucam Litwę może na czas długi,
Może Zosi tymczasem podobać się drugi;
Więzić jej woli niechcę, prosić o wzajemność
Na którąm nie zasłużył, byłaby nikczemność.

Gdy te słowa z uczuciem mówił chłopiec młody,
Zaświeciły mu, jako dwie wielkie jagody
Pereł, dwie łzy na wielkich błękitnych źrenicach,
I stoczyły się szybko po rumianych licach.

Ale Zosia ciekawa z głębiny alkowy
Śledziła przez szczelinę tajemne rozmowy,
Słyszała jak Tadeusz po prostu i śmiało
Opowiedział swą miłość, serce w niej zadrżało,
I widziała tych wielkich dwoje łez w źrenicach.
Choć dojść nie mogła wątku w jego tajemnicach,
Dla czego ją pokochał? dla czego porzuca?
Gdzie odjeżdża? przecież ją ten odjazd zasmuca.
Pierwszy raz posłyszała w życiu z ust młodziana,
Dziwną i wielką nowość, że była kochana.
Biegła więc gdzie stał mały domowy ołtarzyk,
Wyjęła zeń obrazek i relikwiarzyk,
Na obrazku tym była święta Genowefa,
A w relikwii, suknia swiętego Józefa
Oblubieńca, patrona zaręczonej młodzi,
I s temi świętościami do pokoju wchodzi.

— Pan odjeżdzasz tak prędko? ja Panu na drogę
Dam podarunek mały i także przestrogę:
Niechaj Pan zawsze s sobą relikwie nosi
I ten obrazek, a niech pamięta o Zosi.
Niech Pana Pan Bóg w zdrowiu i szczęściu prowadzi
I niech prędko szczęśliwie do nas odprowadzi —
Umilkła, i spuściła głowę; oczki modre
Ledwie stuliła, z rzęsów pobiegły łzy szczodre,
A Zosia z zamkniętemi stojąc powiekami,
Milczała, sypiąc łzami jako brylantami.

Tadeusz biorąc dary i całując rękę
Rzekł: Pani! już ja muszę pożegnać panienkę,
Bądź zdrowa, wspomnij o mnie, i racz czasem zmówić
Pacierz za mnie! Zofio!... więcej nie mógł mówić.

Lecz Hrabia, s Telimeną wszedłszy niespodzianie,
Uważał młodej pary czułe pożegnanie,
Wzruszył się i rzuciwszy wzrok ku Telimenie,
Ileż! rzekł, jest piękności choć w tej prostej scenie!
Kiedy dusza pasterki z wojownika duszą,
Jak łódź z okrętem w burzy rozłączyć się muszą!

Zaiste! nic tak uczuć w sercu nie rozpala,
Jako kiedy się serce od serca oddala.
Czas jest to wiatr, on tylko małą świecę zdmuchnie,
Wielki pożar od wiatru tém mocniéj wybuchnie.
I moje serce zdolne mocniéj kochać zdala.
Panie Soplico! miałem ciebie za rywala;
Ten błąd był jedną s przyczyn naszéj smutnéj zwady,
Która mię przymusiła dostać na was szpady.
Postrzegam błąd mój; boś ty wzdychał ku pasterce,
Ja zaś téj pięknéj Nimfie oddałem me serce.
Niech we krwi wrogów nasze utoną urazy,
Niebędziem się zbójczemi rozpierać żelazy.
Niech się inaczéj spór nasz zalotny roztrzyguie,
Walczmy! kto kogo czuciem miłości wyścignie!
Zostawim oba drogie serc naszych przedmioty,
Pośpieszymy obadwa na miecze na groty;
Walczmy s sobą stałością, żalem i cierpieniem,
A wrogów naszych mężném ścigajmy ramieniem.
— Rzekł i na Telimenę spójrzał, ale ona
Nic nieodpowiadała strasznie zadziwiona.

Mój Hrabio, przerwał Sędzia, poco chcesz koniecznie

Wyjeżdzać, wierz mi, w twoich dobrach siedź bezpiecznie.
Szlachtę biedną rząd mógłby odrzeć i przechłostać,
Ale ty Hrabio pewien jesteś cały zostać;
Wiesz w jakim rządzie żyjesz., jesteś dość bogaty,
Wykupisz się od więzień połową intraty.

—To nie zgodna, rzekł Hrabia, z moim charakterem,
Nie mogę być kochankiem, będę bohaterem;
W miłości troskach, sławy zwę pocieszycielki,
Gdy jestem nędzarz sercem, będę ręką wielki.

Telimena pytała : któż Panu przeszkadza
Kochać i być szczęśliwym! —Mych przeznaczeń władza,
Rzekł Hrabia; ciemność przeczuć, które ruchem tajnym
Rwą się ku stronom obcym, dziełom nadzwyczajnym.
Wyznaję, że dziś chciałem na cześć Telimenie
U ołtarzów Hymena zapalić płomienie,
Ale mi dał zbyt piękny przykład ten młodzieniec,
Sam dobrowolnie ślubny swój zrywając wieniec,
I biegąc serca swego doświadczać w przeszkodach
Zmiennych losów, i w krwawych wojennych przygodach.
Dziś otwiera się nowa i dla mnie Epoka!

Brzmiała odgłosem broni méj Birbante-roka,
Oby ten odgłos równie w Polszcze się rozszerzył!
— Skończył, i dumnie szpady rękojeść uderzył.

Jużci, rzekł Robak, trudno ganić tę ochotę;
Jedź, weź pieniądze, możesz usztyftować rotę
Jak Włodzimierz Potocki, co Francuzów zdziwił
Dając na skarb milion, jak książe Radziwił
Dominik, co zastawił dobra swe i sprzęty
I dwa uzbroił nowe konne regimenty.
Jedź, jedź, a weź pieniądze; rąk tam dosyć mamy,
Ale grosza brak w Księstwie, jedź Wasze, żegnamy.

Telimena smutnemi rzuciwszy oczyma,
Niestety, rzekła, widzę że cię nic nie wstrzyma!
Rycerzu mój, w wojenne kiedy wstąpisz szranki,
Obróć czułe spójrzenie na kolor kochanki
(Tu wstążkę oderwawszy od sukni, zrobiła
Kokardę i na piersiach Hrabi przyszpiliła)
Niech cię ten kolor wiedzie na działa ogniste,
Na kopje błyszczące i deszcze siarczyste,
A kiedy się rozsławisz walecznemi czyny,

I gdy nieśmiertelnemi przesłonisz wawrzyny
Skrwawiony szyszak i hełm twóy zwycięstwem hardy,
I wtenczas jeszcze oko zwróć do tej kokardy.
Wspomnij czyja ten kolor przyszpiliła ręka —
Tu mu podała ręke — Pan Hrabia przyklęka,
Całuje, Telimena zbliżyła do oka
Chustkę, a drugiem okiem pogląda z wysoka
Na Hrabię, który żegnał ją mocno wzruszony.
Ona wzdychała, ale ruszyła ramiony.

Lecz Sędzia rzekł: mój Hrabio, śpiesz się, bo już późno—
A ksiądz Robak— dość tego— wołał z miną groźną,
Spiesz się Wasze. —Tak roskaz Sędziego i Księdza
Rozdziela czułą parę i z izby wypędza.

Tymczasem Pan Tadeusz stryja obejmował
Ze łzami, i Robaka w rękę pocałował,
Robak ku piersiom chłopca przycisnąwszy skronie
I na głowie mu na krzyż położywszy dłonie,
Spójrzał ku niebu i rzekł: Synu! s Panem Bogiem —
I zapłakał... A już był Tadeusz za progiem.
— Jakto? zapytał Sędzia, nic mu brat nie powie?

I teraz? biedny chłopiec, jeszcze się nie dowie
O niczém! przed odjazdem?—Nie, rzekł Ksiądz, o niczém.
(Płacząc długo z zakrytém rękami obliczem)
I pocóż by miał wiedzieć biedny, że ma ojca
Który się skrył przed światem, jak łotr, jak zabojca?
Bog widzi jak pragnąłbym, ale s téj pociechy
Zrobię Bogu ofiarę, za me dawne grzechy.

Więc, rzecze Sędzia, teraz czas myśleć o sobie,
Uważ że człowiek w twoim wieku i chorobie
Nie zdołałby z innymi razem emigrować;
Mówiłeś że wiesz domek, gdzie się masz przechować,
Powiedz gdzie? spieszmy, czeka zaprzężona bryka,
Czy nie najlepiéj w puszczę, do chaty leśnika.

Robak kiwając głową, rzekł: do jutra rana
Mam czas, teraz mój bracie poślij do Plebana
Aby tu jak najrychléj przybył z wijatykiem,
Oddal stąd wszystkich, zostań tylko sam s Klucznikiem.
Zamknij drzwi.—

Sędzia spełnił Robaka roskazy

I usiada na łóżko przy nim ; a Gerwazy,
Stoi , łokieć przytwierdza na głowni rapiera ,
A czoło pochylone na dłoniach opiera.

Robak nim zaczął mówić, w Klucznika oblicze
Wzrok utkwił , i milczenie chował tajemnicze.
A jako Chirurg naprzód miękką rękę składa
Na ciele chorującém, nim ostrzem raz zada ;
Tak Robak wyraz bystrych oczu swych złagodził,
Długo niemi po oczach Gerwazego wodził ,
Nakoniec jakby ślepym chciał uderzyć ciosem ,
Zasłonił oczy ręką , i rzekł mocnym głosem :

Jam jest Jacek Soplica...

Klucznik na to słowo ,
Pobladnął , pochylił się , i ciała połową
Wygięty naprzód , stanął , zwisł na jednej nodze ,
Jak głaz lecący z góry zatrzymany w drodze.
Oczy roztwierał , usta szeroko rozszerzał
Grożąc białemi zęby , a wąsy najeżał ,
Rapier z rąk upuszczony , przy ziemi zatrzymał

Kolanami, i głownię prawą ręką imał
Cisnąc ją; rapier s tyłu za nim wyciągniony,
Długim czarnym swym końcem chwiał się w różne strony.
I Klucznik był podobny rysiowy rannemu,
Który z drzewa ma skoczyć w oczy myśliwemu,
Wydyma się kłębuszkiem, mruczy, krwawe ślepie
Wyiskrza, wąsy rusza, i ogonem trzepie.

Panie Rębajło, rzekł Ksiądz, już mię nie zatrwożą
Gniewy ludzkie, bo jestem już pod ręką Bożą;
Zaklinam cię na imię Tego co świat zbawił
I na krzyżu zabójcom swoim błogosławił,
I przyjął prośbę łotra; byś się udobruchał,
I to co mam powiedzieć, cierpliwie wysłuchał;
Sam przyznałem się, muszę dla ulgi sumienia
Pozyskać, a przynajmniej prosić przebaczenia,
Posłuchaj méj spowiedzi; potém zrobisz sobie
Ze mną, co chcesz. — I tu złożył ręce obie
Jak do pacierza; Klucznik cofnął się zdumiony,
Uderzał ręką w czoło i ruszał ramiony.

A Ksiądz zaczął swą dawną z Horeszką zażyłość

Opowiadać i swoją z jego córką miłość,
I swe s tego powodu s Stolnikiem zatargi.
Lecz mówił nieporządnie, często mięszał skargi
I żale we swą spowiedź, często rzecz przecinał
Jak gdyby już ją kończył, i znowu zaczynał.

Klucznik dzieje Horeszków znający dokładnie,
Całą tę powieść chociaż splątaną bezładnie,
Porządkował w pamięci i dopełniać umiał;
Lecz Sędzia wielu rzeczy zgoła nierozumiał.
Oba pilnie słuchali pochyliwszy głowy,
A Jacek mówił coraz wolniejszemi słowy
I często zarywał się.

. . .

Wszak sam wiesz Gerwazeńku, jak Stolnik zapraszał
Często mnie na biesiady; zdrowie moje wnaszał,
Krzyczał nieraz do góry podniosłszy szklenicę,
Że niemiał przyjaciela nad Jacka Soplicę;
Jak on mnie ściskał! Wszyscy którzy to widzieli
Myślili, że on zemną duszą się podzieli.

On przyjaciel? on wiedział, co się wtenczas działo
W duszy mojéj!

. . .

Tymczasem już szeptała o tém okolica,
Jaki taki gadał mi: ej Panie Soplica
Daremnie konkurujesz, dygnitarskie progi
Zawysokie na Jacka Podczaszyca nogi.
Ja śmiałem się, udając że drwiłem z magnatów
I s córek ich, i niedbam o arystokratów,
Że jeśli bywam u nich, s przyjaźni to robię,
A za żonę nie pojmę tylko równą sobie.
Przecież bodły mi duszę do żywca te żarty;
Byłem młody, odważny, świat był mnie otwarty
W kraju gdzie jako wiecie szlachcic urodzony
Jest za równo s Panami kandydat korony!
Wszakże Tęczyński niegdyś s królewskiego domu
Żądał córy, a król mu oddał ją bez sromu.
Opliców czyż nierówne Tęczyńskim zaszczyty
Krwią, herbem, wierną służbą Rzeczypospolitéj!

* * *

Jak łatwo może człowiek popsuć szczęście drugim
W jednéj chwili ; a życiem nie naprawi długiém !
Jedno słowo Stolnika, jakżebyśmy byli
Szczęśliwi ! kto wié, może dotąd byśmy żyli ,
Może i on przy swojém kochaném dziecięciu,
Przy swojéj pięknéj Ewie, przy swym wdzięcznym zięciu
Zestarzałby spokojny! może wnuki swoje
Kołysałby! teraz co? nas zgubił oboje,
I sam — i to zabójstwo — i wszystkie następstwa
Téj zbrodni, wszystkie moje biedy i przestępstwa !
Ja skarżyć niemam prawa, ja jego moderca,
Ja skarżyć niemam prawa, przebaczam mu s serca,
Ale i on....

* * *

Żeby już raz otwarcie był mnie zrekuzował,
Bo znał nasze uczucia; gdyby nieprzyjmował

Mych odwiedzin; to kto wié? możebym odjechał,
Pogniewał, połajał, w końcu go zaniechał;
Ale on chytrze dumny, wpadł na koncept nowy,
Udawał że mu nawet nieprzyszło do głowy
Żeby ja mógł się starać o związek takowy.
A byłem mu potrzebnym, miałem zachowanie
U szlachty, i lubili mnie wszyscy ziemianie.
Więc on niby miłości mojéj niedostrzegał,
Przyjmował mnie jak dawniéj, a nawet nalegał
Abym częściéj przyjeżdżał; a ilekroć sami
Byliśmy, widząc oczy me przyćmione łzami
I pierś zbyt pełną i już wybuchnąć gotową,
Chytry starzec, wnet wrzucił obojętne słowo
O processach, sejmikach, łowach —

. . .

Ach nie raz przy kieliszkach, gdy się tak rozrzewniał,
Gdy mię tak ściskał i o przyjaźni zapewniał
Potrzebując méj szabli, lub kreski na sejmie,
Gdy musiałem nawzajem ściskać go uprzejmie,
To tak we mnie złość wrzała, że ja obracałem

Slinę w gębie, a dłonią rękojeść sciskałem,
Chcąc plunąć na tę przyjaźń i wnet szabli dostać;
Ale Ewa zważając mój wzrok i mą postać,
Zgadywała niewiem jak, co się we mnie działo,
Patrzyła błagająca, lice jéj bledniało,
A był to taki piękny gołąbek, łagodny,
I wzrok miała uprzejmy taki! tak pogodny!
Taki anielski, że już niewiem, już niemiałem
Odwagi zagniewać ją, zatrwożyć — milczałem.
I ja zawadjaka sławny w Litwie całéj,
Co przedemną największe Pany nieraz drżały,
Com nieżył dnia bez bitki, co nie Stolnikowi
Ale bym się pokrzywdzić niedał i królowi;
Co we wściekłość najmniejsza wprawiała mnie sprzeczka,
Ja wtenczas zły i pijany, milczał jak owieczka!
Jak gdybym sanktissimum ujrzał!

. . .

Ileż to razy chciałem serce me otworzyć,
I już się nawet przed nim do prożb upokorzyć,
Lecz spójrzawszy mu w oczy, spotkawszy wejrzenia

Zimne jak lód, wstyd mi był mojego wzruszenia;
Spieszyłem znowu jak najzimniej dyskurować
O sprawach, o sejmikach, a nawet żartować.
Wszystko to prawda s pychy, żeby nie ubliżyć
Imieniowi Sopliców, żeby się nie zniżyć
Przed Panem proźbą próżną, nie dostać odmowy,
Bo jakieżby to były między szlachtą mowy,
Gdyby wiedziano, że Jacek.....

. . .

Soplicy Horeszkowie odmówili dziewkę!
Ze mnie Jackowi czarną podano polewkę!

W końcu sam już nie wiedząc jak sobie poradzić,
Umyśliłem ze szlachty mały półk zgromadzić
I opuścić na zawsze powiat i Ojczyznę,
Wynieść się gdzie na Moskwę lub na Tatarszczyznę
I zacząć wojnę. Jadę pożegnać Stolnika,
W nadziei że gdy ujrzy wiernego stronnika,
Dawnego przyjaciela, prawie domownika,
S którym pił i wojował przez tak długie lata,

Teraz żegnającego i kędyś w kraj świata
Jadącego — że może starzec się poruszy
I pokaże mi przecież trochę ludzkiej duszy,
Jak ślimak rogów!

Ach! kto choć na dnie serca ma dla przyjaciela
Choćby iskierkę czucia, gdy się z nim rozdziela,
Dobędzie się iskierka ta przy pożegnaniu
Jako ostatni płomyk życia przy skonaniu!
Raz ostatni dotknąwszy przyjaciela skroni,
Częstokroć najzimniejsze oko łzę uroni!

. . .

Biedna słysząc o moim odjeździe, pobladła
Bez przytomności, ledwie że trupem niepadła,
Nie mogła nic przemówić, aż się jej rzuciły
Strumieniem łzy — poznałem jak byłem jej miły!

. . .

Pomnę pierwszy raz w życiu jam się łzami zalał

Z radości i z rospaczy, zapomniał się, szalał,
Już chciałem znowu upaść ojcu jéj pod nogi,
Wić się jak wąż u kolan, wołać: ojcze drogi
Weź za syna lub zabij! Wtém Stolnik posępny
Zimny jako słup soli, grzeczny, obojętny,
Wszczął dyskurs, o czém? o czém? o córki weselu!
W téj chwili! o Gerwazy? uważ przyjacielu,
Masz ludzkie serce!

. . . . . Stolnik rzekł: Panie Soplica,
Właśnie przyjechał do mnie swat Kasztelanica,
Ty jesteś mój przyjaciel, cóż ty mówisz na to?
Wiesz Wasze, że mam córkę piękną i bogatą,
A Kasztelan Witepski! wszakże to w Senacie
Niskie, drążkowe krzesło, cóż mi radzisz bracie?
Nie pamiętam już zgoła co mu na to rzekłem,
Podobno nic — na konia wsiadłem i uciekłem!

* * *

Jacku! zawołał Klucznik, mądre ty przyczyny
Wynajdujesz, cóż? one nie zmniejszą twéj winy!

Bo wszakże zdarzało się już nie raz na świecie,
Że kto pokochał pańskie lub królewskie dziecię,
Starał się gwałtem zdobyć, przemyślał wykradać,
Mścić się otwarcie — ale tak chytrze śmierć zadać!
Panu Polskiemu! w Polszcze, i w zmowie z Moskalem!

— Nie byłem w zmowie, Jacek odpowiedział z żalem.
Gwałtem porwać? wszak mógłbym, z za krat i za klamek
Wydarłbym ją, rozbiłbym w puch ten jego zamek!
Miałem za sobą Dobrzyn i cztery Zaścianki.
Ach gdyby ona była jak nasze szlachcianki!
Silna i zdrowa! gdyby ucieczki, pogoni
Nie zlękła się, i mogła słuchać szczęku broni!
Lecz ona biedna! tak ją rodzice pieścili,
Słaba, lękliwa! był to robaczek motyli,
Wiosenna gąsieniczka! i tak ją zagrabić,
Dotknąć ją zbrojną ręką, byłoby ją zabić,
Nie mogłem. Nie.

Mścić się otwarcie, szturmem zamek zwalić w gruzy,
Wstyd, boby powiedziano żem mścił się rekuzy!
Kluczniku, twoje serce poczciwe nie umie

Uczuć, ile jest piekła w obrażonej dumie.

Szatan dumy zaczął mi lepsze plany raić,
Zemścić się krwawo, ale powód zemsty taić,
Nie bywać w zamku, miłość s serca wykorzenić,
Puścić w niepamięć Ewę, z inną się ożenić,
A potém, potém jaką wynaleść zaczepkę,
Pomścić się.

I zdało mi się z razu żem już serce zmienił,
I rad byłem z wymysłu i — jam się ożenił,
S pierwszą którąm napotkał dziewczyną ubogą!
Zlem zrobił — jakże byłem ukarany srogo!
Nie kochałem jéj, biedna matka Tadeusza
Najprzywiązańsza do mnie, najpoczciwsza dusza —
Ale ja dawną miłość i złość w sercu dusił,
Byłem jako szalony, darmom siebie musił
Zająć się gospodarstwem albo interessem,
Wszystko na próżno, zemsty opętany biesem,
Zły, opryskliwy, znaleść niemogłem pociechy
W niczém na świecie— i tak z grzechów w nowe grzechy,
Zacząłem pić.

I tak niedługo żona ma z żalu umarła,
Zostawiwszy to dziécie, a mnie rospacz żarła!

* * *

Jakże mocno musiałem kochać tę niebogę,
Tyle lat! gdziem ja niebył, a dotąd niemogę
Jéj zapomnieć, i zawżdy jéj postać kochana
Stoi mi przed oczyma, jakby malowana!
Piłem, nie mogłem zapić pamięci na chwilę,
Ani pozbyć się, chociaż przebiegłem ziem tyle!
Teraz oto w habicie jestem Bożym sługą,
Na łożu, we krwi — O niéj mówiłem tak długo —
W téj chwili, o tych rzeczach mówić? Bóg wybaczy!
Musicie wiedzieć, w jakim żalu i rospaczy
Popełniłem....

Było to właśnie wkrótce po jéj zaręczynach;
Wszędzie gadano tylko o jéj zaręczynach,
Powiadano, że Ewa gdy brała obrączkę
Z rąk Wojewody, mdlała, że wpadła w gorączkę,
Że ma początki suchot, że ustawnie szlocha,

Zgadywano, że kogoś potajemnie kocha —
Ale Stolnik jak zawsze, spokojny, wesoły,
Dawał na zamku bale, zbierał przyjacioły,
Mnie już nie prosił — na cóż byłem mu potrzebny?
Mój bezład w domu, bieda, mój nałóg haniebny,
Podały mnie na wzgardę i na śmiech przed światem!
Mnie, com niegdyś, rzec mogę, trząsł całym powiatem!
Mnie, którego Radziwił nazywał: kochanku!
Mnie com kiedy wyjeżdżał z mojego zaścianku,
To liczniejszy dwór miałem niżeli książęcy!
Kiedym szablę dostawał, to kilka tysięcy
Szabel błyszczało w koło, strasząc zamki pańskie —
A potém ze mnie dzieci śmiały się włościańskie!
Tak zrobiłem się nagle w oczach ludzkich lichy!
Jacek Soplica! — kto zna co jest czucie pychy...

Tu Bernardyn osłabiał i upadł na łoże,
A Klucznik rzekł wzruszony: Wielkie sądy boże!
Prawda! prawda! więc to ty? i tyżeś to Jacku!
Soplico? pod kapturem? żyłeś po żebracku!
Ty którego pamiętam, gdy zdrowy, rumiany,
Piękny szlachcic, gdy tobie pochlebiały pany,

Gdy za tobą kobiety szalały! Wąsalu!
Nie tak to dawno! takeś zestarzał się z żalu!
Jakżem ciebie nie poznał po owym wystrzale,
Kiedyś tak do niedźwiedzia trafił doskonale?
Bo nad ciebie nie miała strzelca Litwa nasza,
Byłeś także po Maćku pierwszy do pałasza!
Prawda! o tobie niegdyś śpiewały szlachcianki:
Oto Jacek wąs kręci, trzęsą się Zaścianki,
A komu na swym wąsie węzełek zawiąże,
Ten zadrży, choćby to był sam Radziwił książe.
Zawiązałeś ty węzeł i mojemu Panu!
Nieszczęśniku! i tyżeś? do takiego stanu?
Jacek Wąsal Kwestarzem! wielkie sądy Boże!
I teraz! ha! bezkarnie ujść tobie nie może,
Przysiągłem, kto Horeszków krwi kroplę wysączył...

Tymczasem Ksiądz na łożu usiadł, i tak kończył:
Jeździłem koło zamku; ile biesów w głowie
I w sercu miałem, kto ich imiona wypowie!
Stolnik? zabija dziecie własne, mnie już zabił,
Zniszczył? — jadę pod bramę, szatan mnie tam wabił.
Patrz jak on hula! co dzień w zamku pijatyka,

Ile świec w oknach, jaka brzmi w salach muzyka!
I ten zamek na łysą głowę mu nie runie —
Pomyśl o zemście, to wnet szatan broń podsunie.
Ledwiem pomyślił, szatan nasyła Moskali,
Stałem patrząc; wiesz jak wasz zamek szturmowali.

. . .

Bo fałsz, żebym był w jakiéj z Moskalami zmowie.

. . .

Patrzyłem; różne myśli snuły się po głowie.
Z razu z uśmiechem głupim iak na pożar dziecko
Patrzyłem, potém radość uczułem zbójecką,
Czekając rychło zacznie palić się i walić,
Czasem myśl przychodziła skoczyć, ją ocalić,
Nawet Stolnika —

. . .

Broniliście się, ty wiesz, dzielnie i przytomnie,
Zdziwiłem się; Moskale padali w koło mnie,
Bydlęta, źle strzelają — na widok ich klęski

Złość mię znowu porwała — Ten Stolnik zwycięski!
I także mu na świecie wszystko się powodzi?
I s téj strasznéj napaści s tryumfem wychodzi?
Odjeżdżałem ze wstydem — właśnie był poranek,
W tém ujrzałem, poznałem, wystąpił na ganek,
I brylantową szpinką ku słońcu migotał,
I wąs pokręcał dumnie, i wzrok dumny miotał,
I zdało mi się że mnie szczególniéj urągał,
Że mnie poznał, i ku mnie rękę *tak* wyciągał,
Szydząc i grożąc — Chwytam karabin Moskala,
Ledwiem przyłożył, prawie niemierzył — wypala!
Wiesz!

Przeklęta broń ognista! kto mieczem zabija,
Musi składać się, natrzeć, odbija, wywija,
Może rozbroić wroga, miecz w pół drogi wstrzymać;
Ale ta broń ognista, dosyć zamek imać,
Chwila, jedna iskierka...

. . .

Czyż uciekałem, kiedyś mierzył do mnie z góry?

Utkwiłem oczy we dwie twojéj broni rury,
Rospacz jakaś! żal dziwny do ziemi mnie przybił!
Czemuż? ach mój Gerwazy, czemuś wtenczas chybił?
Łaskę byś zrobił! widać za pokutę grzechu
Trzeba było... —

Tu znowu brakło mu oddechu.
—Bóg widzi, rzecze Klucznik, szczerze trafić chciałem!
Ileż ty krwi wylałeś twoim jednym strzałem,
Ileż klęsk spadło na nas i na twą rodzinę,
A wszystko to przez Waszą Panie Jacku winę.
A wszakże gdy dziś Jegry Hrabię na cel wzięli,
Ostatniego z Horeszków chociaż po kądzieli,
Tyś go zasłonił, i gdy Moskal do mnie palił,
Tyś mnie rzucił o ziemię, tak nas dwóch ocalił.
Jeśli prawda że jesteś księdzem zakonnikiem,
Jużci sukienka broni cię przed scyzorykiem.
Bądź zdrów, więcéj na waszym nie postanę progu,
Z nami kwita, — zostawmy resztę Panu Bogu.

Jacek rękę wyciągnął, — cofnął się Gerwazy,
Nie mogę, rzekł, bez mego szlachectwa obrazy

Dotykać rękę, takiém morderstwem skrwawioną
S prywatnéj zemsty, nie zaś pro publico bono.

Ale Jacek's poduszek na łoże upadłszy,
Zwrócił się ku Sędziemu, a był coraz bladszy,
I niespokojnie pytał o Księdza Plebana,
I wołał na Klucznika : zaklinam Waepana
Abyś został, wnet skończę, ledwie mam dość mocy
Zakończyć — Panie Klucznik — ja umrę téj nocy !

Co bracie? krzyknął Sędzia, widziałem, wszak rana
Nie wielka, co ty mówisz? po Księdza Plebana;
Może źle opatrzono — zaraz po doktora,
W apteczce jest... Ksiądz przerwał: bracie już nie pora.
Miałem tam strzał dawniejszy, dostałem pod Jena,
Źle zgojony, a teraz draśniono — gangrena
Już to — znam się na ranach, patrz jaka krew czarna
Jak sadza, co tu doktor, ale to rzecz marna,
Raz umieramy, jutro czy dziś oddać duszę —
Panie Klucznik, przebaczysz mnie, ja skończyć muszę!

. . .

Jest w tém zasługa niechcieć zostać winowajcą
Narodowym, choć naród okrzyczy cię zdrajcą!
Zwłaszcza w kim taka jaka była we mnie duma!

. . .

Imie zdrajcy przylgnęło do mnie jako dżuma.
Odwracali odemnie twarz obywatele,
Uciekali odemnie dawni przyjaciele,
Kto był lękliwy, zdala witał się i stronił;
Nawet lada chłop, lada żyd, choć się pokłonił,
To mię z boku szyderskim przebijał uśmiechem;
Wyraz zdrajca brzmiał w uszach, odbijał się echem
W domie, w polu, ten wyraz od rana do zmroku
Wił się przedemną, jako plama w chorym oku.
Przecież niebyłem zdrają kraju.

Moskwa mnie uważała gwałtem za stronnika,
Dano Soplicom znaczną część dóbr nieboszczyka,

Targowiczanie potém chcieli mnie zaszczycić
Urzędem—Gdybym wtenczas chciał się przemoskwicić!
—Szatan radził — już byłem możny i bogaty,
Gdybym został Moskalem? najpierwsze magnaty
Szukałyby mych względów; nawet szlachta braty,
Nawet gmin, który swoim tak łacnie uwłacza,
Tym którzy Moskwie służą, szczęśliwszym przebacza!
Wiedziałem to, a przecież — niemogłem.

. . .

Uciekłem s kraju!
Gdziem niebył! com nie cierpiał!

. . .

.

Aż Bóg raczył lekarstwo jedyne objawić.
Poprawić się potrzeba było, i naprawić
Jle możności to....

. . .

Córka Stolnika ze swym mężem Wojewodą,
Gdzieś w Sybir wywieziona, tam umarła młodo,
Zostawiła tę w kraju córkę, małą Zosię,
Kazałem ją hodować.

. . .

Bardziej niźli z miłości, może z głupiej pychy
Zabiłem; więc pokora, wszedłem między mnichy,
Ja niegdyś dumny z rodu, ja com był junakiem,
Spuściłem głowę, kwestarz, zwałem się Robakiem
Że jako Robak w prochu...

Zły przykład dla Ojczyzny, zachętę do zdrady
Trzeba było okupić dobremi przykłady,
Krwią, poświęceniem się...

Biłem się za kraj; gdzie? jak? zmilczę; nie dla chwały
Ziemskiej, biegłem tyle kroć na miecze, na strzały.
Milej sobie wspominam, nie dzieła waleczne
I głośne, ale czyny ciche, użyteczne.
I cierpienia których nikt...

Udało mi się nie raz do kraju przedzierać,
Roskazy wodzów nosić, wiadomości źbierać,
Układać zmowy — znają i Galicyanie
Ten kaptur mnisi — znają i Wielkopolanie!
Pracowałem przy taczkach rok w pruskiéj fortecy,
Trzy razy Moskwa kijmi zraniła me plecy,
Raz już wiedli na Sybir; potém Austryjacy,
W Szpilbergu zakopali mnie w lochach do pracy,
W Carcer durum, — A Pan Bóg wybawił mnie cudem
I pozwolił umierać między swoim ludem
S sakramentami.

Może i teraz, kto wie? możem znowu zgrzeszył!
Możem nad rozkaz wodzów powstanie przyśpieszył;
Ta myśl że dóm Sopliców pierwszy się uzbroi,
Że pierwszą Pogoń w Litwie zatkną krewni moi!..
Ta myśl... zdaje się czysta...

Chciałeś zemsty? masz! boś ty był narzędziem kary
Bożéj! twoim Bóg mieczem rozciął me zamiary.
Tyś wątek spisku tyle lat snowany splątał!
Cel wielki, który całe życie me zaprzątał,

Ostatnie moje ziemskie uczucie na świecie,
Którem tulił, hodował, jak najmilsze dziecię,
Tyś zabił w oczach ojca, a jam ci przebaczył!
Ty!...

— Oby tylko równie Bóg przebaczyć raczył,
Przerwał Klucznik; jeżeli masz przyjąć wijatyk
Księże Jacku, toć ja nie luter, nie syzmatyk!
Kto umierającego smuci, wiem że grzeszy.
Powiem tobie coś, pewnie to ciebie pocieszy.
Kiedy nieboszczyk Pan mój upadał zraniony,
A ja klęcząc nad jego piersią pochylony,
I krew maczając w ranę, zemstę zaprzysiągnął,
Pan głowę wstrząsnął, rękę ku bramie wyciągnął
W stronę gdzie stałeś, i krzyż w powietrzu naznaczył;
Mówić nie mógł, lecz dał znak, że zbójcy przebaczył.
Ja też pojąłem, ale tak się z gniewu wściekłem,
Że o tym krzyżu nigdy i słowa nierzekłem.

Tu rozmowę przerwały chorego cierpienia,
I nastąpiła długa godzina milczenia.
Oczekują Plebana — Podkowy zagrzmiały,

Zastukał do komnaty Arędarz zdyszały,
List ma ważny, samemu Jackowi pokaże;
Jacek bratu oddaje, głośno czytać każe.
List od Fiszera, który był natenczas Szefem
Sztabu armii Polskiej pod Księciem Józefem.
Donosi, że w Cesarskim tajnym gabinecie,
Stanęła wojna; Cesarz już po całym świecie
Ogłasza ją; Sejm walny w Warszawie zwołany,
I skonfederowane Mazowieckie Stany
Wyrzeką uroczyście przyłączenie Litwy.

Jacek słuchając, cicho odmówił modlitwy,
Przycisnąwszy do piersi święconą gromnicę
Podniósł w niebo zatlone nadzieją źrenice,
I zalał się ostatnich łez roskosznych zdrojem.
— Teraz, rzekł, Panie, sługę twego puść s pokojem!

Wszyscy uklękli; a w tém ozwał się pod progiem
Dzwonek, znak że przyjechał Pleban s Panem Bogiem.

Właśnie już noc schodziła, i przez niebo mleczne
Różowe, biegą pierwsze promyki słoneczne,

Wpadły przez szyby jako strzały brylantowe,
Odbiły się na łożu o chorego głowę,
I ubrały mu złotem oblicze i skronie,
Że błyszczał jako święty w ognistej koronie.



KSIĘGA JEDENASTA.

Rok 1812.

TREŚĆ.

Wróżby wiosenne — Wkroczenie wojsk — Nabożeństwo — Rehabilitacya urzędowa s. p. Jacka Soplicy — Z rozmow Gerwazego i Protazego wnosić można bliski koniec processu — Umizgi ułana z dziewczyną — Rostrzyga się spor o Kusego i Sokoła — Zaczém goście zgromadzają się na biesiadę — Przedstawienie wodzom par narzeczonych.

O roku ów! kto ciebie widział w naszym kraju!
Ciebie lud zowie dotąd rokiem urodzaju,
A żołnierz rokiem wojny: dotąd lubią starzy
O tobie bajać, dotąd pieśń o tobie marzy.
Z dawna byłeś niebieskim oznajmiony cudem
I poprzedzony głuchą wieścią między ludem;

Ogarnęło Litwinów serca z wiosny słońcem
Jakieś dziwne przeczucie, jak przed świata końcem,
Jakieś oczekiwanie tęskne i radośne.

Kiedy pierwszy raz bydło wygnano na wiosnę,
Uważano, że chociaż zgłodniałe i chude,
Nie biegło na ruń co już umaiła grudę,
Lecz kładło się na rolę i schyliwszy głowy,
Ryczało, albo żuło swój pokarm zimowy.

I wieśniacy ciągnący na jarzynę pługi
Nie cieszą się jak zwykle s końca zimy długiéj,
Nie śpiewają piosenek, pracują leniwo,
Jakby nie pamiętali na zasiew i żniwo.
Co krok wstrzymują woły i podjezdki w bronie
I poglądają s trwogą ku zachodniéj stronie,
Jakby s téj strony miał się objawić cud jaki.
I uważają s trwogą wracające ptaki.
Bo już bocian przyleciał do rodzinnéj sosny
I rospiął skrzydła białe, wczesny sztandar wiosny;
A za nim krzykliwemi nadciągnąwszy pułki,
Gromadziły się po nad wodami jaskułki,

I z ziemi zmarzłéj brały błoto na swe domki.
W wieczor słychać w zaroślach szept ciągnącéj słomki;
I stada dzikich gęsi szumią po nad lasem,
I znużone na popas spadają z hałasem,
A w głębi ciemnéj nieba, wciąż jęczą żurawie.
Słysząc to nocni stróże pytają w obawie,
Skąd w królestwie skrzydlatém tyle zamieszania,
Jaka burza te ptaki tak wcześnie wygania.

Aż oto nowe stada, jakby gilów, siewek,
I szpaków, stada jasnych kit i chorągiewek
Zajaśniały na wzgórkach, spadają na błonie.
Konnica! dziwne stroje, niewidziane bronie,
Półk za półkiem, a środkiem, jak stopione śniegi,
Płyną drogami kute żelazem szeregi;
Z lasów czernią się czapki, rzęd bagnetów błyska,
Roją się niezliczone piechoty mrowiska.

Wszyscy na północ: rzekłbyś że w on czas z *wyraju*
Za ptastwem i lud ruszył do naszego kraju,
Pędzony niepojętą, instynktową mocą.

Konie, ludzie, armaty, orły, dniem i nocą
Płyną; na niebie gorą tu i ówdzie łuny,
Ziemia drży, słychać biją stronami pioruny —

Wojna! wojna! Niebyło w Litwie kąta ziemi,
Gdzieby jéj huk nie doszedł; pomiędzy ciemnemi
Puszczami, chłop którego dziady i rodzice
Pomarli nie wyjrzawszy za lasu granice,
Który innych na niebie nie rozumiał krzyków
Prócz wichrów, a na ziemi prócz bestyi ryków,
Gości innych nie widział oprócz spółleśników;
Teraz widzi na niebie, dziwna łuna pała,
W puszczy łoskot, to kula od jakiegoś działa
Zbłądziwszy s pola bitwy, dróg w lesie szukała,
Rwąc pnie, siekąc gałęzie. Żubr brodacz sędziwy
Zadrżał we mchu, najeżył długie włosy grzywy,
Wstaje na wpół, na przednich nogach się opiera,
I potrząsając brodą zdziwiony spoziera,
Na błyskające nagle między łomem zgliszcze:
Był to zbłąkany granat, kręci się, wre, świszcze,
Pękł z hukiem jakby piorun; żubr pierwszy raz w życiu
Zląkł się i uciekł w głębszém schować się ukryciu.

Bitwa! gdzie? w której stronie? pytają młodzieńce,
Chwytają broń, kobiety wznoszą w niebo ręce,
Wszyscy pewni zwycięstwa, wołają ze łzami:
Bóg jest z Napoleonem, Napoleon z nami!

O wiosno! kto cię widział wtenczas w naszym kraju,
Pamiętna wiosno wojny, wiosno urodzaju,
O wiosno, kto cię widział jak byłaś kwitnąca
Zbożami i trawami a ludźmi błyszcząca,
Obfita we zdarzenia, nadzieją brzemienna!
Ja ciebie dotąd widzę piękna maro senna!
Urodzony w niewoli, okuty w powiciu,
Ja tylko jedną taką wiosnę miałem w życiu.

Soplicowo leżało tuż przy wielkiej drodze,
Którą od strony Niemna ciągnęli dwaj wodze:
Nasz Książe Józef i król Westfalski Hieronim.
Już zajęli część Litwy od Grodna po Słonim,
Gdy król roskazał wojsku dać trzy dni wytchnienia.
Ale polscy żołnierze mimo utrudzenia,
Skarżyli się, że król im marszu niedozwala,
Tak radziby co prędzej doścignąć Moskala.

W mieście pobliskiem stanął główny sztab książęcy,
A w Soplicowie oboz czterdziestu tysięcy,
I ze sztabami swemi Jenerał Dąbrowski,
Kniaziewicz, Małachowski, Giedrojć i Grabowski.

Pożno było gdy weszli; więc każdy gdzie może,
Zabierają kwatery w zamczysku, we dworze;
Skoro dano roskazy, rosstawiono czaty,
Każdy strudzony poszedł spać do swej komnaty.
Z nocą wszystko ucichło: oboz, dwór i pole;
Widać tylko jak cienie, błądzące patrole,
I gdzie nie gdzie błyskania ognisk obozowych,
Słychać kolejne hasła stanowisk wojskowych.

Spali, gospodarz domu, wodze i żołnierze;
Oczu tylko Wojskiego sen słodki nie bierze;
Bo Wojski ma na jutro biesiadę wyprawić,
Którą chce dom Sopliców na wiek wieków wsławić:
Biesiadę godną miłych sercom polskim gości,
I odpowiedną wielkiej dnia uroczystości,
Co jest świętem kościelnem i świętem rodziny;
Jutro odbyć się mają trzech par zaręczyny.

Zaś Jenerał Dąbrowski oświadczył z wieczora,
Że chce mieć obiad polski.

Choć spoźniona pora,
Wojski zebrał co prędzéj s sąsiedztwa kucharzy;
Pięciu ich było, służą, on sam gospodarzy.
Jako kuchmistrz białym się fartuchem opasał,
Wdział szlafmycę a ręce do łokciów zakasał;
W ręku ma packę muszą, owad ladajaki
Odpędza, wpadający chciwie na przysmaki;
Drugą ręką przetarte okulary włożył,
Dobył z zanadrza księgę, odwinął, otworzył.

Księga ta miała tytuł: *Kucharz doskonały*.
W niéj spisane dokładnie wszystkie specyały
Stołów polskich; podług niéj Hrabia na Tęczynie
Dawał owe biesiady we Włoskiéj krainie,
Którym się Ojciec święty Urban siódmy dziwił;
Podług niéj później Karól-Kochanku-Radziwił,
Gdy przyjmował w Nieświżu króla Stanisława,
Sprawił pamiętną ową ucztę, któréj sława
Dotąd żyje na Litwie we gminnéj powieści.

Co Wojski wyczytawszy pojmie i obwieści,
To natychmiast Kucharze robią umiejętni.
Wre robota, pięćdziesiąt nożów w stoły tętni,
Zwijają się kuchciki czarne jak szatany:
Ci niosą drwa, ci z mlekiem i z winem sagany,
Leją w kotły, skowrody, w rądle, dym wybucha;
Dwóch kuchcików przy piecu siedzi, w mieszki dmucha,
Wojski ażeby ogień tém łacniéj rospalać,
Roskazał stopionego masła na drwa nalać.
(Zbytek ten dozwolony jest w dostatnim domu)
Kuchciki sypią w ogień suche pęki łomu.
Inni na rożny sadzą ogromne pieczenie
Wołowe, sarnie, cąbry dzicze i jelenie;
Ci skubią stosy ptastwa, lecą puchów chmury,
Obnażają się głuszce, cietrzewie i kury.
Lecz kur nie wiele było; od owéj wyprawy
Którą w czasie zajazdu, Dobrzyński Sak krwawy
Zrobił na kurnik, kędy Zosi gospodarstwo
Zniszczył, nie zostawiwszy sztuki na lekarstwo:
Jeszcze nie mogło ptastwem zakwitnąć na nowo,
Sławne niegdyś ze drobiu swego Soplicowo.
Z resztą zaś mięs wszelakich był wielki dostatek,

Co się zgromadzić dało i z domu i z jatek,
I z lasów i s sąsiędztwa, zbliska i z dalcka:
Rzekłbyś, ptasiego tylko niedostaje mleka.
Dwie rzeczy których hojny Pan do uczty szuka,
Łączą się w Soplicowie: dostatek i sztuka.

Już wschodził uroczysty dzień *Najświętszéj Panny Kwietniéj*; pogoda była prześliczna, czas ranny,
Niebo czyste w około ziemi obciągnięte,
Jako morze wiszące, ciche, wklęsło-wgięte;
Kilka gwiazd świeci z głębi, jako perły ze dna
Przez fale; z boku chmurka biała, sama jedna,
Podlatuje i skrzydła w błękicie zanurza,
Podobne do niknących piór Anioła stróża,
Który nocną modlitwą ludzi przytrzymany
Spóźnił się, śpieszy wracać między spółniebiany.

Już ostatnie perły gwiazd zamierzchły, i na dnie
Niebios zgasły, i niebo środkiem czoła bladnie,
Prawą skronią złożone na w zgłowiu cieni
Jeszcze smagławe, lewą coraz się rumieni;
A dalej okrąg jakby powieka szeroka

Rozsuwa się, i w środku widać białek oka,
Widać tęczę, źrenicę — już promień wytrysnął,
Po okrągłych niebiosach wygięty przebłysnął,
I w białej chmurce jako złoty grot zawisnął.
Na ten strzał, na dnia hasło, pęk ogniów wylata,
Tysiąc rac krzyżuje się po okręgu świata,
A oko słońca weszło — jeszcze nieco senne
Przymruża się, drżąc wstrząsa swe rzęsy promienne,
Siedmią barw błyszczy razem: szafirowe razem,
Razem krwawi się w rubin i żółknie topazem,
Aż rozlśniło się jako kryształ przezroczyste,
Potém jak brylant światłe, nakonice ogniste,
Jak księżyc wielkie, jako gwiazda migające:
Tak po nieźmierném niebie szło samotne słońce.

Dziś pospólstwo Litewskie s całej okolicy
Zebrało się przed wschodem w około kaplicy,
Jak gdyby na nowego ogłoszenie cudu.
Zbiór ten pochodził w części s pobożności ludu,
A w części s ciekawości: bo dziś w Soplicowie
Na nabożeństwie mają być Jenerałowie,
Sławni dowódzcy owi naszych legionów,

Których lud znał imiona i czcił jak patronów,
Których wszystkie tułactwa, wyprawy i bitwy
Były ewangelią narodową Litwy.

Już przyszło officerów kilku, tłum żołnierzy;
Lud ich otacza, patrzy, ledwie oczom wierzy,
Oglądając rodaków mundury noszących,
Zbrojnych, wolnych i polskim językiem mówiących.

Wyszła msza — nieobcjmie świątynia maleńka
Całego zgromadzenia; lud na trawie klęka,
Patrząc we drzwi kaplicy, odkrywają głowy:
Włos Litewskiego ludu biały albo płowy,
Pozłacał się jako łan dojrzałego żyta;
Gdzie niegdzie kraśna główka dziewicza wykwita,
Ubrana w świeże kwiaty, albo w pawie oczy,
I wstęgi rosplecione, ozdoby warkoczy,
Sród głów męskich jak w zbożu bławat i kąkole.
Klęczący różnobarwy tłum okrywa pole,
A na głos dzwonka, niby na wiatru powianie,
Chylą się wszystkie głowy jak kłosy na łanie.

Wieśniaczki dziś na ołtarz Matki Zbawiciela,
Niosą pierwszy dar wiosny, świéże snopki ziela;
Wszystko w koło ubrane w bukiety i w wianki,
Ołtarz, obraz, a nawet dzwonica i ganki.
Czasem poranny wietrzyk, gdy ze wschodu wionie,
Zrywa wianki i rzuca na klęczących skronie,
I rozlewa jak s mszalnéj kadzielnicy wonie.

A gdy w kościele było po mszy i kazaniu,
Wyszedł przewodniczący całemu zebraniu
Podkomorzy, niedawno przez Powiatu Stany
Zgodnie Konfederackim Marszałkiem obrany.
Miał mundur Województwa, żupan złotem szyty,
Kontusz gredyturowy s frendzlą i pas lity,
Przy którym karabella z głównią jaszczurową,
Na szyi świecił wielką szpilką brylantową,
Konfederatka biała, a na niéj pęk gruby
Drogich piórek, były to białych czapel czuby.
(Na fest kładnie się tylko kitka tak bogata,
Któréj każde pióreczko kosztuje dukata.)
Tak ubrany, na wzgórek wstąpił przed kościołem,
Wieśniacy i żołnierstwo scisnęło się kołem,

On rzekł :

— Bracia! ogłosił wam Ksiądz na Ambonie
Wolność, którą Cesarz-Król przywrócił Koronie,
A teraz Litewskiemu Księstwu, Polszcze całéj
Przywraca ; słyszeliście rządowe uchwały
I zwołujące Walny Sejm uniwersały.
Ja tylko mam słów parę przemówić do gminy,
W rzeczy, która się tyczy Sopliców rodziny,
Tutejszych panów.

Cała pomni okolica;
Co tu zbroił nieboszczyk — Pan Jacek Soplica,
Ale kiedy o grzechach wszyscy wiecie,
Czas i zasługi jego ogłosić na świecie :
Obecni tu są naszych Wojsk Jenerałowie,
Od których usłyszałem wszystko co wam mowię.
Ten Jacek nie był umarł (jak głoszono) w Rzymie,
Tylko odmienił życie dawne, stan i imię;
A wszystkie przeciw Bogu i Ojczyźnie winy
Zgładził, przez żywot święty i przez wielkie czyny.

On to pod Hohenlinden, gdy Ryszpans Jenerał
Na pół pobity już się do odwrotu zbierał
Nie wiedząc że Kniaziewicz ciągnie ku odsieczy,
On to Jacek, zwan Robak, wśród grotów i mieczy
Przeniosł od Kniaziewicza listy Ryszpansowi,
Donoszące że nasi biorą tył wrogowi.
On potém w Hiszpanii, gdy nasze ułany
Zdobyły Samosyery grzbiet oszańcowany,
Obok Kozietulskiego był ranny dwa razy!
Następnie, jak wysłaniec s tajnemi rozkazy
Biegał po różnych stronach ducha ludzi badać,
Towarzystwa tajemne wiązać i zakładać;
Nakoniec, w Soplicowie w swém ojczystém gnieździe
Gdy gotował powstanie, zginął na zajeździe.
Właśnie o jego śmierci nadeszła wiadomość
Do Warszawy w tę chwilę, gdy Cesarz Jegomość
Raczył mu dać za dawne czyny bohaterskie
Legji honorowéj znaki kawalerskie.

Owoż te wszystkie rzeczy mając na uwadze,
Ja Reprezentujący Województwa władzę,
Moją Konfederacką ogłaszam wam łaską :

Że Jacek wierną służbą i Cesarską łaską
Zniosł infamii plamę, powraca do cześci,
I znowu się w rzęd prawych patryotów mieści;
Więc kto będzie śmiał Jacka zmarłego rodzinie
Wspomnieć kiedy o dawnej zagładzonej winie,
Ten podpadnie za karę takiego wyrzutu,
Gravis notæ maculæ; wedle słów Statutu
Karzących tak militem jak i skartabella,
Coby siał infamiję na obywatela;
A że teraz jest równość, więc artykuł trzeci
Obowiązuje równie i mieszczan i kmieci.
Ten wyrok Marszałkowski, pan Pisarz umieści
W aktach Jeneralności, a Woźny obwieści.

Co się tycze legii honorowej krzyża,
Że poźno przyszedł, nic to sławie nieubliża;
Jeśli Jackowi nie mógł służyć ku ozdobie,
Niech służy ku pamiątce, wieszam go na grobie.
Trzy dni tu będzie wisiał, potem do kaplicy
Złoży się, jako wotum dla Boga-Rodzicy.

To powiedziawszy, order wydobył s pokrowca,

I zawiesił na skromnym krzyżyku grobowca
Uwiązaną w kokardę wstążeczkę czerwoną
I krzyż biały gwiaździsty ze złotą koroną ;
Przeciw słońcu promienie gwiazdy zajaśniały,
Jako ostani odbłysk ziemskiej Jacka chwały.
Tymczasem lud na klęczkach Anioł Pański mowi
Upraszając o wieczny pokój grzesznikowi ,
Sędzia obchodzi gości i wiejską gromadę ,
Wszystkich do Soplicowa wzywa na biesiadę.

Ale na przyźbie domu usiedli dwaj starce,
Mając u kolan pełne miodu dwa półgarce ;
Patrzą w sad , gdzie wśród pączków barwistego maku
Stał ułan jak słonecznik, w błyszczącym kołpaku
Strojnym blachą złocistą i piórem koguta ,
Przy nim dziewcze w zielonej sukience jak ruta
Pozioma, wznosi oczki błękitne jak bratki
Ku oczom chłopca , dalej Panny rwały kwiatki
Po ogrodzie, umyślnie odwracając głowy
Od kochanków, żeby im nie męszać rozmowy.

Ale starce miód piją, tabakierką s kory

Częstując się nawzajem, toczą rozhowory.

Tak, tak, mój Protazeńku, rzekł Klucznik Gerwazy.
Tak, tak, mój Gerwazeńku, rzekł Woźny Protazy,
Tak to, tak! powtórzyli zgodnie kilka razy
Kiwając w takt głowami; wreszcie Woźny rzecze:
Iż process nasz skończy się dziwnie, ja nie przeczę;
Wszakże były przykłady; pamiętam processy,
W których się działy gorsze niż u nas excessy,
A intercyza cały zakończyła kłopot:
Tak z Borzdobohatymi pogodził się Łopot,
Krepsztulowie s Kupściami, Putrament s Pikturną,
Z Odyńcami Mackiewicz, s Kwileckimi Turno.
Co mówię! wszak Polacy miewali zamieszki
Z Litwą, gorsze niżeli s Soplicą Horeszki,
A gdy na rozum wzięła królowa Jadwiga,
To się bez sądów owa skończyła intryga.
Dobrze gdy strony mają panny albo wdowy
Na wydaniu, to zawsze kompromis gotowy.
Najdłuższy process zwykle bywa z duchowieństwem,
Bo wtenczas sprawy skończyć nie można małżeństwem.
Stąd to Lachy z Russami w sporach nieskończonych,

Idąc z Lecha i Russa, dwu braci rodzonych;
Stąd się tyle processów Litewskich ciągnęło
Długo s księżmi Krzyżaki, aż wygrał Jagieło.
Stąd nakoniec pendebat długo przed aktami
Sławny ów process Rymszów z Dominikanami,
Aż wygrał wreszcie Syndyk klasztorny Ksiądz Dymsza,
Skąd jest przysłowie: większy Pan Bóg niż Pan Rymsza;
Ja zaś dołożę, lepszy miód od scyzoryka —
To mówiąc półgarcówką przepił do Klucznika.

Prawda! prawda! rzekł na to Gerwazy wzruszony!
Dziwneć to były losy téj naszéj Korony
I naszéj Litwy! wszakto jak małżonków dwoje!
Bóg złączył, a czart dzieli, Bóg swoje, czart swoje!
Ach bracie Protazeńku! że to oczy nasze
Widzą! że znowu do nas ci Koroniasze
Zawitali! służyłem ja z nimi przed laty,
Pamiętam, dzielne były z nich konfederaty!
Gdyby nieboszczyk Pan mój Stolnik dożył chwili!
O Jacku! Jacku! — lecz cóż będziemy kwilili?
Skoro dziś znowu Litwa łączy się s Koroną,
Toć tém samém już wszystko zgodzono, zgładzono.

I to dziw, rzekł Protazy, że o téj to Zosi,
O któréj rękę teraz nasz Tadeusz prosi,
Było przed rokiem, omen, jakoby znak z nieba!
— Panną Zofią, przerwał Klucznik, zwać ją trzeba,
Bo już dorosła, nie jest dziewczyną maluczką,
Przytém s krwi dygnitarskiéj, jest Stolnika wnuczką.
— Owoż, kończył Protazy, był to znak proroczy
O jéj losie, widziałem znak na własne oczy.
Przed rokiem tu siedziała w święto czeladź nasza
Pijąc miod, alić patrzym: pęc, pada s poddasza
Dwóch wróblow bijących się, oba samcy stare,
Jeden młodszy cokolwiek miał podgarle szare,
Drugi czarne; daléjże tłuc się po podwórzu,
Przewracać kulki, że aż zaryli się w kurzu;
My patrzym, a tymczasem szepcą sobie sługi
Że ten czarny niech będzie Horeszko, a drugi
Soplica; więc ilekroć szary był na górze
Krzyczą, wiwat Soplica, pfe Horeszki tchórze!
A gdy spadał wołali, popraw się Soplica,
Niedaj się magnatowi, to wstyd na szlachcica.
Tak śmiejąc się czekamy, kto kogo pokona;
Wtém Zosieńka nad ptastwem litością wzruszona

Podbiegła i nakryła rączką te rycerze,
Jeszcze się w ręku bili, aż leciało pierze,
Taka była zawziętość w tém maleńkiém lichu.
Baby patrząc na Zosię, gadały po cichu,
Że pewnie przeznaczeniem będzie téj dziewczyny
Pogodzić dwie oddawna zwaśnione rodziny.
A widzę że się dzisiaj ziścił omen babi.
Prawdać to, że naonczas myślano o Hrabi
Nie zaś o Tadeuszu —

Na to Klucznik rzecze:
Dziwne są sprawy w świecie, kto wszystko dociecze!
Ja też powiem Waszeci rzecz choć nie tak cudną
Jak ów omen, a przecież do pojęcia trudną.
Wiesz iż dawniéj radbym był Sopliców rodzinę
W łyszce wody utopić; a tego chłopczynę
Tadeusza, od dziecka nieźmierniem polubił.
Uważałem że gdy się s chłopiętami czubił,
Zawsze ich zbił; więc ilekroć do zamku biegał,
Jam go zawsze do trudnych imprezów podżegał.
Wszystko mu się udało; czy wydrzeć gołębie
Na wieży, czy jemiołę oberwać na dębie,

Czyli z najwyższej sosny złupić wronie gniazdo,
Wszystko umiał; myśliłem: pod szczęśliwą gwiazdą
Urodził się ten chłopiec, szkoda że Soplica!
Któżby zgadł, że w nim zamku powitam dziedzica!
Męża Panny Zofii, mej Wielmożnej Pani.

Tu skończyli rozmowę, piją zadumani,
Słychać tylko niekiedy te krótkie wyrazy:
Tak, tak, Panie Gerwazy, — tak Panie Protazy.

Przyzba tykała kuchni, której okna stały
Otworem i dym jako s pożaru buchały,
Aż s kłębów dymu niby biała gołębica,
Mignęła świecąca się Kuchmistrza szlafmyca.
Wojski przez okno kuchni, po nad starców głowy,
Wytknąwszy głowę, milczkiem słuchał ich rozmowy,
I podał im nareszcie filiżanki spodek,
Pełen biszkoktów, mówiąc: Zakąście wasz miodek.
A ja wam też opowiem historyą ciekawą
Sporu, który miał bitwą zakończyć się krwawą,
Gdy polujący w głębi Nalibockich lasów
Rejtan, wypłatał sztukę książęciu Denassów.

Téj sztuki omal własném nieprzypłacił zdrowiem;
Jam kłótnię Panów zgodził, jak to wam opowiem.
— Ale Wojskiego powieść przerwali kucharze,
Pytając komu serwis ustawiać rozkaże.

Wojski odszedł, a starcy zaczérpnąwszy miodu,
Zadumani zwrócili oczy w głąb ogrodu,
Gdzie ów dorodny Ułan rozmawiał s Panienką.
Właśnie Ułan ująwszy jéj dłoń lewą ręką,
(Prawą miał na temlaku, widać że był ranny)
S takiemi odezwał się słowami do Panny:

Zofio musisz to mnie koniecznie powiedzieć,
Nim zamienim pierścionki, muszę o tém wiedzieć.
I cóż że przeszłéj zimy byłaś już gotowa
Dać słowo mnie? ja wtenczas nie przyjąłem słowa:
Bo i cóż mnie po takiém wymuszoném słowie.
Wtenczas bawiłem bardzo krótko w Soplicowie,
Niebyłem taki próżny ażebym się łudził,
Żem jednem mém spójrzeniem miłość w tobie wzbudził;
Ja nie fanfaron, chciałem mą własną zasługą
Zyskać twe względy, choćby przyszło czekać długo.

Teraz jesteś łaskawa twe słowo powtórzyć:
Czemże na tyle łaski umiałem zasłużyć?
Może mnie bierzesz Zosiu nie tak s przywiązania,
Tylko że stryj i ciotka do tego cię skłania;
Ale małżeństwo Zosiu jest rzecz wielkiej wagi,
Radź się serca własnego, niczyjej powagi
Tu nie słuchaj, ni stryja groźb ni namów cioci;
Jeśli nic czujesz dla mnie nic oprócz dobroci,
Możem te zaręczyny czas jakiś odwlekać,
Więzić twéj woli niechcę, będziem Zosiu czekać.
Nic nas nienagli, zwłaszcza że wczora wieczorem,
Dano mi rozkaz zostać w Litwie instruktorem
W półku tutejszym, nim się z mych ran nie wyleczę.
I cóż kochana Zosiu?

Na to Zosia rzecze,
Wznosząc głowę i patrząc w oczy mu nie śmiało:
Nie pamiętam już dobrze co się dawniej działo,
Wiem że wszyscy mówili iż za mąż iść trzeba
Za Pana; ja się zawsze zgadzam z wolą nieba
I z wolą starszych — potem spuściwszy oczęta
Dodała: przed odjazdem jeśli Pan pamięta,

Kiedy umarł Ksiądz Robak w ową burzę nocną,
Widziałam, że Pan jadąc żałował nas mocno,
Pan łzy miał w oczach, te łzy powiem Panu szczerze,
Wpadły mnie aż do serca; odtąd Panu wierzę
Że mnie lubisz; ilekroć mówiłam pacierze
Za Pana powodzenie, zawsze przed oczami
Stał Pan s temi dużemi błyszczącemi łzami.
Potem Podkomorzyna do Wilna jeździła,
Wzięła mnie tam na zimę, alem ja tęskniła
Do Soplicowa i do tego pokoiku,
Gdzie mnie Pan naprzód w wieczor spotkał przy stoliku,
Potem pożegnał; niewiem skąd pamiątka Pana,
Coś niby jak rossada w jesieni zasiana,
Przez całą zimę w mojém sercu się krzewiła,
Że jako mówię Panu — ustawniem tęskniła
Do tego pokoiku, i cóś mi szeptało,
Że tam znów Pana znajdę, i tak się też stało.
Mając to w głowie, często też miałam na ustach
Imie Pana — było to w Wilnie na zapustach;
Panny mówiły że ja jestem zakochana:
Jużci jeżeli kocham, to już chyba Pana.
—Tadeusz rad s takiego miłości dowodu,

Wziął ją pod rękę, ścisnął, i wyszli z ogrodu
Do pokoju damskiego, do owej komnaty
Kędy Tadeusz mieszkał przed dziesięcią laty.

Teraz bawił tam Rejent cudnie wystrojony,
I usługiwał damie swojej narzeczonéj,
Biegając i podając sygnety, łańcuszki,
Słoiki i flaszeczki i proszki i muszki,
Wesoł, na pannę młodą patrzył tryumfalnie.
Panna młoda kończyła robić gotowalnię;
Siedziała przed źwierciadłem radząc się bóstw wdzięku;
Pokojowe zaś, jedne z żelaskami w ręku
Odświeżają nadstygłe warkoczów pierścionki,
Drugie klęcząc pracują około falbonki.

Gdy się tak Rejent bawi ze swą narzeczoną,
Kuchcik stuknął doń wokno; kota postrzeżono.
Kot wykradłszy się z łozy prześmignął po łące
I wskoczył w sad pomiędzy jarzyny wschodzące,
Tam siedzi, wystraszyć go łacno z rosadniku
I uszczuć postawiwszy charty na przesmyku.
Bieży Assesor ciągnąc za obróż Sokoła,

Pośpiesza za nim Rejent i Kusego woła.
Wojski obu s chartami przy płocie ustawił,
A sam się s placką muszą do sadu wyprawił,
Depcąc, świszcząc i klaszcząc, bardzo źwierza trwoży;
Szczwacze trzymając każdy charta na obroży,
Ukazują palcami skąd zając wyruszy,
Cmokają scicha; charty nadstawiły uszy,
Wytknęły pyski na wiatr i drżą niecierpliwie
Jak dwie strzały złożone na jednéj cięciwie.
W tém Wojski krzyknął: wycz ha! zając smyk z za płotu
Na łąkę, charty za nim, i wnet bez obrotu,
Sokoł i Kusy razem spadli na szaraka
Ze dwóch stron w jednéj chwili, jak dwa skrzydła ptaka,
I zęby mu jak szpony zatopili w grzbiecie.
Kot jęknął raz, jak nowo narodzone dziecie,
Żałośnie! biegą szczwacze: już leży bez ducha,
A charty mu sierć białą targają spod brzucha.

Szczwacze pogłaskali psy, a Wojski tym czasem
Dobył nożyk strzelecki wiszący za pasem,
Oderznął skoki i rzekł: dziś równą odprawę
Wezmą pieski, bo równą pozyskali sławę,

Równa ich była rączość, równa była praca,
Godzien jest pałac Paca, godzien Pac pałaca,
Godni są szczwacze chartów, godne szczwaczów charty;
Otoż skończony spór wasz długi i zażarty,
Ja któregoście Sędzią zakładu obrali,
Wydaję wreście wyrok: obaście wygrali,
Wracam fanty, niech każdy przy swoim zostanie,
A wy podpiszcie zgodę. — Na starca wezwanie,
Szczwacze zwrócili na się rozjaśnione lice
I długo rozdzielone złączyli prawice.

W tém rzekł Rejent: stawiłem niegdyś konia z rzędem,
Opisałem się także przed ziemskim urzędem
Iż pierścień mój Sędziemu w salarium złożę;
Fant postawiony w zakład, wracać się nie może.
Pierścień niechaj Pan Wojski na pamiątkę przymie,
I każe na nim wyryć albo swoje imie
Lub gdy zechce, herbowne Hreczechów ozdoby;
Krwawnik jest gładki, złoto jedenastéj proby.
Konia teraz Ułani pod jazdę zabrali,
Rzęd został przy mnie, każdy znawca ten rzęd chwali
Iż jest wygodny, trwały, a piękny jak cacko:

Kułbaczka wąska modą s turecka kozacką,
Kula na przodzie, w kuli są drogie kamienie,
Poduszeczka z rubrontu wyściełа siedzenie.
A kiedy na łęk wskoczysz, na tym miękkim puszku
Między kulami siedzisz wygodnie jak w łóżku;
A gdy w galop puścisz się (tu Rejent Bolesta
Który jako wiadomo, bardzo lubił gesta,
Rosstawił nogi jakby na konia wskakiwał,
Potém galop udając powoli się kiwał)
A gdy w galop puścisz się, natenczas s czapraka
Blask bije, jakby złoto kapało z rumaka,
Bo tabenki są gęsto złotem nakrapiane,
I szerokie strzemiona srebrne pozłacane;
Na rzemieniach munsztuka i na uździenicy
Połyskają guziki perłowej macicy,
U napierśnika wisi księżyc w kształt Leliwy,
To jest w kształt nowiu. Cały ten sprzęt osobliwy,
Zdobyty (jak wieść) niesie w boju Podhajeckim
Na jakimś bardzo znacznym szlachcicu tureckim,
Przyjm Assesorze w dowód mojego szacunku.

A na to rzekł Assesor wesoł s podarunku:

Ja niegdyś darowane od Księcia Sanguszki
Stawiłem w zakład moje prześliczne obróżki,
Jaszczurem wykładane s kolcami ze złota,
I utkaną z jedwabiu smycz, której robota
Równie droga jak kamień co się na niej świeci.
Chciałem sprzęt ten zostawić w dziedzictwie dla dzieci;
Dzieci pewnie mieć będę, wiesz że się dziś żenię;
Ale ten sprzęt Rejencie, proszę uniżenie
Bądź łaskaw przyjąć w zamian za twój rzęd bogaty,
I na pamiątkę sporu, co długiemi laty
Toczył się, i nareszcie zakończył zaszczytnie
Dla nas obu — Niech zgoda między nami kwitnie.
Więc wracali do domu oznajmić za stołem,
Że się skończył spór między Kusym i Sokołem.

Była wieść, że zająca tego Wojski w domu
Wyhodował i w ogród puścił pokryjomu,
Ażeby szczwaczów zgodzić zbyt łatwą zdobyczą.
Staruszek tak swą sztukę zrobił tajemniczo,
Że oszukał zupełnie całe Soplicowo.
Kuchcik w lat kilka później szepnął o tém słowo,
Chcąc Assesora skłócić z Rejentem na nowo;

Ale próżno krzywdzące chartów wieści szerzył,
Wojski zaprzeczył, i nikt kuchcie nieuwierzył.

Już goście zgromadzeni w wielkiej zamku sali,
Czekając uczty w koło stołu rozmawiali,
Gdy Pan Sędzia w mundurze Wojewódzkim wchodzi,
I Pana Tadeusza z Zofią przywodzi.
Tadeusz lewą dłonią dotykając głowy,
Pozdrowił swych dowódców, przez ukłon wojskowy.
Zofia z opuszczonem ku ziemi wejrzeniem,
Zapłoniwszy się, gości witała dygnieniem;
(Od Telimeny pięknie dygać wyuczona.)
Miała wianek na głowie jako narzeczona,
Z resztą ubior ten samy w jakim dziś w kaplicy
Składała snop wiosenny dla Boga Rodzicy.
Użęła znów dla gości nowy snopek ziela;
Jedną ręką zeń kwiaty i trawy rożdziela,
Drugą swój sierp błyszczący poprawia na głowie:
Brali ziółka całując jej ręce wodzowie.
Zosia znowu dygała w kolej zapłoniona.

W tem Jenerał Kniaziewicz wziął ją za ramiona,

I złożywszy ojcowski całus na jéj czole,
Podniósł w górę dziewczynę, postawił na stole:
A wszyscy klaszcząc w dłonie zawołali brawo!
Zachwyceni dziewczyny urodą, postawą,
A szczególniéj jéj strojem Litewskim, prostaczym;
Bo dla tych wodzów, którzy w swém życiu tułaczém
Tak długo błąkali się w obcych stronach świata,
Dziwne miała powaby narodowa szata,
Która im wspominała i młode ich lata
I dawne ich miłostki; więc ze łzami prawie
Skupili się do stołu, patrzyli ciekawie.
Ci proszą aby Zosia wzniosła nieco czoło
I oczy pokazała, ci ażeby w koło
Raczyła się obrócić — dziewczyna wstydliwa
Obraca się lecz oczy rękami zakrywa.
Tadeusz patrzył wesoł i zacierał ręce.

Czy ktoś Zosi poradził wyjść w takiéj sukience,
Czy instynktem wiedziała (bo dziewczyna zgadnie
Zawsze instynktem, co jéj do twarzy przypadnie)
Dosyć że Zosia piérwszy raz w życiu dziś z rana
Była od Telimeny za upor łajana,

Niechcąc modnego stroju, aż wymogła płaczem
Że ją tak zostawiono, w ubraniu prostaczém.
Spodniczkę miała długą, białą; suknię krótką
Z zielonego kamlotu z różową obwódką;
Gorset także zielony, różowemi wstęgi
Od łona aż do szyi sznurowany w pręgi;
Pod nim pierś jako pączek pod listkiem się tuli.
Od ramion świecą białe rękawy koszuli,
Jako skrzydła motyle do lotu wydęte,
U dłoni skarbowane i wstążką opięte;
Szyja także koszulką obciśniona wąską,
Kołnierzyk zadzierzgniony różową zawiąską;
Zauszniczki wyrznięte sztucznie s pestek wiszni,
Których się wyrobieniem Sak Dobrzyński pyszni
(Były tam dwa serduszka z grotem i płomykiem
Dane dla Zosi, gdy Sak był jéj zalotnikiem);
Na kołnierzyku wiszą dwa sznurki bursztynu,
Na skroniach zielonego wianek rozmarynu,
Wstążki warkoczów Zosia rzuciła na barki,
A na czoło włożyła zwyczajem żniwiarki
Sierp krzywy, świeżym żęciem traw oszlifowany,
Jasny, jak nów miesięczny nad czołem Dyany.

Wszyscy chwalą, klaskają. Jeden z officerów
Dobył s kieszeni *portefeuille* s plikami papierów,
Rozłożył je, ołówek przyciął, w ustach zmoczył,
Patrzy w Zosię, rysuje. Ledwie Sędzia zoczył
Papiery i ołówki, poznał rysownika,
Choć go bardzo odmienił mundur pułkownika,
Bogate szlify, mina prawdziwie ułańska,
I wąsik poczerniony i bródka hiszpańska.
Sędzia poznał: Jak się masz mój Jaśnie Wielmożny
Hrabio, i w ładownicy masz twój sprzęt podróżny
Do malarstwa!— W istocie był to Hrabia młody,
Nie dawny żołnierz, lecz że wielkie miał dochody
I swoim kosztem cały pułk jazdy wystawił
I w pierwszéj zaraz bitwie wybornie się sprawił,
Cesarz go półkownikiem dziś właśnie mianował:
Więc Sędzia witał Hrabię i rangi winszował,
Ale Hrabia nie słuchał, a pilnie rysował.

Tym czasem weszła druga para narzeczona:
Assesor niegdyś Cara, dziś Napoleona
Wierny sługa; żandarmów oddział miał w komędzie,
A choć ledwie dwadzieścia godzin był w urzędzie,

Już włożył mundur siny s Polskiemi wyłogi
I ciągnął krzywą szablę i dzwonił w ostrogi.
Obok poważnym krokiem szła jego kochanka
Ubrana bardzo strojnie, Tekla Hreczeszanka;
Bo Assesor już dawno Telimenę rzucił,
I aby tę kokietkę tém mocniéj zasmucił,
Ku Wojszczance affekty serdeczne obrócił.
Panna nie nadto młoda, już pono pół-wieczna,
Lecz gospodyni dobra, osoba stateczna
I posażna, bo oprócz swéj dziedzicznéj wioski
Sumką z daru Sędziego powiększała wnioski.

Trzeciéj pary daremnie czekają czas długi.
Sędzia niecierpliwi się, i wysyła sługi;
Wracają: powiadają że trzeci małżonek
Pan Rejent, szczując kota, zgubił swój pierścionek
Slubny, szuka na łące; a Rejenta dama
Jeszcze u gotowalni, choć spieszy się sama
I choć jéj pomagają służebne kobiety,
Nie mogła w żaden sposób skończyć toalety:
Ledwie będzie gotowa na godzinę czwartą.

KSIĘGA DWUNASTA.

KOCHAJMY SIĘ.

TREŚĆ.

Ostatnia Uczta staropolska — Arcy-serwis — Objasnienie jego figur — Jego ruchy — Dąbrowski udarowany — Jeszcze o Scyzoryku — Kniaziewicz udarowany — Pierwszy akt urzędowy Tadeusza przy objęciu dziedzictwa — Uwagi Gerwazego — Koncert nad koncertami — Polonez — Kochajmy się!

Nakoniec s trzaskiem, sali drzwi na wściąż otwarto.
Wchodzi Pan Wojski w czapce i z głową zadartą,
Nie wita się i miejsca za stołem nie bierze,
Bo Wojski występuje w nowym charakterze
Marszałka dworu; laskę ma na znak urzędu,
I tą laską s kolei jako mistrz obrzędu,

Wskazuje wszystkim miejsca i gości usadza.
Naprzód, jako najpierwsza Województwa władza,
Podkomorzy-Marszałek wziął miejsce zaszczytne,
Ze słoniowym poręczem krzesło aksamitne,
Obok na prawéj stronie Jenerał Dąbrowski,
Na lewéj siadł Kniaziewicz, Pac i Małachowski.
Śród nich Podkomorzyna, daléj inne panie,
Officerowie, Pany, szlachta i ziemianie,
Męszczyźni i kobiety na przemian po parze
Usiadają porządkiem gdzie Wojski ukaże.

Pan Sędzia skłoniwszy się opuścił biesiadę;
On na dziedzińcu włościan traktował gromadę,
Zebrawszy ich za stołem na dwa staje długim,
Sam siadł na jednym końcu, a Pleban na drugim.
Tadeusz i Zofia do stołu nie siedli,
Zajęci częstowaniem włościan, chodząc jedli.
Starożytny był zwyczaj, iż dziedzice nowi
Na pierwszéj uczcie sami służyli ludowi.

Tymczasem goście potraw czekający w sali,
Z zadziwieniem na wielki serwis poglądali,

Którego równie drogi kruszec jak robota.
Jest podanie, że Książe Radziwił-Sierota
Kazał ten sprzęt na urząd w Wenecyi zrobić,
I wedle własnych planów po polsku ozdobić.
Serwis potém zabrany czasu wojny szwedzkiéj
Przeszedł, niewiedzieć jaką drogą, w dom szlachecki,
Dziś ze skarbca dobyty zajął środek stoła
Ogromnym kręgiem, nakształt karetnego koła.

Serwis ten był nalany ode dna po brzegi
Piankami i cukrami białemi jak śniegi,
Udawał przewybornie krajobraz zimowy;
W środku czerniał ogromny bór konfiturowy,
Stronami domy, niby wioski i zaścianki,
Okryte zamiast śronu, cukrowemi pianki;
Na krawędziach naczynia, stoją dla ozdoby,
Niewielkie s porcelany wydęte osoby
W Polskich strojach; jakoby aktory na scenie,
Zdawały się przedstawiać jakoweś zdarzenie;
Gest ich sztucznie wydany, farby osobliwe,
Tylko głosu im braknie, z resztą gdyby żywe.

Cóż przedstawiają? goście pytali ciekawi,
Zaczém Wojski podnosi laskę i tak prawi:
(Tymczasem podawano wódkę przed jedzeniem)
— Za mych Wielce Mościwych Panów pozwoleniem:
Te persony których tu widzicie bez liku,
Przedstawiają Polskiego historyą sejmiku,
Narady, wotowanie, tryumfy i waśnie,
Sam tę scenę odgadłem i Państwu objaśnię.

Oto na prawo widać liczne szlachty grono:
Pewnie ich przed sejmikiem na ucztę sproszono,
Czeka nakryty stolik; nikt gości nie sadza,
Stoją kupkami, każda kupka się naradza.
Patrzcie iż w każdéj kupce stoi w środku człowiek,
S którego ust otwartych, s podniesionych powiek,
Rąk niespokojnych, widać — mówca, cóś tłomaczy,
I palcem explikuje i na dłoni znaczy.
Ci mowcy zalecają swoich kandydatów
Z różnym skutkiem; jak widać z miny szlachty bratów.

W prawdzie tam w drugiéj kupie szlachta pilnie słucha,
Ten ręce za pas zatknął i przyłożył ucha,

Ow dłoń przy uchu trzyma, i milczkiem wąs kręci,
Zapewne słowa zbiera i niże w pamięci;
Cieszy się mowca widząc że są nawróceni,
Gładzi kieszeń, bo kreski ich już ma w kieszeni.

Lecz za to w trzeciém gronie dzieje się inaczéj:
Tu mówca musi łowić za pasy słuchaczy,
Patrzcie, wyrywają się i cofają uszy;
Patrzcie jako ten słuchacz od gniewu się puszy,
Wzniosł ręce, grozi mówcy, usta mu zatyka,
Pewnie słyszał pochwały swego przeciwnika;
Ten drugi pochyliwszy czoło nakształt byka,
Powiedziałbyś że mówcę pochwyci na rogi,
Ci biorą się do szabel, tamci poszli w nogi.

Jeden między kupkami szlachcic cichy stoi,
Widac że człek bezstronny, waha się i boi,
Za kim dać kreskę! nie wie i sam s sobą w walce,
Pyta losu, wzniosł ręce, wytknął wielkie palce,
Zmrużył oczy, paznokciem do paznokcia mierzy,
Widać że kreskę swoję kabale powierzy;
Jeśli palce trafią się, da affirmatiwę,

A jeżeli się chybią, rzuci negatiwę.

Na lewej druga scena; refektarz klasztoru
Obrócony na salę szlacheckiego zboru.
Starsi rzędem na ławach siedzą, młodsi stają
I ciekawi przez głowy w środek zaglądają;
W środku Marszałek stoi, wazon w ręku trzyma,
Liczy gałki, szlachta je pożera oczyma,
Właśnie wytrząsł ostatnią; Woźni ręce wznoszą
I imie obranego urzędnika głoszą.

Jeden szlachcic na zgodę powszechną nie zważa,
Patrz, wytknął głowę oknem s kuchni refektarza,
Patrz jak oczy wytrzészczył, jak pogląda śmiało,
Usta otworzył, jakby chciał zjeść izbę całą;
Łatwo zgadnąć, że szlachcic ten zawołał: weto! —
Patrzcie jak za tą nagłą do kłótni podnietą,
Tłoczy się do drzwi ciżba, pewnie idą w kuchnię.
Dostali szable, pewnie krwawy bój wybuchnie..

Lecz tam na korytarzu, Państwo uważacie
Tego starego księdza co idzie w ornacie,

To Przeor, Sanktissimum z ołtarza wynosi,
A chłopiec w komży dzwoni i na ustęp prosi;
Szlachta wnet szable chowa, żegna się i klęka,
A ksiądz tam się obraca gdzie jeszcze broń szczęka,
Skoro przyjdzie, wnet wszystkich uciszy i zgodzi.

Ach! wy niepamiętacie tego Państwo młodzi!
Jak wśród naszéj burzliwéj szlachty samowładnéj,
Zbrojnej, nietrzeba było policyi żadnéj;
Dopóki wiara kwitła, szanowano prawa,
Była wolność s porządkiem i z dostatkiem sława!
W innych krajach, jak słyszę, trzyma urząd drabów,
Policyantów różnych, żandarmów, konstabów.
Ale jeśli miecz tylko bespieczeństwa strzeże,
Żeby w tych krajach była wolność — nie uwierzę.

W tém dzwoniąc w tabakierę, rzekł Pan Podkomorzy:
Panie Wojski, niech Wasze na potém odłoży
Te historye, prawda że sejmik ciekawy,
Ale my głodni, każ Wać przynosić potrawy.

Na to Wojski, skłaniając aż do ziemi laskę:

Jaśnie Wielmożny Panie, zróbże mi tę łaskę,
Zaraz dokończę scenę ostatnią sejmików;
Oto nowy Marszałek na ręku stronników
Wyniesion z refektarza, patrz, jak szlachta braty,
Rzucają czapki, usta otwarli, — wiwaty!
A tam po drugiej stronie Pan przekreskowany
Sam jeden, czapkę wcisnął na łeb zadumany,
Żona przed domem czeka, zgadła co się dzieje,
Biedna! oto na ręku pokojowéj mdleje,
Biedna! Jaśnie Wielmożnéj tytuł przybrać miała,
A znów tylko Wielmożną na lat trzy została!

Tu Wojski skończył opis, i laską znak daje,
I wnet zaczęli wchodzić parami lokaje
Roznoszący potrawy; barszcz królewskim zwany,
I rosoł staro-polski sztucznie gotowany,
Do którego Pan Wojski z dziwnemi sekrety
Wrzucił kilka perełek i sztukę monety,
Taki rosoł krew czyści i pokrzepia zdrowie —
Daléj inne potrawy, a któż je wypowie!
Kto zrozumie nieznane już za naszych czasów,
Te półmiski kontuzów, arkasów, blemasów,

Z ingredyencyami pomuchl, ligatelów,
Cybetów, piżm, dragantów, pinelów, brunellów;
Owe ryby! łososie suche, dunajeckie,
Wyżyny, kawiary weneckie, tureckie,
Szczuki główne i szczuki podgłówne, łokietne,
Flądry, i karpie ćwiki i karpie szlachetne!
W końcu sekret kucharski: ryba nie krojona,
U głowy przysmażona, we środku pieczona,
A mająca potrawkę s sosem u ogona.

Goście ani pytali nazwiska potrawy,
Ani ich zastanowił ów sekret ciekawy,
Wszystko prędko z żołnierskim jedli apetytem,
Kieliszki napełniając węgrzynem obfitym.

Ale tymczasem, wielki serwis barwę zmienił,
I odarty ze śniegu już się zazielenił,
Bo lekka, ciepłem letniem powoli rozgrzana
Rostopiła się lodu cukrowego piana,
I dno odkryła, dotąd zatajone oku;
Więc krajobraz przedstawił nową porę roku,
Zabłysnąwszy zieloną, różnofarbną, wiosną.

Wychodzą różne zboża, jak na drożdżach rosną,
Pszenicy szafranowéj buja kłos złocisty,
Żyto ubrane w srebra malarskiego listy,
I gryka wyrabiana sztucznie s czokolady,
I kwitnące gruszkami i jabłkami sady.

Ledwie mają czas goście darów lata użyć·
Darmo proszą Wojskiego żeby je przedłużyć,
Już serwis jak planeta koniecznym obrotem,
Zmienia porę, już zboża malowane złotem,
Nabrawszy ciepła w izbie powoli topnieją,
Już trawy pożółkniały, liścia czerwienieją,
Sypią się, rzekłbyś iż wiatr jesienny powiewa,
Nakoniec owe chwilę przedtym strojne drzewa,
Teraz jakby odarte od wichrów i szronu
Stoją nagie; były to laski cynamonu,
Lub udające sosnę gałąski wawrzynu,
Odziane zamiast kolców ziarenkami kminu —

Goście pijący wino, zaczęli gałąski
Pnie i korzenie zrywać i gryść dla zakąski.
Wojski obchodził serwis i pełen radości,

Tryumfujące oczy obracał na gości.

Henryk Dąbrowski udał wielkie zadziwienie
I rzekł: mój Panie Wojski, czy to Chińskie cienie?
Czy to Pinety Panu dał w służbę swe bisy?
Czy dotąd u was w Litwie są takie serwisy
I wszyscy takim starym ucztują zwyczajem?
Powiedz mi, bo ja życie strawiłem za krajem.

Wojski rzekł kłaniając się: Nie, Jaśnie Wielmożny
Jenerale, nie jest to żaden kunszt bezbożny!
Jest to pamiątka tylko owych biesiad sławnych,
Które dawano w domach panów starodawnych,
Gdy Polska używała szczęścia i potęgi!
Com zrobił, tom wyczytał s téj tu oto księgi.
Pytasz czy wszędzie w Litwie ten się zwyczaj chowa,
Niestety! już i do nas włazi moda nowa.
Nie jeden Panicz krzyczy że nie cierpi zbytków,
Je jak żyd, skąpi gościom potraw i napitków,
Węgrzyna pożałuje, a pije szatańskie
Fałszywe wino modne moskiewskie szampańskie;
Potém w wieczór na karty tyle złota straci,

Że za nic dałbyś ucztę na stu szlachty braci,
Nawet (bo co na sercu mam, dziś powiem szczerze,
Niech tego Podkomorzy za złe mi nie bierze)
Kiedym ten serwis cudny ze skarbca dobywał,
To nawet Podkomorzy i on mnie przedrwiwał!
Mówiąc że to machina zmudna, staroświecka,
Że to ma pozor niby zabawki dla dziecka
Nieprzyzwoitéj dla tak znakomitych ludzi!
Sędzio! i Sędzia mówił że to gości znudzi!
A przecież ile wnoszę s Panów zadziwienia,
Widzę iż ten kunszt piękny, godzien był widzenia!
Niewiém czy się podobna okazya zdarzy
Częstować w Soplicowie takich dignitarzy.
Widzę że Pan Jenerał na biesiadach zna się,
Niechaj przyjmie tę książkę, ona Panu zda się
Gdy będziesz dla monarchów zagranicznych grona
Dawał ucztę, ba nawet dla Napoleona.
Ale pozwól nim księgę tę Panu poświęcę,
Niech powiem jakim trafem wpadła w moje ręce.

W tém szmer powstał za drzwiami, razem głosów wiele
Zawołało: niech żyje Kurek na kościele!

Ciżba tłoczy się w salę, a Maciej na czele.
Sędzia gościa za rękę do stołu prowadził,
I wysoko pomiędzy wodzami posadził,
Mówiąc : Panie Macieju, niedobry sąsiedzie,
Przyjeżdżasz bardzo pożno, prawie po obiedzie.
— Jem wcześnie, rzekł Dobrzyński, ja tu nie dla jadła
Przybyłem, tylko że mnie ciekawość napadła,
Obejrzeć z bliska naszą armię narodową,
Wielcby gadać — jest to ani to ni owo!
Szlachta mnie obaczyła i gwałtem tu wiedzie,
A Waszeć za stół sadzasz — dziękuję sąsiedzie —
To wyrzekłszy, przewrócił talerz dnem do góry
Na znak że jeść niebędzie, i milczał ponury.

— Panie Dobrzyński, rzekł mu Jenerał Dąbrowski,
Tyż to jesteś ów sławny rębacz Kościuszkowski,
Ów Maciej, zwany Rózga! znam ciebie ze sławy.
I proszę, takiś dotąd czerstwy, taki żwawy!
Ileż to lat minęło! Patrz, jam się podstarzał,
Patrz i Kniaziewiczowi już się włos poszarzał,
A ty jeszcze z młodszymi mógłbyś pójść w zapasy,
I rózga twoja kwitnie pono jak przed czasy;

Słyszałem, żeś niedawno Moskalów oćwiczył.
Lecz gdzie są bracia twoi? Niezmierniebym życzył
Widzieć te scyzoryki i te wasze brzytwy,
Ostatnie exemplarze starodawnéj Litwy.
— Jenerale, rzekł Sędzia, po owém zwycięstwie,
Prawie wszyscy Dobrzyńscy schronili się w Księstwie,
Zapewne do którego weszli legionu.
— W istocie, odpowiedział młody Szef szwadronu,
Mam w drugiéj kompanii wąsate straszydło
Wachmistrza Dobrzyńskiego, co się zwie Kropidło,
A mazury zowią go Litewskim niedźwiedziem.
Jeśli Jenerał każe, to go tu przywiedziem.
— Jest, rzekł Porucznik, kilku innych rodem z Litwy,
Jeden żołnierz znajomy pod imieniem Brzytwy,
I drugi co s tromblonem jeździ na flankiery,
Są także w półku strzelców dwa grenadiery
Dobrzyńscy.

— Ale, ale o ich naczelniku,
Rzekł Jenerał, chcę wiedzieć o tym Scyzoryku,
O którym mnie Pan Wojski tyle prawił cudów,
Jakby o jednym z owych dawnych wielkoludów

— Scyzoryk, rzecze Wojski, choć nie exulował,
Ale bojąc się śledztwa, przed Moskwą się schował,
Całą zimę nieborak tułał się po lasach,
Teraz dopiero wyszedł; w tych wojennych czasach
Mógłby się na co przydać, jest rycerskim człekiem,
Szkoda tyko, że trochę przyciśniony wiekiem.
Lecz owóż on!... Tu Wojski palcem wskazał w sieni
Gdzie czeladź i wieśniacy stali natłoczeni.
A nad wszystkich głowami łysina błyszcząca,
Ukazała się nagle jak pełnia miesiąca,
Trzykroć weszła i trzykroć znikła w głów obłoku,
Klucznik idąc kłaniał się, aż dobył się s tłoku,
I rzekł:

Jaśnie Wielmożny Koronny Hetmanie
Czy Jenerale, mniejsza o tytułowanie,
Jam jest Rębajło, staję na twe zawołanie
S tym moim scyzorykiem, który nie z oprawy
Ani z napisów, ale z hartu nabył sławy,
Że nawet o nim Jaśnie Wielmożny Pan wiedział.
Gdyby on gadać umiał, możeby powiedział
Cokolwiek na pochwałę i téj starej ręki,

Która służyła długo, wiernie Bogu dzięki,
Ojczyźnie, tudzież Panów Horeszków rodzinie,
Czego pamięć dotychczas między ludźmi słynie.
Mopanku! rzadko który pisarz prowentowy
Tak zręcznie temperuje pióra jak on głowy,
Długo liczyć! A nosów i uszu bez liku!
A niema żadnej szczerby na tym scyzoryku
I żaden go nie splamił zbojecki uczynek;
Tylko otwarta wojna, albo pojedynek.
Raz tylko! Panie daj mu wieczny odpoczynek,
Bezbronnego człowieka, niestety, sprzątniono!
A i to Bóg mi świadkiem, pro publico bono.

— Pokażno, rzekł śmiejąc się Jenerał Dąbrowski,
A to piękny scyzoryk, istny miecz katowski! —
I z zadziwieniem wielki rapier opatrywał
I innym officerom w kolej pokazywał;
Probowali go wszyscy, ale ledwie który
Z officerów, mógł podnieść ten rapier do góry.
Mówiono że Dembiński sławny ręki siłą
Podźwignąłby szablicę, lecz go tam niebyło.
Z obecnych zaś, tylko szef szwadronu Dwernicki

I dowódca plutonu Porucznik Różycki,
Potrafili obracać tym żelaznym drągiem:
I tak rapier na probę szedł z rąk do rąk ciągiem.

Lecz Jenerał Kniaziewicz wzrostem najsłuszniejszy
Pokazało się iż był w ręku najsilniejszy,
Ująwszy rapier lekko jakby szpadę dźwignął
I nad głowami gości błyskawicą mignął,
Przypominając Polskie fechtarskie wykręty,
Krzyżową sztukę, *młyńca*, *cios krzywy*, *raz cięty*,
Cios kradziony, i tempy *kontrpunktów*, *tercetow*,
Które też umiał, bo był ze szkoły kadetów.

Gdy śmiejąc się fechtował, Rębajło już klęczał,
Objął go za kolana i ze łzami jęczał;
Za każdym zwrotem miecza — pięknie! Jenerale
Czyś był konfederatem? pięknie, doskonale!
To sztych Puławskich! tak się Dzierżanowski składał,
To sztych Sawy! Któż Panu tak rękę układał,
Chyba Maciej Dobrzyński! a to? Jenerale
Mój wynalazek, dalbóg mój, ja się niechwalę,
To cięcie znane tylko w Rębajłów zaścianku,

Od mojego imienia zwane *Cios mopanku*,
Któż to Pana nauczył? to jest moje cięcie.
Moje! — Wstał, Jenerała porwawszy w objęcie.
— Teraz umrę spokojny! jest przecie na świecie
Człowiek, który przytuli moje drogie dziecie;
Bo wszak na tym oddawna dzień i noc boleję,
Czy po śmierci ten rapier mój nie zerdzewieje!
Otoż nie zerdzewieje! Mój Jaśnie Wielmożny
Jenerale, wybacz mi, porzućcie te rożny
Niemieckie szpadki, to wstyd szlacheckiemu dziecku
Nosić ten kijek; weźmij szablę po szlachecku,
Oto ten mój scyzoryk u nóg twoich składam,
To jest co najdroższego na świecie posiadam,
Niemiałem nigdy żony, niemiałem dziecięcia,
On był żoną i dzieckiem; z mojego objęcia
Nigdy on niewychodził; od rana do mroku
Pieściłem go, on w nocy sypiał przy mym boku!
A kiedym się zestarzał, nad łożkiem na ścianie
Wisiał, jako nad żydem boże przykazanie!
Myśliłem zakopać go razem z ręką w grobie,
Lecz znalazłem dziedzica — Niechaj służy Tobie!

Jenerał wpół śmiejąc się a na wpół wzruszony,
Kolego, rzekł, jeżeli ustąpisz mnie żony
I dziecka, to zostaniesz przez resztę żywota
Bardzo samotny, stary, wdowiec i sierota!
Powiedz, czém ci ten drogi dar mam wynagrodzić,
I czém twoje sieroctwo i wdowstwo osłodzić!
—Czy ja Cybulski? rzecze na to Klucznik z żalem,
Co żonę przegrał, grając w Maryasza z Moskalem,
Jak o tém pieśń powiada — Ja mam dosyć na tém
Że mój scyzoryk jeszcze zabłyśnie przed światem
W takim ręku — Niech tylko Jenerał pamięta,
Aby tasiemka była długa rozciągnięta,
Bo to długie; a zawsze od lewego ucha
Ciąć oburącz, to przetniesz od głowy do brzucha.

Jenerał wziął scyzoryk, lecz że bardzo długi,
Niemógł nosić, w furgonie schowały go sługi.
Co się z nim stało, różnie powiadają o tém,
Lecz nikt pewnie niewiedział ni wtenczas ni potém.

Dąbrowski rzekł do Maćka: A ty co Kolego?
Zdaje się że ty nie rad s przybycia naszego?

Milczysz kwaśny ? i jakże serce ci nie skacze,
Gdy widzisz orły złote, srebne? gdy trębacze
Pobudkę Kościuszkowską trąbią ci nad uchem?
Maćku ! myśliłem że ty większym jesteś zuchem ;
Jeśli szabli nie weźmiesz i na koń niesiędziesz,
Przynajmniéj s kolegami wesoło pić będziesz
Zdrowie Napoleona i Polski nadzieje!

— Ha! rzekł Maciej, słyszałem, widzę co się dzieje!
Ale Panie dwóch orłów razem się nie gnieździ !
Łaska Pańska Hetmanie, na pstrym koniu jeździ !
Cesarz wielki bohater! gadać o tém wiele!
Pamiętam że Puławscy moi przyjaciele
Mawiali poglądając na Dymuriera,
Że dla Polski, Polskiego trzeba bohatera,
Nie Francuza ani też Włocha, ale Piasta,
Jana albo Józefa, lub Maćka — i basta.
Wojsko! mówią że polskie! lecz te fizyliery,
Sapery, grenadiery i kanoniery !
Więcéj słychać niemieckich tytułów w tym tłumie
Niżeli narodowych! Kto to już zrozumie!
A muszą też być z wami turki czy tartary

Czy syzmatyki, co ni Boga ani wiary:
Sam widziałem, kobiety w wioskach napastują,
Przechodniów odzierają, kościoły rabują!
Cesarz idzie do Moskwy! daleka to droga
Jeśli Cesarz Jegomość wybrał się bez Boga,
Słyszałem że już podpadł pod klątwy biskupie;
Wszystko to jest... Tu Maciej chleb umoczył w supie
I jedząc nie dokończył ostatniego słowa.

Nie w smak Podkomorzemu poszła Maćka mowa,
Młodzież zaczęła szemrać; Sędzia przerwał swary,
Głosząc przybycie trzeciej narzeczonej pary.

Był to Rejent, sam siebie Rejentem ogłosił,
Nikt go niepoznał; dotąd Polskie suknie nosił,
Lecz teraz Telimena, przyszła żona, zmusza
Warunkiem intercyzy, wyrzec się kontusza;
Więc się Rejent rad nie rad po francusku przebrał.
Widno że mu frak duszy połowę odebrał,
Stąpa jakby kij połknął, prosto, nie ruchawo,
Jak żóraw; nie śmie spójrzeć ni w lewo ni wprawo;
Mina gęsta, lecz z miny widać że jest w męce,

Nie wie jak się pokłonić, gdzie ma podziać ręce,
On co tak gesty lubił! ręce za pas sadził —
Nie masz pasa — tylko się po żołądku gładził;
Postrzegł omyłkę; bardzo zmięszał się, spiekł raka,
I ręce obie schował w jedną kieszeń fraka.
Idzie jakby przez rózgi śród szeptów i drwinek,
Wstydząc się za frak jakby za niecny uczynek;
Aż spotkał oczy Maćka, i zadrżał z bojaźni.

Maciéj dotąd z Rejentem żył w wielkiéj przyjaźni,
Teraz wzrok nań obrócił tak ostry i dziki
Że Rejent zbladnął, zaczął zapinać guziki,
Myśląc że Maciej wzrokiem suknie z niego złupi;
Dobrzyński tylko dwakroć wyrzekł głośno: głupi!
I tak strasznie zgorszył się z Rejenta przebrania
Że zaraz wstał od stołu, i bez pożegnania
Wymknąwszy się, wsiadł na koń, wrócił do Zaścianka.

A tymczasem Rejenta nadobna kochanka,
Telimena, roztacza blaski swéj urody,
I ubior od stóp do głów co najświeższéj mody.
Jaką miała sukienkę, jaki strój na głowie,

Daremnie pisać, pióro tego nie wypowie,
Chyba pędzelby skryślił te tiule, ptyfenie,
Blondyny, kaszemiry, perły i kamienie
I oblicze różane i żywe wejrzenie.

Poznał ją zaraz Hrabia, z zadziwienia blady
Wstał od stołu i szukał koło siebie szpady,
— I tyżeś to! zawołał, czy mnie oczy łudzą?
Ty? w obecności mojéj? ściskasz rękę cudzą?
O niewierna istoto, o duszo zmiennicza!
I nie skryjesz ze wstydu pod ziemię oblicza?
Takeś twojéj tak świeżéj nie pomna przysięgi?
O łatwowierny! pocóż nosiłem te wstęgi!
Lecz biada rywalowi, co mię tak znieważa!
Po moim chyba trupie pójdzie do ołtarza!

Goście powstali, Rejent okropnie się zmieszał,
Podkomorzy rywalów zagodzić pośpieszał,
Lecz Telimena wziąwszy Hrabiego na stronę,
Jeszcze, szepnęła, Rejent nie wziął mię za żonę,
Jeżeli Pan przeszkadzasz, odpowiedzże na to,
A odpowiedz mi zaraz, krótko, węzłowato:

Czy mnie kochasz, czyś dotąd serca nie odmienił,
Czy gotów żebyś zemną zaraz się ożenił,
Zaraz, dziś? — jeśli zechcesz odstąpię Rejenta, —
— Hrabia rzekł: O kobieto dla mnie niepojęta!
Dawniéj w uczuciach twoich byłaś poetyczną,
A teraz mi się zdajesz całkiem prozaiczną,
Cóż są wasze małżeństwa, jeśli nie łańcuchy,
Które związują tylko ręce a nie duchy?
Wierzaj, są oświadczenia, nawet bez wyznania,
Są obowiąski nawet bez obowiązania!
Dwa serca pałające na dwóch końcach ziemi,
Rozmawiają jak gwiazdy promieńmi drżącemi,
Kto wie! może dla tego ziemia tak do słońca
Dąży, i tak jest zawsze miłą dla miesiąca,
Że wiecznie patrzą na się, i najkrótszą drogą
Biegą do siebie! ale zbliżyć się nie mogą!
— Dość już tego, przerwała, nie jestem planetą
Z łaski bożej, dość Hrabio, ja jestem kobietą,
Już wiem resztę, przestań mi pleść ni to ni owo.
Teraz ostrzegam, jeśli piśniesz jedno słowo
Ażeby ślub mój zerwać, to jak Bóg na niebie,
Że s temi paznokciami przyskoczę do ciebie

I... — Niebędę rzekł, Hrabia, szczęścia Pani kłócił —
I oczy pełne smutku i wzgardy odwrócił,
I ażeby ukarać niewierną kochankę,
Za przedmiot stałych ogniów wziął Podkomorzankę.

Wojski pragnął młodzieńców poróżnionych zgodzić
Przykładami mądremi, więc zaczął wywodzić
Historyą o dziku nalibockich lasów,
I o kłótni Rejtana s Książęciem Denassów,
Ale goście tymczasem skończyli jeść lody,
I z zamku na dziedziniec wyszli dla ochłody.

Tam włość już kończy ucztę, krążą miodu dzbany,
Muzyka już się stroi i wzywa na tany,
Szukają Tadeusza, który stał na stronie
I coś pilnego szeptał swojej przyszłej żonie.

« Zofio! muszę ciebie w bardzo ważnej rzeczy
Radzić się; już pytałem stryja, on nie przeczy.
Wiesz iż znaczna część wiosek które mam posiadać,
Wedle prawa na ciebie powinnaby spadać.
Ci chłopi są nie moi lecz twoi poddani,

Nie śmiałbym ich urządzić bez woli ich Pani,
Teraz kiedy już mamy Ojczyznę kochaną,
Czyliż wieśniacy zyszczą s tą szczęśliwą zmianą
Tyle tylko, że Pana innego dostaną?
Prawda że byli dotąd rządzeni łaskawie,
Lecz po méj śmierci Bóg wie komu ich zostawię;
Jestem żołnierz, jesteśmy śmiertelni oboje,
Jestem człowiek, sam własnych kaprysów się boję,
Bespieczniéj zrobię kiedy władzy się wyrzekę,
I oddam los włościanów pod prawa opiekę.
Sami wolni uczyńmy i włościan wolnemi,
Oddajmy im w dziedzictwo posiadanie ziemi
Na któréj się zrodzili; którą krwawą pracą
Zdobyli, s któréj wszystkich żywią i bogacą.
Lecz muszę ciebie ostrzedz że tych ziem nadanie
Zmniejszy nasz dochod, w miernym musimy żyć stanie.
Ja przywykłem do życia oszczędnego z młodu,
Lecz ty Zofio jesteś z wysokiego rodu,
W stolicy przepędziłaś twoje młode lata,
Czyż zgodzisz się żyć na wsi? zdaleka od świata!
Jak ziemianka!

A na to Zosia rzekła skromnie:
Jestem kobietą, rządy nie należą do mnie,
Wszakże Pan będziesz mężem; ja do rady młoda,
Co Pan urządzisz, na to całém sercem zgoda!
Jeśli włość uwalniając zostaniesz uboższy,
To Tadeuszu będziesz sercu memu droższy.
O moim rodzie mało wiem, i niedbam o to;
Tyle pomnę, że byłam ubogą, sierotą,
Że od Sopliców byłam za córkę przybrana,
W ich domu hodowana i za mąż wydana.
Wsi nielękam się; jeśli w wielkiém mieście żyłam,
To dawno; zapomniałam, wieś zawsze lubiłam;
I wierz mi, że mnie moje kogutki i kurki
Więcej bawiły niżli owe Peterburki,
Jeśli czasem tęskniłam do zabaw, do ludzi,
To z dziecińs twa, wiem teraz że mnie miasto nudzi;
Przekonałam się zimą po krótkim pobycie
W Wilnie, że ja na wiejskie urodzona życie;
Pośród zabaw tęskniłam znów do Soplicowa.
Pracy też nie lękam się bom młoda i zdrowa,
Umiem chodzić około domu, nosić klucze;
Gospodarstwa, obaczysz, jak ja się wyuczę!

Gdy Zosia domawiała ostatnie wyrazy,
Podszedł ku niéj zdziwiony i kwaśny Gerwazy,
Już wiem ! rzekł, Sędzia mówił już o téj wolności !
Lecz nie pojmuję co to ściąga się do włości !
Boję się żeby to coś niebyło z niemiecka !
Wszak wolność nie jest chłopska rzecz ale szlachecka !
Prawda że się wywodzim wszyscy od Adama,
Alem słyszał że chłopi pochodzą od Chama,
Żydowie od Jafeta, my szlachta od Sema,
A więc panujem jako starsi nad obiema.
Jużci Pleban inaczéj uczy na ambonie...
Powiada że to było tak w starym zakonie,
Ale skoro Chrystus Pan choć s królów pochodził
Między żydami w chłopskiéj stajni się urodził,
Odtąd więc wszystkie stany porównał i zgodził;
Niech i tak będzie, kiedy inaczéj nie można !
Zwłaszcza że jak o słyszę, i Jaśnie Wielmożna
Pani moja Zofia na wszystko się zgadza,
Jéj rozkazać, mnie słuchać, jużci przy niéj władza.
Tylko ostrzegam byśmy wolności nie dali
Pustéj i słownéj tylko, jako za Moskali,
Kiedy Pan Karp nieboszczyk włościan wyswobodził,

A Moskal ich podatkiem potrójnym ogłodził.
Radzę więc aby chłopów starym obyczajem
Uszlachcić i ogłosić że im herb nasz dajem.
Pani udzieli jednym wioskom Półkozica,
Drugim niech swą Leliwę nada Pan Soplica.
Natenczas i Rębajło uzna chłopa rownym,
Gdy go ujrzy szlachcicem Wielmożnym, herbownym.
Sejm potwierdzi.

A niech się mąż Pani nietrwoży,
Iż oddanie ziem, Państwo tak bardzo zuboży;
Nie da Bóg, abym rączki córy dygnitarskiéj
Widział umozolone w pracy gospodarskiéj.
Jest na to sposób; — w zamku wiem ja pewną skrzynię,
W któréj jest Horeszkowskie stołowe naczynie,
Przytém, różne sygnety, kanaki, manele,
Kity bogate, rzędy, cudne karabele,
Skarbczyk Stolnika, w ziemi skryty od grabieży;
Pani Zofii jako dziedziczce należy;
Pilnowałem go w zamku jako oka w głowie,
Od Moskalów i od was Państwo Soplicowie.
Mam także spory worek mych własnych talarów,

Uzbieranych z wysługi, tudzież s pańskich darów,
Myśliłem, gdy nam zamek wróconym zostanie,
Obrócić grosz na murów wyreperowanie;
Nowemu gospodarstwu dziś zda się w potrzebie; —
A więc Panie Soplico, wnoszę się do ciebie,
Będę żył u méj Pani na łaskawym chlebie,
I kołysząc Horeszków pokolenie trzecie,
Wprawiać do scyzoryka Pani mojéj dziecie
Jeśli syn, a syn będzie, bo wojny nadchodzą,
A w czasie wojny zawżdy synowie się rodzą.

Ledwie ostatnie słowa domówił Gerwazy,
Gdy poważnemi kroki przystąpił Protazy,
Skłonił się, i wydobył z zanadrza kontusza
Panegiryk ogromny, w pół trzecia arkusza.
Skomponował go rymem podofficer młody,
Który niegdyś w stolicy sławne pisał ody
Potem wdział mundur, lecz i w wojsku belletrysta,
Wiersze rabiał — już Woźny przeczytał ich trzysta,
Aż gdy przyszedł do miejsca: *O ty któréj wdzięki!*
Budzą bolesną radość i roskoszne męki!
Która na szyk Bellony gdy zwrócisz twarz piękną,

Złamią się wnet oszczepy i tarcze rospękną ,
Zwalcz dziś Marsa Hymenem; srogiéj niezgod hydrze
Niech dłoń twoja syczące s czoła zmije wydrze!
Tadeusz i Zofia ustawnie klaskali
Niby chwaląc, w istocie niechcąc słuchać dalej ;
Już z rozkazu Sędziego Pleban stał na stole
I ogłaszał włościanom Tadeusza wolę.

Zaledwie usłyszeli nowinę poddani,
Skoczyli do Panicza , padli do nóg Pani ,
Zdrowie Państwu naszemu ! ze łzami krzyknęli ,
Tadeusz krzyknął : Zdrowie Spółobywateli,
Wolnych, równych, Polaków!—Wnoszę Ludu zdrowie!
Rzekł Dąbrowski —lud krzyknął, niech żyją Wodzowie,
Wiwat Wojsko, wiwat Lud, wiwat wszystkie Stany!
Tysiącem głosów, zdrowia grzmiały na przemiany

Tylko Buchman radości podzielać nie raczył,
Pochwalał projekt lecz go radby przeinaczył .
A naprzód, komissyą legalną wyznaczył
Któraby —Krótkość czasu była na zawadzie
Że nie stało się zadość Buchmanowéj radzie.

Bo na dziedzińcu zamku już stali parami,
Officery z damami, Wiara z wieśniaczkami:
Poloneza! krzyknęli wszyscy w jedno słowo.
Officerowie wiodą muzykę wojskową;
Ale Pan Sędzia w ucho rzekł do Jenerała:
Każ Pan, żeby się jeszcze kapela wstrzymała,
Wiesz że dzisiaj synowca mego zaręczyny,
A dawnym obyczajem jest naszéj rodziny,
Zaręczać się i żenić przy wiejskiéj muzyce.
Patrz stoi Cymbalista, Skrzypak i kozice;
Poczciwi muzykańci — już się Skrzypak zżyma,
A Kobeźnik kłania się i żebrze oczyma,
Jeżeli ich odprawię, biedni będą płakać;
Lud przy innéj muzyce nie potrafi skakać,
Niechaj ci zaczną, niech się i lud podweseli,
Potém będziem wybornéj twéj słuchać kapeli. —
Dał znak.

Skrzypak u sukni zakasał rękawek,
Scisnął gryf krzepko, oparł brodę o podstawek,
I smyk jak konia w zawód puścił po skrzypicy.
Na to hasło stojący obok Kobeźnicy

Jak gdyby w skrzydła bijąc, częstym ramion ruchem
Dmą w miechy i oblicza wypełniają duchem,
Myśliłbyś że ta para w powietrze uleci,
Podobna do pyzatych Boreasza dzieci:
Brakło Cymbałów.

Było Cymbalistów wielu,
Ale żaden z nich nieśmiał zagrać przy Jankielu;
(Jankiel przez całą zimę niewiedzeć gdzie bawił,
Teraz się nagle z głównym Sztabem Wojska zjawił).
Wiedzą wszyscy że mu nikt na tym instrumencie
Nie wyrówna w biegłości, w guście i w talencie.
Proszą ażeby zagrał, podają cymbały,
Żyd wzbrania się, powiada że ręce zgrubiały,
Odwykł od grania, nie śmie i panów się wstydzi;
Kłaniając się umyka; gdy to Zosia widzi,
Podbiega, i na białej podaje mu dłoni
Drążki, któremi zwykle mistrz we stróny dzwoni;
Drugą rączką po siwej brodzie starca głaska,
I dygając, — Jankielu, mówi, jeśli łaska,
Wszak to me zaręczyny, zagrajże Jankielu,
Wszak nie raz przyrzekałeś grać na mém weselu?

Jankiel nieźmiernie Zosię lubił, kiwnął brodą
Na znak że nieodmawia; więc go w środek wiodą,
Podają krzesło, usiadł, cymbały przynoszą,
Kładą mu na kolanach, on patrzy z roskoszą
I z dumą; jak weteran w służbę powołany,
Gdy wnuki ciężki jego miecz ciągną ze ściany,
Dziad śmieje się, choć miecza dawno nie miał w dłoni,
Lecz uczuł że dłoń jeszcze nie zawiedzie broni.

Tymczasem dwaj uczniowie przy cymbałach klęczą,
Stroją na nowo strony i probując brzęczą;
Jankiel s przymrużonemi na poły oczyma
Milczy i nieruchome drążki w palcach trzyma.

Spuścił je, zrazu bijąc taktem tryumfalnym,
Potém gęściej siekł strony jak deszczem nawalnym,
Dziwią się wszyscy — lecz to była tylko proba,
Bo wnet przerwał, i w górę podniosł drążki oba

Znowu gra: już drżą drążki tak lekkiemi ruchy
Jak gdyby zadzwoniło w stronę skrzydło muchy,
Wydając ciche ledwie słyszalne brzęczenia.

Mistrz zawsze patrzył w niebo czekając natchnienia.
Spójrzał z góry, instrument dumnym okiem zmierzył,
Wzniosł ręce, spuścił razem, w dwa drążki uderzył,
Zdumieli się słuchacze —

Razem ze stron wiela
Buchnął dźwięk, jakby cała janczarska kapela
Ozwała się z dzwonkami z zelami z bębenki.
Brzmi *Polonez Trzeciego Maja?* — Skoczne dźwięki
Radością oddychają, radością słuch poją,
Dziewki chcą tańczyć, chłopcy w miejscu niedostoją —
Lecz starców myśli z dźwiękiem w przeszłość się uniosły,
W owe lata szczęśliwe, gdy senat i posły,
Po dniu Trzeciego Maja, w ratuszowej sali,
Zgodzonego z narodem króla fetowali;
Gdy przy tańcu śpiewano: *Wiwat Krol kochany!*
Wiwat Sejm, wiwat Narod, wiwat wszystkie Stany!

Mistrz coraz takty nagli i tony natęża,
A w tém puścił fałszywy akord jak syk węża,
Jak zgrzyt żelaza po szkle — przejął wszystkich dreszczem
I wesołość pomięszał przeczuciem złowieszczém.

Zasmuceni, strwożeni, słuchacze zwątpili,
Czy instrument niestrojny? czy się muzyk myli?
Nie zmylił się mistrz taki! on umyślnie trąca
Wciąż tę zdradziecką stronę, mellodyę zmąca,
Coraz głośniej targając akkord rozdąsany,
Przeciwko zgodzie tonów skonfederowany;
Aż Klucznik pojął mistrza, zakrył ręką lica
I krzyknął: znam! znam głos ten! to jest Targowica!
I wnet pękła ze świstem strona złowróżąca;
Muzyk bieży do prymów, urywa takt, zmąca,
Porzuca prymy, bieży z drążkami do bassów.

Słychać tysiące coraz głośniejszych hałasów,
Takt marszu, wojna, attak, szturm, słychać wystrzały!
Jęk dzieci, płacze matek — Tak mistrz doskonały
Wydał okropność szturmu, że wieśniaczki drżały,
Przypominając sobie ze łzami boleści
Rzeź Pragi, którą znały s pieśni i s powieści,
Rade że mistrz nakonice, strónami wszystkiemi
Zagrzmiał, i głosy zdusił jakby wbił do ziemi.

Ledwie słuchacze mieli czas wyjść z zadziwienia,

Znowu muzyka inna — znów, zrazu brzęczenia
Lekkie i ciche, kilka cienkich strónek jęczy,
Jak kilka much gdy s siatki wyrwą się pajęczéj.
Lecz strón coraz przybywa, już rozpierzchłe tony
Łączą się i akordów wiążą legiony,
I już w takt postępują zgodzonemi dźwięki,
Tworząc nótę żałosną téj sławnéj piosenki
O żołnierzu, tułaczu, który borem, lasem
Idzie, z biedy i z głodu przymierając czasem,
Nakoniec pada u nóg konika wiernego,
A konik nogą grzebie mogiłę dla niego.
Piosenka stara, wojsku Polskiemu tak miła!
Poznali ją żołnierze, Wiara się skupiła
W koło mistrza; słuchają, wspominają sobie,
Ow czas okropny, kiedy na Ojczyzny grobie
Zanocili tę piosnkę i poszli w kraj świata;
Przywodzą na myśl długie swéj wędrówki lata,
Po lądach, morzach, piaskach gorących i mrozie,
Pośrodku obcych ludów, gdzie często w obozie
Cieszył ich i rozrzewniał ten śpiew narodowy.
Tak rozmyślając smutnie pochylili głowy!

Ale je wnet podnieśli, bo mistrz tony wznosi,
Natęża, takty zmienia, cóś innego głosi,
I znowu spójrzał z góry, okiem strony zmierzył,
Złączył ręce, oburącz w dwa drążki uderzył:
Uderzenie tak sztuczne, tak było potężne,
Że strony zadzwoniły jak trąby mosiężne,
I s trąb znana piosenka ku niebu wionęła,
Marsz tryumfalny: *Jeszcze Polska nie zginęła.*
Marsz Dąbrowski do Polski! — I wszyscy klasnęli,
I wszyscy Marsz Dąbrowski, chorem okrzyknęli!

Muzyk jakby sam swojej dziwił się piosence,
Upuścił drążki s palców, podniosł w górę ręce,
Czapka lisia spadła mu z głowy na ramiona,
Powiewała poważnie broda podniesiona,
Na jagodach miał kręgi dziwnego rumieńca,
We wzroku ducha pełnym błyszczał żar młodzieńca,
Aż gdy na Dąbrowskiego starzec oczy zwrócił,
Zakrył rękami, s pod rąk łez potok się rzucił,
Jenerale, rzekł, ciebie długo Litwa nasza
Czekała — długo, jak my Żydzi Messyasza,
Ciebie prorokowali dawno między ludem

Spiewaki, ciebie niebo obwieściło cudem,
Żyj i wojuj, o ty nasz!... Mówiąc ciągle szlochał,
Żyd poczciwy Ojczyznę jako Polak kochał!
Dąbrowski mu podawał rękę i dziękował,
On czapkę zdjąwszy wodza rękę ucałował.

Poloneza czas zacząć — Podkomorzy rusza.
I z lekka zarzuciwszy wyloty Kontusza
I wąsa pokręcając, podał rękę Zosi,
I skłoniwszy się grzecznie w pierwszą parę prosi.
Za Podkomorzym szereg w pary się gromadzi,
Dano hasło, zaczęto taniec — on prowadzi.

Nad murawą czerwone połyskają buty,
Bije blask s karabeli, świeci się pas suty,
A on stąpa powoli, niby od niechcenia;
Ale s każdego kroku s każdego ruszenia,
Można tancerza czucia i myśli wyczytać: —
Oto stanął, jak gdyby chciał swą damę pytać,
Pochyla ku niéj głowę, chce szepnąć do ucha;
Dama głowę odwraca, wstydzi się, nie słucha,
On zdjął konfederatkę, kłania się pokornie,

Dama raczyła spójrzeć, lecz milczy upornie;
On krok zwalnia, oczyma jéj spójrzenia śledzi,
I zaśmiał się nakonice — rad z jéj odpowiedzi
Stąpa prędzéj, pogląda na rywalów z góry,
I swą konfederatkę s czaplinemi pióry
To na czole zawiesza, to nad czołem wstrząsa,
Aż włożył ją na bakier i pokręcił wąsa —
Idzie, wszyscy zazdroszczą, biegą w jego ślady,
Onby rad ze swą damą wymknąć się z gromady;
Czasem staje na miejscu, rękę grzecznie wznosi,
I żeby mimo przeszli, pokornie ich prosi;
Czasem zamyśla zręcznie na bok się uchylić,
Odmienia drogę, radby towarzyszów zmylić,
Lecz go szybkiemi kroki ścigają natręty,
I zewsząd obwijają tanecznemi skręty;
Więc gniewa się, prawicę na rękojeść składa,
Jakby rzekł: niedbam o was, zazdrośnikom biada!
Zwraca się z dumą w czole i z wyzwaniem w oku,
Prosto w tłum; tłum tancerzy nieśmié dostać w kroku,
Ustępują mu z drogi, — i zmieniwszy szyki,
Puszczają się znów za nim —

Brzmią zewsząd okrzyki:
„Ach to może ostatni! patrzcie, patrzcie młodzi,
„Może ostatni co tak Poloneza wodzi!" —
I szły pary po parach hucznie i wesoło,
Roskręcało się, znowu skręcało się koło!
Jak wąż olbrzymi w tysiąc łamiący się zwojów;
Mieni się cętkowata, różna barwa strojów
Damskich, pańskich, żołnierskich, jak łuska błyszcząca
Wyzłocona promieńmi zachodniego słońca
I odbita o ciemne murawy węzgłowia.
Wre taniec, brzmi muzyka, oklaski i zdrowia!

Tylko kapral Dobrzyński Sak, ani kapeli
Nie słucha, ani tańczy, ani się weseli,
Ręce w tył założywszy stoi zły, ponury,
Wspomina swe dawniejsze do Zosi konkury:
Jak lubił dla niej nosić kwiaty, pleść koszyczki,
Wybierać gniazda ptasie, robić zauszniczki.
Niewdzięczna! chociaż tyle pięknych darów strwonił,
Choć przed nim uciekała, choć mu ojciec bronił!
On jeszcze! ile razy na parkanie siadał,
By ją dójrzeć przez okna; w konopie się wkradał

Żeby patrzeć jak ona pieła swe ogródki,
Rwała ogórki, albo karmiła kogutki.
Niewdzięczna! Spuścił głowę, i nakoniec świsnął
Mazurka; potém kaszkiet na uszy nacisnął,
I szedł w obóz gdzie stała przy armatach warta,
Tam dla rozerwania zaczął grać w drużbarta
Z wiarusami, kielichem osładzając żałość.
Taka była dla Zosi Dobrzyńskiego stałość.

Zosia tańczy wesoło: lecz choć w pierwszéj parze,
Ledwie widna z daleka; na wielkim obszarze
Zarosłego dziedzińca, w zielonéj sukieńce
Ustrojona w równianki i w kwieciste wieńce,
Śród traw i kwiatów krąży niewidzialnym lotem,
Rządząc tańcem, jak anioł nocnych gwiazd obrotem:
Zgadniesz gdzie jest, bo ku niéj obrócone oczy,
Wyciagnięte ramiona, ku niej zgiełk się tłoczy.
Darmo się Podkomorzy zostać przy niéj sili,
Zazdrośnicy już s pierwszéj pary go odbili;
I szczęśliwy Dąbrowski nie długo się cieszył,
Ustąpił ją drugiemu, a już trzeci śpieszył,
I ten zaraz odbity, odszedł bez nadziei.

OBJAŚNIENIA.

Zaścianek. Nazywają w Litwie *Okolicą* lub *Zaściankiem* osadę szlachecką, dla różnicy od właściwych wsi czyli sioł, osad wiejskich.

Str. 15, w. 20. On Horeszkom dziesiąta woda na kisielu.

Kisiel, potrawa litewska, rodzaj galarety, która się robi z rozczynu owsianego, płócze się wodą aż póki nie oddzielą się wszystkie cząstki mączne; stąd przysłowie.

Str. 23, w. 19 ..... Wołodkowicz, pan dumny, zuchwały.

Po licznych burdach, pochwycony w Mińsku, i za dekretem Trybunału rozstrzelany.

Str. 26, w. 4. Obwołał pospolite ruszenie przez wici.

Kiedy król miał zgromadzić pospolite ruszenie, roska-

zywał zatykać w każdej parafji drąg wysoki z uwiązaną na wierzchu miotłą czyli wicią. I to się nazywało rozdać wici. Każdy człowiek dorosły, stanu rycerskiego, obowiązany był pod utratą szlachectwa, stawić się natychmiast pod chorągiew Wojewódzką.

Str. 27, w. 18. Brała również przydomki zwane imioniska.

Imioniska są właściwie sobrykety.

Str. 33, w. 3. Bronić Pana Pocieja.

Alexander Hrabia Pociej, wróciwszy po wojnie do Litwy, wspierał rodaków udających się za granicę, i znaczne summy przesłał do kassy Legionów.

Str. 75, w. 11. Nieco wyżéj Dawida Wóz, gotów do jazdy.

Wóz Dawida, konstellacya zwana u Astronomów Ursa major.

Str. 76, w. 11. Podobnie Pleban Mirski zawiesił w Kościele
Wykopane olbrzymów żebra i piszczele.

Było zwyczajem zawieszać przy kościołach znajdowane

zabytki kości kopalnych, które lud uważa za kości olbrzymów.

Str. 77, w. 3. Był to Kometa pierwszej wielkości i mocy.

Pamiętny Kometa roku 1811.

Str. 78, w. 18. Ksiądz Poczobut, człek sławny, był Obserwatorem.

Ksiądz Poczobut, Ex-jezuita, sławny Astronom, wydał dzieło o Zodyaku w Denderach, i obserwacyami swemi pomógł Lalandowi do obrachowania biegów księżyca. Ob. żywot przez Jana Sniadeckiego.

Str. 83, w. 2. W świcie Księcia był Książe Niemiecki Denassów.

Właściwie Książe de Nassau-Siegen. Sławny podówczas wojownik i awanturnik. Był admirałem moskiewskim i pobił Turków na Lemanie, potém sam na głowę pobity od Szwedów. Bawił czas jakiś w Polszcze, gdzie otrzymał indygenat. Pojedynek Księcia de Nassau s tygrysem, brzmiał wówczas po wszystkich gazetach Europejskich.

Str. 124, w. 2. A czy Sędzia, rzekł Major, żółtą Księgę czytał.

Żółta Księga, od okładek tak nazwana, księga barbarzyńska praw wojennych rossyjskich. Nieraz w czasie pokoju, rząd ogłasza prowincye całe za będące w stanie wojny i na mocy żółtéj księgi oddaje dowódcy wojskowemu zupełną władzę nad majątkami i życiem obywateli. Wiadomo, że od roku 1812 aż do rewolucji Litwa cała podlegała żołtéj księdze, któréj exekutorem był wielki książe Carewicz.

Str. 138, w. 14. Ciągnie za sobą długie sążniowate drzewo
Uzbrojone w krzemienie i w guzy i sęki.

Maczuga litewska robi się tym sposobem: wypatruje się młody dąb, i nacina się od dołu do góry siekierą tak, ażeby korę i miaskę rozerznąwszy drzewo z lekka poranić. W te karby wtykają się ostre krzemienie, które s czasem wrastają w drzewo i tworzą guzy twarde. Maczugi stanowiły za czasów pogańskich główną broń piechoty litewskiéj; dotąd używają się niekiedy i zowią się nasiekami.

Str. 169, w. 6. I jak jeden mieszczanin zwany Czarnobacki
Zabił Dejowa i zniosł cały pułk Kozacki.

Po powstaniu Jasińskiego, kiedy Wojska Litewskie ustępowały ku Warszawie, Moskale zbliżyli się do opuszczonego

Wilna. Jenerał Dejow na czele sztabu wjeżdżał przez Ostrą Bramę. Ulice były puste, mieszkańcy zamknęli się w domach. Jeden mieszczanin spostrzegłszy armatę porzuconą w zaułku, kartaczami nabitą, wymierzył ją w bramę i zapalił. Ten jeden wystrzał ocalił wówczas Wilno; jenerał Dejów s kilku officerami zginął, reszta lękając się zasadzki odstąpiła od miasta. Niewiem s pewnością nazwiska onego mieszczanina.

Str. 153, w. 18. Taki miał koniec zajazd ostatni na Litwie.

Bywały i poźniéj jeszcze zajazdy lubo nie tak sławne, dosyć jednak głośne i krwawe. Około roku 1817 Obywatel U....w Województwie Nowogródzkiém pobił na zajeździe cały garnizon Nowogrodzki i dowódzców zabrał w niewolę.

Str. 163, w. 5. Ten za bitwę pod Nowi, ten za Preisiz-How.

Zapewne Preusisch-Eylau.

Str. 200, w. 1. Targowiczanie potém chcieli mię zaszczycić.

Zdaje się że Stolnik zabity został około roku 1791 za czasów pierwszéj wojny.

Str. 209.

Wróżby wiosenne. Jeden Historyk rossyjski w podobny sposób opisuje wróżby i przeczucia ludu moskiewskiego przed wojną 1812.

Str. 210, w. 6. Nie biegło na ruń.

Ruń jest to zieleniejąca się ozimina.

Str. 211, w. 17. Wszyscy na północ: rzekłbyś że w on czas z wyraju.

Wyraj w mowie gminnej znaczy właściwie czas jesienny kiedy ptaki wędrowne odlatują; lecieć na wyraj jest to lecieć w kraje ciepłe. Stąd przenośnie nazywa lud wyrajem, kraje ciepłe i w ogólności jakieś kraje bajeczne szczęśliwe, za morzami leżące.

Str. 215, w. 12. Księga ta miała tytuł: Kucharz doskonały.

Książka teraz bardzo rzadka, przed stukilkudziesiąt laty wydana przez Stanisława Czernieckiego.

Str. 215, w. 16. Którym się Ojciec swięty Urban ósmy dziwił.

Opisywano wielekroć i malowano ową Legacyą Rzymską. Ob. Kucharz doskonały, przemowa: « Ta legacya wszystkiemu zachodniemu Państwu wielkiém będąc podziwieniem, ogłosiła w rozum nieprzebranego Pana jako i splendor domu i apparament stołu — że jeden s książąt Rzymskich rzekł: Dziś Rzym szczęśliwy mając takiego Posła. » — NB. Czerniecki sam był kuchmistrzem Ossolińskiego.

Str. 220. w. 11. Zgodnie Konfederackim Marszałkiem obrany.

W Litwie za wkroczeniem wojsk francuskich i polskich, zawiązano po Województwach Konfederacye i obrano Posłów na Seym.

Str. 222, w 1. On to pod Hohenlinden,...

Wiadomo, że pod Hohenlinden korpus polski pod dowództwem Jenerała Kniaziewicza zdecydował wygranę.

Str. 247, w. 2. Jest podanie że Książe Radziwił-Sierota.

Radziwił-Sierota odbył dalekie podróże i wydał opis peregrynacyi swojéj do ziemi swiętéj.

Str, 253, w. 14. A tymczasem wielki serwis barwę zmienił.

W szesnastym i na początku siedmnastego wieku, w epoce kwitnienia sztuk, uczty nawet były przez artystów urządzane, pełne symbolów i scen teatralnych. Na sławnéj uczcie danéj w Rzymie dla Leona X znajdował się serwis przedstawiający s kolei cztery pory roku, który służył zapewne za wzór Radziwiłowskiemu. Zwyczaje stołowe zmieniły się w Europie około połowy wieku ośmnastego, w Polszcze najdłużéj przetrwały.

Str. 255. w. 4. Czyto Pinety Panu dał w służbę swe bisy.

Pinety, sławny na całą Polskę kuglarz, kiedy u nas gościł nie wiemy.

Str. 263, w 7. Czy ja Cybulski? rzecze na to Klucznik z żalem,
Co żonę przegrał grając w maryasza z Moskalem.

Znajoma na Litwie pieśń żałośna o Pani Cybulskiéj, którą mąż w karty przegrał moskalom.

Str. 265, w. 15. Warunkiem intercyzy wyrzec się kontusza.

Moda przebiérania się w suknie francuskie grassowała na prowincyach od roku 1800 do 1812. Najwięcéj młodzieży przebrało się przed ożenieniem na żądanie narzeczonych.

Str, 269, w. 8. I o kłótni Rejtana s książęciem Dennassów.

Historya sporu Rejtana s książęciem De Nassau, przez Wojskiego niedoprowadzona do końca, wiadoma jest s tradycyi. Umieszczamy koniec iéj kwoli ciekawemu czytelnikowi — Rejtan obruszony przechwałkami książecia De Nassau, stanął okok niego na przesmyku · właśnie ogromny odyniec rozjuszony strzałami i szczwalnią, leciał na przesmyk. Rejtan wyrywa książęciu z rąk strzelbę, swoję ciska o ziemię, a ująwszy oszczep i podając drugi Niemcowi « Teraz, rzekł, obaczym kto lepiéj robi spisą. » Już odyniec wpadał, kiedy Wojski Hreczecha o podal stojący, trafnym strzałem zwierza powalił. Panowie z razu gniewali się, potém pogodzili się i hojnie wynagrodzili Hreczechę.

Str. 272, w. 22. Kiedy nieboszczyk Pan Karp' chłopów wyswobodził.

Rząd Rossyjski nie uznaje ludzi wolnych prócz Szlachty. Włościanie przez właściciela uwolnieni, są zaraz zapisywani w skazki dóbr stołowych cesarskich, i zamiast pańszczyzny muszą opłacać podatek zwiększony. Wiadomo, że w roku 1818 Obywatele gubernji Wileńskiéj uchwalili na sejmiku projekt uwolnienia wszystkich włościan, i wyznaczyli w tym celu delegacyą do Cesarza; ale Rząd ros-

kazał projekt umorzyć i nigdy więcéj o nim nie wspominać. Nie ma innego sposobu uwolnić człowieka pod Rządem Rossyjskim, tylko przybrać go do familji. Jakoż wielu tym sposobem uszlachcono z łaski lub za pieniądze.

OMYŁKI.

Str. 8, w. 1.	Wstąpić	*popraw :*	Sstąpić.
Str. 16, w. 14.	Dąbrowski	*popraw :*	Nasz Dąbrowski.
Str. 26, w. 4.	Wieci	*popraw :*	Wici.
Str. 30, w. 20.	Florem	*popraw :*	Florą.
Str. 36, w. 13.	Ciepłą ich puch	*popraw :*	Ciepły ich puch.
Str. 92, w. 15.	Ręka	*popraw :*	Ręką.
Str. 119, w. 14.	Na wpół w czarnych chmurach	*popraw :*	Napoły w czerni chmur.
Str. 158, w. 14.	Sybilskiéj Nioby	*popraw :*	Sypilskiéj Nioby.
Str. 159, w. 1.	Ku ziemi wznosi	*popraw :*	Ku niebu wznosi.
Str. 161, w. 12.	Ciemniejszą	*popraw :*	Czarniejszą.
Str. 163, w. 4.	Izmajłow	*popraw :*	Izmaiłow.
Str. 165, w. 11.	Oto	*popraw :*	Otoż.
Str. 181, w. 17.	Co chcesz	*popraw :*	Co zechcesz.
Str. 185, w. 2.	Pogniewał	*popraw :*	Pogniewał się.
Str. 215, w. 16.	Urban siodmy	*popraw :*	Urban osmy.
Str. 217, w. 18.	W zglowiu	*popraw :*	Węzgłowiu.

Str. 225, po w. 19, Najdłuższy proces bywa z duchowieństwem
dodać : Katolickiém, albo też z bliskiém pokrewieństwem.

CENA 2 TOMÓW ZŁO. POL. DWADZIEŚCIA.

SPIS RZECZY.

W TYPOGRAFJI A. PINARD, PRZY WYBRZEŻU VOLTAIRE, 15.

4-15 Ranck

[illegible]